



PROZOMNI

# GRA POZA PRAWEM

MAGDALENA ZIMNIAK

POCHŁANIAJĄCA OPowieść o TRUDNEJ MIŁOŚCI MATKI I CÓRKI, o LUDZKICH TĘSKNOTACH I OGRANICZENIACH. I o TYM, ŻE KAŻDY JEST ZDOLNY DO ZBRODNI.

MAGDALENA ZIMNIAK

# GRA POZA PRAWEM



Copyright © by Magdalena Zimniak

Copyright © by Grupa Wydawnicza Literatura Inspiruje Sp. z o.o., 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone

*All rights reserved*

Książka ani żadna jej część nie mogą być publikowane ani w jakikolwiek inny sposób powielane w formie elektronicznej oraz mechanicznej bez zgody wydawcy.

*Redakcja:* Sylwia Drożdżyk-Reszka *Korekta:* Justyna Jakubczyk, Agnieszka Brach *Projekt graficzny okładki:* Marek Kuźnicki, Studio 1

*Skład i łamanie:* Justyna Jakubczyk ISBN: 978-83-65897-31-2

Słupsk/Warszawa 2018

Wydawnictwo Prozami

[zamowienia@literaturainspiruje.pl](mailto:zamowienia@literaturainspiruje.pl)

[www.prozami.pl](http://www.prozami.pl)

[www.literaturainspiruje.pl](http://www.literaturainspiruje.pl)

Skład wersji elektronicznej: **virtualo**

[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# Spis treści

1. Dorota

2. Beata

3. Ola

4. Dorota

5. Ola

6. Dorota

7. Ola

8. Dorota

9. Ola

10. Dorota

11. Ola

12. Dorota

13. Beata

14. Ola

15. Dorota

16. Ola

17. Dorota

18. Beata

19. Ola

20. Dorota

21. Beata

22. Ola

23. Dorota

- 24. Ola
- 25. Dorota
- 26. Ola
- 27. Dorota
- 28. Ola
- 29. Dorota
- 30. Ola
- 31. Dorota
- 32. Ola
- 33. Dorota
- 34. Ola
- 35. Dorota
- 36. Ola
- 37. Dorota
- 38. Ola
- 39. Dorota
- 40. Ola
- 41. Beata
- 42. Dorota
- 43. Ola
- 44. Beata
- 45. Dorota
- 46. Ola
- 47. Dorota
- 48. Ola
- 49. Dorota

50. Ola

51. Dorota

52. Ola

53. Dorota

54. Ola

55. Dorota

56. Ola

57. Dorota

58. Ola

59. Dorota

60. Ola

61. Dorota

62. Ola

63. Dorota

64. Beata

65. Ola

66. Dorota

67. Ola

68. Dorota

69. Ola

70. Dorota

71. Ola

72. Dorota

73. Ola

74. Dorota

75. Ola



76. Dorota

77. Beata

78. Dorota

79. Ola

80. Dorota

81. Ola

82. Dorota

83. Beata

84. Ola

85. Dorota

86. Ola

87. Tadeusz

88. Dorota

89. Tadeusz

90. Ola

91. Dorota

92. Beata

93. Dorota

Polecamy

*Dla Marcina*  
*Dziękuję, że zawsze jako pierwszy czytasz moje książki*

# Dorota

Przed nami najbardziej wyczekiwana noc w roku. Sylwester. Tańce, hulanki, swawole. Ha, ha. Wieszczy nie przewidział, kto użyje tego cytatu i w jakich okolicznościach. Śmieję się tylko w myślach, ale i tak próbuję z tym walczyć. Gdyby to była ironia czy drwina, nie czułabym się zagrożona. Znam się jednak na tyle, żeby wiedzieć, kiedy nadchodzi histeria. Jeśli się poddam, już po mnie.

Mama wnosi wytworny zapach chanel nr 5. Wygląda olśniewająco w obcisłej czarnej sukience, kończącej się tuż przed kolanami, podkreślającej zgrabne nogi i kobiece zaokrąglenia. Blond włosy opadają luźnymi falami na ramiona, kontrastując z kolorem ubrania. Dekolt jest głęboki, ale pozostawia jeszcze miejsce dla wyobraźni.

– Szczęśliwego Nowego Roku, kochanie – mówi, całując mnie w czoło.

Kręci mi się w głowie od zapachu perfum. Nienawidzę go. Zazwyczaj mama skrapia się czymś mniej wykwinnym. Nie przywiązuje się do zapachów, często je zmienia. Tylko tym głupim chanel na wielkie wyjścia pozostaje wierna.

– Tobie też – odpowiadam zdziwiona, że głos mi nie drży. Wewnątrz trzęsę się jak galareta. – Kiedy wrócisz?

– Przecież mówiłam, że biblioteka organizuje bal. Impreza potrwa pewnie do trzeciej, czwartej w nocy. – Wlepia we mnie te swoje wielkie gały. – Wezmę taksówkę i wrócę.

Nie chcę zostawać sama.

– Mamo, zostań – mówię tak cicho, że sama ledwie słyszę własny głos.

Mama sztywnieje.

– O co chodzi? – pyta szorstko.

– Nie chcę być sama, dzisiaj nie, mamo, proszę – mówię płaczliwie. Nie

powinnam używać tego tonu, nie wygram w ten sposób.

Siada naprzeciwko, dłuższą chwilę nic nie mówi.

– Czy twoja prośba nie jest zwykłym egoizmem? – odzywa się w końcu.  
– Robię dla ciebie wszystko, znoszę twoje kaprysy, moje życie składa się z pracy i opieki nad tobą, a w sylwestra, kiedy mam okazję na odrobinę rozrywki, ty każesz mi zostać w domu. Zastanów się nad swoim zachowaniem. Masz prawie dwadzieścia lat. Nie jesteś dzieckiem.

– Mamo, zostań, boję si...

– Czego się boisz? – przerywa ostro. – Czy pierwszy raz zostaniesz w domu sama?

Oczywiście, że nie. Zostaję codziennie i nikt się nad tym nie zastanawia.

– Mamo, źle się czuję, boli mnie serce. – Chwytam się za klatkę piersiową.

Naprawdę czuję nagły ból, chociaż z jej punktu widzenia musi to wyglądać na teatralny gest.

– Dorota! Posuwasz się do tego, żeby symulować? Jesteś zwykłą egoistką, ty potw... – Przerywa, najwyraźniej zawstydzona własnymi słowami.

We mnie jednak narasta wściekłość, wypierając wszystkie inne uczucia. Kładę ręce na kółkach wózka, rozpędzam się i walę z całej siły w szafę. Zawracam, mama wskakuje na łóżko w obawie, żebym po niej nie przejechała. Niech się boi. Z największą szybkością, do jakiej mogę się rozpędzić, najeżdżam na stół, wykonuję zwrot i uderzam z impetem w łóżko. Mama stoi pod samą ścianą, blada pomimo nałożonego fluidu, bezpieczna, jednak zauważam, że nią zatrzęsło. Jeżdżę bez opamiętania, objając się z łoskotem o sprzęty, nie zważając na coraz głośniejsze krzyki wypełnione coraz większym przerażeniem. W pewnym momencie wypadam z wózka. Wysokość nie jest duża, ale zderzenie z podłogą bolesne. Leżę bez ruchu, zastanawiając się, czy nie złamałam jakiejś kości i jakie mogłyby być konsekwencje. W końcu udaje mi się unieść głowę i patrzę na mamę, która wciąż stoi nieruchomo. Napotyka mój wzrok, wzdryga się i powoli zsuwa z łóżka. Podnosi mnie, sadza na wózku.

– Poruszaj rękami – nakazuje.

Robię to. Boli jak diabli, ale chyba tylko się poobijałam.

– W porządku – mówi w zamyśleniu.

Przypina pas i zablokowuje kółka.

– Bądź grzeczna. – Całuje mnie w policzek. – Jeszcze raz wszystkiego dobrego w Nowym Roku.

Opuszcza pokój, a po chwili słyszę warkot silnika.

# Beata

Zatrzymała samochód przy wyjeździe na główną drogę. Jedyne, czego chciała, to wyjść z domu i zostawić wszystko za sobą. Choćby na chwilę. Choćby na jedną noc. Rany boskie, żeby to było takie łatwe. Pstryknąć palcami i już. Opanuj się, kretynko. Potrafisz to. Przed chwilą w pokoju córki byłaś mistrzynią. Córka. Nienawidziła Doroty bardziej niż kiedykolwiek. To bzdura. Nie nienawidziła jej. Złe uczucia przychodziły i mijały. Była dobrą matką. Kochającą. Poświęcała dziecku więcej niż jakakolwiek inna kobieta. Tak nie musiało być. Została wrobiona, uwięziona, skrzywdzona. Pokręciła głową. Jeśli teraz się nad sobą rozczuli, będzie miała spuchnięte oczy i nos, a zależało jej przecież na ładnym wyglądzie.

Wyciągnęła komórkę, odszukała kontakt. Wesoły głos matki niemal ponownie wytrącił ją z równowagi.

– Wszystkiego dobrego w Nowym Roku, mamo.

– Dziękuję, Beatko. Tobie też. Jeszcze jesteś w domu?

– Nie, dzwonię z samochodu.

– Jedziesz na ten bal do biblioteki?

Pobłażanie w głosie. Ty głupia, stara jędzo.

– Tak. A ty jakie masz plany?

– Wybieram się ze znajomym na imprezę w Europejskim.

Jasne. Musiała podkreślić różnicę. Ekskluzywna impreza w hotelu i nędzny bal w bibliotece. Idiotka. Tym bardziej że Europejski chyba nie był już szczytem luksusu.

– Super. Baw się dobrze.

Bardzo się starała, żeby matka nie dosłyszała jadu w jej głosie.

– Ty też. Ucałuj Dorotę.

Chyba jednak dosłyszała, dlatego sama brzmiała jak zmija. Kogo to obchodzi?

– Ucałuję. Pa, mamuś.

Włożyła komórkę do torebki i odetchnęła głęboko. Już. Wszystko za nią. Przeprowadzenie z córką, rozmowa z matką. Dopiero teraz dotarło do niej, co stara czarownica powiedziała. Wybiera się ze znajomym. Absztyfikant? Nigdy nie opowiadała o romansach, chociaż zapewne je miała. Co za różnica? Beata ponownie głośno wypuściła powietrze. Teraz może się bawić. Nie myśleć. Później przyjdą wyrzuty sumienia. Nieważne. Odgrodzić się od wszystkiego. Choćby na tę jedną noc.

# Ola

Ponuro przyglądam się tańczącym. Po jaką cholere dałam się wrobić w tę imprezę? Krzychu proponował, żebym spędziła sylwestra z nim i jego kumplami. To nie wchodziło w rachubę. Nie miałam ochoty patrzeć, jak wrywa jakąś laskę, gdyby natomiast tego nie robił, czułabym się jeszcze gorzej. Nie mogłabym pozbyć się wrażenia, że to ze względu na poczucie przyzwoitości czy cholera wie, jak to nazwać. Niech sobie prowadzi miłosne gierki, mnie one ani ziębią, ani grzeją. Wolę tylko, żeby odbywały się daleko. Później można się pośmiać, omówić w szczegółach. Tak jest dobrze.

Propozycję balu organizowanego przez Bibliotekę Główną też powinnam odrzucić. Siedzę teraz przy stoliku i w kółko powtarzam w myślach, że znacznie lepiej bym zrobiła, zostając w domu. Nie cierpię sylwestra, tych wszystkich idiotycznych tańców, nienaturalnej wesołości, podekscytowania wzmacnianego alkoholem. Wypiłam kilka kieliszków wina, ale nadal jestem spięta. Żeby chociaż nie było tych palantów ciągnących na parkiet. Wiadomo, o co im chodzi. Za każdym razem kręcę więc głową i przybieram minę obrażonej księżniczki. Nigdy nie tańczyłam i nie mam zamiaru zaczynać.

– Można prosić?

Znowu. Nie można. Uciekaj, gnoju.

Siada obok.

– Ja też nie przepadam za tańcami. Jestem Piotr.

Garniturek, muszka, gładko ogolona twarz.

– To miejsce jest zajęte.

Używam specjalnego odstraszającego tonu. To jedna z nielicznych umiejętności, które posiadam. Palant się zmywa, mamrocząc przeprosiny.

– Nie tańczysz?



Tym razem kierowniczką. Nalewa szklankę wody i wychyla duszkiem.

– Nie tańczę.

Kierowniczką jest ładna, fajnie na nią patrzeć. Z drugiej strony niekiedy człowiek ma ochotę trzasnąć ją w tę nieskazitelnie wymalowaną buźkę.

– Mówmy sobie po imieniu, dobrze?

Jaki zaszczyt. Będę tykać kierowniczkę. Ona zaczęła mnie tykać bez pytania, ale jej wolno.

– Będzie mi miło.

Po cholere staram się być grzeczna? Najważniejszy powód jest prosty – to szefowa. Irytuje mnie jednak świadomość, że baba budzi dziwne, sprzeczne uczucia. Mój stosunek do ludzi bywa zwykle bardziej określony.

– Dobrze się bawisz? – Puste pytanie, które wypada zadać. Jestem żaloszna. – Beata? – dodaję po chwili, jakby wymówienie jej imienia sprawiało mi radość.

Kierowniczką się uśmiecha, po czym wzrusza ramionami.

– Czasem człowiek łaknie choćby ułudy wolności, prawda? Nawet idiotyczna zabawa pozwala zapomnieć o kajdanach.

Szefowa za dużo wypila i bredzi bez sensu.

– Nie czujesz się wolna? – Prowokuję ją, brnę w jałową dyskusję.

– Wiesz... moja mama wytyczyła mi ścieżkę życiową. Już za późno, żeby z niej zboczyć. – Jakiś mężczyzna staje za Beatą, mamrocząc zaproszenie do tańca, ale ona nawet nie spojrzy. – Rozmawiam – rzuca lodowato.

Facet się zmywa. Szacun. Czuję napływ cieplejszych uczuć.

– Jaką ścieżkę?

– Napijmy się.

Beata napełnia kieliszki winem. Zawartość swojego wlewa do gardła jak gorzałę.

– Ścieżkę samotności.

Ciepłe uczucia znikają. Ile wzniosłości można wytrzymać, nawet po alkoholu? Ledwie się powstrzymuję, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

– Wiem, jestem patetyczna. – Szefowa macha dłonią. – Chciałabym mieć siostrę. Nie wiem dlaczego, ale ty wydajesz mi się bliska. Jesteś inna. Wolna.

– Zbyt wiele mnie obciąża, żebym naprawdę mogła być wolna. – Co ja gadam? Jeszcze chwila i zacznę się zwierzać. – W każdym razie robię to, co sama zdecyduję, nie to, co podoba się innym.

Ładnie powiedziane. Przynajmniej teraz, po odpowiedniej ilości alkoholu, podoba mi się.

– Ja... tęsknię za miłością, więc niekiedy rzucam się nawet na namiastki. Byłaś kiedyś zakochana... tak naprawdę?

– Kiedyś – odpowiadam sucho. – Dawno.

– Ja też kiedyś. Dawno. Wyszło dość kiepsko, ale jak idiotka chcę, żeby się powtórzyło. A ty?

– Nie chcę. Lubię moje życie takie, jakie jest.

– Ja nie lubię mojego życia. Wcale. Wmawiam sobie, że jakiś facet przyjdzie i coś zmieni.

Śmieję się. Szefowa naprawdę jest pijana. Doszukiwanie się jakiegoś ładu w jej bredzeniu nie ma sensu.

– Bądź moją przyjaciółką.

Ściska mi rękę. Sytuacja staje się coraz bardziej kuriozalna, a najdziwniejsze jest to, że nie cofam dłoni.

– Można prosić?

To do Beaty. Facet jest dość przystojny, dobrze zbudowany, koło czterdziestki. Tym razem szefowa nie odmawia, rzuca mi krótkie przeprasające spojrzenie i idzie na parkiet. Patrzy w oczy partnera jak napalona małolata. Widocznie znalazła swoją namiastkę. Idiotka. Ona być może też, ale głównie ja. Sprawdzam czas. Za dwadzieścia dwunasta. Nie będę czekać do północy.

Wracam do domu pieszo. Przebijam się przez grupki podpitych ludzi – od

nastolatków do emerytów. Idiotyczny śmiech i odgłosy fajerwerków ścigają mnie nawet w mieszkaniu. Rzucam się na łóżko w swojej jedynej małej czarnej i przykrywam głowę kołdrą. Lepiej. Do czasu, kiedy przychodzą mdłości. Trzeba odpokutować wypity alkohol.

# Dorota

Mam wrażenie, że obudziłam się całe wieki temu, ale zegarek mówi zupełnie co innego. Jest szósta trzydzieści i jedenaście sekund. Natychmiast po przebudzeniu sprawdzam godzinę. Leżę z otwartymi oczyma dopiero dwadzieścia jeden minut i pięć sekund. Lubię odmierzać czas z dokładnością co do sekundy, bawi mnie myśl, że nad czymś panuję. Mama uważa to za nieszkodliwe hobby, dlatego na siedemnaste urodziny kupiła mi ten zegarek, podobno synchronizowany sygnałem radiowym. Siedemnaste urodziny. To prawie trzy lata temu.

Drzwi się otwierają i wchodzi: śliczna, dziewczęca, z mokrymi włosami. Dopiero wzięła prysznic, więc z rozkoszą wciągam świeży zapach, kiedy całuje mnie w czoło.

– Dzień dobry, Dorotko. – Mogłabym słuchać godzinami jej głosu; jest aksamitny, głęboki, dosyć niski. – Chodź, słoneczko. – Odpina pas i przenosi mnie do wózka. – Jak się dzisiaj czujesz?

Nie odpowiadam. Zawozi mnie do łazienki i sadza na toalecie nieprzystosowanej dla niepełnosprawnych, więc trochę musi mnie podtrzymywać.

– Nie chce ci się kupy?

Robi mi się niedobrze. To normalne rozmowy, nie powinnam spodziewać się niczego innego. Mimo to bardziej niż kiedykolwiek nie mam ochoty na gadki szmatki o kupie, sikach i tym podobnych sprawach. Potrząsam głową, nie patrzę na nią. Sadza mnie z powrotem na wózku i spuszcza wodę.

– Musimy założyć pieluchę – mówi, biorąc w rękę pampersa. – Mogę wrócić dziś nieco później.

Chciałabym pominąć to milczeniem, ale nie wytrzymuję. Od sylwestra „później” zdarza się zbyt często.

– Wczoraj też wróciłaś późno. – Mam głos podobny do jej głosu. Piękny

głos w... nie chcę myśleć teraz o swoim ciele, ale to niemożliwe. Mama przenosi mnie do wózka i podjeżdża pod umywalkę. Lustro jest na poziomie mojej twarzy. Zastanawiam się, czy zrobiła to specjalnie. Toaleta nieprzystosowana, a lustro wisi tak, że muszę się w nim przejrzeć. W zasadzie... to nie takie przykre. Z pewnością nie jestem piękna, ale nie dostrzegam w rysach nic odpychającego. Oczy mam duże, szare – nie jej, ona ma błękitne jak niebo w słoneczny dzień – być może to oczy mojego ojca, rzęsy nawet długie, gdyby pociągnąć je lekko tuszem, z pewnością dodawałyby mi uroku. Twarz owalna o dosyć ładnym kształcie, tylko cera niezdrowa, szarawa, prawdopodobnie od wiecznego przesiadywania w dusznym pomieszczeniu, kilka pryszczu. Włosy mysiego koloru, ze skłonnością do przetłuszczania, zbyt rzadko myte. Usta wydatne, pełne – usta mojej matki. Tyle że jej usta są stworzone do pocałunków, a moje... Poprzednie wrażenie znika: jestem potwornie brzydka. Wstrząsam się – nie lubię słowa „potwornie”, choć tak często pojawia się w myślach.

– Wiem, że wracam dość późno, ale on jest niesamowity. Dawno nie czułam się tak jak teraz – trajkocze w rozmarzeniu. – Umyjemy tylko buzię. – Nie prosi mnie, żebym sama to zrobiła, zależy jej na czasie. – Jutro się wykąpiesz. Razem z włosami – dodaje, sięgając po szczotkę i rozczesując skołtunione mysie pasma. – Jeszcze zęby, szybciotko. – Podaje mi szczoteczkę z odrobiną pasty.

Koniec porannej toalety. Mama pcha mnie z powrotem do pokoju, stawia wózek przy stole, blokuje go i przypina mnie pasem.

– Za chwilę przyniosę śniadanie – mówi machinalnie. To stała poranna fraza.

Jej wzrok jest nieobecny. Myślami jest już przy tamtym facecie, a ja czuję, że go nienawidzę. Nieprawda, to jej nienawidzę. Zarazem jednak kocham ją rozpaczliwie, zaborczo, złą miłością, ale jaka miłość może narodzić się w potworku? Pragnę ją zmusić, żeby spojrzała na mnie, nawet jeśli za chwilę... Z całej siły zaciskam palce, paznokcie, dawno nieobcinane, wbijają się w skórę. Moje dłonie wyglądają normalnie, palce może są trochę przykrótkie, jednak nie rzuciłyby się w oczy jako kuriozum, ale długość od ramienia do nadgarstka równa się mniej więcej jednej trzeciej długości rąk mojej matki czy każdej innej nieułamanej kobiety. Nie będę krzyczała. Wiem,

że budzę obrzydzenie mamy, nienawidzę jej za to, nienawidzę siebie, nienawidzę, nienawidzę, nienawidzę. Atak hysterii nadchodzi. Wrzask wypełnia pokój. Mama wreszcie mnie dostrzega, ale w jej spojrzeniu maluje się zimny wstręt.

– Dorota – mówi tak głośno, że rozróżniam słowa pomimo nieartykułowanych wrzasków, które wydają. – Przestań natychmiast!

Działa. Milknę.

– Któregoś dnia nie wytrzymam i cię zaknebluję.

Poruszam ustami, tym razem niezdolna do wydania dźwięku. Mama się wstrząsa.

– To tylko słowa. Wiesz o tym, prawda?

Wychodzi. Zastanawiam się, czy zostawi mnie bez śniadania. Nigdy mnie nie karze głodem, w ogóle nie jestem karana, jednak sama wiem, że zasługuję na nauczkę. Nawet na ten knebel. Nie zrobiłaby tego, jest zbyt dobra, zbyt delikatna.

Drzwi się otwierają, a ona wnosi kilka kanapek i herbatę na tacy.

– Będziesz grzeczna? – pyta łagodnie i dotyka delikatnie mojego czoła. Już się nie gniewa.

Kiwam głową. Boże, jaka ona jest piękna! Włosy już są suche i układają się w złociste fale. Pociągnęła rzęsy ciemnym tuszem i teraz dopiero widać, jak bardzo są długie i gęste. Twarz ledwo dostrzegalnie pokryta pastelowym fluidem, wydaje się idealnie gładka. Ślad wiśniowej szminki podkreśla zmysłowość wydatnych warg.

Odblokowuje wózek i przysuwa go bliżej stołu, po czym znów zablokowuje.

– Książkę i laptop dosięgniesz bez problemu.

Ponownie kiwam głową i biorę kanapkę. Mama siada naprzeciwko i patrzy smutno, z miłością. Chciałabym to spojrzenie zatrzymać na wieki.

– Przepraszam – mówi z wysiłkiem.

Ona mnie przeprasza? To przecież ja zrobiłam awanturę. Jest dorosła, ma

prawo się zabawić, wrócić, kiedy jej się podoba. Ja dam sobie radę. Chciałabym powiedzieć to na głos, ale takie słowa nie przechodzą mi przez gardło.

– Kocham cię.

To musi wystarczyć.

Mama całuje mnie w policzek i kieruje się ku drzwiom.

– Ja też cię kocham – mówi, trzymając rękę na klamce.

Znika po drugiej stronie. Liczę stopnie, kiedy zbiega po schodach. Po chwili do uszu dobiega trzask frontowych drzwi i dźwięk odjeżdżającego samochodu. Jestem głodna. Wpycham kanapki do ust, nie dbając, żeby dokładnie gryźć. Jednym haustem wychylam szklankę herbaty i zamykam oczy. Nadal chcę jeść, ale za chwilę to uczucie zniknie. Trzeba tylko cierpliwie poczekać. Rzeczywiście, ciało się uspokaja. Ciało... nie lubię tego słowa.

Urodziłam się z króciutkimi rękoma i bez nóg, a raczej z dwoma kikutami stanowiącymi jedną dziesiątą ud normalnego człowieka, bez kolan, łydek i stóp. Kikuty zupełnie nieprzydatne do jakiegokolwiek funkcji, nawet protez nie można założyć, przynajmniej tak powiedziała babcia, gdy kiedyś ośmieliłam się zapytać. Potwór. Nie. To słowo brzmi dostojnie, groźnie. Do mnie raczej pasuje określenie, którego używała babcia, gdy jeszcze tu mieszkała. Potworek. Wywołuje uczucie podobne do wrażenia na widok karalucha.

Mieszkamy pod lasem, niedaleko Trójmiasta. Nikt nas nie odwiedza. Nikt o mnie nie wie. Zapytałam w zeszłym roku:

– Ujawnisz kiedyś moje istnienie?

Mama usiadła obok.

– Widzisz – powiedziała i ujęła moją dłoń – nie mogę tego zrobić. Myślisz, że mnie to nie boli? Wiem jednak, że tak jest najlepiej. Jesteś tu tylko ze mną i nikt cię nie skrzywdzi. Nikt tu nie wejdzie poza mną i babcią.

Odruchowo cofnęłam dłoń. Babcia, mistrzyni w krzywdzeniu, już się wyprowadziła.

– Wiem – powiedziała mama, ujmując znowu moją rękę. – Babcia też

zachowała się kilka razy nieładnie, ale to już minęło. Mamy siebie.

Wierzyłam jej.

Sięgam po *Światłość w sierpniu*, ale Lena mnie irytuje, a Joe Christmas wydaje się męczący w swojej ciemności. Odkładam książkę, włączam komputer. Mam zainstalowane gry, wszystkie wypróbowałam, ale mnie nudzą. Wiem, że istnieje internet, czytuję o nim w książkach, słyszę w radiu czy telewizji. Z mamą nie próbuję nawet o nim rozmawiać, bo i po co? Obojgu nam podwyższyłoby się tylko ciśnienie. Wykorzystuję laptop głównie do pisania krótkich opowiadań, których nie daję do przeczytania mamie. To mój prywatny świat, jedyny, do którego ona nie ma dostępu. Wiem, wiem, jest jeszcze dusza, umysł i tego rodzaju bzdety. To, co zapisane w komputerze, to jednak co innego, to niemal fizyczne. Gdyby chciała, mogłaby po prostu włączyć i sprawdzić, co wymyśliłam, ale prosiłam, żeby tego nie robiła. Szanuje to – albo po prostu niespecjalnie ją to interesuje. Tak czy inaczej, dotyka mojego laptopa tylko, kiedy sprząta. Nie mam ochoty dziś pisać. Zamykam klapę i wpatruję się w ścianę. Mama nieraz opowiadała mi historię mojego poczęcia i narodzin.

Mieszkały z babcią w Warszawie. Kiedy mama miała piętnaście lat, zakochała się bez pamięci. Miał na imię Andrzej i był w klasie maturalnej. Nie ma zdjęć, zniszczyła wszystkie. Wściekłość minęła, więc opisała mi go dokładnie. Wysoki, o gęstych ciemnoblonde włosach, szarych oczach i długich rękach. Szczupły, niemal chudy, ale silny. Najlepszy siatkarz w szkole. Andrzej. Mój ojciec.

Przez chwilę zapominam, gdzie jestem, kim jestem i wpatruję się w szare oczy. Serce spowalnia, czas się zatrzymuje. Otrząsam się. Fałszywka. Ta tkliwość jest takim samym oszustwem jak obraz przed oczyma. Na ile różnych sposobów może wyglądać wysoki, wysportowany facet o ciemnoblonde włosach?

Zauważył ją na jakiejś dyskotecie. Tańczył głównie z nią, a potem odprowadził do domu. Całowali się przed jej blokiem z godzinę. Kiedy o tym opowiada, błyszcza jej oczy. Ten sam blask widzę, kiedy mówi o facecie, przez którego wróciła wczoraj późno, przez którego dzisiaj też będę sama do północy, może dłużej. Serce bije mocno, jakby chciało wyrwać się z piersi.



Boli. Biorę kilka głębokich wdechów. Spokojnie, spokojnie. Babcia twierdzi, że to nerwoból. Jest lekarką. Ortopedą. Dobrym ortopedą, a przynajmniej uznanym, dlatego stać ją na miłe mieszkanie w Warszawie i utrzymywanie naszego domu. Mama, bibliotekarka, z pewnością nie zarabia dużo.

Już lepiej. Ciekawe, co by było, gdybym umarła? Gdzie pochowałaby mnie mama? W ogrodzie? W lesie, który otacza nasz dom? Gniłabym gdzieś po prostu, nie zdając sobie z tego sprawy. Chyba że mama nie ma racji i po śmierci jeszcze coś jest. Lubię tak czasem myśleć. W tym innym świecie mogłabym mieć normalne nogi, piękne ciało, mnóstwo przyjaciół. Nie przydarzałyby mi się ataki hysterii. Macham ręką, bagatelizując ten inny świat i wracam do starej historii.

Od tamtej dyskoteki rozpoczął się najpiękniejszy okres w życiu mamy. Codziennie po szkole spotykała się z Andrzejem. Oglądała wszystkie jego mecze, obściskiwiała się w kinie i na ławkach w parku. Przez długi czas to było wszystko. Zaprosił ją na studniówkę. Wszystkie dziewczyny szalały z zazdrości. Po skończonej imprezie powiedział, że ma wolną chatę, a ona bez chwili wahania zgodziła się z nim pójść. Myślała, że straci cnotę, ale wtedy to się jeszcze nie stało.

Zaproponował wyjazd pod namiot. Mama wiedziała, że babcia nigdy nie puściłaby jej z chłopakiem, więc powiedziała, że wyjeżdża z trzema przyjaciółkami, dziewczynami z tak zwanych porządných domów. Pojechali nad morze. Pogoda była piękna, okolica precudna. Super warunki na pierwsze w życiu pieprzenie. Mama nigdy tak nie mówi, tylko mnie czasem nachodzi skłonność do wulgaryzowania. Nie lubię szyderstwa i cynizmu, ale bywają moją obroną.

Po wakacjach powiedział, że jego rodzice przeprowadzają się na stałe do Australii, on musi jechać z nimi, ale wróci. Przyrzekł, że napisze.

Nigdy więcej go nie widziała. Czekala na list, który nie nadszedł. Może listy były przechwytywane na granicy? Nawet ona, szesnastolatka, nie była w stanie w to uwierzyć.

Andrzej. Mój ojciec. Boli. Znów biorę kilka głębokich wdechów.

Nie dostała okresu. Nie powiedziała o tym nikomu. Bała się. Była dzieckiem, jak często to podkreśla. Miała cztery lata mniej niż ja teraz.

Dziecko? Może i tak. Sama wydaję się sobie stara, cztery lata temu też wydawałam się sobie stara, odkąd pamiętam, czułam się staro. Zachorowała na gripę, dosyć poważnie. Babcia mówi, że z tego powodu jestem potworkiem. W każdym razie mama musiała spędzić niemal miesiąc w łóżku. Sporo później babcia zauważyła wzdęty brzuch. Przycisnęła i usłyszała całą historię. Chciała natychmiast zaprowadzić córkę na skrobankę, ale okazało się, że jest już za późno na bezpieczny zabieg. Z jakichś powodów aborcja mogła nawet zagrozić życiu mamy. Kiedy stało się jasne, że za chwilę ciąży nie da się ukryć, babcia załatwiła zwolnienie do końca roku, sprzedała mieszkanie w Warszawie i kupiła dom na skraju Sopotu. Po wakacjach uzyskała zgodę na uczenie mamy w domu. Zrobiła USG i wyszedł potwór... potworek, wstrętny, mały, budzący obrzydzenie potworek. Ja.

Nawet nie pomyślały, żeby oddać mnie do zakładu. Obie mają silne poczucie odpowiedzialności. Babcia przekonała mamę, że lepiej będzie, jeśli nikt nie dowie się o dziecku. Lepiej dla tego małego potworka, bo świat przygniótłby go okrucieństwem. Nikt nigdy nie powiedział mi, że umarłyby ze wstydu, gdyby ktoś zobaczył, co mają w rodzinie. Sama to wymyśliłam, lecz przypuszczam, że to bliższe prawdy. W każdym razie babcia odebrała poród w domu, zupełnie sama. Urodziłam się pod koniec siódmego miesiąca. Byłam wcześniakiem, ale przeżyłam bez zaplecza szpitalnego. Nigdzie nie zgłosili moich narodzin. Formalnie nie istnieję.

W naszym domu jest podjazd dla wózków z parteru na piętro. Nigdy sama z niego nie korzystam, bo w moim pokoju pozostał próg, którego nie potrafię sforsować. Próbowałam kilkakrotnie. Ostatnio rozmawiałam o tym nawet z mamą i obiecała, że coś z tym zrobi, kiedy będzie miała trochę luźnych pieniędzy. Inicjatorką i fundatorką wszystkich zmian w domu była babcia. Przypuszczam, że ten podjazd wybudowała, żeby jej było łatwiej, próg zostawiła, żeby mnie było trudniej.

Minęła północ. Mamy wciąż nie ma. Siedzę po ciemku, chociaż wystarczyłoby wyciągnąć rękę, żeby zapalić lampkę. Nie chcę tego robić. W ciemności łatwiej wyobrazić sobie, że jestem kimś zupełnie innym. Zdrową dziewczyną mającą problemy jak te z seriali, które czasami oglądam.

Wróciła. Wchodzi do mojego pokoju i pstryka kontakt na ścianie. Nie przyszło jej widocznie do głowy, że już śpię.

– Było super – mówi rozmarzonym głosem, nie zwracając uwagi, że zaciskam oczy, bo nagle ostre światło mnie razi. – Byliśmy w cudownej restauracji, a potem poszliśmy do jego mieszkania. Nastawił muzykę. Tańczyliśmy i całowaliśmy się, tylko całowaliśmy. Jest taki delikatny i tak na mnie działa. Może – głos mamy brzmi jeszcze większym rozmarzeniem – może zaproszę go tutaj?

Nie mogę zapanować nad dreszczami.

– A – zęby latają tak, że sama niemal nie rozróżniam słów – co zrobisz ze mną?

Ona jednak mnie rozumie.

– Coś się wymyśli – odpowiada wymijająco. – Dziś już nie będziesz się myć – dodaje. – Chcesz siusiu?

Pewnie, że chcę. Cały dzień nie robiłam. Mam pampersa, ale załatwianie się w pieluchę kojarzy mi się z upadkiem na samo dno. Tak jakbym nie była już na samym dnie.

– Oczywiście, że nie zaproszę go tutaj – mówi mama uspokajająco w łazience.

# Ola

To już mój przystanek. Jak zwykle utykając, wysiadam z tramwaju. Idę do biblioteki, w której od przeszło pół roku spędzam jedną trzecią mojego życia. Dobrze, że to się trafiło. Kończąc polonistykę, nie ma co liczyć na cud. Jedynymi możliwościami były praca w szkole, pozostanie w sekretariacie firmy prawniczej, gdzie harowałam wieczorami, a czasem nocami od początku studiów, albo właśnie biblioteka. Szkoła odpadała – bachorów nie cierpię, agencja prawna nie chciała dać podwyżki, a wykorzystywali człowieka, jak tylko mogli. Tutaj dostaję mniej więcej tyle, ile zarabiałam tam, ale przynajmniej robota jest spokojna. Pewnie, że chwilami bywa nudno, niewiele się dzieje, ale zupełnie mi to nie przeszkadza. Jeśli będę miała ochotę na silne wrażenia, pogadam ze starymi kumplami. Nie urwałam kontaktów, niby po co? Mogą się jeszcze przydać.

Przekraczam próg. Kierowniczką już jest. Śmiesznie, że mówimy sobie po imieniu. Można powiedzieć, że awansowałam. Gdyby jeszcze szła za tym podwyżka płacy, byłabym zachwycona.

- Dzień dobry. – Nie będę mówiła „cześć”.
- Cześć, Olu. – Kierowniczką uśmiecha się do mnie.

Szczerze mówiąc, mogłaby to sobie darować. Nie jestem facetem, żeby mnie czarowała. No dobra, nauczyłam się być ze sobą szczerą. Jestem zazdrosna. Od zawsze marzę o takim wyglądzie. Blondynka, wysoka, szczupła, falujące włosy, wielkie niebieskie oczy. No i biust. Przypuszczam, że już dość dawno przekroczyła trzydziestkę, może nawet zbliża się do czterdziestki, ale nadal udaje małą. Miniówki, obcisłe sweterki, opinające dzinsy. Czasem robi mi się niedobrze. Nie wiem, dlaczego akurat mnie sobie upatrzyła, równie dobrze mogłaby skierować niewyżyty instynkt macierzyński na Ankę, która przecież jest w moim wieku. Oj, byłaby wściekła za ten instynkt macierzyński. Od sylwestra powtórzyła kilka razy, że chciałaby mieć siostrę taką jak ja. Nie ma rodzeństwa, biedaczka, a jej mama mieszka w Warszawie. Została sama jak palec w ślicznym domku w

lesie. Zainteresowałam się, co mamusia robi, bo nie sądzę, żeby szefową stać było na dom, a chociażby jego utrzymanie z pensji bibliotekarskiej. Chyba że ma sponsorów. Zdarza się, że przychodzą po nią faceci. Obstawiam jednak, że nie bierze od nich kasy, wygląda na porządną dziewczynę (oj, lubi, kiedy mówi się na nią dziewczyna!), która skubie tylko mamusię. Dowiedziałam się, że rodzicielka jest uznanym ortopedą, ma własną praktykę i ustawiają się do niej długie kolejki. Wszystko jasne.

Namiastka miłości trwa nadal. Ostatnio Beata powiedziała, że zaczyna się zakochiwać. Opowiada mi wiele i mamy się kiedyś spotkać po pracy.

Odkładałam torbę w pokoju na zapleczu i idę do łazienki się przejrzeć. Nie jest tak źle. Włosy mam wprawdzie brązowe, nie blond, proste, ale gęste i całkiem dobrze się układają. Może nie jestem tak wysoka, jak bym chciała, ale sto sześćdziesiąt centymetrów kobiecie wystarczy. Szczupła, biust też nie najgorszy, chociaż mógłby być numer większy. Zapewne nikt nie nazwie mnie piękną, ale przynajmniej cerę mam świeżą i nie muszę stosować tyle pudru co kierowniczką. Jestem młoda. Nagle ogarnia mnie niezrozumiała radość i mam ochotę to wykrzyknąć. Za moment jednak euforia opada. Co z tego? Kaleka pozostanie kaleką.

Wracam na główną salę, uśmiecham się do kierowniczkę i wysłuchuję jej zwierzeń. W pewnym sensie mi pochlebia, że wybrała mnie na powiernicę. Mam wrażenie, że ogólnie jest dość skryta. Mnie też wszystkiego nie mówi. Wyczuwam w niej tajemnicę, jakoś mnie to pociąga. Może dlatego, że ja też mam niejednego sekret? Przychodzi czytelnik, więc przerywamy. Kiedy opuszcza salę, zabieram się za katalogowanie, a kierowniczką również znajduje sobie jakąś robotę. Czytelników dziś nie brakuje. Nie wracamy do intymnej rozmowy.

W domu biorę długą, gorącą kąpiel. Zastanawiam się nad Beatą. No proszę, nawet w myślach nazywam ją po imieniu. Zgrywa głupią nastolatkę, lecz to wyżyny aktorstwa. W jej oczach widzę niekiedy cierpienie uwięzionego zwierzęcia. Sama miewałam takie oczy, więc wiem. Nie jest mi jej żal, co to, to nie, czasami jednak mam ochotę się dowiedzieć, co się za tym kryje. Tylko po to, żeby zaspokoić ciekawość. Woda jest przyjemnie ciepła, jest mi dobrze, powoli odpływam. Wolę myśleć o jakiejś Beacie niż pogrążyć się we własnych wspomnieniach. A zresztą, jak mawiają różni

mądrzy ludzie, mam dopiero dwadzieścia cztery lata i całe życie przed sobą.

Wychodzę z wanny i dzwonię do Krzycha. To mój najlepszy kumpel z domu dziecka.

– Cześć, kotku. – Często mnie tak wita, chociaż nic między nami nie ma.

Gwoli ścisłości, straciłam z nim cnotę, ale to było tak dawno, że oboje mogliśmy już o tym zapomnieć. Miałam czternaście lat.

– Cześć, Krzychu. Pójdziemy na piwo?

– Mam dziś wolny wieczór, ale dopiero za dwie godziny. Robota!

– Dobra, wpadnij po mnie.

Wyłączam się.

Dobrze wiem, co oznacza robota. Krzychu zajmuje się drobnymi włamaniami, ewentualnie kradzieżą samochodów. Nie interesuję się tym, to jego sprawa. Twierdzi, że nie powinnam zbyt wiele wiedzieć. Dla mojego własnego dobra. W przypadku każdego innego faceta pomyślałabym, że skurwysynowi chodzi o to, żebym nie sypnęła. Wiem jednak, że Krzychu naprawdę troszczy się o moje bezpieczeństwo.

Jesteśmy w jednym wieku. Skończyliśmy to samo liceum, byliśmy w jednej klasie. Początkowo Krzychu mówił, że chce studiować politologię, później wciągnęły go inne numery. Przestał się uczyć, ale nie miał problemów ze zdaniem matury. Jest ponadprzeciętnie zdolny. Po liceum wypieprzyli go z domu dziecka. Zatrudnił się w sklepie, chyba dla zmyłki. Przepracował tam jakiś czas, oszedł, twierdzi, że na własne życzenie, i nawet mu wierzę. Nie znam nikogo, kto nie lubiłby Krzycha. Jeśli jakikolwiek szef by go wywalił, byłby okazem, który należałoby wstawić do gabloty. Później Krzychu zatrudnił się kilka razy; a to na budowie, a to w restauracji, nigdzie jednak nie zagrzał miejsca. Co innego przynosi mu dochody.

Włączam komputer, sprawdzam pocztę i Facebooka. To rutyna, chociaż nie cierpię internetu. Rzadko dostaję maile, natomiast niedobrze mi się robi od rzeczy, które ludzie umieszczają na fejsie. O, na przykład Kaśka, moja koleżanka ze studiów. „Zakochałam się”. Zdjęcie jej i faceta na tle

Koloseum. Dwadzieścia pięć reakcji. „Lubię to” i „super”. Klikam i przez chwilę jest dwadzieścia sześć, a potem z satysfakcją naciskam „nie lubię”. Albo Aneta z mojej szkoły, była rok niżej. Nigdy nie miałyśmy zbyt zażyłych stosunków, ot, cześć w korytarzu i to wszystko, ale do znajomych mnie zaprosiła. „Nie spałam kolejną noc. Nie chcę już być z mężem”. Piszę komentarz: „Wypierdziel go więc. Po co nam to opowiadasz?”. Wcale się nie zdziwię, jeśli usunie mnie ze znajomych. Ktoś udostępnił zdjęcie użytkownika Jebię Sobie, pod nim napis: „Zastąpcie w dowolnym tytule filmu jedno słowo słowem cipa. Napiszcie w komentarzach, co wyszło”. Zastanawiam się, dlaczego tu zaglądam.

Muszę się rozluźnić, więc oglądam jakąś szmirę online. Film, mimo że idiotyczny, wciąga mnie i czas do przyjścia Krzycha mija szybko. Kiedy słyszę dzwonek, wyłączam komputer. Wątpię, czy kiedyś obejrzę to arcydzieło do końca.

Krzychu jest ubrany z elegancką nonszalancją. Czarne dżinsy, odpięta puchowa kurtka, a pod nią jedynie granatowy podkoszulek. Chłody mu widać niestraszne. Przytula mnie krótko.

– Cześć, Adonisie. – Uwalniam się z jego objęć i przyglądam badawczo, jakbym pierwszy raz go zobaczyła. Naprawdę jest przystojny; wysoki, ciemnowłosy, a gdy się uśmiecha, robią mu się urocze dołki w policzkach. U nas w bidulu żadna dziewczyna mu się nie oparła. Uderza mnie pewna myśl, jednocześnie atrakcyjna i odpychająca.

– Czy kobiety ci płacą?

Nie obraża się, patrzy z drwiną. I tak wiem, że nie jest żigolakiem, zapytałam, żeby nie powiedzieć tego, co naprawdę przyszło mi do głowy.

– Zastanawiasz się nad kupnem mojego ciała?

Kręcę głową.

– Nie stać mnie. – Wybucham śmiechem.

– Zawsze możesz dostać coś za darmo.

Oboje wiemy, że żartuje. Nie pójdę z nim do łóżka. Zakładam kurtkę.

– Chodźmy już – mówię tonem, który nie pozostawia wątpliwości, że

odechciało mi się żartów.

Idziemy do pubu w pobliżu. Przypominam sobie, że nie jadłam dziś obiadu, Krzychu twierdzi, że zawsze jest głodny, więc oprócz piwa zamawiamy chleb ze smalcem. Rzucam się, jakbym głodowała od tygodnia. Krzychu pociąga łyk piwa.

– Jak praca bibliotekarki?

Spoglądam podejrzliwie, sprawdzam, czy ze mnie nie szydzi. Chyba nie. Wiem, że uwielbia książki, zarówno beletrystykę, jak i literaturę faktu, pochłania wszystko. Ma rozległą wiedzę, chociaż nieuporządkowaną, chaotyczną.

– Dobrze – mówię z pełnymi ustami. Przełykam i dodaję: – Spokojnie.

– A kierowniczką?

Wspominałam mu o Beacie i jej siostrzano-matczynym uczuciu.

– Spoko. – Uśmiecham się nieco krzywo. – Wiesz, co pomyślałam, kiedy przyszedłeś? – Patrzy wyczekująco, wreszcie odgryza kawałek chleba. – Pasowalibyście do siebie.

Unosi brwi.

– Serio? Sądziłem, że jest sporo starsza.

No, jest. Myślę, że różnica wieku dodawałaby pikanterii. Nie mam ochoty drażnić tematu.

– Jak tam Monika? – pytam.

Monika to ostatnia zdobycz Krzycha. Nadziana mężatka z dwójką dzieci. Też starsza, chociaż pewnie nie tyle co Beata. Krzychu poznał ją na molo, zaczęli gadać. Samotna, mąż dużo wyjeżdża.

– Zaczyna mnie to męczyć. – Krzychu się krzywi. – Ostatnio powiedziała, że chrzani pieniądze, chce się rozwieść i żyć w zgodzie ze sobą.

Można się było tego spodziewać. W zgodzie ze sobą oznacza razem z Krzychem. Głupia dziwka się zakochała.

– Jakaś nowa pojawiła się na horyzoncie?



Piję chciwie. Zawsze lubiłam piwo. To trunek, który do mnie pasuje. Prosty, niewy rafinowany. Beata z pewnością woli drogie wino.

– Czy jednorazowe wysoki cię interesują? – Uśmiecha się złośliwie. – Ostatnio było parę takich. Jakoś odeszła mi ochota na długotrwałe związki. Jak najszybciej muszę wyplątać się z tej idiotycznej sytuacji z Moniką.

Uśmiecham się szeroko, niemal triumfalnie, i zaczynam ze szczegółami opowiadać o swojej pracy i Beacie. Wiem, że przynudzam, ale nic poza tym nie dzieje się w moim życiu, a Krzychu wygląda, jakby szalenie go to interesowało. Zadaje nawet pytania, komentuje z zaczepną złośliwością. Mam nadzieję, że nie złapią go przy jakimś włamaniu, ale jeśli kiedykolwiek pójdzie siedzieć, z pewnością będę go odwiedzała. Pewnie nie tylko ja.

– Gdybyś był w więzieniu – mówię przyciszonym głosem – z pewnością tabuny pańienek zabijałyby się o widzenie z tobą.

Patrzy na mnie ostrzej niż zazwyczaj. Zapewne ma mi za złe takie gadanie, zupełnie jakby wszędzie czaili się szpiedzy gotowi nas podsłuchiwać. Chyba dociera do niego, że w tym gwarze nawet najlepszy szpieg nas nie usłyszy, bo jego twarz się rozluźnia, spojrzenie łagodnieje.

– A ty? Odwiedziłabyś mnie?

– Może raz. – Wypiłam jedno piwo, a już mi się kręci w głowie. – Pod warunkiem że nie musiałabym wcześniej boksować się z żadną laską.

Uśmiecha się.

– Jeszcze po piwie?

Nie powinnam. Przy moim wzroście i wadze za chwilę będę pijana, a rano kac murowany. Mimo to kiwam głową. Wlewam w siebie zawartość następnego kufła i chyba rzeczywiście jestem pijana, ale czuję się świetnie. Żadnych żołądkowych sensacji. Mam nadzieję, że to nie zmieni się w noc.

– Kupiłem ci kartę na wyjazd do Szczyrku. Mówiłaś, że na twojej kwaterze nie ma wi-fi.

Idziemy przez mroźną noc. Spacer powinien nieco zneutralizować te dwa piwa.

– Jaką kartę? – pytam mało przytomnie.

– Modem. Ludzie kombinują w internecie. To kosztowało czterdzieści kilka złotych. Ważne na rok, potem można przedłużyć.

Za tydzień wyjeżdżam. Sama. Tylko ja i deska. Mam zamiar się zregenerować. Wi-fi tam nie ma, a ja nie wykupiłam pakietu. Minimalizuję koszty. Nawet nie mam smartfona. Odbieram modem z jego ręki i przez chwilę obracam w palcach.

– Dzięki. Rozumiem, że mam pisać do ciebie maile.

– No – potwierdza.

Wkładam do torebki. Niech będzie, napiszę do niego raz. Może dwa.

Odprowadza mnie pod drzwi.

– Może wejść?

To nic nie znaczy. Gdybym go nawet zaprosiła, nie dobierałby się do mnie.

– O nie. Muszę się porządnie wyspać.

– No to pa.

– Pa. Fajnie, że przyszedłeś.

Zaryglowuję drzwi. Siadam do komputera, sprawdzam modem. Działa. Uśmiecham się i wkładam go do wewnętrznej kieszeni torebki. Zasuвам. W ten sposób nie zgubię i nie zapomnę wziąć.

Myję szybko twarz, zęby i wskakuję pod kołdrę.

# Dorota

Ktoś idzie po schodach, stąpa twardo i ciężko. Wiem, że to sen, wiem, co będzie dalej, ale się boję. Kulę się, jakbym miała nadzieję, że dzięki temu nie zostanę zauważona. Ten ktoś zatrzymuje się pod moimi drzwiami. Chcę krzyczeć, lecz gardło mam ściśnięte.

Naciska na klamkę i drzwi się otwierają. Jest tak ciemno, że widzę tylko zarys sylwetki, ale wiem, że to on. Jest tak ogromny, że bez problemu chwytam mnie jedną ręką. Nie będę patrzyła w jego twarz.

– Spójrz na mnie – słyszę chrapliwy głos.

Wbrew sobie patrzę. Zamiast oczu ma dwa puste oczodoły, niby czarne, niby pokryte oślizgłą zielonością. Wiem jednak, że mnie widzi i jego bezzębne usta rozchylają się w odrażającym uśmiechu. Zginiły oddech owiewa mi twarz. Wychodzimy z domu.

Wciąż trzyma mnie na rękach, wciąż patrzę w jego oczy bez oczu, wciąż cuchnący oddech wywołuje skurcze żołądka. Z moich ust nie wydobywa się nadal żaden dźwięk.

– Zobacz, jakie posłanie przygotowała dla ciebie mamusia – mówi ochryple.

Posłusznie odwracam głowę i widzę dół w czarnej ziemi. Delikatnie kładzie mnie w nim, jak czuły ojciec układa dziecko w łóżeczku.

– Aaaaa, kotki dwa – słyszę początek kołysanki i czuję, jak sypie się na mnie ziemia.

Nic nie zostało mi oszczędzone, nawet śmieszność, najgorsza drwina. Można zrywać boki ze śmiechu, dziewczyna-potworek w czarnym dole, a stwór z pustymi oczodołami śpiewa piosenkę dla niemowląt. Ziemia sypie się do oczu, wypełnia otwarte usta, przedostaje się do gardła i płuc. Duszę się.

Otwieram oczy. Mogę oddychać. Nie pamiętam, gdzie jestem, kim jestem. Krzyczę, jakby tylko to mi pozostało.

Mama wbiega do pokoju i chwyta mnie w objęcia.

– Już dobrze, już dobrze, już dobrze – powtarza.

Płaczę bezgłośnie.

– Miałam ten sam sen.

– Wiem. Jestem przy tobie. Już dobrze.

– Mamo – szepczę, przytulając ją mocniej.

– Śpij już, Dorotko – mówi i odsuwa mnie delikatnie. – Ja też muszę spać.

Wychodzi, a ja opadam na poduszkę. Nie powiedziałam o najgorszej części snu, o tym, że upiór układał mnie w dole przygotowanym przez nią. Nie, najgorsze było to, że uwierzyłam w jego słowa. Nie chcę zamykać oczu, boję się snów, ale organizm nie daje się oszukać.

– Dorotka. – Mama potrząsa mną delikatnie. – Czas wstawać.

– Mamusiu – mówię błagalnie. – Mogę się dzisiaj wykąpać?

Po śnie z udziałem prywatnego upiora czuję się zawsze bardzo brudna.

Mama się uśmiecha.

– Dobrze, kochanie. Przecież mówiłam, że dziś się wykąpiesz, pamiętasz?

Zawozi mnie do łazienki i sadza w wannie.

– Pospiesz się. Pójdę przygotować śniadanie.

– Czy mogłabyś podać mi jeszcze szampon? – proszę.

Mama wciąż się uśmiecha. Stawia butelkę z szamponem na brzegu wanny i wychodzi z łazienki.

Spieszę się. Nie dam rady sięgnąć po szczoteczkę do zębów, a w ustach czuję zgniliznę.

Mama wraca i pomaga mi się wytrzeć. Nakłada pastę na szczoteczkę, podaje mi. Nie muszę prosić. Staram się być szybka.

Śniadanie czeka w pokoju. Pachnie jajecznicą i kawą z mlekiem.

– Muszę już lecieć – mówi mama, gładząc mnie po mokrych włosach. – Jeśli obiecasz, że będziesz grzeczna, nie zablokuję dziś wózka.

– Obiecuję – mówię schrypniętym głosem i wyciągam ręce, żeby ją przytulić.

Dlaczego jest tak miła? Boję się tego, co może nastąpić. Zamykam oczy i przytulam ją mocniej, wchłaniając świeży zapach perfum.

– Pa, kochanie.

Odsuwa mnie delikatnie i wychodzi z pokoju. Szybko, zbyt szybko.

Zabieram się za jajecnicę. Jem zachłannie, nie zastanawiając się, że za chwilę skończę i nie będzie już niczego, co mogłoby zaspokoić mój głód, aż do... kiedy wróci mama? Powiedziała, że będzie wcześniej, ale czy mogę jej wierzyć?

Zaliczyła eksternistycznie szkołę średnią i dostała się na bibliotekoznawstwo. Opieką nade mną dzieliła się z babcią. Obie twierdzą, że zostawiały mnie samą tylko na niedługi czas, dopóki nie skończyłam czterech lat. Nigdy nie miałam odwagi zapytać, co oznacza „niedługi czas”: godzinę, dwie, trzy, może pięć, może kilkanaście? Wiem i tak, że nie otrzymałabym odpowiedzi. Nie buntuję się przeciwko decyzji, żeby trzymać moje istnienie w tajemnicy. Wiem, że świat na zewnątrz jest okrutny. To nieprawda. Chciałabym wypowiedzieć jakieś słowa, które usłyszałyby ktoś oprócz mamy czy babci, zobaczyć las, łąki, ulice. Morze. Mieszkam tak blisko, a znam je tylko z telewizji. Nie wiem, czy rzeczywiście chcę tego. Jest we mnie lęk, który uniemożliwia nawet określenie własnych marzeń. Czuję tępy ból w klatce. Gdybym naprawdę była chora, może mama więcej przebywałaby w domu.

Można powiedzieć, że jestem dość wykształcona. Biorąc pod uwagę to, co słyszałam w telewizji, przypuszczam, że moja wiedza ogólna jest lepsza niż przeciętnego maturzysty. Mama przynosiła mi nawet arkusze maturalne i szły całkiem nieźle. Szczególnie z polskiego i angielskiego. Matkę podstawową zaliczyłam na siedemdziesiąt procent tylko dzięki sobie. Mama dawała mi książki, ale nie sprawdzała w tej dziedzinie postępów. Uczyła mnie tego, co uznała za stosowne, a więc jedynie przedmiotów humanistycznych. Przez pierwsze cztery lata nauki w edukacji brała też

udział babcia, ale później opuściła nasz dom. Mama była wcieleniem słodyczy i łagodności, lecz nie nazwałabym jej dobrą nauczycielką, babcia z kolei przekazywała wiedzę w sposób ostry, lecz skuteczny. Mama ma takie samo zdanie o niej jako o pedagogu. Przypuszczam jednak, że z własną córką babcia postępowała trochę inaczej.

Pamiętam, jak uczyła mnie tabliczki mnożenia. Zawsze na lekcjach trzymała w ręku długą linijkę.

– Pięć razy pięć? – Jej zimne błękitne oczy poganiały do odpowiedzi.

– Dwadzieścia pięć – odpowiadałam niezwłocznie.

– Siedem razy sześć?

To było coś, co – nie wiedzieć czemu – sprawiało mi trudność i wciąż zaczynałam się na tym działaniu. Oczy babci robiły się coraz zimniejsze, a ręka, w której trzymała linijkę, lekko się unosiła.

– Czterdzieści cztery. – Byłam niemal pewna, że nie jest to prawidłowa odpowiedź, więc uderzenie po palcach wcale mnie nie zaskoczyło.

– Jeszcze raz. – Głos babci był spokojny, lecz zimne oczy lekko się zwięzały.

– Czterdzieści dwa – poprawiłam się.

Kiwała głową i zadawała następne pytanie. Uderzenia linijką bolały, ale było coś, co bolało bardziej.

– Znowu nie wiesz. Jesteś potworkiem nie tylko fizycznie, jesteś skretyniałą idiotką. – Jej głos nigdy się nie zmieniał, wszystkie słowa wypowiadała z niezmaconym spokojem. – No, dalej, próbuj jeszcze raz – Sześć razy siedem?

Nienawidzę cię, nienawidzę, nienawidzę.

– Czyżby odjęło ci też mowę? – Uderzenie po palcach, silniejsze niż zwykle.

– Czterdzieści dwa – powiedziałam, nie patrząc na nią. Bałam się, że gdybym spojrzała, wybuchłabym płaczem, a płkanie przy niej oznaczało porażkę. W grze, którą prowadziłyśmy, rzadko byłam zwyciężcą, ale nie

chciałam być sprzątnięta z placu boju.

Teraz myślę, że miała jakiś udział w tym, że chciałam dalej uczyć się matematyki. Pokazać, że potrafię. Na pewno nie mamie, na której moje wyniki w tej dziedzinie nie robiły wrażenia. Chciałam zaimponować babci. Może nawet trochę mi się udało. Uśmiechnęła się, gdy na święta pokazałam jej swoje wyniki z „matury”. Później omówiła nawet ze mną błędy.

Ortografii też nauczyła mnie dobrze.

– Jak się pisze „zasuwka”?

– „U” zwykłe i „w”. – Kiwała głową i nawet uśmiechała się lekko z aprobatą, ale błękitne oczy pozostawały lodowate jak Bałtyk w lutym. Tak go przynajmniej sobie wyobrażam.

– Dobrze, mały potworek odziedziczył w genach nieco zdolności. – Słowo „potworek” przestało już robić na mnie wrażenie, a komplement sprawiał mi przyjemność.

Nie mieszka z nami. Kiedy przyjeżdża, już nie nazywa mnie potworkiem. Wystarczyło jej trochę luzu, żeby stać się dobrą babcią. Omawianie błędów w zadaniach z matmy odbywało się w przyjaznej atmosferze.

Czasem żałuję, że się wyprowadziła. Chociażby dlatego, że nie mogę porównać z nią mamy, docenić dobroci. Muszę cofać się w czasie, przypominać sobie lekcje z linijką. Niekiedy kompletnie mi odbija i zastanawiam się, czy jeśli będę złą córką, mama się mnie pozbędzie. Kilka dni po ostatnim ataku hysterii przyszedł lęk, że chce mnie otruć. Przez cały dzień odmawiałam jedzenia. W nocy pomyślałam, że trucizna nie jest jedynym sposobem pozbycia się zawadzającej córki, więc nie zmrużyłam oka, na wypadek gdyby pojawiła się z nożem. Chciałam walczyć. Śmieszne. Wcale nie dlatego, że nie miałabym szans. Mama nigdy by tego nie zrobiła. Wiem to, ale niekiedy ulegam paranoi. Sen z ostatniej nocy też jest tego przykładem.

Napiszę dziś horror o tytule *Mój prywatny upiór*. Potwór o pustych oczodołach będzie dręczył piękną dziewczynę. W zakończeniu się okaże, że to matka bohaterki, a nie żaden demon. Nastolatka – siedemnastolatka powiedzmy – nie może tego wytrzymać psychicznie, więc wymyśla sobie

upiora. To będzie super opowiadanie.



# Ola

Śni mi się mama. Budzę się z krzykiem. Wokół mnie panuje nieprzenikniona ciemność. Po omacku szukam komórki. Jest piąta. Dopiero. Mogłabym spać jeszcze półtorej godziny, ale boję się zamknąć oczy. Lepiej spojrzeć na to z innej strony. Jest piąta, a więc mogę wstać i rozpocząć dzień. Żołądek nie nawala, głowa nieco łupie. Nieźle. Taki kac do przeżycia. Wypijam kawę, biorę wczorajszą gazetę, do której nawet nie zajrzałam, a kupiłam chyba z przyzwyczajenia. Nudy, ale jakoś zabijam czas. Wychodzę o normalnej porze.

Beata wita mnie uśmiechem i kumpłowskim „cześć”, ale znowu w jej oczach widzę cierpienie zwierzęcia szamoczącego się w klatce. Ej, czy ja przypadkiem jej nie ubarwiam, nie staram się urozmaicić monotonnej pracy w bibliotece? Ależ ona ma oczy! Ogromne, błękitne. Założę się, że facet, z którym się teraz spotyka, uwielbia się w nie wpatrywać. Aha, akurat. Faceci lubią inne rzeczy.

– Pójdziemy dziś po pracy na kawę?

Wyczuwam napięcie. Ciekawe, dlaczego jej na tym zależy? Przez chwilę milczę, wcale nie po to, żeby potrzymać ją w niepewności. Nie jestem przekonana, czy chcę zacieśniać stosunki. Jest w tej kobiecie coś, czego nie cierpię, a co znam bardzo dobrze. Należałoby raczej powiedzieć „znałam”. Kiedyś. Nie ma co się oszukiwać, właśnie dlatego mnie pociąga.

– Chętnie, nie mam innych planów.

Uśmiecham się nieco krzywo, lecz ona bierze to za dobrą monetę.

– Super.

Chce powiedzieć coś jeszcze, ale wchodzi czytelniczka. Beata zagaduje, uznaję więc, że mogę wyjść na chwilę. Organizm jednak nie zniósł tej porcji piwa, którą wlałam w siebie wczoraj. Dopadają mnie opóźnione, lecz potwornie gwałtowne skurcze żołądka. Nie wymiotuję jednak. Wszystko się uspokaja, kiedy dopadam do kabiny. No, prawie wszystko. Trzęsę się jak

galareta. Z pewnością przedstawiam groteskowy widok. Muszę tu jakiś czas zostać, nie mogę w takim stanie wrócić na salę. Opiekuńcza kierowniczką spyta, co mi dolega. Uważam się za specjalistkę od kłamstw, ale w tym momencie nie byłabym w stanie wymyślić żadnego, a przecież nie powiem: „Przypominasz mi moją mamę”. Taka niestety jest prawda. Dlatego tak mnie fascynuje i tak bardzo odpycha.

Urodziłam się w rodzinie patologicznej. Mama miała szesnaście lat, kiedy przyszłam na świat, i nikomu nie udało się od niej wydobyć, kto zmagistrował jej dzieciaka. Podejrzewam, że sama nie była pewna. Skrobanka chyba nie była brana pod uwagę, do lekarzy raczej się u nas nie chodziło, w grę mogłoby wchodzić samodzielne spędzenie płodu. Nigdy o tym nie słyszałam, a moich uczuć nie oszczędzano, więc prawdopodobnie zarodkowi, którym byłam, nie zagrażało niebezpieczeństwo.

Mama była ładna, przypominała obrazki aniołków, które pokazywała mi babcia. Babcia też mówiła mi o panu Bogu, niebie i piekle. Obydwie zajmowały się mną na swój sposób. Dawały mi jeść, kazały chodzić do szkoły. Wprawdzie nie zafundowały ortopedy, kiedy stało się jasne, że prawa noga rośnie znacznie wolniej niż lewa, ale nie winię ich za to. W świątym domu dziecka o tym pomyślano, ale nic nie pomogło. Do jasnej cholery! Nawet w myślach nie będę klęła inaczej, odzwyczajam się. Prawda jest taka, że mam pretensję do pieprzonej rodzinki i do popierdolonego bidula. Nie dało się uniknąć tego słowa. Wszyscy razem rozwalili mi życie. Babcia mówiła, że moje końskie kopyto i kulawy chód to kara za grzechy mamy, mama wrzeszczała, żeby się zamknęła i że to tak po prostu czasem wychodzi. Po prostu między czyimiś nogami wychodzi kulas. To dopowiedziałam po którymś razie, a mama uderzyła mnie w twarz. Była trochę pijana, potem przeproszała. Często zdarzało jej się mnie przeproszać. Kulas. Jedna noga znacznie krótsza, a stopa naprawdę przypominająca końskie kopyto. Szatańskie. Obrazki z diabłem też oglądałam, więc wiem. Z tą nogą może nie byłoby tak źle, gdyby nie wypadek. Tak przynajmniej powiedział lekarz, gdy byłam już w bidulu. Stopa szpotawa, może nadawałaby się do operacji. Kiedy miałam pięć lat, ktoś mnie popchnął na lodzie. Głupie podwórkowe żarty. Wpadłam na jakiś murek i złamałam piszczel. Z przemieszczeniem. Tamten lekarz stwierdził, że kość nie została złożona prawidłowo i to mogło pogłębić wadę. Nie tylko różnica w długości nóg się powiększyła, ale kopyto

zrobiło się naprawdę końskie. Wyraził to innymi słowami oczywiście. Operacji nie polecał.

Mama nie miała żadnych kwalifikacji. Chodziła do liceum, co powtarzała wielokrotnie, ale wypieprzyli ją, kiedy była w ciąży. Przyznaję, nigdy nie powiedziała, że to moja wina. Wściekała się na dulszczyznę – jej słowa. Niekiedy usiłowała zgrywać kobietę kulturalną i gadała o lekturach, które liznęła w szkole. No, później czytywała jakieś książki. Do końca. Najbardziej uwielbiała horrory, a królem pisarzy, nomen omen, był dla niej King. Uważała, że szatan maczał palce w moim poczęciu. Coś takiego powiedziała, kiedy wypiła nieco więcej niż zwykle. Chociaż na mój rozum musiał zanurzyć w niej coś innego niż palce. Córka szatana. To brzmi dumnie. Dużo lepiej niż kulas. Kopyta szatańskiego też nie musiałabym się wstydzić.

Starczy tych idiotycznych wspomnień. Zbyt długo jestem w toalecie. Patrę na siebie w lustrze; twarz może trochę blada, ale nie wygląda chorobliwie. Przeczesałem włosy i wracam.

Dzisiaj duży ruch, nie ma czasu na ploty. Nie wymigam się jednak, jesteśmy umówione. No i fajnie. Może uda mi się jej trochę przysrać pod pozorem siostrzanej troski. Miałam nie używać takich słów nawet w myślach, ale one teraz same się nasuwają. Pasują, do wszystkich diabłów! Do wszystkich diabłów, jest całkiem niezłe. Szczególnie do tego, którego jestem córką. Pomarzyć zawsze można. Pytałam kiedyś mamę, kto tak naprawdę jest moim tatą, ale ona popatrzyła na mnie z wściekłością i powiedziała, żebym nigdy jej nie przypominała. Może jednak wiedziała. Może nie zawsze była dziwką. Nienawidzę tego słowa. Wszystkich tego rodzaju słów nienawidzę, niezależnie od stopnia wulgarności, jaki im się przypisuje. Dziwka, prostytutka, kurwa, kobieta lekkich obyczajów. Nawet mocno archaiczne jak nierządnicza czy kurtyzana, wywołują drgawki. Jezu Chryste! Szkoda, że to tylko pusty okrzyk. Chciałabym się do czegoś czy kogoś zwrócić w takich chwilach. Krzychu jest dobry, ale nie na wszystko. Babcia przez swoje obrazki i własną wizję Boga zabiła we mnie wszelką potencjalną religijność. Wolę swojego ojca szatana. Tyle że szatana też mogę między bajki włożyć, szczególnie jako ojca. Jesteś wstrętnym kulasem! Tak krzyczała babcia, kiedy się na mnie mocno wkurzyła. Później dodawała, że to może dobrze, bo raczej nie zostanę dziwką jak moja matka. Zdziwiłaby się, na co znajdują się

amatorzy.

– Klient Grishama w tej chwili wypożyczony, ale mogę wpisać zamówienie i dostanie pan maila, kiedy tylko książka wróci – informuję mechanicznie.

– To poproszę. – Facet naprzeciwko się uśmiecha. – A teraz może mi pani coś poleci?

Mam wrażenie, że rozbiera mnie wzrokiem. Wkurza mnie. Kierowniczką przepada za tego rodzaju spojrzeniami, ja mam ochotę krzyknąć: odwal się, palancie!

– Chciałby pan coś z kryminału skandynawskiego? – odpowiadam słodziutkim głosem.

– Tak.

Wstukuję w komputer pierwszy tytuł, który przychodzi mi do głowy, i w skupieniu patrzę na ekran. Wolę to niż studiowanie fizjonomii podrywacza. Ciekawe, czy obdarzałyby mnie takimi samymi uwodzicielskimi spojrzeniami, gdyby wiedział, jak wygląda moja prawa noga?

– Czytał pan *Miejsce w słońcu* Lizy Marklund? – pytam, nie odrywając wzroku od komputera.

– Nie.

– To może to?

Uśmiecham się najpiękniej, jak potrafię, a kiedy kiwa głową, idę po książkę. Teraz już zauważy, że kuleję.

– Proszę. – Wręczam powieść.

Nie lubię Marklund, pewnie dlatego zaproponowałam ją czytelnikowi, który budzi we mnie antypatię. Uśmiecha się tak samo jak przed chwilą.

– Co pani robi dziś wieczorem? Może dałaby się pani zaprosić na kawę?

– Niestety, mam już inne plany.

Cholerna kierowniczką nadal siedzi na zapleczu. Ciekawe, czy dopadła ją biegunka, czy poprawia urodę? Wolałabym dla niej biegunkę.

– Może więc innym razem?

Odrobinę jednak go lubię, chociażby za to, że nalega, chociaż widział, jak chodzę.

– Może – odpowiadam trochę cieplej, po czym ponownie oblekam się w maskę góry lodowej. Tak czy inaczej, koleś jest za stary dla mnie.

Beata wreszcie wraca. Usta świeżo pociągnęła ciemnoczerwoną szminką, włosy wydają się jeszcze gęstsze niż przed chwilą i jeszcze lepiej się układają. Założę się, że wmasowała w nie kolejną porcję pianki. Gdyby ustawiła się za rogiem, każdy tir by się zatrzymał. Mój wielbiciel przynosi na nią wzrok i chyba również całe zainteresowanie. Zaczynają rozmawiać, lecz nie słucham, zajmuję się kolejną czytelniczką. Czuję coś w rodzaju ulgi, że mam go z głowy.

W kawiarni zamawiam herbatę, ona kawę. Namawia mnie na ciastko, biorę więc szarlotkę. Czemu nie, skoro i tak na koszt szefowej? Beata stroni od słodczy, twierdzi, że musi dbać o linię. Pewnie tak, w końcu nie jest już najmłodsza i zachowanie figury nie przychodzi jej z taką łatwością jak na przykład mnie.

Gadamy chwilę o pierdołach, podśmiewamy się z czytelników płci męskiej, którzy przychodzą do biblioteki wyrwać laski. Mojemu dzisiejszemu podrywaczowi też się dostaje. Robi się fajnie, ale nagle Beata poważnieje.

– Nie wiem, dlaczego tak bardzo cię lubię. Wydajesz mi się bliska.

Powtarza to samo niemal za każdym razem.

– Pewnie dlatego, że jesteśmy w jakiś sposób podobne. Niby lubimy ludzi, ale coś nam przeszkadza w nawiązaniu prawdziwego kontaktu.

Powinnam założyć księgę złotych myśli własnego autorstwa.

– Tak – mówi zamyślona i patrzy na mnie tymi swoimi niebieskimi oczyma. Błękitnymi, a niech tam! Moja mama miała podobne.

– Mieszkasz sama, Oleńko?

Oleńko, no proszę.

– Zupełnie sama. Jak ty, prawda?

– Tak. – Przez chwilę patrzy gdzieś w ścianę. – A gdzie są twoi rodzice?

Nie przypuszczałam, że będziemy w takich szczegółach mówić o mnie, ale co tam!

– Nie znałam mojego ojca – mówię smutno. – Mama umarła, kiedy miałam dwanaście lat.

– Ja też nie znałam mojego ojca. Odszedł od mamy tuż po ślubie.

Zaciska usta. Doceniam, że podzieliła się tym ze mną. To trochę co innego niż pusta gadka o facetach.

– Wychowywała mnie głównie babcia – dodaję.

To niemal prawda. Do pewnego wieku rzeczywiście wychowywała mnie głównie babcia.

– A gdzie ona teraz jest?

– Też nie żyje – odpowiadam krótko.

Nie powiem nic więcej. Patrzę w jej twarz. Jest ładna, ale nie o to chodzi. W tej chwili odczuwam silniej niż kiedykolwiek, że jest do mnie podobna w sposób, którego nie umiałabym zdefiniować.

– Dlaczego nigdy nie wyszłaś za mąż? Jesteś taka piękna.

Nie powinnam pytać, tak jak ona nie powinna pytać o moich rodziców. Dlatego dodałam to o piękności, jest próżna, lubi takie wstawki. Uśmiecha się, ale rysy jej tężeją. A może wyszła za mąż i dlatego boli ją wspomnienie? Chyba jednak coś mi się przywidziało.

– Nie spotkałam tego jedyne – odpowiada lekko.

Zbyt lekko. Co mnie to zresztą obchodzi? Dlaczego taką wagę przywiązuję do jej tonu i mimiki? Do niej w ogóle?

– A dzieci? – Idę za ciosem. – Nie chciałaś nigdy mieć dzieci?

Nieemożliwe, żebym znowu ulegała halucynacjom. Jej usta drżą. Mija długa chwila, zanim odpowiada. Głos wydaje się spokojny, ale i tak wiem, że coś jest nie tak. Po cholere się nad tym zastanawiam? Przyszłam, żeby jej

dosrać (chyba dam sobie odpust na używanie takich wyrażen na czas tego spotkania), a przeprowadzam niemal analizę psychologiczną.

– Gdybym spotkała tego jedyne, pewnie chciałabym mieć dzieci. – Śmieje się cicho, po czym dodaje: – Teraz i tak już za późno.

– Wcale nie. – Postanawiam iść w wazeliniarstwo, może dostanę podwyżkę. – Jesteś jeszcze młoda. Teraz kobiety rodzą nawet po czterdziestce, a tobie dużo brakuje.

– Kilka lat. – Podnosi się. – Przepraszam na chwilę.

Zmierza w kierunku toalety. Poruszyłam drażliwy temat, jestem pewna. Dużo bardziej drażliwy niż ten z mężem. Może miała skrobankę i nie potrafi zapomnieć? A może urodziła i oddała do adopcji? Poroniła? Niby nie mój pieprzony interes, ale chcę wiedzieć. Rozglądam się dyskretnie; stoliki obok są wolne, chyba nikt na mnie nie patrzy. Niedbałym ruchem sięgam po torebkę, którą Beata zostawiła na poręczu krzesła. Znajduję portfel, wyciągam dowód, czytam adres. Wydaje się łatwy. Odwieszam torebkę i dopiero wtedy serce zaczyna walić jak głupie. To nie było rozsądne. Gdyby pojawiła się przy stoliku, miałabym trudności z wytłumaczeniem, czego szukałam w jej portfelu. Ten adres mogłam zdobyć w pracy, musi być w kadrach. Tak, tylko ja chcę zawsze wszystko jak najszybciej. Jutro idę do biblioteki dopiero na czternastą, ona jak zwykle ma pierwszą zmianę. No i co z tego? Chyba nie traktuję poważnie pomysłu, który ni stąd, ni zowąd pojawił się w głowie? Ostatecznie czemu nie? Niekiedy lubię podnieść sobie poziom adrenaliny. Kierowniczka ma z czego biednieć, Krzychu się ucieszy, a ja mam szansę dowiedzieć się czegoś więcej.

Beata wraca do stolika.

– Wiesz, okazało się, że Tomek jest żonaty. – Tomek to ksiązę, który ostatnio po nią przychodził. – Obiecał mi wczoraj, że powie żonie o nas.

Jej ton pozostaje obojętny, jakby z rezygnacją przyjmowała kolejny cios od losu.

Gadamy na temat facetów, trochę narzekamy, że są cyniczni, pozbawieni skrupułów, myślą tylko o jednym. Atmosfera się rozluźnia, zaczynamy nawet chichotać. Zupełnie niespodziewanie nachodzi mnie coś w rodzaju wyrzutów

sumienia. Skrupuły w żaden sposób mnie nie powstrzymają, ale chcę jej coś dać. Wtedy będziemy kwita.

– Ja nie zwiążę się z żadnym facetem. Przez to, że jestem kaleką, nikt nie traktuje mnie poważnie. Co najwyżej mogą mieć ochotę wziąć taką do łóżka w ramach perwersyjnego kaprysu.

– Ola! Co ty opowiadasz! – W jej oczach jest niemal zgroza. Ciekawe, ciekawe. – Jesteś piękna.

– Jasne. Widziałaś, jak chodzę. Widzisz, że jedna moja noga jest dużo krótsza. W życiu nie nałożę sandałów, nie rozbiorę się na plaży. Prawą stopę mam jak końskie kopyto.

– Oleńko, jesteś piękna. – Skąd w niej upór, żeby to powtarzać? – To, co mówisz, jest w twojej głowie. Żadne kalectwo.

Prawie ją lubię.

– Babcia nazywała mnie .... – mimo wszystko powiedzenie „kulasem” nie przechodzi mi przez gardło – potworkiem. – Słowo niby gorsze, ale tak mogliby powiedzieć ludzie wykształceni. – Mama zresztą kiedyś też tak pow...

– Przestań! – mówi tak głośno, że flirtujący ze sobą barman i kelnerka odwracają głowy w naszym kierunku. Zaczyna płakać. Pierwszy raz widzę ją tak roztrzęsioną. – Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Chodźmy stąd.

Nie prosi o rachunek, kładzie pięćdziesięciozłotowy banknot na stole, podnosi się. Chcąc nie chcąc, idę za nią. Kiedy nakładamy płaszcze, patrzę z ukosa; przestała płakać, ale jest bardzo blada. Na dworze pada śnieg, pięknie iskrzy się w blasku latarni. Beata próbuje się uśmiechnąć.

– Odwiozę cię.

– Dziękuję, ale chętnie się przejdę. Mam mało ruchu.

Nie bardzo wiem, jak się zachować. Nie rozumiem, co ją tak rozstroiło. To raczej ja powinnam wpaść w histerię.

– Cieszę się, że ze mną poszłaś. Dziękuję, Oleńko. Męczy mnie czułość w jej głosie.



– To ja dziękuję za zaproszenie.

Chwyta mnie w objęcia, z całej siły przytula. Czuję się jeszcze bardziej niezręcznie, ale oddaję uścisk. Ładnie pachnie. Nic dziwnego, stać ją na dobre perfumy, o których ja mogę jedynie pomarzyć. Mama używała tylko vanilla fields, taniej wody, bardzo wtedy popularnej. Beata mnie puszcza.

– Do zobaczenia jutro.

Wygląda już na spokojną, tylko silne rumieńce zdradzają emocje.

– Do zobaczenia. Przychodzę na czternastą, pamiętasz?

Kiwa głową i wsiada do samochodu. Macham jej na pożegnanie. Niech ma.

Nic nie rozumiem. Dlaczego moja niska samoocena wprawiła ją w stan takiego roztrzęsienia? Czemu mnie tak ścisnęła? W domu wykręcę numer Krzycha i proszę, żeby do mnie przyszedł.

– Po dziesiątej, okej? Nie będzie zbyt późno?

– Nie.

Dobrze, że jest Krzychu. Powiedzenie, że wie o mnie wszystko, byłoby przesadą, ale to jedyny człowiek, przed którym nie udaję, że nie mam końskiego kopyta. Jedyny, przed którym mogłabym się rozebrać i pokazać zdeformowane ciało. Kiedyś to zrobiłam, nawet dużo więcej, i wydawało mi się, że to miłość. Może wcale mi się nie wydawało, to chyba była miłość dwójki nieszczęśliwych dzieciaków. Nadal go w jakiś sposób kocham, ale nie chcę seksu. Nigdy już nie chcę seksu. Nigdy.

Zaczynam się trząść i płakać, i wtedy przypominam sobie, że zachowuję się podobnie jak szefowa na spotkaniu ze mną. To wystarcza, żebym się uspokoila. Jeśli poprzednio miałam jakieś wyrzuty sumienia, rozwiały się bez śladu. Ukradniemy jej kilka rzeczy, włamanie na tym właśnie polega. Mogłoby jej się wydać bardzo dziwne, gdyby ktoś wszedł do jej domu i nic by nie zginęło. Kto wie, może nawet skierowałyby podejrzenie na mnie? Poza tym Krzychu też powinien coś z tego mieć. Jeśli trzeba wybierać, czy być fair wobec niego, czy wobec Beaty, nie waham się ani chwili. Dlaczego właściwie tak ciągnie mnie do tego domu? Czego niby się spodziewam?

Szanse, żebym cokolwiek znalazła, są niewielkie, ale przynajmniej się rozejrzę.

Włączam laptopa, z przyzwyczajenia wchodzę na Facebooka. Przeglądam głupie posty znajomych i zastanawiam się, dlaczego od niemal tygodnia nie czytałam żadnej książki. Ja, polonistka i bibliotekarka w jednym. Migotanie komputera przyprawia mnie o ból głowy, zamykam więc klapę i sięgam po kryminał, który przyniosłam z pracy. Nie mogę się skoncentrować, przed oczyma lata mi pobladła twarz Beaty. Czuję jej wzrok ściganego zwierzęcia. Nic się jeszcze nie stało. Mogę przecież nawet nie wspomnieć Krzychowi o domu na uboczu, idealnym do obrobienia. Pewnie, że mogę, ale się nie zatrzymam. Myśli powoli odpływają od szefowej i jej domu. Pojęcia nie mam, jak to się stało, że moja mama została dziwką. Z jej urodą mogła być luksusową, ale do tego musiałyby się sprężyć i kontrolować alkohol, a tego już nie potrafiła. Była więc tanią kurwą, a pieniądze, które czasami oddawała babci, wcale nie poprawiały naszego poziomu życia. Babci trzeba przyznać jedno: pilnowała, żeby mama nie sprowadzała klientów do domu. Poza tym gadały przy mnie, zupełnie się nie przejmując. Przeżywałam, a jakże. Przecież słyszałam, co to kurwa. Zresztą nawet gdyby one trzymały przy mnie mordy na kłódkę, niewiele by to zmieniło. Prowadzenie mamy było publiczną tajemnicą całego osiedla, więc niejednym razem ktoś krzyknął za mną, że jestem córką prostytutki. Dzieciaki też potrafiły przygadać mi w ten sposób. Bolało za każdym razem. Nie okazywałam jednak żadnych uczuć, nie uciekałam z płaczem, nie rzucałam się z pięściami. Dusłam w sobie, dopóki nie znalazłam się w domu, dopiero wtedy padałam na łóżko i łkałam w poduszkę. Ja, kulas, córka prostytutki, nie miałam innej możliwości, niż pogodzić się z rzeczywistością. Nie mogłam tylko o tym mówić, ale nikt nie oczekiwał zwierzeń. Zdarzało się, że mama przychodziła do mnie w nocy, kompletnie pijana, chwytła w objęcia, zasypywała twarz pocałunkami. Śmierdziała alkoholem pomieszanym z vanilla fields, ale uwielbiałam te chwile. Czasem zostawała u mnie w łóżku do rana i wtedy wydawało mi się, że już zawsze będzie dobrze, pomimo mojego końskiego kopyta, kulawego chodu i profesji mamy.

Nie było. Miałam dziesięć lat, kiedy umarła babcia. Wróciłam ze szkoły, zastałam ją leżącą na tapczanie. Oczy miała otwarte, wyglądała, jakby się zamysliła. Powiedziałam coś, nie poruszyła się. Dotknęłam jej, nie

zareagowała. Wtedy poczułam strach. Szarpałam nią, nic się nie działo. Zaczęłam wrzeszczeć, jakby mnie obdzierano ze skóry, aż przyszła jakaś sąsiadka. Wzięła mnie do siebie, zadzwoniła na pogotowie, kazała innym szukać mamy. Znaleźli ją wieczorem, nawet niespecjalnie pijaną. Odebrała mnie od tamtej kobiety i długo razem płakałyśmy. Babcia umarła. Nigdy wcześniej nie zastanawiałam się nad śmiercią.

– Będzie dobrze. – Mama kołysała mnie w ramionach. – Mamy siebie.

Obiecała, że zacznie nowe życie. Z dnia na dzień rzuciła zajęcie prostytutki, co było do wykonania, bo nigdy nie miała alfonsa. Nie piła przez kilka tygodni i znalazła sobie nawet pracę sprzątaczką.

Wytrzymała około miesiąca, może trochę dłużej. Najpierw chlała w domu. Później miejsce przestało być ważne, ale była trzeźwa w pracy, tak przynajmniej mnie zapewniała.

– W pracy nie piję, jestem trzeźwiutka – mówiła i wybuchała śmiechem.

Z płaczem przypominałam, co mi obiecała, a ona wpadała w gniew, waliła pięścią w stół, tłukła talerze lub po prostu wychodziła z domu, trzaskając drzwiami. Leżałam potem skulona, czekając na dźwięk klucza przekręcanego w zamku. Czasem do mnie przychodziła, czasem nie, jakiegokolwiek zasady przestawały obowiązywać. Kiedyś wykrzyczała: – Nie masz prawa mówić mi, co mam robić! Cały czas się dla ciebie poświęcam, a przecież to ty zmarnowałaś mi życie, ty bachorze, ty mały wstrętny kulasie!

Muszę oddać jej sprawiedliwość; powiedziała to tylko raz i zaraz potem błagała o przebaczenie. Oczywiście przebaczyłam, ale przestałam wspominać o wódce. A ona piła coraz więcej. Straciła pracę i zaczęła ponownie kupczyć swoim ciałem. Starczało na tani alkohol, z jedzeniem było już gorzej. Może to był brak gotówki, a może po prostu zapominała kupić cokolwiek, ale zdarzało się, że nie miałyśmy nic w lodówce. Bałam się ją denerwować, więc nie narzekałam na głód. Szłam do sklepu, wybierałam daleki od domu, i ściągałam z półki batonika czy drożdżówkę. Udawało się i pewnie dlatego straciłam czujność. Zostałam złapana dosłownie za rękę przez właścicielkę. Przyjechała policja, a potem wkroczyła opieka społeczna i sprawa zakończyła się ograniczeniem praw rodzicielskich. Zamieszkałam w domu dziecka. Mama przysięgała, że jej życie się zmieni, że niedługo znów będziemy

razem. Początkowo odwiedzała mnie regularnie, potem coraz rzadziej. O moich dwunastych urodzinach zapomniała. Wściekłam się i pobiłam nową dziewczynkę. Była śliczna, miała blond włoski, niebieskie oczka i na imię Beata. Śmiesznie, jak moja mama. Jak moja szefowa teraz. Wychowawca ukarał mnie piętnastoma pasami – to była normalna procedura i uznałam chłostę za jak najbardziej sprawiedliwą. Do głowy nie przyszło mi się skarżyć, chociaż wiedziałam, że to nielegalne – a w nocy dzieciaki zrobiły mi kocowę. Po raz pierwszy pomyślałam, że nienawidzę mamy. Dwa dni potem wychowawca oznajmił, że zapiła się na śmierć. Właśnie tak obwieścił mi tę nowinę.

Dzwonek do drzwi wyrywa mnie ze wspomnień. Przez głowę przebiega idiotyczna myśl, że jeśli nie obrobimy domu Beaty, nie załatwię rachunków z własną matką.

– Cześć, Ola. – Głos Krzycha sprawia, że świat staje się przynajmniej o jeden odcień jaśniejszy.

– Cześć.

Staram się uśmiechnąć, ale chyba nie wychodzi mi zbyt dobrze, bo Krzychu marszczy brwi.

– Dobrze się czujesz?

– Bardzo dobrze. – Teraz już uśmiecham się od ucha do ucha. – Napijemy się kawy, co?

Demonstracyjnie patrzy na zegarek.

– Olka, ty chyba chcesz mnie wykończyć! Kawa o tej porze?!

Piję kawę o bardzo różnych porach, nigdy nie przejmowałam się zasadami zdrowego odżywiania.

– No dobrze, to herbaty – ustępuję. – Owocowej.

– Zdecydowanie lepiej.

Idzie za mną do kuchni, wyjmuje szklanki, wkłada do nich torebki herbaty. Czuje się jak u siebie, ja też traktuję go prawie jak domownika. Wracamy do pokoju, siadamy na kanapie.

– Chciałabym, żebyśmy jutro przed południem obrobili pewien dom.

Powinam może zrobić jakiś wstęp. Krzychu się krztusi, odstawia szklankę na stół.

– Nie mówisz poważnie, prawda?

– Jak najbardziej poważnie.

– Ola. – Z jego tomu znika ironia. – Nie podoba mi się to. Jesteś praworządną obywatelką i kłopoty są ci niepotrzebne. Pozostań praworządna.

– Cholera, kto jak kto, ale ty chyba nie powinieneś prawić tego rodzaju morałów! – wybucham.

– W sensie, że niby ja jestem niepraworządny? – Kręci głową. – Ola, tego rodzaju sprawy nie są dla ciebie...

– Wiem, wiem! – przerywam gwałtownie. – Ja się nie nadaję. Jeśli mi nie pomożesz, sama to zrobię, albo... skołużę kogoś innego.

Działa. Wie, że mogę skontaktować się z wieloma kumplami z bidula, ale oni zrobią to mniej profesjonalnie niż mój przyjaciel włamywacz przystojniak.

– O jaki dom chodzi?

– Pod Sopotem. Wakacyjna pięćdziesiąt trzy.

– Czyj dom?

– Mojej szefowej.

Zrywa się z kanapy.

– Nie, to za duże ryzyko. Na pewno znajdziesz się w kręgu podejrzanych.

– Nie sądzę, nie przyjdzie jej to do głowy. Poza tym niczego nie będę tu miała. Ty weźmiesz wszystko. – Patrzy coraz bardziej podejrzliwie. – Sprzedasz i podzielimy się kasiorą.

Ponownie siada obok mnie.

– Dlaczego chcesz to zrobić? I nie wciskaj mi głodnych kawałków, że potrzebna ci forsa, bo i tak w to nie uwierzę.

Nabieram powietrza w płuca. Miałam zamiar właśnie powiedzieć coś w ten deseń. No nic, spróbuję pomanipulować prawdą.

– Chcę się tam rozejrzeć.

– To może po prostu to zrób, co? Mogę ci nawet drzwi otworzyć.

– Właśnie wtedy podejrzenie mogłoby paść na mnie.

– To jakaś cholerna bzdura! – Ponownie traci cierpliwość.

– Jeśli nie chcesz mi pomóc, zadzwonię do Małego – wymieniam pierwszą osobę, która przychodzi mi do głowy.

– Oj, przestań – ucisza mnie. – Zrobimy tak, żeby nie było śladów. Nawet się nie zorientuje, że ktoś był w jej domu.

Kręcę głową. Właśnie że powinno jej zginać kilka rzeczy.

– Chcę, żebyśmy ten dom obrobili i już. Nie możesz mnie powstrzymać. Kogoś znajdę.

Bierze kilka głębokich wdechów.

– Moim zdaniem to po prostu głupie, ale okej, skoro tak ci zależy.

– Dzięki.

– Pod jednym warunkiem – zastrzega.

– Jakim?

– Powiedz, dlaczego mamy to zrobić. Całą prawdę, bez kręcenia. Jesteśmy kumplami, nie?

– Jesteśmy. Powiem ci, ale... nie sądzę, żebyś zrozumiał.

– Och, tak? *Try me.*

– Ona przypomina moją matkę i na dodatek ma na imię Beata.

Sama słyszę, jak idiotycznie to brzmi. Krzychu wzdycha ciężko.

– Wiesz, że się oszukujesz? To niczego nie załatwi. Psychoanalityk od siedmiu boleści.

– To co, pomożesz mi czy nie? – pytam lodowato.

– Czuję, że to najgłupsze posunięcie w moim życiu, ale tak.

Uśmiecham się szeroko. Krzychu pozostaje poważny.

– Pójdę już. Muszę się wyspać przed jutrzejszym skokiem.

Nie zatrzymuję go. Umawiamy się na dziewiątą rano na mieście. Ma przyjechać innym samochodem. Nie zastanawiam się, skąd go weźmie.

Sen tej nocy przychodzi zdumiewająco łatwo. Śni mi się mama, ale jest kierowniczką biblioteki, bełkocze coś o Kingu. Nie lubię Kinga, jednak powstrzymuję się od uwag. Daję się zaprosić do kawiarni, w której jest coś dziwnego; niby elegancki stolik, kelnerka, ale to pokój w naszym mieszkaniu. Mama-szefowa pije wódkę z gwinta. Chcę powiedzieć, żeby przestała, ale boję się ją zdenerwować. Mam jutro włamać się do jej domu, a jeśli się wyda, stracę pracę, może nawet pójść do więzienia.

– Kocham cię, córeczko.

Lubię, kiedy tak mówi. Zanim zdążę odpowiedzieć, że też ją kocham, jej twarz zmienia się, wykrzywia ją wściekłość.

– Zmarnowałam życie, poświęciłam się dla ciebie, ty podły, wstrętny kulasie!

Siadam na łóżku. Zapalam lampkę, rozglądam się po pokoju. Serce bije ciężko, usiłuję przypomnieć sobie, kim właściwie jestem, w którym momencie życia się znajduję. Mamy nie ma, dawno umarła, a ja jutro obrabiam dom Beaty tylko dlatego, że ją przypomina. Sięgam po komórkę, sprawdzam godzinę. Trzecia czterdzieści sześć. Dzisiaj, nie jutro. Będzie dobrze. Ani trochę w to nie wierzę. Stanie się coś strasznego. Co za bzdura. Robi mi się zimno, więc naciągam na pizamę polarowy dres, ale nadal się trzęsę. Otulam się szczelniej kołdrą, zaciskam zęby i udaje mi się zapanować nad dreszczami. Wyrównuję oddech i strach powoli się rozwiewa. Nie znika całkowicie, ale pozwala mi zasnąć.

Zrywam się na dźwięk budzika w komórce. Może nie czuję się super wypoczęta, ale nie jest gorzej niż zazwyczaj. Szybki prysznic, kawa, makijaż i jestem gotowa. Uśmiecham się do lustra. Dzisiaj nie czuję się upośledzona. Kuleję, owszem, mam zdeformowaną stopę i krótszą nogę, ale istnieją znacznie cięższe kalectwa.

Docieram na umówione miejsce pięć minut przed czasem, ale Krzychu już tam jest. W oczach nie ma już złości, obejmuje mnie życzliwie. Wsiadamy do zielonego passata.

– Ten samochód... – zaczynam z wahaniem.

Wiem, że nie powinnam pytać, ale tym razem to moja sprawa.

– Pożyczyłem z warsztatu, gdzie kiedyś pracowałem.

Domyślam się, co znaczy „pożyczyłem”, domyślam się też, że tablice nie są autentyczne.

Wakacyjna pięćdziesiąt trzy okazuje się dość trudna do znalezienia. Faktycznie Beata nie ma sąsiadów, a jej dom stoi w znacznym oddaleniu od innych.

– Nie ma alarmu – mówi Krzychu. – Dziwne.

Rzeczywiście dziwne. Krucha kobieta, sama na odludziu. Alarm nie powstrzymałby profesjonalisty jak Krzychu, ale jest odstraszcaczem dla drobnych włamywaczy. Trochę się nad tym zastanawiam, ale głównie zajmuje mnie obserwowanie, jak sprawnie Krzychu manewruje przy zamkach. Po kilkunastu minutach wchodzimy. Nocny strach powraca, jeszcze silniejszy. Stanie się coś strasznego. Kurczowo chwytam Krzycha za rękę. Trochę lepiej.

– Przejdźmy się najpierw po pokojach – szepczę.

Później już nic nie mówimy. Zachowujemy się cicho... jak złodzieje. W normalnych warunkach taka myśl by mnie rozśmieszyła. Teraz ściskam tylko mocniej rękę Krzycha. Na dole salon, kuchnia, łazienka, dalej jeszcze jeden pokój, który zapewne można nazwać gabinetem. Po cholere Beacie gabinet? Może jej matka przyjmowała tu pacjentów? Wszystko obrzydliwie naznaczone bogactwem. Budzi się we mnie duch rewolucjonistki. Nie myślałam o tym, gdy planowałam ten skok, ale to zwykły akt sprawiedliwości.

Podjazd dla wózków. Może jednak gabinet mamusi był na górze. Schody męczą mnie, jakbym wspinała się co najmniej na Mont Blanc. Denerwuję się, bo to moje pierwsze włamanie. Zadowolona, że wreszcie znalazłam



wytłumaczenie, otwieram drzwi po lewej stronie. Zatrzymujemy się gwałtownie. Cholera, tu ktoś jest! Musimy uciekać!

# Dorota

Początkowo nie wiem, co sprawia, że ogarnia mnie obezwładniająca panika. Czego się boję? Jakieś przeczucia czy wspomnienia? Ależ nie, po prostu słyszę dźwięk parkującego samochodu. To mama – mówię sobie. Dziwna pora na powrót, ale może źle się poczuła? Długo nic nie słyhać. Dochodzę do wniosku, że mi się wydawało. Sięgam po laptopa, chcę otworzyć klapę i w tej chwili słyszę dźwięk kroków na schodach. To nie mama, zawsze rozpoznałabym jej chód. To chyba dwie osoby. Może nie wejdą tutaj. Boże, pomóż mi. Serce bije ciężko, nierówno. Ile jeszcze zdoła wytrzymać? Drzwi się otwierają i widzę dwójkę młodych ludzi, mniej więcej w moim wieku. Trzymają się za ręce. Chłopak wygląda, jakby opiekował się siostrą. Na mój widok zamierają. Przestają się bać, niby wiem, że pozory mogą mylić, ale oni nie wyglądają strasznie. Pierwsi ludzie, oprócz mamy i babci, jakich widzę.

Wybiegają z pokoju, zostawiając otwarte drzwi. Słyszę, jak zbiegają po schodach, po czym dobiegają mnie odgłosy jakiejś przyciszonej kłótni. Chciałabym, żeby wrócili, chociaż to może oznaczać, że pożegnam się ze swoim żalonym życiem. Życzenia jednak się spełniają. Tym razem nie kontroluję czasu, ale nie sądzę, żeby minęło więcej niż pięć minut, gdy para wraca.

– Co ty tu robisz? – pyta dziewczyna i przesuwa się o krok w moją stronę.

Milczę. Nie jestem nieodpowiedzialną smarkulą, nie narażę mamy. Nie spuszcza z nich wzroku.

– Zostaw – odzywa się tym razem chłopak. – Ona może nawet nie mówi.

Pewnie, kaleka bez nóg z pewnością jest też upośledzona umysłowo. Jestem wściekła.

– Ja... ja jestem w odwiedzinach u cioci.

Brzmie jak skretyniała kaleka, za jaką mnie uważają.

– Idź. – Dziewczyna zwraca się do swojego towarzysza. – Chcę z nią porozmawiać.

Facet otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, po czym rezygnuje i wychodzi. Dziewczyna przygląda mi się w skupieniu, jakby była znawczynią sztuki i próbowała oszacować wartość obrazu. Obawiam się, że mnie nie można spieniężyć, panienko. Nadal się nie boję, chociaż może powinnam. Być może skretyniała, być może kaleka, ale świadek włamania.

– O czym chcesz rozmawiać?

Muszę trochę to przyspieszyć, bo zaraz wróci tamten gbur i ją stąd wyciągnie.

– Co ty tu robisz? – powtarza.

Zbyt wielkiego zestawu pytań ta osóbką nie posiada.

– Dobrze sobie! Włamujesz się do mojego domu i jeszcze zadajesz jakieś idiotyczne pytania!

– Do twojego domu? – podchwytuje.

Mam wrażenie, że mnie przeświewa wzrokiem.

– Do domu mojej cioci. Co za różnica? Ja tu jestem, a ty wkraczasz bezprawnie!

– Masz rację. Zupełnie bezprawnie. Nie wiedziałam, że ktoś tu będzie.

To przygoda życia. Nawet jeśli mnie zabiją, warto było przeżyć spotkanie z kimś z zewnątrz.

– A ty? Co tu robisz? – Teraz ja stawiam głupie pytanie. – Kim jesteś?

– Powiem ci, a ty powtórzysz swojej cioci, co?

Wzruszam ramionami, a ona ciągnie:

– Opiszysz mnie i powiesz, jak mam na imię, a to wystarczy, żeby mnie wsadzić za kratki.

Nie wystarczy. Żeby mama mogła przedstawić mnie jako świadka, musiałyby przyznać, że istnieję.

– Mam na imię Dorota – oznajmiam. Niech ktoś to wie. – I nie powiem ma... cioci.

Nie wiem, czy zauważyła moje zająknięcie, ale odwzajemnia się informacją: – Ja jestem Ola.

Coś mi to mówi, ale niby co?

Ola siada. Otwiera usta, zamyka. Wygląda, jakby ważyła wszystkie za i przeciw. W końcu odzywa się ponownie.

– Zapewne popełniam gruby błąd, ale moje życie składa się z błędów. – Oddycha głęboko i dodaje: – Pracuję w bibliotece. Twoja ciocia jest moją szefową.

Dziewczyna, o której mama opowiadała z takim entuzjazmem, włąła się do jej domu. To naprawdę zabawne!

– Jeśli powiesz, pójde siedzieć, ale jeśli zdecydujesz się nie mówić, napisz do mnie maila, okej?

To rozśmiesza mnie jeszcze bardziej. Maila! Mama zadbała, żebym nigdy do nikogo nie napisała żadnego maila. Wybucham kretyńskim śmiechem. Ola wygląda na urażoną. Nie mam obowiązku się tłumaczyć, ale to pierwsza osoba, która chce utrzymywać ze mną kontakt. Poprawka: pierwsza osoba, która z własnej woli chce utrzymywać ze mną kontakt. Mamie zostałam narzucona.

– Nie mam dostępu do internetu.

– Nie masz dostępu do... – Urywa, jakby coś sobie nagle przypomniała. – To nie powinien być problem. Mam kartę. Mogę ci ją dać.

Wyciąga coś z torebki, podaje mi. Kręcę głową. Nigdy nie dojdę, co z tym zrobić.

– Nie wiem, jak tego użyć. Nie umiem obsługiwać internetu. Nie mam maila.

Zapewne się pograżyłam, ale ona po prostu zerka na mój laptop, po czym ponownie przenosi wzrok na mnie.

– A umiesz obsługiwać komputer?

Znów traktuje mnie jak kretynkę.

– Oczywiście – mówię nieco podniesionym głosem.

– No to nie widzę problemu.

Włącza laptopa.

– Popatrz, tu masz wejście USB. Tu trzeba włożyć ten pipek.

Znów podaje mi tajemniczy przedmiot, który ma niby umożliwić kontakt ze światem. Wsuwam go.

– Właśnie tak. – Ola się uśmiecha.

Przestałam patrzeć na ekran, przyglądam się jej twarzy. Nie dziwię się, że mama ją lubi.

– Widzisz, uruchamia się. Sama to zrób – zwraca się do mnie.

Ponownie przenoszę wzrok na ekran. Wykonuję komendy, chociaż nic nie rozumiem.

– Oks, mamy internet. Najpierw stworzę ci konto na Gmailu, a potem pokażę, jak z tego wszystkiego korzystać.

Wreszcie do mnie dociera. Będę miała internet! Dostanę możliwość komunikacji ze światem! Wirtualnej, ale jednak. Ryzyko, że mama się dowie, jest minimalne. Nigdy nie dotyka laptopa, nie sprawdza moich plików, nie grzebie w torbie na komputer. Schowam po prostu ten... pipek do którejś kieszonki.

– Może być adres: dorota.wakacyjna53@gmail.com?

– Całkiem niezły.

Lepszego z pewnością bym nie wymyśliła.

– Wpisz hasło, jakie chcesz mieć.

Wstaje i odwraca się. Waham się tylko chwilę. „Aleksandra2201”. Dzisiaj jest dwudziesty drugi stycznia. Nigdy nie zapomnę tej daty, uchyliły się drzwi do wolności.

– Niżej też? Każą potwierdzić.

- Aha. W ogóle wypełnij tę tabelkę.
- Nie mam telefonu komórkowego.
- Nie szkodzi. Podam swój, czasem nie chcę założyć konta bez tego.

Drzwi się otwierają i staje w nich chłopak, który włamał się z Olą.

- Zmywamy się – mówi.

Ola podnosi głowę, a ja czuję panikę. Nic z tego. A byłam tak blisko przynajmniej częściowej wolności. Teraz znów zamkną mnie w ciasnej celi, a tym razem nie wytrzymam, uduszę się, zwariuję.

- Jeszcze dziesięć minut – słyszę głos Oli, ale boję się odetchnąć z ulgą.

Chłopak patrzy na mnie twardo, ze złością.

- Dziesięć. Ani chwili dłużej.

Odwraca się i wychodzi. Nie zamknął drzwi, a ja traktuję to nieco symbolicznie.

Ola uczy mnie, co mam robić. Obsługa internetu wydaje się bajecznie prosta; wszystko polega na klikaniu. Na moim mailu są już wiadomości od obsługi. Ola je kasuje i wprowadza swój adres. Tłumaczy, jak do niej napisać.

- Rozumiem – przytakuje.

– Zobaczmy. – Zachowuje sceptycyzm. – Napisz jakieś słowo, ja odbiorę.

Znów wstaje i się odwraca. Chciałabym napisać „dziękuję”, ale wstukuję: „Umiem już wysyłać maile!”.

Wylogowuję się, Ola wchodzi na swoje konto. Moja wiadomość już jest.

- Odpowiedziałam ci.

Ola zamyka komputer. W ostatnim momencie, bo znowu wchodzi jej chłopak. Jeśli to w ogóle jest jej chłopak. Znów patrzy na mnie twardo. Nie potrafię się go bać. Prawie go lubię.

- Ola, idziemy.

– Cieszę się, że cię poznałam. – Ola wyciąga rękę.

Ja cieszę się z pewnością bardziej, ale nie powiem jej tego. Jeszcze nie. Bez słów ściskam jej dłoń.

– Ola! – pośpiesza facet.

Jest irytujący, ale na swój sposób uroczy. Mam nadzieję, że są parą.

– Zadzwonimy z drogi do Beaty. Powiemy, że było włamanie.

Facet patrzy zdziwiony, ja też nie wiem, o co chodzi, ale nie pytam. A niech tam. Odchodzą. Odprowadzam Olę wzrokiem. Nie zauważyłam wcześniej, ale jest dość skrzywiona i kuleje. Z pewnością nie odejmuje to jej wdzięku, ale drobne kalectwo sprawia, że przez chwilę wydaje mi się bliska jak siostra.

# Ola

Krzychu zatrzymuje samochód.

– Jeszcze chwila. Muszę spojrzeć, czy czegoś nie zostawiliśmy.

Niemal nie słyszę, co mówi, pogrążona w myślach. Głowa mnie pali, przyciskam czoło do szyby, jest przyjemnie chłodna. Boże, ile wrażeń! Początkowo naprawdę się przeraziłam. Zwiewaliśmy aż miło. Cud, że nie złamałam kulasa, zbiegając po tych schodach. Na szczęście potem przypomniałam sobie, po co tu przyszliśmy. Kaleka w pokoju? Muszę się dowiedzieć, kto to jest. Krzychu chciał odjeżdżać natychmiast, ale przekonałam go, że i tak nas widziała, więc nie ma znaczenia, czy pójdziemy do niej ponownie. Powiedział, że w takim razie nie ma zamiaru niczego stąd zabierać, ale się uparłam. Dla zasady. Może powinnam odpuścić, ale ponownie odezwała się we mnie rewolucjonistka. Czym niby Beata zasłużyła sobie na te wszystkie luksusy? W gruncie rzeczy niewiele mnie to obchodzi. Kim jest Dorota? Nie wierzę, że moja szefowa jest jej ciotką. Powiedziała, że nie ma rodzeństwa. Może kłamać. *I nie powiem ma... cioci.* „Ma”... znaczy mamie? Czy to możliwe? Czy Beata mogłaby posunąć się do... do czego właściwie? Jeżeli to jej córka, to wstydzi się i nie opowiada znajomym. Prawdopodobnie, chociaż czuję, że coś jeszcze się pod tym kryje. Może moja nowa znajoma zdecyduje się coś na ten temat napisać. A może nas wsypie. Kto wie, czy jutro obudzę się we własnym wygodnym mieszkanku, czy też w pierdlu?

Krzycha nadal nie ma, a chciał się zmywać. Nie odjechaliśmy daleko, trzy razy mógłby dojechać tam i z powrotem. Po co tam wrócił? Jeśli ja nie mam pewności, że Dorota nie wygada, to on tym bardziej. Coś chwyta mnie za gardło, wczorajsze przecucie wraca. Stanie się coś strasznego. W tym momencie go widzę. Wygląda zupełnie normalnie. Znam go przecież, nie mógłby skrzywdzić kogokolwiek fizycznie, szczególnie dziewczyny, która nie miałaby szansy się bronić, nawet gdyby się bał, że może przez nią pójść do kicia. Nie zrobiłby tego. Mimo to wysiadam, zdecydowana spojrzeć



jeszcze raz na Dorotę, przekonać się, że nic się jej nie stało. Krzychu zastępuje mi drogę.

– Wsiadaj. Zmywamy się stąd. Zbyt długo to trwało.

Nigdy nie słyszałam u niego takiego tonu, nieznoszącego sprzeciwu, niemal agresywnego. Nawet do chłopaków w bidulu zwracał się stanowczo, lecz z jakimś swoistym wdziękiem; jego naprawdę nie sposób było nie lubić.

– Chcę jej jeszcze coś powiedzieć.

Staram się używać podobnego tonu, ale on chwyta mnie za ramię tak mocno, że czuję ból, popycha na siedzenie, zamyka z trzaskiem drzwi, sam wsiada i rusza. Zachowuję się jak szmaciana lalka; zamiast wrzeszczeć, walczyć i protestować, daję się wieźć, wciśnięta w fotel, porażona strachem i idiotyczną niemocą.

– Nie mogliśmy tam dłużej zostać – słyszę jego głos. – Wystarczyło, że widziała nas ta kaleka, gdyby trafił się inni świadek, bylibyśmy pogrążeni.

Dociera do mnie tylko jedno słowo.

– Kaleka! – Wreszcie potrafię wrzeszczeć, ale już chyba za późno. – Ja też jestem kaleką!

– Ola...

– Jestem kaleką, jestem do niej podobna, rozumiesz?! Jeżeli zrobiłeś jej cokolwiek, zniszczę cię!

– Ola...

– Chyba że mnie zabijesz!

Krzychu zjeżdża na pobocze, zatrzymuje się.

– Ola! – krzyczy, ale tak mogłoby krzyzczeć pobite dziecko, nie wyczuwam już w nim agresji. – Nie wiedziałem, że uważasz mnie za taką gnidę! Naprawdę sądzisz, że byłbym w stanie ją skrzywdzić?

Nie wierzę już własnym osądom. Boję się coraz bardziej.

– Po co tam wracałeś?

– Chciałem pójść do jej pokoju, powiedzieć dobitnie, że ma nikomu nie

mówić, ale...

– Co to znaczy dobitnie? – przerywam.

– No wiesz, trochę może postraszyć.

Wpatruję się w jego uroczą twarz i robi mi się niedobrze.

– Boże, nie znałam cię. Mnie też lepiej postrasż. Ja też jestem świadkiem, nieważne, że twoją współpracowniczką, i tak może mi odbić. Lepiej od razu mnie zlikwiduj.

– Olka! – Nigdy nie widziałam, żeby był tak czerwony na twarzy. Na skroniach wyszły mu żyły, przyglądam się ich pulsowaniu. – Nawet do niej nie poszedłem. Postąłem na dole, zrozumiałem, że...

Nie kończy, ale wiem, co chce powiedzieć. Zrozumiał, że straszenie małej kaleki byłoby poniżej jego godności. Chciałabym w to wierzyć, ale kiedy wepchnął mnie do samochodu, coś się we mnie złamało.

– Wróćmy tam. Chcę ją zobaczyć.

– Nie. Ryzykowaliśmy już wystarczająco. Odwiozę cię do domu.

Wiem, że nie wygram.

– Zadzwoń do Beaty. Dorota jest sama w lesie, nie chronią jej nawet zamki w drzwiach.

– Zamknąłem drzwi, tak jak były.

Profesjonalista.

– Mimo to zadzwoń. Może Dorota źle się poczuła. To z pewnością było dla niej przeżycie.

Nie przyznam się, że nadal podejrzewam Krzycha. Jeśli choćby ją postraszył, mogła naprawdę się zdenerwować. Lepiej, żeby ktoś życzliwy był blisko. O ile Beata rzeczywiście jest życzliwa.

– Co mam jej powiedzieć?

– Że było włamanie. Jestem pewna, że rzuci wszystko i poleci.

– Na komórkę mam dzwonić?

Jego głos zaczyna robić się ironiczny. Staram się nad sobą panować.

– Na stacjonarny biblioteki. Nie mamy identyfikatora numerów.

– Pozwól, że mimo wszystko ukryję swój numer.

Wyciąga telefon z kieszeni. Teraz ja wzruszam ramionami.

– Wybierz.

Podaje mi aparat. Dotykam cyferek, po czym zwracam telefon. Po chwili ktoś się najwidoczniej zgłasza.

– Dzień dobry. – Głos Krzycha jest zmieniony. Gdybym go nie widziała, nie uwierzyłabym, że to on. Nie wiedziałam, że tak potrafi. Z pewnością robił to wcześniej, nikomu nie wyszłoby bez praktyki. – Mam wiadomość dla pani Beaty. W jej domu było włamanie.

Rozłącza się.

– Dobrze? – pyta, przekręcając kluczyk w stacyjce.

Czekam, aż wyjedzie na drogę.

– Chyba tak.

Chciałabym być już w domu, sprawdzić, czy Dorota napisała. Krzychu prowadzi w milczeniu, ja też wolę się nie odzywać. Jedno wspólne włamanie oddaliło nas od siebie zapewne na zawsze. Pytanie, czy naprawdę zyskałam coś w zamian. Ciszę przerywa dźwięk mojej komórki. Podskakuję jak oparzona, wygrzebuje ją z torebki. Beata.

– Halo? – W zdumieniu słucham, jak beztrąsko brzmi mój głos.

– Ola. – W tonie szefowej natomiast pobrzmiwa histeria. – Dostałam anonimowy telefon, że było u mnie włamanie. Nie wiem, czy to głupi żart, ale muszę jechać.

– Kurczę! To potworne.

– Chciałam cię prosić, żebyś przyjechała wcześniej do biblioteki. Dzisiaj straszny ruch.

– Oczywiście, będę jak najwcześniej – obiecuję.

Beata się rozłącza. Nie wspomniała, że ktoś był w jej domu. Powinna się niepokoić, czy bandyci nie zrobili krzywdy niepełnosprawnej siostrzenicy. Podejrzenie zamienia się niemal w pewność. Ona przechowuje tam Dorotę w tajemnicy.

– Mam cię podwieźć pod bibliotekę? – słyszę głos Krzycha.

– Oszalałeś? – przybieram całkowicie obojętny ton. – To byłaby głupota. Ryzykowaliśmy już wystarczająco, nie ma sensu narażać się bardziej. – Nie mogę się powstrzymać od zjadliwości.

Nie przerywamy już milczenia do końca podróży.

– No to cześć. – Otwieram drzwi.

– Ola! – Krzychu chwyta mnie za rękę, ale szybko ją wyrywam. – Porozmawiajmy.

– Nie teraz. Śpieszę się do roboty.

Wysiadam z samochodu i biegnę w kierunku klatki. Natychmiast po przekroczeniu progu mieszkania włączam komputer. Nie ma maila od Doroty.

*Daj znać, jak się czujesz.*

Wysłałam i idę do łazienki spłukać twarz i przeczesać włosy. Ramię trochę mnie boli. Podciągam bluzkę i widzę czerwone ślady w miejscach, gdzie zacisnęły się palce Krzycha. Będę miała siniaki. Zagryzam wargi, poprawiam makijaż i szybkim krokiem wychodzę z domu.

W bibliotece spore zamieszanie. Wielu czytelników, nowe książki do katalogowania, a wszyscy podnieceni anonimowym telefonem i hipotetycznym włamaniem do kierowniczkii. Taki wyłom w rutynie. Szepczą mi coś w biegu, snują fantastyczne teorie. Może obrażony kochanek zrobił psikusa? Może ktoś widział włamanie, ale nie podaje nazwiska, bo boi się zemsty mafii? Mam dosyć tych spekulacji, marzę, żeby mieć odrobinę wolnego czasu i usiąść przed komputerem. Trochę się boję, że za chwilę przyjdzie tu policja i mnie zgarnie.

# Dorota

Samochód odjeżdża. Chciałabym zobaczyć jeszcze Olę. Jego też w gruncie rzeczy. To sympatyczny chłopak, ale wygląda na przerażonego, czemu nie ma się co dziwić. Uznaje mnie za świadka, więc boi się o własny tyłek. Zgodnie z regułami powinien mnie zlikwidować. Jakimi, cholera, regułami?! Filmów gangsterskich? Filmów, nie filmów, gangsterskich, nie gangsterskich, może tu przyjść i mnie zabić. Nawet jeśli nie jest urodzonym mordercą, całkiem prawdopodobne, że uzna moją śmierć za najbardziej racjonalne rozwiązanie.

Nie wiem, czy to moja wyobraźnia, czy rzeczywiście słyszę szelest. Czuję obecność tego chłopaka. Czekam, aż drzwi się otworzą. Jak pozbawi mnie życia? Nie zauważyłam broni. Może weźmie nóż kuchenny, a może mnie udusi. Pewnie nie będzie chciał mnie dotykać, więc zasłoni mi twarz poduszką. Nie sądzę, żebym długo się rzucała. Mama przyjedzie i zastanie mnie nieżywą. Pewnie trochę popłacze, a potem pochowa ciało. Nie wiem tylko, czy w ogrodzie, czy też będzie wolała wywieźć zwłoki do lasu i tam wykopać głęboki dół. Nawet jeśli ktoś kiedyś odnajdzie martwą kalekę dziewczynę, szansa, żeby ją połączyli z osobą kierowniczką biblioteki, jest niewielka. Poza tym im dalej od domu, tym mniejsza możliwość, że będę ją nawiedzać. Mama nie wierzy w życie po śmierci, więc w nawiedzania też nie powinna, ale lepiej się zabezpieczyć. Nie przypuszczam, żeby okres żałoby trwał długo. Wreszcie będzie wolna. Włamanie się opłacało, nawet jeśli przy okazji straciła trochę kosztowności. Sama nie musiała brudzić sobie rąk.

Przez jakiś czas odczuwam wyrzuty sumienia, że znowu źle myślę o mamie, po czym się rozluźniam, jakby niebezpieczeństwo minęło. Nikogo tu nie ma, nerwy mnie zawodzą. Po raz kolejny okazało się, że jestem rozhisteryzowaną idiotką.

Sięgam po komputer, uruchamiam internet i wchodzę na mojego maila. Jest wiadomość Oli, którą wysłała kilkanaście minut temu. Przypominam sobie, jak pisała tutaj, w moim pokoju. Uśmiecham się i klikam.

*Czekam w takim razie na wiadomość. Nie mam wyrzutów, że się tu włamałiśmy. Cieszę się, że Cię poznałam.*

Nie będę na razie odpisywać. Nie wiem jeszcze, co mogę powiedzieć, a co lepiej zachować w tajemnicy. Muszę nadal chronić mamę. Nie przypuszczam, żeby Ola kupiła bajeczkę, że jestem w odwiedzinach u cioci, ale z pewnością nie odgadła całej prawdy. Później ułożę sobie pewne rzeczy w głowie, a na razie pobuszuję trochę po internecie.

Ponownie jakiś szelest. Znów chłopak Oli? Chyba staję się przewrażliwiona. Wmawiam sobie jakieś dźwięki. Dobrze, że mam internet. Mogę zająć czymś uwagę i chora wyobraźnia przestanie mi dokuczać.

Ola pokazała mi, jak szukać. Wpisuję więc w okienko po prawej stronie Facebook, bo chcę się dowiedzieć, za czym szaleją miliony. Każą mi założyć konto, a ja nie mam nic przeciwko temu. Podaję swoje prawdziwe imię, chwilę zastanawiam się nad nazwiskiem. Korci „Wakacyjna”, żeby Ola nie miała problemów z identyfikacją, ale szybko je odrzucam. Jeśli mama znalazłaby taki profil, mogłaby zacząć coś podejrzewać. Wpisuję „Newborn”. Dobre jak każde inne, a teraz naprawdę czuję się trochę jak nowo narodzona. Pozostałe dane podaję prawdziwe, ale ukrywam datę urodzenia. Rejestruję się, przychodzi mail. Umiem wszystko zrobić, wydaje się to wręcz bajecznie łatwe, ale jakie mogą być korzyści? Facebook proponuje mi szukanie znajomych. Wpisuję na próbę nazwisko znanej polskiej pisarki. Widzę opcję wysłania zaproszenia do grona znajomych i robię to. Po kilku sekundach dostrzegam na górze czerwoną jedyneczkę. Klikam i z niedowierzaniem czytam, że pisarka zaakceptowała moje zaproszenie. Proponują mi nawet napisanie czegoś na jej osi czasu, cokolwiek to znaczy, ale nie sądzę, że to obowiązkowe, więc pomijam i wysyłam jeszcze dziesięć zaproszeń do autorów, których znam i czytam. W ciągu sześciu minut i czternastu sekund pięciu z nich przyjmuje zaproszenie. Czyżby siedzieli na Facebooku, zamiast pisać nowe powieści? I po co w ogóle im znajomi, których nie znają? Może uznali mnie za fankę? Słusznie zresztą. Przychodzą nowe powiadomienia. Dwójka z moich pisarzy zaprosiła mnie do polubienia ich stron. Nie rozumiem, o co chodzi, ale w ramach ćwiczenia potwierdzam, że lubię. Wydaje mi się to trochę jak zabawa dzieci, ale ogarnia mnie coraz większe podniecenie. Nie przypominam sobie, żebym

kiedykolwiek bawiła się jak dziecko. Odnajduję mamę. Na zdjęciu jest w sukience, którą włożyła na sylwestra. Pokazywała mi fotki z tamtej imprezy, ale nie patrzyłam. Mruknełam tylko, że fajne, i demonstracyjnie odwróciłam wzrok. Nie nalegała. Ślicznie wygląda, jak gwiazda filmowa. Przeglądam jej profil. Album ze zdjęciami z sylwestra; a jakże, komuś trzeba się pochwalić. Jakiś wpis piętnujący pedofilię w kościele. Bierze w obronę niewinne dzieci czy wścieka się na księży? Chyba raczej to jeden z łatwych sposobów zwrócenia na siebie uwagi. Niżej entuzjastyczna opinia na temat *Pępowiny* Majgull Axelsson. Mnie ta książka nie zachwyciła, a zdania mamy nie znałam, nie zastanawiałam się nawet, czy przeczytała. Męczy mnie przeglądanie jej wpisów, na razie wolę się bawić, więc klikam na „znajomi” i odnajduję Olę. Wysyłam zaproszenie, po czym, z masochistycznych powodów, wchodzę w album mamy z sylwestra i przyglądam się facetom, z którymi tańczyła. Jeden powtarza się częściej, na niego patrzy maślanym wzrokiem. To może być kochanek. Słyszę, że samochód podjeżdża, więc gwałtownie wyłączam komputer i chowam modem. Przypominam sobie, że muszę być wystraszona. Przed chwilą przeżyłam włamanie.

Nagle rozlega się krzyk, potworny wrzask bólu i przerażenia. Aż tak przejęła się kradzieżą? Co jej zginęło? Krzyk nie ustaje, wydaje się wręcz coraz głośniejszy. To brzmi, jakby ją zarzynano. Może ktoś zaczął się na dole i poddaje ją teraz nieludzkim torturom. Drobniutka, niewysoka Ola z pewnością nie byłaby w stanie. Może sama odjechała, jej chłopak został. A może jakiś bestialski zboczeniec wszedł, korzystając, że drzwi nie chroni żaden zamek. Krzyki się nasilają, ale to chyba dlatego, że mama jest bliżej. Nie idzie zwykłym, lekkim krokiem, stąpa ciężko, powoli, jakby każde posunięcie wymagało nadludzkiego wysiłku. Wciąż wrzeszczy. Wszystkie włoski stają mi na rękach.

# Ola

Jest po szesnastej, kiedy nieco się uspokaja. Dziewczyny z pierwszej zmiany poszły już, te z drugiej wydają się mniej plotkarskie. Siadam do komputera, sprawdzam pocztę. Nie ma wiadomości od Doroty. Kurczowo ściskam myszkę. Co to oznacza? Nie chce do mnie pisać czy coś się stało? Zdaję sobie sprawę, że mogą być tysiące wyjaśnień, ale się boję. Za każdym razem, gdy drzwi się otwierają, mam wrażenie, że to policja przyszła mnie zapuszkować. Dużo silniejszy strach budzi jednak inna myśl. Czy to możliwe, że Krzychu coś jednak zrobił dziewczynie na wózku? Kiedy zacisnął palce na moim ramieniu i wepchnął do samochodu, ukazał oblicze, którego dotąd nie znałam. Może w ogóle znam go powierzchownie, a opinię wyrobiłam sobie na podstawie kontaktów w bidulu.

Gdy się pojawiłam, nie zwracał na mnie uwagi; on był chłopakiem, ja dziewczynką, znajdowałam się poza obszarem jego zainteresowań, chociaż chodziliśmy do jednej klasy. Udawałam, że mnie nie obchodzi, ale czułam dreszcze za każdym razem, gdy rzucał krótkie „cześć”. Zadurzyłam się po raz pierwszy, mając jedenaście lat, pewnie dlatego, że nigdy mnie nie przezwiał, nie podstawił nogi, nie wyśmiewał się z kulawego chodu. Z zaczepkami innych radziłam sobie całkiem nieźle. Nazywali mnie kuternogą, wielkie rzeczy! Wolałam to niż kulas wcześniej stosowane przez dzieciaki z osiedla, które przyswoiły to od babci. Byłam przyzwyczajona do wyzwisk i nieustannego poszturchiwania. W domu dziecka początkowo bardziej niż z czymkolwiek innym zmagalam się z głupią tęsknotą i wściekłością, że zostałam porzucona. Gniew niekiedy skierowany był przeciwko mamie, głównie jednak wściekałam się na siebie, że jestem kaleką. Trzymałam to wszystko pod kontrolą właśnie dzięki fascynacji Krzychem. Umiałam się maskować, nikt nie zauważył. Widziałam, że inne dziewczyny ze szkoły, nie zważając, że jest z bidula, go podrywały. W domu dziecka też był ulubieńcem wszystkich. Marzyłam, że będziemy parą. Wyobrażałam sobie spacerki za rączkę, pocałunki, nawet ślub. Bzdety, ale sprawiły, że nie zwariowałam.



A potem mama zapomniała o moich urodzinach, a dziewczyny urządziły mi kocówkę. Przestałam myśleć o Krzychu, rozważałam możliwość ucieczki. Opracowałam nawet plan przekonania mamy, żeby ukryła mnie w piwnicy na jakiś czas. Nie dawałam rady żyć w domu dziecka, byłam pewna, że mama mnie kocha, lecz ma po prostu przejściowe problemy. Tym razem chciałam przypilnować, żeby nie tknęła alkoholu ani nie puszczała się za pieniądze. Wierzyłam, że będzie dobrze. Planowałam, że wyjedziemy do innego miasta i będziemy pracować. Wolałam nie chodzić do szkoły, by być cały czas z mamą. Snułam wizje, że zatrudnimy się w kuchni, może na budowie. Wszystko jedno. Nie wiem, na ile w to wierzyłam, a na ile zabawiałam się takimi marzeniami, w każdym razie wiadomość o śmierci mamy brutalnie to przerwała.

Przestałam przekraczać próg szkoły. Zamiast na lekcje udawałam się na plażę. Szłam daleko, tam, gdzie o tej porze roku nie błakali się żadni turyści, siadałam na mokrym piasku i patrzyłam na morze. Najbardziej lubiłam, kiedy było wzburzone, a lodowaty wiatr smagał mi twarz. Trzęsłam się z zimna, ale nie wstawałam, nie próbowałam się rozgrzać. Potem wracałam do domu dziecka, żeby coś zjeść i przespać się w ciepłym łóżku. Nie miałam dokąd uciekać.

Któregoś dnia jak zwykle zrobiłam sobie długi spacer brzegiem i usiadłam. Morze było spokojne, powietrze dość ciepłe. Zdjęłam więc kurtkę, położyłam obok. Tam, na plaży, chciałam czuć chłód. Zapatrzyłam się w niewielkie fale. Woda nie chciała jednak okazywać gniewu. Nie przeszkadzało mi to. Wystarczał mi sinawy kolor i przestrzeń. Zastanawiałam się, czy mama poszła do piekła. Babcia zawsze jej to przepowiadała. Pomyślałam, że ja pewnie też, kiedy umrę, pójdę do piekła, więc może być całkiem fajnie. Spotkam mamę i ojca. Jestem przecież córką szatana. Uśmiechnęłam się. To określenie dawno nie wracało, a było takie miłe.

– Dlaczego nie chodzisz do szkoły?

Odwróciłam się. Jak mogłam go wcześniej nie zauważyć? Jakiś metr ode mnie siedział Krzychu.

– Moja sprawa – mruknęłam.

– Przykro mi, że twoja mama nie żyje.

Nie odpowiedziałam. Połknęłam łyżę. Odkąd znalazłam się w domu dziecka, płakałam rzadko. Owszem, poryczałam się, kiedy wychowawca powiedział, że mama zapłała się na śmierć, ale to był wyjątek.

– Mogę tu trochę z tobą posiedzieć?

Przysunął się, ale dystans był bezpieczny. Musiałby wyciągnąć rękę, żeby mnie dotknąć. Przez chwilę tego właśnie chciałam.

– Śledziłeś mnie? – odpowiedziałam pytaniem.

– No... szedłem za tobą.

Jeszcze udawałam, że się wściekam.

– Jakim prawem?!

– Lubię cię – odpowiedział po prostu. – Chcesz być moją dziewczyną? Przy mnie nikt nie zrobi ci krzywdy.

Jak mogłam się nie zgodzić? Oto moje marzenia się spełniły. Zostaliśmy oficjalnie parą. Od tej pory, jeśli ktoś próbował mi dokuczyć, miał do czynienia z Krzychem. Wiem, że dziewczyny szeptały, dziwiły się wrednie, jak on może z taką, ale nie interesowało mnie to. Wprowadził mnie do swojej paczki, a faceci mnie zaakceptowali. To był najlepszy okres w moim życiu. Byłam zakochana, ale jednocześnie zaczynałam rozumieć znaczenie słowa przyjaźń. Powoli zdradzałam mu swoje tajemnice. Opowiedziałam o mamie, babci, pokazałam stopę. Pocałował mnie w nią, powiedział, że cała mu się podobam. To był pierwszy pocałunek, nie mogłam wyobrazić sobie romantyczniejszego.

Krzychu. Robi mi się zimno. Wepchnął mnie brutalnie do samochodu, ale czy mógł zrobić krzywdę kalece bez nóg?

– Ola! Dobrze się czujesz?

Wzdrygam się i widzę szczerze zatroskaną twarz Anki. Nie rozumiem, o co jej chodzi.

– Jesteś taka blada. Wyglądałaś, jakbyś miała zemdleć – wyjaśnia.

– Dziękuję, Aniu. Wszystko dobrze.

Koleżanka odchodzi, a ja ponownie patrzę w ekran komputera. Żadnej

wiadomości. Wchodzę na fejsa, jak to zwykle robię, kiedy nudzi mi się w pracy. Trudno teraz mówić o nudzie, ale siła przyzwyczajenia jest ogromna. Jedno nowe zaproszenie. Dorota Newborn. To musi być ona. Szybko klikam na informacje. Dzisiaj się zarejestrowała, w znajomych sami pisarze. Czemu się dziwić? Mieszka z bibliotekarką, w jej pokoju było wiele książek. Z pewnością je kocha i sporo wie o literaturze. Przyjmuję zaproszenie i wypełnia mnie ulga. Nic jej nie jest. Krzychu nic jej nie zrobił.

# Dorota

Drzwi się otwierają i wchodzi mama. Makijaż jej się rozmazał, w oczach ma szaleństwo, ale wygląda, że nie jest fizycznie zraniona.

– Dorota. Nic ci nie jest? – Zachłystuje się słowami, końcówki giną w szlochu.

Po prostu bała się o mnie?

– Wszystko w porządku, mamusiu. – Uśmiecham się szeroko.

– Dzięki Bogu.

Przytula mnie krótko, po czym wciąga spazmatycznie powietrze. Wydaje mi się, że powtarza jakieś słowo, coś usiłuje przekazać.

– Co się stało, mamusiu? – Przybieram najbardziej łagodny ton, na jaki potrafię się zdobyć.

– Ma... ma. Mama.

Chyba jednak jej odbija. Nie wiem, co zginęło, ale trudno mi uwierzyć, żeby mama wzywała własną matkę na pomoc po odkryciu spustoszenia. Do mnie przed chwilą zwróciła się po imieniu, więc raczej nie myślę jej się z babcią.

– Mówisz o babci Kasi, mamo? – Próbuję cokolwiek z niej wydobyć.

– Tak.

Siada na podłodze, chowa twarz w dłoniach. Czekam w milczeniu. Kiedy w końcu podnosi głowę, wygląda jeszcze bardziej upiornie niż przed chwilą, ale słowa, które wychodzą z jej ust, są całkowicie zrozumiałe.

– Babcia... Kasia... leży... w kuchni... martwa. Ma... przestreloną... głowę.

Co ona plecie? Babcia Kasia jest w Warszawie, według jej własnych słów zaharowuje się na śmierć na utrzymanie naszego domu, nie składa

niezapowiedzianych wizyt. Szczęki zaczynają mi latać, zęby obijają się o siebie, mam ochotę wrzeszczeć jak mama przed chwilą, mimo to zmuszam się do kamiennego spokoju.

– Mamo, co ty mówisz? Babcia nie miała teraz przyjeżdżać.

Moje słowa uruchamiają nowy atak hysterii. Czuję, że nie wytrzymam, zacznę walić pięściami, gdzie dosięgnę, rozwalę wózek, szafkę, komputer. Komputer? To przecież teraz mój kontakt ze światem. Mama jest w stanie coś wyartykułować, tym razem znacznie szybciej niż poprzednio.

– Dzwoniła... wczoraj... do... mnie. Jechała... na urlop... przez... Gdańsk. Nie... wiedziała, czy... wpadnie... nie mówiłam... ci.

A jeśli mama nie zwariowała, jeśli babcia naprawdę nas odwiedziła i leży tam teraz z przestreloną głową? Babcia Kasia, która biła mnie linijką i nazywała potworkiem. Babcia, która wyrzekała się dla mnie rozrywek i znajomości, ofiarowywała czas, opiekę, wykształcenie. Miłość. Najtrudniejsza miłość świata, ale kochałam ją. Kocham. Ona mnie też. Nie chcę myśleć o niej w czasie przeszłym.

Mama wstaje. Jej twarz jest cała w sinoczerwonych plamach, ale nie widzę już rozmazanego tuszu. Widocznie wytarła się chusteczką. Przenosi mnie na łóżko, przytula.

– Córeczko, przepraszam. To takie potworne.

– Ona... naprawdę tam jest? Nie żyje?

– Jest i nie żyje. Mamy siebie. Jak to dobrze, że nic ci nie zrobili.

Wczepiam się w nią. Gładzi mnie po włosach, całuje. Odsuwam się odrobinę, ujmuję jej ręce. Opowiem wszystko. Babcia zostanie pomszczona, mordercy pójdą za kratki. Nabieram oddechu, ale to ona odzywa się pierwsza.

– Najgorsze, że nie możemy nawet zawiadomić policji.

Wpatruję się w nią z niedowierzaniem.

– Nie możemy? – powtarzam. Kręci głową.

– To niemożliwe. To ona tak wszystko poustawiała. Nie odkręcimy tego.

– Nie odkręcimy?

– Nie.

Ponownie mnie przytula, a ja pozwalam się gładzić i całować. Dopiero po chwili mówię stanowczo.

– Chcę ją zobaczyć.

– Dorota, to nie najlepszy pomysł. Ona... nie powinnaś jej tak zapamiętać.

– Chcę ją zobaczyć! – już krzyczę. – Muszę ją zobaczyć!

Naprawdę muszę. Muszę wiedzieć, czy nie ulegam jakiejś misternej mistyfikacji. Jej oczy się zwężają.

– Dobrze.

W kuchni naprawdę leży martwa babcia. Nie ma już twarzy. Nie ma zimnych jak Bałtyk oczu. Powstrzymuję odruch wymiotny. Chcę ją jakoś pożegnać. Podjeżdżam, ujmuję jej palce. Nigdy nie były tak sztywne. Żegnaj, babciu – mówię w myśli. Wszystko powinno być inaczej. Wszystko mogło być inaczej. Dlaczego nie słyszałam wystrzału – zastanawiam się idiotycznie. Są tłumiki, przypominam sobie. Odwracam się do mamy.

– Zgłośmy to na policję. Miałaś szesnaście lat, łatwo cię było omotać. Nie ukarzą cię surowo.

– Dorota, czy ty nie rozumiesz, że nie chodzi o mnie? Jeśli pójdę do więzienia, ciebie zamkną w ośrodku pomocy społecznej. Muszę o tym myśleć.

Nadal to samo, wszystko dla mojego dobra.

– Zawiozę cię teraz na górę i posprzątam tu. – Jej ton jest już zupełnie spokojny, całkowity kontrast z oszalałym wrzaskiem sprzed... nie wiem nawet, ile czasu minęło, zapomniałam o swoim bajeranckim zegarku. – W nocy będę musiała coś zrobić z ciałem. Niedobrze, że wzięłaś ją za rękę, zostaną twoje odciski palców.

– Mnie przecież nie ma – mówię beznamiętnie. Po chwili dociera do mnie pierwsza część wypowiedzi. – Co masz zamiar zrobić z ciałem?

– Przecież jej nie pochowam w ogrodzie – odpowiada szorstko. – Będę musiała wywieźć ją daleko stąd, do lasu.

Jasna cholera, jasna cholera, jasna cholera. Pilnuję się, żeby nie powiedzieć tego na głos. Miałam rację, pochówek w ogrodzie jest zbyt niebezpieczny, lepiej daleko od domu. Na razie nie chodzi o mnie.

– Mamo, zgłośmy to na policję – próbuję jeszcze raz. – Przynajmniej można będzie babcię pochować na cmentarzu.

– Nie ma dla niej różnicy, gdzie będzie leżeć – ucina mama.

Kładę ręce na uszach. Nie mogę tego słuchać. Nie będę krzyczeć, bo obie z babcią znajdziemy się w jednym grobie. Boże, jak mogę tak myśleć?

Mama wprowadza wózek na górę. Przyklęka obok, patrzy mi prosto w oczy. Z tej odległości dostrzegam wokół powiek czarne grudki. Mam ochotę powiedzieć, żeby się umyła, bo razi moje poczucie estetyki.

– Dla mnie to potworne, ale tak muszę zrobić. Nie mam innego wyjścia.

Będę rozmawiać na jej poziomie.

– Przecież ktoś zgłosi jej zaginięcie, a ciało wcześniej czy później się znajdzie. Co wtedy?

– Przez najbliższe trzy tygodnie nikt nie będzie jej szukał. Jest na urlopie. Jeśli znajdą ciało, w co wątpię, to daleko od nas.

– A DNA? Zostaną u nas jakieś ślady.

Patrzy z politowaniem.

– Co DNA? Przecież nas odwiedzała.

Zaczyna brakować mi tchu, jednak muszę to powiedzieć.

– A jeśli mimo wszystko policja zechce sprawdzić nasz dom? Znajdą mnie wtedy.

– Coś się wymyśli – odpowiada i dochodzę do wniosku, że to jeden z jej ulubionych sloganów.

Nie wiem, dlaczego zaczynam myśleć o pieniądzach. Mama jest upoważniona do konta babci. Nie zdziwiłabym się, gdyby jeszcze tej nocy

przełała wszystko na własne. Z drugiej strony to czyniłoby z niej główną podejrzaną, a chyba nie jest głupia. Wariatka, być może, ale o swoje bezpieczeństwo potrafi zadbać.

– Kto to był? – pyta.

Jednak chce wiedzieć. Nie patrzę na nią. Przypominam sobie twarz Oli, jej dziewczęcy głos. Myślę o chłopaku, nadąsanym, lecz uroczym. Mordercy. Nie Ola. Tylko on, ta dziewczyna z pewnością nie jest winna śmierci babci. Nie mam pewności, przecież widziałam ją tylko raz. Policji powiedziałabym wszystko, ale mamie gówno powiem. Ona nie zasługuje na wiedzę.

– Dorotko? – Ściska mi palce, aż zaczynają boleć. – Wiem, że to traumatyczne, ale spróbuj ich opisać.

Przenoszę na nią wzrok.

– Nie weszli tutaj.

Mama wzdycha z rezygnacją, po czym znów zaczyna płakać. Nie mogę jej znieść.

– Mamo, chcę zostać sama. Muszę... muszę pomyśleć o babci.

Jeśli jest urażona, nie okazuje tego. Zapewne zabierze się z ochotą za usuwanie śladów. Ciało babci zapakuje do bagażnika dopiero nocą. Babcia była taka drobniutka, że jej córka powinna dać radę.

Drzwi się zamykają.

Tłukę pięściami w poręcz fotela. Babcia. Przecież nie jestem bezsilna. Mam kontakt ze światem. Mogę ujawnić swoje istnienie i morderstwo.

Uspokajam się, zaczynam myśleć. Nie chodzi teraz o mnie, gra toczy się o babcię. Będzie gniła pod ziemią gdzieś w środku lasu. Nikt nie usiądzie przy jej grobie, nie zapali świeczki, przypadkowy przechodzień nie przeczyta nazwiska, nie zamyśli się. Z drugiej strony, jeśli rozważy się słowa mamy na zimno, w tym, co powiedziała, jest sporo racji. To babcia uwikłała nas w tę sytuację, babcia zablokowała drogi wyjścia. Załóżmy, że skontaktuję się z policją, załóżmy, że mi uwierzą i ukarzą morderców. Babcia będzie miała grób, zostanie pomszczona. Czy umarli naprawdę pragną zemsty? Czy człowiekowi po śmierci nie jest już wszystko obojętne, szczególnie miejsce



pochówku? Odrzucam na bok te pytania, bo zostają jeszcze kwestie podstawowe. Jeżeli wszystko wyjdzie na jaw, mama naprawdę pójdzie do więzienia. Nie zasługuje na to. Była dzieckiem, kiedy dała się omotać. Dla mnie jest dobra. Nie wytrzymuje czasem napięcia i trudno się dziwić. Nie jestem aniołem, nawet święty mógłby stracić cierpliwość. Zresztą mama nie robi nic poważnego. Od czasu do czasu krzyknie czy postraszy kneblem, jednak nie bije, nie spełnia grózb. A ja? Co stanie się ze mną, jeśli pójdzie za kratki? Nie otworzą się przecież przede mną bramy świata. Umieszczą mnie w ośrodku pomocy społecznej, gdzie nikt nie będzie mnie kochał. Nawet jeśli zadbają o potrzeby fizyczne, chociaż mama twierdzi, że często znęcają się nad podopiecznymi, nikt nie zaspokoi emocjonalnego głodu miłości. Zwiędnę tam z tęsknoty i wyrzutów sumienia. Oszaleję. Nie wytrzymam. Boję się o siebie? Wraca widok babci leżącej na podłodze, krwi wokół, twarzy, której już nie ma. Czuję dotyk zimnych, sztywnych palców. Mam zamiar tak to zostawić? Teraz, kiedy wreszcie zyskałam możliwość działania, nie zrobię nic? Istnieje jeszcze jedna możliwość. Mogę powiedzieć mamie, kto włamał się do domu, i wierzyć, że ona załatwi to po swojemu. Co oznacza „po swojemu” czy „załatwi”? Dokona samosądu? A niechby dokonała. Nie mam pewności. Nie wierzę, że Ola jest morderczynią czy choćby współniczką mordercy. To ona dała mi możliwość kontaktu ze światem. Pomijając wszelkie sentymenty, chyba nie po to, żebym ją wydała. To jej chłopak zabił. Mnie oszczędził, widocznie nie uważał skretyniałej kaleki za prawdziwego świadka. Ola nawet nie wie. Skąd mogę mieć pewność? A jeśli skontaktuję się z nią, a ona przekaże mu wszystko? Wrócą razem, żeby mnie zlikwidować, albo tylko on wróci. Zabije nie tylko mnie, lecz także mamę. Jediną opcją jest zawiadomienie policji, chociażby ze względu na nasze bezpieczeństwo.

Głowa mi pęka. Po raz pierwszy w życiu mam szansę podjąć samodzielną decyzję i nie potrafię. Możliwe konsekwencje jakiegokolwiek wyboru paraliżują.

– Babciu – mówię bezradnie. – Pomóż mi.

Dlaczego miałyby mi pomagać, nawet jeśli gdzieś tam jest? Gdyby coś mi poradziła, zapewne nie byłoby to najlepsze rozwiązanie. Z pewnością nie dla mnie. Twardnieję, po czym znów nadchodzi fala żałoby. Cokolwiek

zrobiła, pozostawała moją babcią i kochałam ją. Nikt nie miał prawa jej zabić.

– Dorotko, jadę.

Mama pochyła się nade mną. Przytulam ją z całej siły.

– Dokąd ją zabierasz? – Głos z trudem wydobywa się ze ściśniętej krtani.

Chcę zdobyć informacje, chociaż jeszcze nie wiem, czy potrafię zrobić z nich użytek.

Kręci głową.

– To nieistotne. Daleko.

Jeszcze raz mnie przytula i wychodzi.

Wysłuchuję się w dźwięk odjeżdżającego samochodu i wyobrażam sobie ciało babci objijające się o ściany bagażnika. Chyba mama jakoś je owinęła? W przypadku jakiegokolwiek kontroli przepadłaby z kretelem niezależnie od tego, czy wiezie trupa w worku, czy *sauté*. Używam straszliwych określeń, ale sarkazm jest chyba jedyną bronią przeciwko kompletnemu wariactwu.

Sięgam po komputer, łączę się z internetem, wchodzę na maila. Nie spodziewam się niczego, ale w skrzynce znajduję dwie wiadomości od Oli. W pierwszej prosi, żebym napisała, jak się czuję, druga jest niewiele dłuższa.

*To ty zaprosiłaś mnie do znajomych na Facebooku, prawda? Jak ci się podoba zgłębianie tajników internetu? Odezwij się.*

Kilkakrotnie czytam oba maile. Czy ta dziewczyna może być aż tak zakłamaną? Nie wierzę – powtarzam po raz kolejny. Nie wierzę w jej winę, mimo to czuję wzbierającą wściekłość. Przyszła tu z mężczyzną, który pozbawił życia moją babcię, z pospolitym mordercą. Więcej, to ona go przyprowadziła. Najprawdopodobniej wie. Nie planowała zbrodni, nie przykładała ręki – chociaż nawet to nie jest pewne – ale go kryje. Gniew narasta. Przestaję myśleć, zaczynam pisać.

# Beata

Jechała już pół godziny, z całych sił ściskając kierownicę, jakby to pomagało utrzymać odpowiedni poziom koncentracji. Nie mogła pozwolić sobie na wypadek czy choćby stłuczkę. Jakakolwiek kontrola policji nie wchodziła w grę. Nie wolno jej było nawet o kilometr przekroczyć limitu prędkości. Jeśli na drodze czaił się patrol, nie mogła dać pretekstu do zatrzymania. Wprawdzie słyszała, że w nocy kierowca nie ma obowiązku się zatrzymywać, jednak lepiej nie ryzykować w żaden sposób. Stłumiła nerwowy śmiech. Nie histeryzować. Oderwać się na chwilę od ładunku w bagażniku. Myśleć o czymś innym. Zupełnie o czymś innym nie była w stanie, więc rozważała, czy podjęła odpowiednie kroki, żeby zminimalizować niebezpieczeństwo. Wyszorowała podłogę w kuchni, wyczyściła szafki, zmyła ściany. Z pewnością nic nie wskazywało, że tam została popełniona zbrodnia. Pieniądze matki przelała na swoje konto. Może to było nierozważne? Kiedy skończy się urlop, ktoś zgłosi zaginięcie. Chyba nietrudno będzie odtworzyć operacje bankowe. Jakiś pracownik już się z nią skontaktował. Ciekawe, czy z matką też próbowali. Nie mieli szans, komórka wyłączona. W każdym razie byli czujni, a działanie nietypowe. Osoba upoważniona przelała wszystko na siebie. Teraz wystarczyło, że potwierdziła, ale co będzie później? Jak się z tego wytłumaczy? Może powie, że matka jej kazała? Niech śledztwo idzie w inną stronę. Niech pomyślą, że Katarzyna Wielosławska zdecydowała się rozwiać w powietrzu, wyjechać za granicę czy coś takiego. Przedtem jednak postanowiła zabezpieczyć swoje jedyne dziecko. Dobrze. Może nawet podsunąć pomysł, że matka często wspominała, że ma dosyć. Jeszcze nad tym pomyśli. Ma czas. W każdym razie lepiej mieć pieniądze na własnym koncie. A Dorota? Co, jeśli policja dotrze do ich domu? Jak wtedy ukryć córkę? Trzeba znaleźć jakiś sposób. Później. Teraz nie da rady zastanawiać się jeszcze nad tym.

Pomimo wysiłków nie dało się całkowicie pozbyć obrazu przestrelonej twarzy. Kiedyś fantazjowała na ten temat. Wyobrażała sobie martwą matkę i własną mściwą satysfakcję. Czasami, kiedy stara ją wkurzyła. Zazwyczaj

była dobrą, kochającą córką, może tylko zbyt podporządkowaną.

Ostatnia rozmowa. Wczorajsza.

– Wyjeżdżam na urlop.

– Tak. A dokąd?

Grzeczne zainteresowanie, które należy okazać. Byle nie za duże i nie za małe. Trafić w złoty środek.

– Nad morze. Chcesz, żebym wpadła?

Żołądek zawiązany na supeł. Czyżby właśnie usłyszała zakamuflowany komunikat, że matka zamierza spędzić urlop u niej?

– Zatrzymasz się u mnie?

– A masz coś przeciwko?

Drwiący, wyzywający głos.

– Nie. Zrobisz, co zechcesz, ale radzimy sobie same.

– Co ty powiesz? W moim domu, za moje pieniądze?

– Cholera! Więc nam już nic nie dawaj! Odbierz sobie swój dom!

– Dom na razie zachowaj, ale nad przelewami się zastanowię.

Beata rzuciła słuchawkę. Zadzwoiła za dwadzieścia minut, przeprosiła. Wcale nie chodziło o pieniądze, co sugerowała stara zołza.

– Chcę, żebyś do nas wpadła – wykrztusiła.

– Zastanowię się.

Później jeszcze jędrza wyjaśniła, że wcale nie chce spędzić całego urlopu, codziennie patrząc na córkę i wnuczkę. Beata po raz kolejny poprosiła o odwiedziny. Matka, jakby napawając się przewagą (co tam jakby – napawała się, ona to uwielbiała), powtórzyła, że się zastanowi.

No i się zastanowiła. No i miała za swoje.

Postanowiła skrócić. Była wystarczająco daleko od domu. Jeszcze trochę, a nie zdążyłaby wrócić do rana. Wjechała w leśną drogę. Po kilkunastu minutach zatrzymała samochód, wyciągnęła z bagażnika ciało owinięte w

dwa śpiwory. Ciągnęła je wąską ścieżką. Jak worek kartofli – odzywał się w głowie głos, niepokojąco podobny do głosu matki. Wreszcie polana. Usiadła, dysząc ciężko. Nie powinna przedłużać odpoczynku, nie ma czasu do stracenia. Wróciła po łopatę. Dopiero teraz las wydał się złowrogi, ciemność przerażająca. Beatko. Głos matki. Dotyk jej ręki na ramieniu. Co za bzdura. Matka nie żyje. W ogóle nie ma się czego bać, przynajmniej w tej chwili. Bandyci nie czają się w środku nocy w lesie. Szansa na doczekanie się na ofiarę równałaby się zeru. Policja nie czyha na córki grzebiące ciała matek. Duchów nie ma. Jedynym, co mogło jej zagrozić, był jakiś dziki zwierzak, ale nie brała tego poważnie pod uwagę.

Kopała od godziny. Wciągnęła się w rytm, nie zważała na ból w krzyżu, ręce popękane od zimna i pokaleczone od łopaty. Na szczęście ziemia nie była zamrznięta. Wystarczy. Trzeba wracać. Wrzuciła ciało, pośpiesznie zasypała dół ziemią. Ubiła grób, przeniosła kilka łopat śniegu z krzaków. Padało, więc świeże warstwy białego puchu przykryją ślady. Dopiero kiedy praca była skończona, dotarło do niej, co zrobiła. Przepraszam, mamó. Kiedyś się przytulały. Kiedy był ostatni raz? Bez skutku przeszukiwała pamięć. Oddałaby wszystko, żeby to znowu było możliwe. Przepraszam.

# Ola

Siedzę przy komputerze, na zmianę sprawdzając maila i Facebooka. Dorocie Newborn przybyło znajomych, ale nie wiem, czy to nowe zaproszenia, czy później zaakceptowane. Dzwoniłam do Beaty. Najpierw nie odbierała, później automat mówił, że ma wyłączony telefon lub znajduje się poza zasięgiem. Policja tu nie przysłała, więc zapewne nie zostałam wsypana. Krzychu dobijał się na moją komórkę, w końcu przyjąłem połączenie. Proponował, że wpadnie i pogadamy, ale stanowczo odmówiłam. Nie unikniemy trudnej rozmowy, najpierw jednak chcę się skontaktować z Dorotą. W pracy czułam taką ulgę, a teraz te idiotyczne przeczucia wróciły.

Odchodzę od komputera, aby zaparzyć kawę. Kiedyś kompletnie rozwalę żołądek przez taki tryb życia. No i dobrze, zagadnienie zdrowego odżywiania to najmniejszy z moich problemów.

Biorę kubek i ponownie zasiadam przed laptopem. Jest wiadomość od Doroty!

*Pytasz, jak się czuję?! Jak myślisz, jak może się czuć osoba, której zabito babcię?! Brałaś w tym udział aktywnie czy jesteś tylko współniczką morderstwa?*

Trzęsę się cała, a jednocześnie zalewa mnie pot, jakbym miała czterdziestostopniową gorączkę. Przecież to zupełnie wariactwo. Zmuszam się do maksymalnej koncentracji, kładę ręce na klawiszach i wstukuję kilka słów.

*Nic nie rozumiem. Wyjaśnij.*

Jeśli jest wariatką lub mitomanką, wymyśli historię, w którą uwierzę tylko dlatego, że będzie zgadzała się z moimi neurotycznymi przeczuciami. Na weryfikację przyjdzie pora. Wysyłam. Odpowiedź nadchodzi po kilkunastu minutach.

*Udajesz czy jesteś aż tak naiwna? To ja mogę być naiwna, jakby nie było, nigdy nie opuściłam domu, a jedynymi osobami, z którymi miewałam*

*styczność, były mama i babcia, chyba że policzymy jeszcze postacie literacki i filmowe. Ty nie masz prawa do naiwności! Potrafisz manipulować ludźmi, na przykład owinęłaś wokół palca moją mamę czy chociażby mnie, która po Twojej „wizycie” uwierzyła, że wreszcie nadeszły lepsze czasy. Planujesz włamanie, romansujesz z uroczymi przestępcami. Jeszcze raz nalegam, żebyś powiedziała prawdę: czy tylko twój przystojny chłopak jest mordercą, czy zabiliście wspólnie? Zadzwoiłaś do mamy, jak obiecałaś, prawda? Wróciła wcześniej i zastała w kuchni babcię z przestrzeloną głową. Piękny widok jej przygotowaliście, a dla babci kulę w łeb na powitanie. Oto lepsze czasy.*

Stanie się coś straszego. Tak myślałam, tak czułam. Stało się. Nie mam żadnych dowodów oprócz maila, który nie do końca trzyma się kupy. Wierzę, że dziewczyna na wózku jest córką Beaty, podejrzewałam to od pierwszej chwili, ale morderstwo wymyśliła. Gdyby to była prawda, siedziałabym teraz w areszcie zamiast w ciepłym własnej kawalerki. Wyszukuję w komórce imię Krzycha i przyciskam zieloną słuchawkę. Odbiera natychmiast.

– Oła.

– Przyjeźdź.

Rozłączam się. Nie oddzwania, więc zapewne niedługo tu będzie. Co z tego? Dotykam ramienia, wyobrażam sobie sine ślady po jego palcach. Uwierzę w wyjaśnienia pierwszego kochanka? A dlaczego niby mam wierzyć bardziej kalekiej dziewczynie, którą widziałam raz w życiu? Nic nie wiem, niczego nie mogę być pewna. Krzychu pokazał, że jest zdolny do zachowań, o które go nie podejrzewałam. To nie jest chłopak, który otoczył mnie opieką w domu dziecka, to już zupełnie inny człowiek. Jeśli zabił raz, nie zawaha się tego zrobić ponownie. Zamorduje mnie, żeby zamknąć mi usta. Niech to zrobi. Nie zależy mi na długim życiu. Wcale. Rozklejam się. Smarki lecą mi z nosa, mieszają się ze łzami. Nie o to chodzi, jasna cholera! Walę pięścią w biurko. Przynoszę z łazienki rolkę papieru toaletowego. Nadal mi zależy, żeby Krzychu nie widział mnie zasmarkanej, chociaż konkursu urody z tym czerwonym nochem i podpuchniętymi oczyma i tak już nie wygram.

*Nie wierzę w to, co napisałaś. Nikogo nie zabiłam. Krzycha spotkałam wiele lat temu, w domu dziecka. Przeszliśmy razem wiele wspólnych i*

*strasznych chwil. Nie jest moim chłopakiem, ale znam go jak nikogo innego na świecie i wiem, że nie jest zdolny do morderstwa. Policja z pewnością to wyjaśni.*

Odpowiedź przychodzi natychmiast.

*Nie wolno Ci mówić policji!*

No jasne.

*Dlaczego, do jasnej cholery?! Bo wszystko wymyśliłaś?! Prawie Ci uwierzyłam. Jednak to ja jestem naiwna, a Ty manipulujesz ludźmi.*

Wysłałam wiadomość i tępo wpatruję się w monitor. Dzwonek. Wpuszczam Krzycha.

– Usiądź – mówię, darując sobie przywitanie, i wracam do komputera.

Jest kolejna wiadomość.

*Policja nie może odkryć, że istnieję. Oficjalnie mnie nie ma, nigdy się nie narodziłam. Niczego nie wymyśliłam i dobrze o tym wiesz. Widziałam babcię ze zmasakrowaną twarzą. Kochałam ją, chociaż to ona wpadła na pomysł, żeby mnie ukryć przed światem. Zabiliście ją, albo Twój chłopak-nie-chłopak zabił, ale jesteście bezkarni. Nie możemy powiedzieć policji. Zbyt wiele mogłoby spaść na nas. Bądźcie przekłęci.*

Podnoszę wzrok. Krzychu siedzi na kanapie i patrzy na mnie. Jego oczy są takie jak zawsze: szczerze.

– Masz pistolet?

Marszczy brwi.

– Co takiego?

Wygląda na zdziwionego. Nie czuję aktorstwa. Nie jestem specjalistką od mimiki.

– Masz pistolet? – powtarzam.

– Nie. Skąd...

– Przestań.



Po co kazałam mu tu przyjść? Nie po to przecież, żeby na niego popatrzeć.

– Byłeś bardzo zdenerwowany po dzisiejszym włamaniu. Ścisnąłeś mnie tak, że nadal mam ślady, i wepchnąłeś do samochodu.

– Przepraszam. Sam nie mogę na siebie po tym patrzeć.

Jasny gwint, wyszło, jakby obrażona księżniczka żądała przeprosin. Macham lekceważąco ręką.

– Nie o to chodzi. Dlaczego byłeś tak zdenerwowany? – pytam z naciskiem.

– Oła, moim zdaniem to włamanie było zwykłą głupotą. To moja wina, ty się nie znasz na takich sprawach. Idiotycznie zrobiliśmy, zabierając stamtąd cokolwiek. Ta dziewczyna... jeśli powie, już po nas.

Walę pięścią w biurko. Ręka mnie boli. Nic dziwnego, drugi raz nadwyrężam ją w ciągu kilkunastu minut.

– Zabiłeś tam kogoś?

Patrzy na mnie z tak bezbrzeżnym zdumieniem, że muszę mu wierzyć. Poprawka: cały czas chcę mu wierzyć.

– Nikogo nie zabiłem. O czym ty mówisz?

Kładę wszystko na jedną kartę. Jeśli jest mordercą, mocno ryzykuję, ale to widocznie wpisane w mój los.

– Przeczytaj moją korespondencję z Dorotą.

Kiedy siada przed komputerem, przychodzi mi na myśl, że kładę na szali nie tylko swoje życie. Beztruosko oddaję w ręce domniemanego mordercy los Beaty i jej córki. O ile to faktycznie jest jej córka. Gdybym potrafiła się modlić, robiłabym to teraz. W zasadzie to „błagam”, które powtarzam w duchu, można chyba uznać za modlitwę, chociaż zwracam się do siły, której nigdy nie poznałam. Nie do Boga, o którym opowiadała mi babcia, w tamtego wolę nie wierzyć, z pewnością ukarałby mnie za wszystkie grzechy, a uzbierało się tego trochę. Krzychu czyta w skupieniu, marszczy brwi. W końcu odwraca się od komputera, ujmuje moje ręce. Nie cofam się, myślę tylko, że jego dłonie są równie lodowate jak moje. Co to oznacza, Jezu

Miłosierny, co to oznacza?

– Nikogo nie zabiłem – mówi wolno i dobitnie. – Czy uważasz, że gdybym był mordercą, zabiłbym starszą kobietę, a zostawił innego świadka? Pomijając fakt, że znając mnie tak długo, powinnaś wiedzieć, że mordercą nie jestem.

Wyczuwam gorycz w jego głosie. Cofam ręce i zaczynam drżeć.

– Nie wiem, nic już nie wiem. – Opanowuję się i patrzę mu prosto w oczy. – Masz pistolet? – powtarzam pierwsze pytanie.

– Nie – odpowiada, nie spuszczać wzroku.

Jest szczery? Nie jestem psychologiem, nie odczytam kłamstwa, studiując zmiany w twarzy.

– Musimy zawiadomić policję – słyszę jego głos. Twardy i stanowczy. – Powinni cię potraktować łagodnie.

Chciałabym, żeby to było takie proste. Chętnie poszłabym do więzienia, żeby pozbyć się tego straszliwego ciężaru, który siedzi mi na piersiach. Nie mogę przez chorą lojalność wobec dziewczyny na wózku.

– Widziałeś, co ona napisała. Teraz nie wolno nam tego zrobić.

– Nie wolno? – Jego głos twardnieje jeszcze bardziej. – Oła, jeśli ta dziewczyna napisała prawdę, tu chodzi o morderstwo. Jej matka też powinna zostać ukarana za utrzymywanie w tajemnicy istnienia własnej córki. Zresztą jeśli ktoś faktycznie jest martwy, najprawdopodobniej ona zabiła.

– Kto? Dorota?

– Twoja szefowa. Zapewne chciała zagarnąć oszczędności mamusi.

– Przestań! – wydzieram się. Nie podoba mi się ten cynizm. Biorę kilka głębokich wdechów i dodaję: – Nie zawiadomimy policji, dopóki ona się nie zgodzi.

Mój ton też robi się twardy. Wczuwam się w położenie tamtej kalekiej, samotnej, przerażonej dziewczyny. Nigdy dotąd nie podejrzewałam się o taką zdolność do empatii. Teraz też nie nazwałabym tego empatią. Dorota jest mną, ja jestem nią. Bzdura oczywiście, ale nasze losy wydają mi się tak

ciasno splecione, że zmiana ról jest jak najbardziej możliwa.

– Dobrze, nie zawiadomimy – odpuszcza Krzychu.

Znowu nabieram podejrzeń. Zgadza się tak łatwo. To przedtem było jedynie blefem?

– To co zrobimy?

Nie powinnam pytać, ale sama nie potrafię nic wymyślić, podjąć decyzji. Zdaję się na niego pomimo braku pewności.

– Przekonamy się, czy rzeczywiście zostało popełnione morderstwo, a jeśli tak, spróbujemy znaleźć winnego.

To brzmi jak farsa, ale kiwam głową.

– Napisz, że pojedziemy teraz do niej – dodaje Krzychu. – Obejrzymy miejsce zbrodni.

Posłusznie siadam do komputera. Nie mam już własnej woli. Piszę, co dyktuje, wysyłam. Odpowiedź przychodzi natychmiast.

*Nie! Nie wiem, kiedy wróci mama, nie możecie tu jej spotkać. Nie wolno Wam przyjechać.*

Odczytuję na głos, po czym dodaję:

– Nie pojedziemy tam.

Krzychu nabiera oddechu, najwidoczniej chce zaprotestować, jednak rezygnuje.

– W takim razie musisz wydobyć od niej adres babci. Być może tajemnica tkwi w jej życiu.

Potulnie kiwam głową i znów, nie zastanawiając się, piszę to, co mi każe.

# Dorota

Wszystko gmatwa się jeszcze bardziej. Przed chwilą wiedziałam, kto jest winien, przeciwko komu wymierzyć złość, bezsilną, to prawda, ale pozbawioną wątpliwości. Czyżby? Przecież od początku zdawałam sobie sprawę, że pozostawienie przy życiu drugiego świadka mija się z sensem. Więcej, miałam nadzieję, że to nie oni. Goście czy włamywacze, obojętnie, jak będę ich nazywać, uchylili drzwi celi, w której przebywałam od dwudziestu lat. Dlatego nie powiedziałam mamie. Wcześniej nazwałam Olę w myślach siostrą, ale to nieadekwatne słowo. Mam wrażenie, że gdyby wypadki potoczyły się inaczej, mogłabym być nią, a ona mną. Chcą prowadzić amatorskie śledztwo? Nawet jeśli nie mydlą mi oczu, to i tak bez szans, a jednak pozwolę. Nic nie wiem o tym całym Krzychu, ale Ola nie może być morderczynią. W moim zastępstwie znajdzie zbrodniarza. Marzenia, fantazje. Bzdury. Muszę jednak czymś żyć. Żądam nazwiska wspólnika Oli. Nie mam gwarancji, że dostaję prawdziwe, ale w moim życiu na gwarancje nigdy nie było miejsca. Podaję adresy: domowy babci i kliniki, którą prowadzi ze współpracowniczką. Prowadziła, poprawiam się w myśli i ponownie przeszywa mnie uczucie potwornej straty. Przez tę całą korespondencję to, co się stało, wydało mi się odrealnione, niemal jak w filmie. Nie wolno mi traktować tego jak filmu. Dodaję, że wedle informacji mamy babcia miała wyjechać na trzytygodniowy urlop, po czym dopisuję:

*Klucze do mieszkania babci są w bocznej kieszeni torebki mamy. Zawsze ma je ze sobą.*

*Wyłączam już komputer. Muszę pomyśleć, pożegnać się z babcią. Jeśli będę miała możliwość, jutro przeczytam Twoją odpowiedź.*

Wysyłam. Dzisiaj, poprawiam się w myśli. Pierwsza zero trzy, dwadzieścia cztery sekundy. Zaraz nasuwa się kolejna poprawka: przeczytam odpowiedź, o ile w ogóle się pojawi. Odkładam laptop na stolik. Babciu, jesteś gdzieś jeszcze? Czy wszystko, co z ciebie zostało, będzie spoczywać gdzieś w środku lasu? Spoczywać – idiotyczne określenie. Będzie leżeć

bezwładnie, stanie się pożywką dla robaków. To i tak najlepsza ewentualność. Nie sądzę, żeby mama dała radę umieścić cię głęboko, więc pewnie jakieś zwierzę cię wygrzebie, po czym wraz z innymi rozszarpie na strzępy. Potraktują cię jak zwykłą padlinę, bo tak naprawdę tym właśnie teraz jesteś. Babciu, daj jakiś znak, powiedz, że to nieprawda. Babciu! Ponownie otwieram komputer, gorączkowo szukam zdjęć. Muszę pozbyć się spod powiek obrazu rozszarpanego, gnijącego ciała. Jest! To ostatnie jej zdjęcie. Z Wigilii. Elegancka kobieta, wciąż piękna. Pozostały jej cztery lata do sześćdziesiątki, ale dbała o siebie, nie wyglądała na swój wiek. Korzystała z dobrodziejstw medycyny estetycznej, stać ją było. Tak czasem w złości mówiła mama. Nigdy do niej, to ja byłam słuchaczem. Nie o tym miałam myśleć. Koncentruję wzrok na fotografii. Niebieskie, zimne jak Bałtyk oczy patrzą wprost na mnie. Ile razy kuliłam się pod tym spojrzeniem? Teraz je wytrzymuję, chcę więcej. Tęsknię.

– Babciu – mówię na głos.

Nie daje mi znaku, nic nie wskazuje na to, że słyszy. Mówię dalej:

– Pomóż mi. Pomóż im znaleźć mordercę.

Oczy wydają mi się mniej lodowate, choć pozostają nieruchome i tak intensywnie niebieskie jak zazwyczaj. Znajdziemy winnego. Ola, tamten chłopak i ja. W jakiś sposób wyślemy go do więzienia, a mama zabierze mnie na wycieczkę nad morze. Nad Bałtyk, który jest tak blisko. Wcześniej jeszcze zorganizujemy babci grób. Nie powinna leżeć w jakimś dole w środku lasu. O czym ja myślę? Wyobrażam sobie cuda, a tymczasem pozostaje potworna terażniejszość. Mamy nie ma już tak długo. Dokąd zawiozła babcię? A jeżeli zatrzymała ją policja? Znaleźli ciało w bagażniku, mamę osadzili w areszcie. Wali teraz głową w ścianę, a ja czekam. Jak długo obowiązuje mnie lojalność? Ile czasu będę cierpliwa, nie poproszę o zabranie mnie z tego miejsca? Tak czy inaczej ktoś mnie zabierze, chociażby policja przyjdzie zbadać ślady. To nie jest najgorsze rozwiązanie. Zamkną mnie w domu opieki i pęknie mi serce, ale przynajmniej obie będziemy żywe. A co, jeśli mama miała wypadek? Była tak okropnie zdenerwowana, że mogła popełnić błąd przy prowadzeniu. Chora wyobraźnia podsuwa mi obraz głowy roztrzaskanej o przednią szybę. Krwawa miazga. Kolejna. Co za bzdura. Mama potrafi zapanować nad emocjami. Byłam niedawno świadkiem, jak

szybko doszła do siebie. A nawet gdyby nerwy wróciły, drogi o tej porze są puste. Podobno. Wiem tyle, ile wyczytałam. Załóżmy, że to prawda. Mogła po prostu uderzyć w drzewo. Stoczyć się do przepaści. Nie! Oddycham głęboko. Mama nie umarła. Nie umarła. Powtarzam te dwa słowa w myśli tak długo, aż serce zwalnia. Nie umarła. Jestem tego pewna. No dobrze, a jeśli podjęła wszystkie pieniądze babci i uciekła gdzieś za granicę, gdzie nikt nie będzie w stanie jej dopaść? Rozpocznie nowe, lepsze życie. Przypuszczam, że będzie miewać wyrzuty sumienia, myśląc, że zostawiła mnie samą. Początkowo bolesne i częste, później coraz rzadsze, coraz bardziej nierzeczywiste. Zapomni. To niemożliwe. Mama nie jest potworem zabijającym z zimną krwią. W jej mniemaniu nie mam kontaktu z otaczającym światem, a więc uciekając, skazywałaby mnie na powolne konanie z głodu. Nie uwierzę. Nigdy w to nie uwierzę.

Znów otwieram laptop, chcę popatrzeć na zdjęcia. Tym razem na zdjęcia mamy. Jej łagodne oczy mogą skrywać mroczne tajemnice przed obcymi. Ja znam ją na wylot. Mamo, mamusiu, wróć już. Tęsknię za tobą. Jakby na zawołanie słyszę dźwięk samochodu. Mam na tyle przytomności umysłu, żeby wyłączyć i odłożyć komputer. Lepiej, żeby mamie nie przyszło do głowy w nim grzebać. Czekam. Kobieta, którą kocham najbardziej na świecie, jedyna, która mi została, wchodzi i przytula mnie mocno. Przez chwilę płaczemy razem, czuję, że jesteśmy nierozzerwalne. W końcu mama się odsuwa i dopiero wtedy zauważam ceglaste wypieki i płonące dzikim blaskiem oczy.

– Pochowałam ją – mówi zdumiewająco spokojnie. – Jutro muszę wziąć wolny dzień i wezwać kogoś do zamontowania nowych zamków. Tamte widocznie były zbyt słabe, skoro ktoś wszedł.

Moja mama zawsze praktyczna. Uważam ją za mentalną nastolatkę, a ona daje sobie radę w sytuacjach, w których większość ludzi zostałaby przygnieciona do ziemi przez czystą grozę.

– Nawet nie ma śladu, wiesz?

– Śladu? – powtarzam bezmyślnie.

– Śladu włamania.

Dociera do mnie znaczenie. Ten chłopak-nie-chłopak Oli to prawdziwy

Arsène Lupin. Może nie musiałam nawet wspominać o kluczach do mieszkania babci.

– Nie ma śladu? – upewniam się.

– Nie – mówi sztywno. – Następne zamki jednak wstawię takie, że nikt nie otworzy. Postaraj się zasnąć, kochanie.

Kładzie mi rękę na czole. Jej palce są gorące.

– Chcę jeszcze do toalety.

Też będę praktyczna. Nie upadnę na dno. Kiwa głową. Pozwala mi wykonać wszystkie rutynowe wieczorne czynności.

– Postaraj się zasnąć – powtarza, kiedy znowu jesteśmy w pokoju.

Nie chcę, żeby odchodziła. Potrzebuję teraz ciepła drugiego człowieka. Jej ciepła. Kładzie się obok. Zamykam oczy. Pod powiekami latają urywki obrazów, ale potrafię je znieść. Nie protestuję, kiedy podnosi się i wychodzi. Delikatnie zamyka za sobą drzwi. Czy naprawdę sądzi, że mogę spać? Czy ona sama będzie spała? Sprawdzam godzinę. Piąta szesnaście, dwadzieścia jeden sekund. Za oknem zrywa się porywisty wiatr. Leżę w ciepłym pokoju, odgradzona od chłodu i fizycznych niedogodności. Babciu, czy nie jest ci zimno? Umarli nie czują zimna – odpowiadam sobie. Kieruję myśli na amatorskie śledztwo, na które wyraziłam zgodę. Załóżmy, że wbrew wszelkiej logice para włamywaczy znajdzie mordercę. Co wtedy? Nie wierzę w samosądy, nie wydaje mi się zresztą, żeby Ola i jej przyjaciel zechcieli ukarać winnego, więcej, nie oczekuję tego od nich, nie chcę, za nic. To kwestia wymiaru sprawiedliwości. Przekonam mamę. I co? Ona pójdzie do więzienia, a ja do domu opieki? Obu nam pęknie serce. Trzeba to załatwić inaczej. Nie mam pojęcia jak, ale nagle wierzę, że rozwiązanie się pojawi. Musi się pojawić.

# Ola

Od wielu godzin leżę w łóżku, przewracając się z boku na bok. Roztrząsam wszystko: minuta po minucie, słowo po słowie. Krzychu chciał jechać do Warszawy natychmiast, beze mnie, sam zająć się śledztwem.

– Nie mieszaj się już do tego, to zbyt niebezpieczne.

Nie podobały mi się te słowa. Nie podobało mi się naleganie.

– Boisz się, żebym nie odkryła dowodów twojej winy? – zapytałam drwiąco.

Nie wiem nawet, co odpowiedział. Próbowалаm odgrywać twardą, ale czułam tylko strach. Nie potrafię powiedzieć, czy bardziej bałam się o własne życie, czy o rozpadający się obraz kochanka z dzieciństwa. Uzgodniliśmy w końcu, że wstrzymamy wyjazd do Warszawy do mojego urlopu. Nie będę w tym roku jeździć na desce. Idę jeszcze do pracy dwa razy. Jutro... dzisiaj znaczy, i w piątek. Spróbuję wybadać Beatę. To ona miała najwięcej do ugrania na śmierci matki. O ile biedna, stara kobieta naprawdę została zamordowana.

Komórka ustawiona na szóstą trzydzieści rozbrzmiewa alarmem. Jestem gotowa do działania.

Kiedy docieram do pracy, Anka już jest. Jak zwykle pierwsza. To typ prymuski, jestem pewna, że w szkole zawsze miała odrobione lekcje i wyciągniętą w górę rękę. W tej granatowej sukience i schludnym kucyku, w który związała jasne włosy, nadal wygląda jak kujonka. Na twarzy ani śladu makijażu. Paznokcie króciutko obcięte, nigdy niemalowane. Informuje mnie niemal natychmiast, że kierowniczką nie będzie.

– Dzwoniła, że ma straszną migrenę i musi zostać w domu – dodaje tonem niepozostawiającym wątpliwości, że nie wierzy w to tłumaczenie.

– Może i ma – mruczę niewyraźnie. – W końcu włamania nie zdarzają się codziennie.



- Powiedziała, że ktoś jej zrobił głupi żart i żadnego włamania nie było.
- Nie było... włamania – powtarzam.
- No, nie było. – Anka wzrusza ramionami.

Być może ma ochotę jeszcze trochę pogadać na ten temat, ale odchodzę do swojego stanowiska. Włączam służbowy komputer, opadam na krzesło i ściskam skronie. Nie było włamania. Krzychu wyniósł jakąś biżuterię i siedemset złotych wciśnięte do którejś szuflady. Pokazał mi. Straty dla niej może niewielkie, ale nie mogła nie zauważyć, że ktoś wtargnął do jej domu. Kłamie, chcąc utrzymać w tajemnicy większy sekret. Dziewczynę na wózku. Własną córkę. Czy idzie za tym ukrywanie morderstwa? Brak mi na razie konkretnych dowodów. Wyjmuję komórkę, wyszukuję jej numer. Odbiera po trzecim sygnale. Głos ma ochrypły.

– Halo?

– Cześć, tu Ola. Słyszałam, że jesteś chora.

– Bez przesady. To po prostu migrena. Niedługo minie, ale nie dałabym rady pracować. – Robi przerwę, lecz nie zdąży nic powiedzieć, gdy dodaje: – Czasem takie bóle głowy mnie nachodzą... odkąd byłam nastolatką.

– Przykro mi – mówię ze współczuciem. – A to włamanie okazało się fałszywym alarmem?

– Tak. Ktoś zrobił głupi dowcip.

– To skurwysyn. – Miałam nie przeklinać, ale okoliczności usprawiedliwiają użycie mocnego słowa. – Dobrze, że nic się nie stało.

– Tak. Sama wiadomość nieźle mnie rozkleiła, wiesz, jak to jest.

Mówi miękko, wciąż tym schrypniętym głosem, ale bez drżenia, bez wahania.

– Pewnie stąd ten ból głowy.

– Pewnie tak. Dziękuję, że dzwonicz.

– Próbowałam wczoraj. Martwiłam się o ciebie.

Sama mówię miękko, a chociaż mój głos lekko drży, da się to

wytłumaczyć siostrzaną troską.

- Dziękuję – powtarza. – Chciałam oddzwonić, kiedy trochę mi przejdzie.
- Odpoczywaj. Jutro się zobaczymy.
- Tak. Do zobaczenia.

Nie wiem niczego więcej niż przed rozmową. Jeśli Dorota rzeczywiście jest jej córką, ma dużo mniej szczęścia niż ja. Została zamknięta w czterech ścianach domu, na zawsze, bez możliwości kontaktu ze światem. Moja mama i babcia nie wpadły na to. Zafundowały mi mnóstwo innych atrakcji, ale nie zmieniły mieszkania na więzienie. Mam nogi, chociaż jedna jest krótsza, a stopa przypomina końskie kopyto, umiem chodzić. Nawet biegać czy jeździć na desce. Przypadek zrządził, że urodziłam się prawie zdrowa. Przypadek zrządził, że moja babcia nie była panią doktor, ale niewykształconą kobietą, która umiała jedynie straszyć diabłem. Przypadek zrządził, że mama nie zrobiła matury i rozpiła się na śmierć, a nie została piękną kierowniczką biblioteki. Gdyby zamieniono nas miejscami, leżałabym teraz bez ruchu, zdana na łaskę jednej, jedynej osoby. Wszystko jedno, czy nazwę to przypadkiem, czy wolą bożą, ale jestem coś winna tamtej dziewczynie, którą mogłabym być.

# Dorota

Od wczoraj nie zmrużyłam oka. Nie wiem, czy mama spała, ale wygląda pięknie. Oczy ma podkrążone, tragiczne jak u bohaterki szekspirowskiego dramatu. Po wczorajszej roztrzaskanej na kawałki brzyduli nie pozostał nawet ślad.

Dzwoni jej komórka, mama wychodzi. Czasami rozmawia przy mnie, nawet z kochankiem. Zastanawiam się, kto jest po drugiej stronie, może Ola? Nie miałam dziś szansy włączyć komputera, mama nie opuszcza domu. Z pewnością nie wyjdzie, dopóki nie zainstalują nowych zamków. Mówi, że boi się o moje bezpieczeństwo. Ciekawe, że nie zaprzętała sobie tym głowy, zostawiając mnie na długie godziny ostatniej nocy. O dwudziestu latach mojego życia nie ma sensu wspominać. Tęsknię za wiadomością z zewnątrz. Poprawka. Tęsknię za e-mailem od Oli. Chcę porozmawiać z kimś, kto wie. Od kiedy mama weszła do mojego pokoju o ósmej czterdzieści sześć, dwanaście sekund, nie zamieniłyśmy nawet słowa na temat babci. Jakby jej śmierć nigdy się nie wydarzyła. Jakby jedynym naszym problemem było włamanie i nieskuteczne zamki. Mama trochę narzekała, że zginęła biżuteria i siedemset złotych.

Wraca. Jej policzki nie są już tak blade jak przed chwilą, oczy wydają się mniej tragiczne.

– Kto dzwonił?

– Ola, ta dziewczyna z biblioteki.

A więc odgadłam.

– Zaniepokoiła się o mnie – dodaje mama. – Wzruszyła mnie.

Mam ochotę parsknąć śmiechem, ale się hamuję. Nie ze względu na mamę czy Olę. Myślę o babci. Duszę się, jakbym to ja była zakopana, bez dostępu powietrza. Czy mój upiór w jakiś pokrętny sposób przepowiadał przyszłość?

– Wczoraj dzwoniła wiele razy, ale miałam wyłączony telefon.

Głos mamy przebija się jakby przez ścianę. Muszę się ocknąć. Rozlega się dzwonek, tym razem do drzwi.

– O, to pewnie fachowcy.

Mama wybiega z pokoju. Lekkie kroki na schodach irytują do tego stopnia, że miałabym ochotę walnąć czymś ciężkim. Przychodzi mi do głowy, że nawet nie prosiła, żebym była cicho. Może coś się zmieniło również w jej głowie?

Jest piętnasta czterdzieści trzy, dwadzieścia cztery sekundy, kiedy mama ponownie otwiera drzwi mojego pokoju.

– Przepraszam, że to tyle trwało. Mamy teraz naprawdę świetne zamki. Jesteś bezpieczna.

Patrzę z niedowierzaniem i nawet nie chodzi mi o jej zapewnienie o bezpieczeństwie. Zdumiewa mnie ton: coraz lżejszy, niemal żartobliwy. Zapewne flirtowała z fachowcami i to aż tak poprawiło jej humor. Zapomniała, że kilkanaście godzin temu dźwigała martwe ciało własnej matki, ładowała je do bagażnika jak worek kartofli, po czym własnoręcznie wykopała głęboką dziurę i wrzuciła do niej trupa, starannie przysypując ziemią. Musiała myśleć o zastrzelonej kobiecie po prostu jak o ciężarce, którego trzeba się pozbyć. Zrobiła to i jest zadowolona z wyników. Cholera! Mam ochotę się z nią pokłócić.

– Bezpieczna – powtarzam, wkładając w głos tyle drwiny, ile potrafię. – A jeśli wybuchnie pożar?

– Nie martw się, zdążymy uciec.

– A jeśli nie będzie cię w domu? – kontynuuję, z niezadowoleniem stwierdzając, że mój ton jest mniej drwiący, bardziej przerażony. A może błagalny?

– Co też za głupie myśli chodzą ci po głowie. – Mama uśmiecha się łagodnie.

– Głupie myśli! – Już krzyczę. Cholera, nie chcę teraz ataku, lecz on jak zwykle nie pyta o zdanie, po prostu przybywa. – A tobie jakie myśli

przychodzą do głowy?! – wrzeszczę coraz głośniej. – Ktoś zabił twoją matkę, a ty potraktowałaś ją jak ścierwo i zakopałaś gdzieś w lesie. Naprawdę chciałabym wiedzieć, o czym teraz myślisz!

Wybucham głośnym płaczem, który ustępuje równie nagle jak przyszedł. Patrzę na mamę. Osunęła się na krzesło, oddycha ciężko. Dlaczego, do jasnej cholery, nigdy nie potrafię nad sobą zapanować?!

– Pochowałam moją mamę najlepiej, jak było to możliwe. Cierpię tak bardzo, że wątpię, abyś potrafiła to zrozumieć. – Rani mnie specjalnie. Iskierka buntu zapala się i gaśnie. Ma rację. – Próbuję mimo wszystko poukładać nasze życie. Sądziłam, że mi pomożesz.

Jest chorobliwie blada, wygląda jak osoba na skraju omdlenia. Przeze mnie.

– Mamo, przepraszam – szepczę i wyciągam rękę.

Przez chwilę jeszcze siedzi nieruchomo, po czym podchodzi, klęka przy wózku i przyciąga moją dłoń do ust. Oddałabym za nią życie, a ranię ją bez przerwy.

– To ja przepraszam, Dorotko.

Nie pytam, za co. Lepiej, żeby nie tłumaczyła, później żałowałybyśmy obie.

Mama wyszła spotkać się z ukochanym. Takiego właśnie użyła określenia. Z ukochanym. Nie chcę o tym myśleć, wyobrażać sobie, co robią, bo wtedy jej nienawidzę. Wcale nie chodzi o to, że matka, seks, te sprawy. Miałam sporo czasu, żeby się przyzwyczaić, sama mi opowiadała. Teraz jednak nie powinna pocieszać się w ten sposób. To obrzydliwe. Drżącymi rękoma sięgam po komputer. Wchodzę na pocztę i widzę dwie wiadomości od Oli.

*Dorota, nie mam dowodów na to, o czym piszesz, ale przyjąłam pewne założenia i postanowiłam postępować zgodnie z nimi. Wierzę, że ktoś zastrzelił Twoją babcię i jest mi tak straszliwie jak wtedy, gdy umierała moja. Nie umiem pocieszać, ale obiecuję, że zrobię wszystko, żeby wyjaśnić tę sprawę. Przesyłam energię, mam nadzieję, że chociaż trochę to poczujesz.*

Następna wiadomość jest sprzed kilku godzin.

*Rozmawiałam z Beatą. Teraz mam dowód: ona kłamie. Zaprzeczyła, że było jakiegokolwiek włamanie, stwierdziła, że ktoś zrobił głupi żart. Ukrywa Ciebie, to przestaje być kwestią wiary. Prawie mi jej żal. Na morderstwo nadal nie mam dowodów, ale trzymam się tego, co napisałaś. Współodczuwam z Tobą. Nie wiem, czy to rozumiesz. Mam nadzieję, że tak. Napisz, kiedy będziesz mogła.*

Oczywiście, że rozumiem. Ja też współodczuwam z nią, chociaż niczego o niej nie wiem ponad to, że pierwsza ofiarowała mi namiastkę wolności.

*Ola, mam podobne odczucia. Chwilami wydaje mi się, że jesteś moją siostrą. Chciałabym mieć siostrę. Mama pochowała babcię, ale nie mówi gdzie. Przyjechali fachowcy, wstawili nowe zamki. Mama poszła i nie wiem, kiedy wróci. Znajdźcie mordercę babci, inaczej nikt nie zazna spokoju. Piszę straszliwie patetycznie, prawda? To jednak dokładnie to, co myślę.*

# Beata

Szła tak szybko, że dostała zadyszki. Tajemna schadzka, jak zwykle. Na nic innego nie mogła liczyć. Gdzieś na drugim końcu Trójmiasta była kobieta, z którą Tomasz nie sypia, nie rozmawia, nawet na nią nie patrzy, gdy mijają się w drzwiach. Może to i prawda, inaczej nie spędzaliby sylwestra osobno. Beata zapytała kiedyś, co robiła Marta ostatniej nocy starego roku. Wymówiła imię żony lekko, jakby mimochodem, a Tomek wsunął jej rękę pod bluzkę i odparł, że Marta lubi zagraniczne wycieczki, więc pojechała do Paryża. Ich małżeństwo to formalność – dodał. Tkwią w nim ze względu na wydawnictwo, które razem prowadzą. Wyznaczyli sobie zupełnie inny zakres obowiązków, jednak rozwód skomplikowałby kilka spraw. Teraz jestem na to gotowy – stwierdził. Beata nie dopytywała, poddała się pieścizom jego dłoni, przyjęła pocałunki. Właśnie wtedy pierwszy raz poszli na całość. Było warto. Do tematu małżonki nie wracała, bo i po co? Poszukała jednak w internecie. Duże historyczne wydawnictwo. Historyczne głównie z nazwy. U nich w bibliotece było sporo ich książek, większość powieściideł niemających związku z historią. Właściciele z pewnością nieźle prosperowali. Chętnie udzielali wywiadów, pokazywali twarze. Marta była ładna, chociaż trochę w typie taniej dziwki. To ona jednak była żoną, a Beata umawiała się na ukradkowy seks w wynajętej garsonierze. Dziś to jednak nie było ważne. Chciała tylko pozwolić się zamknąć w silnych objęciach, zapomnieć.

Otworzył drzwi i wciągnął ją do środka. Od pierwszego pocałunku zatraciła się zupełnie. Nigdy wcześniej z taką intensywnością nie odczuwała aktu miłosnego. Przestała istnieć jako odrębny byt; były dwa ciała zespolone w jedno, dwie połączone dusze. Dopiero teraz zrozumiała, co to znaczy. Gdy skończyli, płakała wtulona w jego objęcia. Straszne obrazy wracały, lecz była w stanie stawić im czoła.

– Kocham cię – szepnęła.

Pocałował ją w usta.

– Ja też – powiedział, przesuwając dłońmi po jej ciele.

Ponownie był gotowy, przyjęła go z radością. Poruszał się, doprowadzając do wrzenia ją i siebie. Znowu jedność. Dźwięk jego komórki wydał się dysonansem.

– Niech dzwoni – szepnął, lecz widziała, że zerknął na wyświetlacz.

Zamknęła oczy, próbując odgrodzić się od głupiej melodii. Telefon zamilkł i słychać było tylko szybkie, chrapliwe oddechy kochanków. Za chwilę jednak wdarł się w to sygnał SMS-a. Tomasz poruszał się coraz szybciej. Beata czuła, jak się oddala. Miłosne napięcie opadło. Patrzyła z zewnątrz na jego szczytowanie. Pocałował ją szybko we włosy i sięgnął po telefon.

– Muszę iść – mruknął. – Praca.

Nie zareagowała, zagryzła tylko usta. Kiedy usłyszała, że odkręcił prysznic, wzięła jego komórkę pozostawioną na szafce. Nie zastanawiała się, po prostu weszła w wiadomości. Ostatni SMS był od Marty. Nie sądziła, żeby jakaś inna kobieta była tak oznaczona.

„Jesteśmy już w domu. Emilka chce cię zobaczyć. Ja też”.

Rzuciła aparat, jakby ją parzył, po czym podniosła go z przesadną ostrożnością i wróciła do menu głównego. Woda nadal się lała. Też powinnam się umyć – pomyślała. Trzeba jednak poczekać z zabiegami higienicznymi. Ubrała się szybko, lecz nie udało jej się opuścić mieszkania, zanim Tomasz wyszedł z łazienki.

– Już w płaszczu?

W jego głosie była lekka nagana, nad którą Beata się nie zastanawiała.

– Tak. Ja też muszę lecieć.

Uśmiechnął się szeroko, objął ją w pasie i pocałował w szyję.

– Byłaś dziś jeszcze lepsza niż zwykle. Wzdrygnęła się, odsunęła.

– Pa.

– Nie poczekasz? Za dwie minuty będę gotowy.

– Nie, naprawdę muszę iść.



Otwierała już drzwi frontowe, ale odwróciła się i spytała: – Dawno wynająłeś to mieszkanie?

– Jakies trzy lata temu. Czasem wolę pracować zupełnie sam.

Zbiegała ze schodów, przeskakując po dwa stopnie.

*Jesteśmy już w domu. Emilka chce cię zobaczyć. Ja też.*

Emilka. Nigdy nie wymówił tego imienia. Córeczka? Najprawdopodobniej. Nie napomknął, że ma dzieci, ale Beata nie pytała. Więcej, sama nie wspomniała o własnym dziecku, więc byli kwita. *Czasem wolę pracować zupełnie sam.* Sratatata. Pieprzenie bibliotekarki nie należy chyba do obowiązków właściciela wydawnictwa. Ile podobnych idiotek przewinęło się przez to mieszkanie? Dlaczego to tak cholernie bolało? Kolejny zawód miłosny przeżywała równie intensywnie jak pierwszy. Przynajmniej tym razem nie pozostała jej pamiątka na całe życie. Dobre i to.

Wyciągnęła komórkę i wyszukała w kontaktach autorkę z wydawnictwa Tomasza, którą biblioteka dość często zapraszała na spotkania autorskie. Czytelniczki ją uwielbiały. Aneta Wielgas, zdaniem Beaty typowa grafomanka, okazała się uroczą osobą.

– Cześć, Beatko. Miło, że dzwonisz.

Muszę przestrzegać konwenansów – pomyślała Beata. Szczególnie teraz. Zmusiła się więc do rozmowy o niczym. Dowiedziała się, że Aneta pisze nową książkę, ale w tej chwili jest w trasie. Objeżdża biblioteki w Polsce centralnej.

– Niedługo my też będziemy musieli cię zaprosić. Czytelniczki już się dopominają.

Dopiero kiedy to powiedziała, pomyślała, że „musieli” nie brzmi zbyt dobrze. Aneta jednak nie wydawała się urażona i odrzekła, że uwielbia do nich przychodzić.

– Wiesz – Beata się postarała, żeby jej ton brzmiał lekko – poznałam szefa twojego wydawnictwa.

– Tomka? Uroczy człowiek.

Też z nim spałeś? Zdusiła to pytanie i zadała zupełnie inne.

– A jego żona? Też taka fajna?

– Tak. Są świetną parą.

Beata zacisnęła mocniej palce na aparacie.

– Mają dzieci?

– Tak. Córeczkę. Jest chora.

– Chora?

– Tak. Coś z kośćmi. Jakaś rzadka choroba. Marta pojechała z nią do Paryża na operację.

– Ach tak. Mam nadzieję, że jej pomoże.

Nie mogła ciągnąć tej rozmowy. Pożegnała się dość raptownie, ale Aneta nie okazała zdziwienia, jej „do usłyszenia” było spokojne i serdeczne.

Jedna dobra rzecz z tego wynikła. Tajemne mieszkanie kochanka zainspirowało ją do działania. Później czegoś poszuka. Teraz musiała wrócić do córki.

# Ola

Dzwonek. Wpuszczam Krzycha i parzę kawę. Siadamy przy kuchennym stole. Nie chcę przyjmować go w pokoju, nie mam zamiaru zapadać się w fotel czy sofę, odczuwać jakiegokolwiek namiastki komfortu. Dorota ma rację: nikt nie zazna spokoju, jeśli nie znajdziemy mordercy. Z pewnością ja nie zaznam.

– W sobotę raniutko wyjeżdżamy. – Krzychu powtarza to, co uzgodniliśmy już poprzednio. – Ty wybadasz sytuację w klinice, ja pójde do mieszkania.

To coś nowego. Kręcę głową.

– Absolutnie się nie zgadzam. Chcę być obecna przy wszystkim.

– Ola, czy nie rozumiesz, że to kolejne włamanie? Kolejne ryzyko? Jeśli ktoś nas nakryje, pójdziesz siedzieć, chociażby za współudział.

Mój świat, wybudowany z takim mozołem, runie. Świat młodej bibliotekarki, wolnej od nałogów i mężczyzn, mieszkającej w samodzielnej kawalerce. Troszeczkę dręczonej przez demony. Wybucham śmiechem, sama słyszę, jak jest nieprzyjemny. To atak, którego nie potrafię opanować. Krzychu czeka cierpliwie, aż minie.

– Nie pozwolę, żebyś zacierał ślady w jej mieszkaniu – mówię, kiedy jestem w stanie cokolwiek wyartykułować.

– Ślady w jej mieszkaniu – powtarza Krzychu, jakby smakował każde słowo. – Ślady czego?

Zbrodni. Twojej znajomości z nią. Może nawet romansu bogatej starszej pani i młodego włamywacza dzentelmena. Ciśnie mi się na usta mnóstwo odpowiedzi, a każda bardziej absurdalna od poprzedniej.

– Nie wiem czego, Krzychu. – Czuję się potwornie zmęczona. – Sama muszę widzieć, co tam jest. Liczę się z ryzykiem od początku. Nie rozumiesz, że jestem w to wplątana co najmniej tak samo jak ty? Zresztą to chyba ja cię

wplątałam – dodaję ciszej. – Muszę obejrzeć jej mieszkanie.

– Dobrze – zgadza się, a ja nabieram podejrzeń, że trochę za łatwo. – Nie podoba mi się to, ale wejdziemy tam razem.

– Poza tym przecież nie pozostawiasz śladów – przypominam.

– To nadal włamanie – odparowuje. – Przed drzwiami domu twojej szefowej staliśmy z pół godziny, zanim je otworzyłem. – W Warszawie to nie dom na uboczu, lecz mieszkanie. Ktoś będzie przechodził i jesteśmy ugotowani.

– Nie musimy się włamywać. – Opowiadam mu o kluczach. – Wezmę je jutro podczas pracy, a ty dorobisz.

Znów trochę marudzi, ale ostatecznie zgadza się stać przed biblioteką. Dam mu sygnał i spotkamy się na klatce. Pójdzie do zakładu i przyniesie oryginały jak najszybciej. Wiem, że to nie takie łatwe, ale będę się martwić o wykonanie dopiero jutro. Krzychu zmienia temat.

– Zadzwoń też do tego gabinetu i postaraj się umówić na wizytę już w sobotę.

Mając końskie kopyto i krótszą nogę, mogę się umówić bez wzbudzania jakichkolwiek podejrzeń. Już mam przytaknąć, kiedy nagle przychodzi mi do głowy, że Krzychu może unikać pokazania się w miejscu pracy ofiary z obawy przed rozpoznaniem.

– Pójdiesz ze mną – oznajmiam kategorycznie.

Uśmiecha się niemal łobuzersko. Prawie mi się to podoba.

– Jasne. Będę ci towarzyszył jako mąż.

Teraz miałabym ochotę roześmiać się z ironią, ale mi nie wychodzi. Coś podejrzanie ściska mnie w gardle.

– Dobrze – odpowiadam obojętnie.

– Może spędzimy tam kilka dni, jeśli rzeczywiście jest czego szukać. Jutro postaraj się wyciągnąć od szefowej, ile się da. Może...

Nie wiem, co chce powiedzieć, bo przerywam mu gwałtownie:

– Dziś rozmawiałam z nią przez telefon. Twierdzi, że żadnego włamania nie było.

– No... to już o czymś świadczy. Nie wiemy, dlaczego kłamie, ale może to ona.

– Że niby ona zabiła?

Krzychu wzrusza ramionami.

– To chyba ona miała najwięcej do ugrania na śmierci matki, nie?

Spuszczam oczy. To najbardziej prawdopodobna hipoteza. Odrzucałam ją ze względu na Dorotę, ale trzeba sprawdzić. Obiecałam, że znajdziemy mordercę i dojdę do prawdy, jakkolwiek bolesna by nie była.

– Przypuszczam, że finansowo by na tym zyskała, ale miejsce zbrodni wydaje mi się idiotyczne.

– Zgadzam się. Od razu wskazuje na nią. W każdym razie wydobądź z niej jak najwięcej.

Radzi mi, o co i w jaki sposób pytać, ale się wyłączam. Nie mam zamiaru już się kłócić, ale wiem jedno. To ja jestem specjalistką od szefowej, nie on.

– Idź już. Chciałabym się wyspać przed jutrem.

Odprowadzam go do drzwi. Próbuje mnie objąć, ale się uchylam. Widzę, jak zaciska szczęki i cieszę się, że mam jeszcze odrobinę władzy.

Leżę w łóżku z szeroko otwartymi oczyma. Jeśli faktycznie jest trup, do tej pory dostrzegam jedynie dwóch podejrzanych: matka Doroty i Krzychu. Dojdę do prawdy, jakkolwiek nie byłaby bolesna – powtarzam. Nie wiem tylko, czy dam radę później żyć. Gdybym potrafiła się modlić, błagałabym teraz, żeby to była Beata. To zniszczy tamtą dziewczynę. Trudno. Wymyśliłam sobie jakąś więź, ale niedawno wcale Doroty nie znałam. To nie może być Krzychu. Błagam. Chyba się jednak modłę do nieznanych bogów. Długo powtarzam „błagam”, najpierw w myśli, potem szeptem, aż dochodzę niemal do krzyku. W końcu milknę. Znika dorosła bibliotekarka, która nie wiedzieć dlaczego postawiła wszystko na jedną kartę. Staję się czternastoletnią dziewczynką, która wierzy, że miłość pokonuje zło, kalectwo i brzydotę.

Leżę z Krzychem na plaży. Rozłożył kurtkę, całuje mnie w usta, jego dłonie błędzą pod swetrem po ledwie rozwiniętych piersiach. Noc jest pogodna, rozświetlona gwiazdami, ciepła, chociaż to dopiero początek maja. Odpycham go delikatnie i siadam. Koncentruję się na tym, co postanowiłam zrobić. Pokazałam mu kiedyś końskie kopyto, ale nigdy później do tego nie wracaliśmy. Teraz podwijam nogawkę spodni, zdejmuję podkolanówkę.

– Tak wyglądam, pamiętasz? – mówię, nie patrząc na niego.

Dotyka mojej zniekształconej stopy, gładzi, pochyla się i pięści ją wargami. Naprawdę go nie odrzuca.

– Jesteś piękna wszędzie – szepcze i mu wierzę.

Nic poza tym nie ma znaczenia. Ja i on. Na zawsze. Długo się przygotowywałam, czytywałam odpowiednie gazetki. Wiem, że mam dni niepłodne.

– Zróbmy to.

Jesteśmy niezdarni, próbujemy naśladować sceny z filmów. Trochę boli, nieważne. Patrzę w jego oczy. Wiem, że mu dobrze i wypełnia mnie słodycz. Po chwili opada na mnie i zasypia. Słyszałam słowo orgasm, ale nie wiem, jak to się odczuwa i nie ma to żadnego znaczenia. Ta euforia we mnie jest wspanialsza niż wszystkie orgazmy świata. Mocniej zaciskam nagie ramiona na moim kochanku. Moim mężczyźnie.

– Krzysiu – szepcę.

Nie chcę go budzić, pragnę tylko usłyszeć jego imię we własnych ustach. On jednak otwiera oczy, uśmiecha się. Kocham twój uśmiech w blasku księżyca – chciałabym powiedzieć, ale trochę się wstydzę. Może jutro. Zamiast tego wypowiadam inne słowa.

– Musimy wracać, bo zrobi się chryja.

Kiwa głową, przeciąga rękoma po moim ciele i znów we mnie wchodzi. Całuję jego palce.

– Ola – słyszę szept i znowu coś nim wstrząsa, po czym ciało Krzycha napręża się i nieruchomieje. Jestem twoja, mam ochotę powiedzieć, ale tylko przyciągam go mocniej.

Ubieramy się. Trochę się trzęsę, więc Krzychu narzuca na mnie swoją kurtkę. Jest późno, niemal na pewno będziemy mieć nieprzyjemności, ale idziemy wolno, trzymając się za ręce. Moje palce splecione z jego. Mój mężczyzna. Mój kochanek.

W progu czeka pan Michał. Pracuje u nas już rok, a nadal nie mam o nim zdania, a raczej mam: nijaki.

– A o której to szanowni państwo przychodzą? – pyta ironicznie. Chcemy jakoś się usprawiedliwić, ale on nie czeka na odpowiedź. – Porozmawiam z wami jutro i wyciągniemy konsekwencje. Pastorski – zwraca się surowo do Krzycha – grozi ci poprawczak. Mam dowody, że ta ostatnia kradzież była twojego autorstwa. – Nie wiem, o czym mówi, ale dopiero teraz zaczynam się bać. – Natychmiast jazda spać do pokoi.

Posłusznie rozchodzimy się w dwa różne kierunki. Naciskam już na klamkę, kiedy czuję czyjąś rękę na ramieniu. Wzdrygam się.

– Z tobą jednak porozmawiam dzisiaj – słyszę głos pana Michała. – Chodź do mojego gabinetu.

Idę za nim, nastawiając się na ciężki monolog wychowawczy. Kiedy jesteśmy w środku, pan Michał zamyka drzwi na klucz. Boję się, ale inaczej niż przed chwilą.

– Siadaj.

Sam rozwala się w fotelu za biurkiem. Zajmuję miejsce naprzeciwko. Czego się boję, skoro dzieli nas drewniany mebel? Wiele słów już słyszałam, żadne nie zniszczą tego, co noszę w sobie. A może dostanę lanie jak wtedy, gdy stłukłam małą Beatkę? Trudno, to też wytrzymam.

– Spójrz na mnie.

Posłusznie podnoszę wzrok. Po raz pierwszy twarz pana Michała nie wydaje mi się nijaka. Zbrzydła, w jego oczach jest pogarda pomieszana z okrucieństwem.

– Staramy się zaszczepiać naszym wychowankom pewne postawy moralne. Nie lubimy, kiedy robią się z nich szmaty. Jesteś szmatą? – zadaje mi niespodziewane pytanie.

Kręcę głową.

– Rozbierz się od dołu, muszę to sprawdzić.

Patrzę z niedowierzaniem, nie ruszam się. Otwiera szufladę, wyjmuje z niej jakiś gałgan. Zanim zdążę się zorientować, co się dzieje, zachodzi mnie od tyłu i wpycha mi go w usta.

– Podnieś się.

Nie mam zamiaru. Jutro zgłoszę skargę i bydlak wyleci. Wyjmuję knebel, a pan Michał uderza mnie w twarz. Chcę krzyknąć, zatyka mi usta włochatą ręką. Usiłuję się szarpać, lecz on nie zwraca uwagi, ciągnie mnie na drugą stronę biurka, wyjmuje z szuflady coś, co wygląda jak kajdanki i niech mnie szlag, jeśli to nie są kajdanki. Krępuje mi dłonie z tyłu i ponieważ nie mam już zablokowanych ust jego łapą, zaczynam się drzeć. Ponownie mnie uderza i wpycha poprzedni gałgan.

– Cicho! Nie lubię wrzasków.

Wiem, że tylko o to mu chodzi. Drzwi są idealnie wyciszone. Dziewczyny opowiadały, że wychowawcy niekiedy się zabawiają i nie lubią, jeśli ktoś im przeszkadza. Nigdy nie wierzyłam w te historie. W nic tak naprawdę nie wierzyłam. Boże, uwierzę w Ciebie teraz, tylko pomóż. Jezu, Ty możesz. Przez krew szumiącą w uszach docierają do mnie słowa:

– Zachowuj się grzecznie, to może twój chłopak nie pójdzie tym razem do poprawczaka.

Już wiem, że nie zgłoszę skargi, cokolwiek zrobi.

– Sama nie chciałaś się rozebrać, więc ja to zrobię. Muszę sprawdzić, czy mała brzydka kuternoga była chociaż porządną dziewczynką czy zwykłą dziwką.

Przezwisko używane przez dzieciaki z bidula odrealnia całą sytuację. To sen. Wychowawca tak nie mówi.

Zdejmuje mi spodnie i majtki. Paznokcie, dawno nieobcinane, drapią mi wewnętrzną stronę ud. Gdybym spała, nie czułabym tego.

– Tfu. Krew. Jakoś podejrzewam, że to nie okres.



Wkłada mi rękę tam, gdzie poprzednio był Krzychu, a ja stoję, jakbym skamieniała. Z obrzydzeniem wyciera palce chusteczką higieniczną.

– To nie okres, a na dodatek nie tylko krew. Jesteś odrażająca, a wydaje ci się, że jeśli użyjesz cipy, zachęcisz do siebie kogokolwiek? Połóż się na biurku – nakazuje.

Kręcę głową.

– Połóż się. – Jego głos wydaje się znudzony. – Muszę cię wyczyścić, a szkoda by było, żeby Krzychu poszedł do poprawczaka. Dziewuchy go lubią.

Działa. Wykonuję rozkaz, metal kajdanków wbija mi się w plecy. Nogi trzymam złączone. Pan Michał zdejmuje mi podkolanówki.

– Faj, ale ty jesteś obrzydliwa. Kuternoga z końskim kopytem, a do tego dziwka.

Kuternoga. Znów pomaga. Koncentruję się na tym słowie. Siły mi wracają i kopię go, celując w przyrodzenie. Chyba trafiam, bo zgina się w pół. Kiedy się prostuje, na jego twarzy pojawia się wściekłość i przywala mi pięścią w brzuch. Zaczyna brakować mi oddechu, ale dostrzegam, że twarz pana Michała staje się spokojna.

– Jesteś zła, bardzo zła, a ja muszę cię wyczyścić, ty wstrętna, brudna kuternoga, chociaż się brzydzę. Ostrzegam, jeszcze raz mnie kopniesz, a przywalę ci dużo mocniej.

Gdyby pozostały mi jakieś siły, walczyłabym bez względu na wszystko, nawet gdyby Krzychu naprawdę miał przez to pójść do poprawczaka. Próbuję chociaż trzymać nogi ściśnięte, ale on rozsuwa je z dziecinną łatwością i wyciera mnie chusteczką głęboko w środku.

– Parszywa kuternoga, parszywa dziwka – powtarza kilka razy.

Wyjmuje ze mnie rękę, odpina guziki rozporka. Zaciskam powieki. Nie patrzeć. Przynajmniej to. Znów mówi jakieś wstrętne słowa. Nie słuchać. Duszę się. Na moment otwieram oczy. Wyciąga z biurka prezerwatywę. Ma w tej szufladzie wszystko, jak to możliwe, że się nie boi? Nie wiem, czy ponownie zamykam oczy, ale przestaję widzieć pokój, zamiast tego ktoś podsuwa mi obrazy krwawych strzępów ludzkiego ciała. Podsuwa? Kto?

Bóg? Może mój ojciec szatan? Nawet on mnie nie kocha, bo coś córeczka nie wyszła. Wszystko rwie się we mnie na kawałki.

– Ty parszywa kuternogo, ty parszywa dziwko – powtarza, sapiąc.

Szatan, który mnie spłodził, a potem się wyrzekł? Pan Michał. To przecież on jest moim ojcem i szatanem w jednej osobie. Jak mogłam do tej pory nie rozpoznać?

Myśli się urywają, przestaję słyszeć sapanie i słowa. Zapadam się w ciemność, w błogosławioną pustkę. Nie ma mnie.

– Otwórz oczy. Nie udawaj, że coś ci jest.

Otwieram. Leżę na biurku w gabinecie wychowawcy, naga od pasa w dół. Ręce nie są już skute, w ustach nie mam knebla. Oddycham. Twarz pana Michała znów jest nijaka. To nie jest mój ojciec, a już na pewno nie szatan.

– Ubieraj się szybko i idź spać.

Naciągam podkolanówki, majtki i spodnie – w tej kolejności. Nie wiem, jak mi się to udaje, bo chociaż pan Michał znów jest panem Michałem o nijakiej twarzy, ja nadal składam się z krwawych strzępów. Moje ciało i dusza, myślę górnolotnie, chociaż w żadną duszę nie wierzę.

Leżę w łóżku w samodzielnej kawalerce, rozedrgana i trzęsąca się, ale cała. To nie było wspomnienie. Czas cofnął się do tamtej majowej nocy i ponownie przeszłam zarówno przez jedyny akt miłości w moim życiu, jak i przez gwałt. Teraz wiem, że to był gwałt, umiem nazywać. Wtedy... Co było wtedy? Co stało się potem? Przypomnę sobie, ale nie dam się już wkręcić głupiemu czasowi w jego sztuczki. Ja, dorosła bibliotekarka, wolna od mężczyzn i nałogów, po prostu powspominam. Cholera wie, do czego to potrzebne, ale jakąś kontrolę zachowam. Skończę to po swojemu. Nie pamiętam, jak wyszłam z gabinetu i dotarłam do sypialni. Nie pamiętam, czy któraś z dziewczyn się obudziła, czy do mnie zagadały. Przez chwilę chciałam się umyć, ale zrezygnowałam. Nie zmieniałam nawet przemoczonych krwią i spermą majtek, wsunęłam jedynie podpaszkę. Wyszłam przez okno. Chyba dziewczyny jednak spały, bo żadna nie próbowała mnie zatrzymać czy choćby zapytać, dokąd idę. Chyba.

Następną sceną, którą wygrzebuję z pamięci, jest to, jak siedziałam na

plaży, obracając w rękę kawałek szkła. Skąd je miałam? Może stłukłam znalezionej na ulicy butelkę, a może podniosłam z ziemi już gotowe? Morze szumiało, na niebie wciąż lśniły gwiazdy i na moment poczułam żal, że już nigdy nie zachwyci mnie ich piękno. Przyłożyłam ostrą krawędź do nadgarstka i zdecydowanie przecięłam skórę. Poprawiłam. Wiele krwi. Dobrze. To samo zrobiłam z drugą ręką i podczołgałam się do wody. Położyłam się na brzuchu i włożyłam krwawiące dłonie do morza. Woda była majowo lodowata, fale łagodne, ale co pewien czas podmywały mnie, mocząc ubranie. Odwróciłam twarz, nie chciałam słoności morza w nosie czy w płucach. Nie teraz. Kiedy już nie będę czuła, niech wielka woda zabierze mnie jak swoją. Spodobała mi się ta myśl, chwyciłam się jej i zamknęłam oczy. Zaraz znowu będzie nicość. Jakiś czas wstrząsały mną dreszcze, później otuliło mnie łagodne ciepło. Zniknął ból ciała porozrywanego na strzępy. Szłam w ciemność, chociaż nie byłam już pewna, czy to nie światło.

Odzyskałam przytomność w szpitalu po dwóch dobach. Znalazł mnie Krzychu. Niektóre wydarzenia wyglądają, jakby ktoś wyjął je z kiczowatego romansu, tylko później nic nie jest tak jak powinna przedstawić to autorka historii miłosnej. Krzychu twierdził, że miał przecucie, więc wszedł do pokoju, w którym powinnam spać. Moje łóżko było puste, zatem pobiegł na plażę i znalazł to coś, co jeszcze nie zdążyło zamienić się w prawdziwego trupa. Wezwał pogotowie i jak przystało na bohatera, udzielił pierwszej pomocy. Przed przyjazdem karetki wykonał wszystkie czynności reanimacyjne, ułożył mnie w pozycji bocznej ustalonej i ogrzewał wychłodzone ciało. Lekarka nie mogła się go nachwalić, twierdząc, że uratował mi życie. Nabawiłam się przy okazji zapalenia płuc, ale z tego też wyciągnęli mnie w szpitalu. Ogólnie robili chyba dobrą robotę, chociaż nie podobały mi się pytania zadawane przez tę młodą sympatyczną panią doktor. Obracały się wokół jednego: kto zrobił ci krzywdę? Próbowała formułować to na różne sposoby, mówiła, że winny powinien ponieść karę i takie tam pierdoły. Wpatrywałam się wtedy w jeden punkt na suficie, małą rdzawą plamkę koło lampy i milczałam. Czasem na odczepnego stwierdzałam, że to ona sobie coś wymyśliła, ja nie mam nic do powiedzenia i niech się odczepi. Nikt nie zrobił mi nic złego, a próbowałam popełnić samobójstwo, bo zatęskniłam za zmarłą matką. Nie wierzyła mi, miała powody. Z pewnością badali mnie też ginekologicznie, ale do tego doszłam później. Nie

powiedziałam też Krzychowi, który odwiedzał mnie regularnie. Na „Dlaczego?” czy „Co się stało?” wzruszałam ramionami. Oznajmiłam za to, że nie będę już jego dziewczyną, ale na zawsze zostanę przyjaciółką. Tuż przed moim wyjściem poinformował mnie, że pan Michał złożył wymówienie ze skutkiem natychmiastowym. Zapytałam dlaczego, ale tym razem to on wzruszył ramionami. Lubiłam myśleć, że to on, mój pierwszy i jedyny chłopak, zmusił wychowawcę do odejścia, chociaż nie potrafiłam wyobrazić sobie środków, jakich użył. Nadal lubię tak myśleć, pewnie dlatego, że wpisuje się to w koncepcję romansu, którego nie ma. Krzychu dość łatwo pogodził się z myślą, że nie jest moim chłopakiem, i zaczął podrywać inne. Nie zostawił mnie jednak, naprawdę pozostał moim przyjacielem i jeśli te porozrywane strzępy się zrosły, to tylko dzięki niemu.

Nigdy nie powiedziałam. Nikomu. Nikt by nie zrozumiał. Może kiedyś opowiem Dorocie. Dziewczynie, która jest taka jak ja. Która w pewnym sensie jest mną. Nie o niej teraz myślę. Krzychu. Nie. Zrobił. Tego. Zapadam w sen bez marzeń i koszmarów.

Budzę się niespodziewanie rześka. Komórka śpiewa, podskakuje na stole. Krzychu. Odbieram z uśmiechem.

– Jak się czujesz?

– Nieźle. Fajnie, że dzwonisz.

Wiem, że chciałby odpowiedzieć jakimś żartem, ale go zatkało. Chichoczę, nie mogę się powstrzymać.

– Mogłabyś poczekać, aż powiem coś śmiesznego – słyszę jego teatralnie obrażony głos.

Krzychu jakiego znam. Wreszcie.

– To już było śmieszne? – Staram się wpasować w rolę, nadać głosowi ton przesadnej drwiny. – Mogę się śmiać czy nadal mam czekać?

– Zmija – syczy Krzychu i teraz już śmiejemy się oboje. Z ulgą.

Oznajmiam, że pora zakończyć poranną konwersację, bo spóźnię się do pracy, a on na to, że mam źle poustawiane priorytety.

– Uważaj na siebie. – Ton się zmienia.

– Spoko-loko – rzucam. – Pamiętaj, że masz być w pobliżu.

W drodze jestem przepełniona jakąś dziwną radością. Dopiero kiedy widzę twarz Beaty, przypominam sobie, co się stało. W niezrozumiały sposób kaleka dziewczyna jest podobna do blondwłosej piękności. Usta ma niemal identyczne, ale nie o to chodzi. O mnie też mówili, że jestem podobna do mamy. Ilekroć to słyszałam, puchłam z dumy. Ja, mały brzydki kulas, ona śliczna jak gwiazda. Dziwka i alkoholiczka – przypominam sobie. Ta tutaj nie jest dużo lepsza, dlatego nie mam trudności, żeby identyfikować się z jej córką. Będę musiała wywieść szefową w pole i to już zaraz.

– Jak się czujesz? – pytam cicho.

Beata kręci głową. Jej oczy są zaczerwienione, przez makijaż przebija niezdrowa bladość. Cokolwiek jej się stało, nadal wygląda ładnie, ale jest wyczerpana.

– Migrena prawie przeszła, ale chyba łapie mnie grypa.

Głos ma schrypnięty. Dostrzegam, że dłonie zacisnęła w pięści. Może faktycznie jest chora, ale przede wszystkim spięta.

– Biedna. Miałam nadzieję, że pójdziesz dziś ze mną na herbatę. Potrzebuję rozluźnienia. Wiesz – zniżam głos jeszcze bardziej – mnie też boli głowa. Denerwuję się przed każdą, nawet najkrótszą podróżą. Zostało mi z dzieciństwa.

Nie gram. Uświadamiam sobie, że rzeczywiście pęka mi łeb, a podróży nie lubię, odkąd pamiętam. W dzieciństwie nie podróżowałam zbyt wiele, ale krótkie „przejażdżki”, które odbywałam, nigdy nie zwiastowały niczego dobrego. Zostałam przewieziona do domu dziecka. Na pogrzeb mamy też.

Beata nakrywa mi dłoń swoją ręką; taki troskliwy gest starszej siostry.

– Chętnie pójde z tobą na herbatę – mówi miękko. – Może mi tylko pomóc.

Wchodzi pierwsza czytelniczka, więc przerywamy rozmowę. W głowie czuję coraz silniejsze pulsowanie i wiem, że ma jakiś związek z dotykiem dłoni kierowniczkii. Czytelniczka na szczęście nie chce mojej pomocy, oddała książki, a teraz krąży wśród regałów. Mam mętne wrażenie, że zyskałam

dowód. Patrząc z ukosa na Beatę, pochyliła się nad komputerem, coś wstukuje. Jej palce przykuwają uwagę, są długie i szczupłe, ale paznokcie znacznie krótsze niż dwa dni temu. Jej dotyk był szorstki, skóra wnętrza dłoni miała ranki i odciski, jakie pozostawia intensywna praca z łopatą. Wyczuwa mój wzrok, podnosi głowę i się uśmiecha. Kiedy mama miała dobry dzień, uśmiechała się identycznie. Dosyć. Koniec rozczulania się. Mam zadanie do wykonania. Cholernie niebezpieczne, grożące pierdłem albo i czymś gorszym. Z upływem chwil pograżam się głębiej w tej cuchnącej sprawie i w pewien sposób mnie to podnieca.

Czytelniczka wybrała już książki. Przychodzi następna, ale zwraca się do Beaty. Teraz jest dobry moment. Idę na zaplecze, otwieram szafkę szefowej, wydaję jej torebkę. Jest wewnętrzna kieszeń, odsuwam ją, rzeczywiście znajduję klucze. Wciskam je do własnej kieszeni, chowam torebkę na miejsce, zamykam szafkę. Daję Krzychowi umówiony sygnał i wracam na salę. Nie patrzę na Beatę, ale i tak wiem, że obserwuje mnie kątem oka. Swobodnym krokiem wychodzę na klatkę. Wciskam Krzychowi klucze, kiwam głową na jego „za piętnaście minut” i niemal wpadam na wychodzącą czytelniczkę. Beata wygląda, jakby miała zamiar zadać mi pytanie, ale na szczęście znów ktoś przychodzi. Mówię grzecznie „dzień dobry”, oferuję pomoc. Czy nie okazuję zbyt wiele entuzjazmu? Szefowa nie odzywa się jednak, nawet gdy zostajemy same. Zapomniała o mnie, pograżyła się we własnych myślach. Uspokajam oddech, próbuję zająć się katalogowaniem, ale bez przerwy zerkam na zegarek. Napotykam spojrzenie Beaty. Serce niemal mi staje. Nie może podejrzewać. Nie wie. Uśmiecham się do niej krótko i kieruję wzrok na ekran komputera. Po piętnastu minutach nikogo u nas nie ma. Duszę się. Nie mogę wyjść. Jak wytłumaczę bezustanne wycieczki na klatkę? Siedzę, jakby ktoś mnie przykuł do tego niewygodnego krzesła. Biblioteka mogłaby szarpnąć się na fotele, które nie będą szkodliwe dla kręgosłupa. Sknerstwo i tyle. Cholera, mój kręgosłup jest teraz najmniejszym zmartwieniem. Nawet końskie kopyto niespecjalnie mi przeszkadza.

– Dlaczego wychodziłaś? – słyszę głos Beaty.

Policzki mnie palą.

– Ja, ja... – zaczynam się jąkać.

– Jakiś mężczyzna? – Uśmiecha się domyślnie.

Wszystko interpretuje po swojemu. Nawet w takiej chwili. Mnie jednak zalewa fala ulgi i mam ochotę rzucić się jej na szyję.

– To – zaczynam z wahaniem – już dawno przebrzmiała historia.

– Przebrzmiała? – Patrzy na mnie poważnie. – Zachowujesz się jakoś dziwnie.

Krzychu stoi na klatce i czeka. Muszę rzucić strzępkiem prawdy, który pozwoli mi wyjść i odebrać klucze do mieszkania matki szefowej.

– Mówiłam ci, że kiedyś byłam zakochana, prawda? To właśnie on. Czegoś ode mnie chciał.

Wbija we mnie te swoje ogromne gały, chłonie słowa, dopowiada resztę historii według własnego scenariusza łzawego romansu. Ogarnia mnie obrzydzenie.

– Nadal jesteście zakochani.

Ty głupia gnido. Zakopałaś gdzieś własną matkę, córkę ukryłaś przed światem, a zajmujesz się cudzymi historiami miłosnymi.

Kręcę głową.

– Dawno już nie. Jesteśmy przyjaciółmi.

– Opowiedz.

Jej twarz jest wymęczona, na dnie oczu czai się panika. Nagle przypomina mi udręczone dziecko. Nie czuję już wstrętu. Ucieka przed osaczającą ją rzeczywistością. Rzuca się w ramiona kolejnych kochanków czy szuka porozumienia ze mną tylko w tym celu. Otwieram usta, gotowa sprzedać jej ładną wersję, gdy wchodzi Krzychu. Serca mi staje.

– Dzień dobry. – Krzychu nie patrzy na mnie, zwraca się do Beaty. – Chciałbym założyć konto.

Rozumiem. Nie mógł się doczekać. Ma zamiar odwrócić jej uwagę i wcisnąć mi klucze. Całkiem sprytnie. Używa swojego czaru, patrzy jej prosto w oczy. Beata podejmuje grę. To głupie szczebiotanie działa mi na nerwy. Szefowa podaje długopis i ich palce się stykają. To niepotrzebne, zbytek

starania. Nienawidzę ich obojga. Są sobie warci.

Wymienił jakiś tytuł. Beata wstaje i kręcąc pupą, idzie znaleźć książkę. Krzychu się przemieszcza, staje tuż przede mną, tyłem. W ręku trzyma klucze. Chwytam je, zaciskam dłoń i biegnę na zaplecze. Jeszcze poflirtują, mam czas. Palce mi drżą, kiedy otwieram szafkę szefowej, chowam klucze na miejsce. Gdyby tu weszła, zobaczyła, że grzebię w jej torebce, byłoby po mnie. Gdyby. Nie wejdzie, jest zajęta. Koniec. To było łatwe. Idę jeszcze do łazienki. Przyglądam się twarzy w lustrze. Ceglaste wypieki, chorobliwie błyszczące oczy. Nie jestem ładna. Kręcę głową. Nie jestem lepsza od Beaty. Wplątałam się w jakieś gówno, a zajmuję się ocenianiem urody.

Beata i Krzychu gruchają nadal jak parka gołąbków, ale już mi to nie przeszkadza. Obmyślam plan rozmowy w kawiarni.

Siedzimy w małej knajpce, sączymy herbatę. Oczywiście Beata zapytała o romans mojego życia, a ja uraczyłam ją historyjką o gnębionej dziewczynie z końskim kopytem i o chłopaku, który wyleczył ją z kompleksów. Prawie prawda, tylko w nieco ładniejszej scenerii. Bez bidula i bez matki prostytutki, która zapłała się na śmierć. Szefowa wydaje się zachwycona.

– Dlaczego zerwaliście?

Wzruszam ramionami.

– Pewien ksiądz włożył mi łapę pod sukienkę.

Teraz to na czasie. Czemuż miałabym mieć opory, żeby zrzucić winę na pedofilię w kościele? Jeden przypadek molestowania mniej czy więcej nie powinien zrobić im różnicy.

– Ale... – zaczyna i się zacina.

– Co ma piernik do wiatraka, tak? – Śmieję się, jak powinnam, z goryczą.

– To było zbyt wstrząsające. Odrzuciło mnie od kontaktów z facetami.

Jakie to proste. Może nawet tak zanalizowałyby moją sytuację psychoterapeuta, gdybym miała dość szmalu, żeby szlajać się po ośrodkach zdrowia psychicznego. Mam dosyć gadki o sobie. To był wstęp, całkiem zabawny, pora przejść do meritum.

– Co ci się stało w rękę?



Wskazuję na drobne skaleczenia na wierzchu jej dłoni. Rzuca okiem.

– Odśnieżałam. Czasem miewam przygody z łopata.

Odśnieżała. Cały mój dowód runął. Rzeczywiście, kto miałby odśnieżać? Przecież nie dziewczyna, która potrafi poruszać się jedynie na wózku.

– Nie miewam takich problemów. Zawsze mieszkałam w bloku.

– W tego rodzaju momentach przydaje się facet – kwituje Beata.

– Nie masz ochoty zamieszkać z Tomkiem? – Przypominam sobie, że jest żonaty, więc dodaję: – Kiedy się rozwiedzie.

Czuję się upoważniona do tego pytania, sama sprzedałam jej historię miłosną, a ona opowiadała mi o tamtym facecie.

– On... nie tylko jest żonaty. Ma córkę. Chorą. Odkryłam to przez przypadek.

– Skurwysyn – oceniam.

Miałam nie przeklinać, ale co tam. Teraz nawet Beacie się to podoba.

– Skurwysyn – zgadza się. – Nie mam zamiaru go więcej oglądać.

Przez chwilę milczymy, a gdy uznaję, że mogę się odezwać, pytam:

– Twój dom jest duży?

– Czy ja wiem? – zastanawia się. – Sto dwadzieścia metrów.

Mam ochotę przyłożyć na odlew. Wcale nie za to, że nie wie, czy sto dwadzieścia metrów to duży dom. Za całokształt.

– Ja bym się pogubiła w tych stu dwudziestu metrach – mówię, śmiejąc się.

– Ja niekiedy też się gubię – przyznaje.

Postanawiam zagrać *va banque*.

– Z mamą pewnie nie chciałabyś już mieszkać? Słyszałam, że matki często wtrącają się w życie dorosłych dzieci. – Patrzę na nią uważnie; mięśnie twarzy lekko się napinają albo tylko sobie wmawiam. – Ja niestety nigdy tego nie sprawdzę, bo moja mama już nie żyje.

Beata wstaje.

– Przepraszam na chwilę.

Biegiem kieruje się do toalety. Czy mogę mieć jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości? Trafiłam. Wytlumaczeń może być tysiące, włącznie z tym, że zachciało jej się siku. Wraca po kilku minutach. Oczy sprawiają wrażenie mocniej przekrwionych, cera bardziej szarej i wymiętej.

– Źle się czujesz? – pytam ze współczuciem. – To pewnie naprawdę grypa.

Macha lekceważąco dłonią.

– Nic mi nie jest. Najwyżej pójdę na zwolnienie.

– Chciałabym ci powiedzieć coś, o czym nikt nie wie. – Ukrywam twarz w dłoniach, usiłuję maksymalnie się skoncentrować. Przypominam sobie szorstki dotyk jej ręki. Niemożliwe, żeby takie odciski porobiły się od zwykłego odśnieżania. – Moja mama.... – Urywam dla lepszego efektu, podziwiam dramatyczne załamanie głosu. – Moja mama... została zamordowana.

Odrywam ręce od twarzy i przez chwilę patrzę w jej rozszerzone źrenice. Czytałam kiedyś, że strach jest jedną z niewielu negatywnych emocji, która daje taki efekt. Boi się, bo nie przypuszczam, żeby było jej przyjemnie. Odwraca wzrok, jakby znów chciała uciec do łazienki, ale tylko się kuli, przyjmuje postawę obronną. Jeśli to, co pisała Dorota, jest prawdą, potwornie ją męczę, rozdrapuję świeże rany. Dobrze. Zasługuje na to. Zasługuje na dużo więcej.

– Zastrzelona. – Zaczynam drżeć, cholernie łatwo przychodzi mi wcielenie się w rolę. – Miała... przestreloną głowę... a jej twarz... Boże!

Chwytam jej dłonie, jakbym wyczekiwała ratunku. Dokładnie wyczuwam każdy odcisk, każdą ranę, napawam się nimi. No dalej, powiedz coś, suko! Przez chwilę bezgłośnie porusza wargami jak karp, którego babcia wyjmowała z wanny przed kolacją wigilijną.

– To straszne – mówi w końcu. Puszczą jakaś tama i Beata zaczyna płakać. – O Boże, to straszne.

Szłocha tak, że ludzie przy sąsiednich stolikach zaczynają się nam dyskretnie przyglądać. Fałsz, zakłamanie, wszędzie, na każdym kroku. Dużo uczciwiej byłoby gapić się bez zahamowań. Coś we mnie śpiewa. Dobrze ci tak, dobrze ci tak, dobrze ci tak! Kurczowo ściska moje palce.

– Tak – mówię cicho. – Mordercy nigdy nie znaleziono.

Patrzę na jej twarz z rozmazanym makijażem i gdzieś przez euforię przebija współczucie. Obiecuję, że zrobię wszystko, żeby znaleźć mordercę twojej matki – wypowiadam w myśli. Beata uspokaja się, jakby słyszała moją obietnicę. Jakby miała ona dla niej znaczenie. Jakby mi wierzyła.

– To straszne – powtarza. – Bardzo ci współczuję. Muszę już iść – dodaje na jednym wdechu.

Niezbyt stosownie to brzmi, ale mi pasuje. Reguluję rachunek, Beata nie protestuje. Mam wrażenie, że jest ledwie przytomna.

– Możesz prowadzić? – pytam przed budynkiem kawiarni.

Kiwa głową i przytula mnie bez słów. Czuję potworną tęsknotę. Mamo. Chciałabym cię jeszcze raz kiedyś zobaczyć.

# Dorota

Dostałam nowego maila. Ola napisała, że wróciła właśnie z kawiarni, gdzie była z moją mamą. Opowiedziała bajeczkę, że ktoś zastrzelił jej własną matkę.

*Tak naprawdę zapłała się na śmierć, ale wcześniej oddała mnie do domu dziecka. Nadal ją kocham.*

Gównu mnie to obchodzi. Jej problem. Zastanawiam się, co z mamą. Podobno wpadła w histerię, dzięki czemu Ola zdobyła swój „dowód”. Dowód na co, do wszystkich diabłów?! To też nie ma znaczenia. Boję się. Nie chcę, żeby mama cierpiała jeszcze bardziej. Mamo, wybacz mi. Mam wrażenie, że to nie Ola, tylko ja doprowadziłam ją ponownie na skraj paniki. To nieprawda. Tamta dziewczyna nie jest mną, lecz jakąś zaniedbaną sierotą z domu dziecka. Ja mam mamę, która mnie kocha, chroni, daje to, co najlepsze. Ze wstrętem odsuwam komputer. Nie chcę tej drugiej, nie chcę jej myśli w swojej głowie. Chcę mamę.

Wreszcie słyszę samochód, ale to nie jest dźwięk, na który czekam. Mój słuch przez te wszystkie lata zrobił się bardzo wrażliwy, jestem w stanie bezbłędnie rozpoznać brzmienie naszego auta. Może wróciła tamta ze swoim chłopakiem? Zdecydowali wyczyścić dom ze śladów. Ja, mimo wszystko obdarzona pamięcią, pójdę na pierwszy ogień. Dopóki istnieję, zagrażam, nawet znajdując się po tej stronie. Skąd mogą wiedzieć, czy nie przekroczę cienkiej granicy dwóch światów? To łatwe, sami wyposażyli mnie w internet i możliwość komunikacji. Ich błąd, ale mogą mieć nadzieję na naprawienie. Jej błąd. Gównu prawda. Ta dziewczyna z patologicznej rodziny nie jest mną, ale i tak nie popełniłaby morderstwa. Nie znając jej, znam ją lepiej niż ktokolwiek inny. To śmieszne dla każdego po tamtej stronie rzeczywistości. Nie dla niej. Tak czy inaczej, nie była tu sama. Jej chłopak doszedł do wniosku, że śmieć, który zostawił, może być dowodem. Przyjechał znowu, czemu nie? Najwyżej umrę, co tam. Wolałabym tylko, żeby mama nie pochowała mnie w jednym dole z babcią, bo towarzystwo przez całą

wieczność mogłoby dla każdej z nas okazać się mordęgą. Potem wszystkie myśli się urywają, bo wsłuchuję się w kroki na schodach. Mama? Nie wiem. Ten ktoś idzie wolno, jakby musiał zastanawiać się nad każdym stopniem.

# Beata

Ręce trzęsły się tak, że nie była w stanie prowadzić. W noc pogrzebania matki opanowała się na tyle, że nie spowodowała wypadku. Teraz nie mogła. Zatrzymała się w pierwszym możliwym miejscu. Oparła głowę na kierownicy. Rozległo się trąbienie. Zaraz ktoś przybiegnie. Położyła się na dwóch fotelach, skuliła w pozycji embrionalnej. Nie chciała wstawać.

Pukanie w okno. Nie patrzeć.

– Proszę pani!

Nie słuchać. Nakryła uszy dłońmi, ale ktoś pukał tak, że trząśł się samochód. Właściwie walił pięścią w szybę. Usiadła, spojrzała na twarz nieznanym kobiecie przyciśniętą do szyby. Uchyliła drzwi. Kobieta się cofnęła.

– Wszystko w porządku?

Beata uśmiechnęła się blado.

– Tak. Dziękuję.

Wysiadła. Tutaj nie zostawią jej w spokoju. Kobieta obrzuciła ją jeszcze jednym spojrzeniem i odeszła. Zapewne zastanawia się, co ćpałam – przemknęło Beacie przez głowę. A niech tam, będzie miała co opowiadać znajomym.

Wezwała taksówkę. Nie czekała długo. Skuliła się na tylnym siedzeniu, odgrodziła od świata. Kierowca na szczęście dyskretny albo mruk, nie usiłował zagadywać. Głos Oli nadal brzmiał w uszach. Chciałaby przytulić ją, podzielić się wszystkim. To by pomogło. Chciałaby, żeby to Ola czekała na nią w domu. Żeby to Ola była jej córką.

Zwlekała jakiś czas z przekroczeniem progu. Będzie musiała minąć miejsce zbrodni, a potem wejść na górę. Kto wie, może to nawet gorsze? Tam leży jej prawdziwa córka. Otworzyła w końcu drzwi, przeszła przez hol i salon, usiłując nie patrzeć w stronę kuchni. Wszystkie wypite kawy podeszły

jej do gardła. Nie czuła zapachu krwi, to halucynacja. Szorowała podłogę tyle razy. Żaden ślad nie został. Nic. Powoli wspinała się po schodach. Córka na nią czekała. Córka, przez którą wszystko się stało. Przez którą nigdy nie będzie wolna. Nigdy. Nacisnęła kławkę.

– Cześć, kochanie.

– Cześć, mamusiu.

Podeszła, pocałowała Dorotę w czoło.

– Gdzie byłaś?

Jakim prawem ona ją pyta? Jakim prawem w takiej chwili żąda całkowitego podporządkowania?

– Poszłam z Olą na herbatę. Chciałam odrobinę odreagować.

– I odreagowałaś?

Słyszała w głosie córki drwinę. Jakie to typowe. Żadnej empatii, ta dziewczyna myślała tylko o sobie. Potwór. Potworek. Nie tylko fizycznie.

– Dorotko... – zaczęła.

– Masz prawo, co nie?! – Dorota krzyczała. Znow nadszedł jeden z jej ataków szału. Nie wytrzymam, pomyślała Beata. Nie dam rady. – A ja do czego mam prawo?! Jakie pocieszenie znajdę?!

– Staram się – wykrztusiła Beata. – Staram się być dla ciebie pocieszeniem.

– Ach tak? – Dorota mówiła ciszej, ale wróciła do drwiącego tonu, który w tej chwili wydawał się gorszy niż krzyk. – Na tym polega twoje staranie. Zostawiasz mnie samą i chodzisz na herbatkę z obcą dziewczyną.

– Na chwilę. Wracam do ciebie. Ty jesteś moim dzieckiem.

– Tak. Nie możesz tego przeboleć. Wolałabyś ją zamiast mnie. Jesteś... jesteś podła.

Ręka sama się uniosła i uderzyła w twarz potworka na wózku. Drugi raz. Dorota schowała głowę w dłoniach, usiłując bronić się przed kolejnym ciosami. Beata zastygła. Boże, co ona robi? Osunęła się na kolana, objęła

córkę ramionami. Przypomniała sobie moment, gdy znalazła martwą matkę. Szok, ból i panika, że Dorocie też coś się stało. Panika pomieszana z czymś jeszcze.

– Kochanie, przepraszam. Przepraszam, przepraszam, przepraszam.

Zanosila się spazmatycznym łkaniem. Nie chciała innego dziecka. Nigdy nie chciała innego dziecka. Pragnęła tylko przebaczenia. Tylko miłości.

– Mamusiu.

Nie była pewna, po jakim czasie usłyszała to słowo. Przebaczenie nadeszło.

– Już nigdy – szepnęła. – Nigdy. Nidy. Nigdy.

Z czym był pomieszany tamten strach o córkę? To nie była nadzieja, że całkowicie się wyzwoliła. Nie była.



# Ola

W czasie podróży do Warszawy niewiele rozmawiamy. Nie wiem, o czym myśli Krzychu, ja tym razem nie pozwalam sobie na refleksje, wspomnienia czy filozoficzne bzdury. Powtarzam plan działania, punkt po punkcie. O dwunastej jestem umówiona z doktor Krystyną Zawadzką, współpracowniczką babci Doroty. Moim celem jest wydobycie jak najwięcej informacji o zamordowanej. Chcę też przyjrzeć się gabinetowi, zrozumieć, na czym polegała jej praca i z kim miała kontakty. Dowiedzieć się, dokąd wybierała się na urlop. Z kim? Nie obiecuję sobie po tej wizycie zbyt wiele, ale może zdołam wyrobić wstępną opinię na temat współpracownicy i recepcjonistki. Obie umieściłam na liście podejrzanych, dzięki czemu zawiera już cztery osoby. Trzy. Krzycha skreśliłam. Prawie. Po wyjściu z konsultacji przyjrzę się okolicy, w której pracowała, a później miejscu jej zamieszkania. Nigdy nie wiadomo, co może być ważne. Tak piszą w kryminałach. Niby rozumiem, że powieści różnią się od życia, ale w to zdanie akurat wierzę. Trzeba jakoś przetrwać czas do nocy, kiedy zaplanowaliśmy wejście do mieszkania. Krzychu zaplanował. Nie chce, żeby ktoś nas zauważył na samym początku. Nie wiem, jakie to ma znaczenie, ale się nie kłóczę. W domu babci Doroty najważniejszy wydaje mi się komputer, ale przejrzę też szuflady, zajrzę do każdego kąta, do książek. Może trafię na notes z kontaktami. Sprawdzę, czy ma jakieś numery zapisane w telefonie stacjonarnym. Użyję przycisku „redial”, a dalej postąpię w zależności od tego, kto się zgłosi. Jeśli to jakaś firma, zapiszę nazwę i odłożę słuchawkę, później zastanowię się, w jakim celu pani doktor mogła tam dzwonić. Jeśli osoba prywatna, powiem, że moja ciocia podała mi ten telefon, żebym skontaktowała się z jej przyjacielem bądź przyjaciółką. Udostępniła mi mieszkanie, bo wyjechała na urlop. Nie podzieliłam się tym pomysłem z Krzychem, ale zaproponowałam zatrzymanie się w mieszkaniu zmarłej. Początkowo podszedł sceptycznie, później stwierdził, że pomysł jest całkiem niegłupi, bo zdobędziemy w ten sposób czas, a może nawet zaufanie sąsiadów. Nie odstąpił jednak od pomysłu wejścia tam w nocy.

W recepcji wita nas miła pani około pięćdziesiątki, z krótko obciętymi, nieskazitelnie ułożonymi włosami. Krzychu zwraca się do niej z jednym ze swoich najbardziej czarujących uśmiechów i nie mam wątpliwości, że recepcjonistka jest ugotowana. Patrzy na mnie, wyjaśniając, że u pani doktor jest jeszcze pacjent, powinien niedługo wyjść i już moja kolej, lecz jej wzrok co chwilę ucieka ku mojemu „mężowi”. Poprawia palcami wymuskaną fryzurę, policzki pokrył jej rumieniec, oczy błyszczą. Wiem, że Krzychu, kiedy chce, dokładnie tak działa na kobiety w każdym wieku. Przypominam sobie, że całkiem niedawno obserwowałam go w akcji, i to w moim miejscu pracy. Ogarnia mnie irytacja, chociaż mogę mieć nadzieję, że wyciągnie z tej paniusi, ile tylko się da. Drzwi w głębi korytarza się otwierają i niedługo wychodzi staruszek o kulach, więc nie zawracam już sobie głowy uroczą parą, kieruję się do gabinetu. Pukam i słysząc stłumiony pomruk, naciskam kłamkę.

– Dzień dobry.

Kuśtykam przez pokój, a elegancka szatynka w średnim wieku przygląda mi się z uśmiechem. Przychodzi mi do głowy, że wszystko jest tu zrobione na wysoki połysk, poczynając od nowoczesnych mebli, poprzez sprzęt, kończąc na ludziach. Nigdzie skazy, żadnego pyłku. Lekarka naprzeciwno ma perfekcyjny makijaż, lśniąca włosy do ramion i ciepły uśmiech.

– Proszę powiedzieć, co panią do mnie sprowadza.

Historia choroby nie jest skomplikowana. Trenowałam przed lustrem, żeby nie stracić tutaj panowania nad sobą.

– Urodziłam się z jedną nogą krótszą i szpotawą stopą. Potem miałam wypadek. Kiedy dorastałam, różnica między dwiema kończynami znacznie się powiększyła, stopa bardziej się zdeformowała, przez co kulałam coraz mocniej – recytuję.

– Czy badali panią lekarze?

Wzruszam ramionami, nie potrafię powstrzymać tego gestu.

– W szkole. – Bardziej w domu dziecka niż w szkole, lecz nie przejdzie mi to przez gardło. – Ostatnio różnica wynosiła chyba siedem centymetrów.

– Nie kierowano pani do specjalisty? – bada dalej lekarka.

– Kierowano. Byłam kilka razy u ortopedy. – W domu dziecka pilnowano, żeby wykonać wszystkie zalecane badania. Lekarka patrzy wyczekująco, więc dodaje: – Jeden powiedział, że miałam źle złożoną kość, dlatego wada się pogłębiła. Twierdził, że operacja jest ryzykowna. Zalecił wkładkę podwyższającą i buty ortopedyczne.

Były tak ohydne, że nawet nie próbowałam ich nosić. Żaden z wychowawców mnie do nich nie zmuszał.

– Nosila pani te buty?

– Nie – przyznaję. – Ale wkładkę tak.

Nadal noszę, bo jej nie widać. Jednym z powodów, dla których tak nienawidziłam butów ortopedycznych, był bardzo wyraźnie wyższy koturn na prawym.

– A rehabilitacja?

– Byłam raz w Konstancinie.

– Sama pani ćwiczyła?

– Nie.

– Proszę się rozebrać do bielizny i położyć.

Podoba mi się, jak mnie bada. Ma chłodne delikatne palce. Mam wrażenie, że naprawdę zależy jej, żeby mi pomóc. No, za trzysta pięćdziesiąt złotych od wizyty każdemu by zależało. Nawet jeśli jest w nią wliczone USG, które właśnie mam robione. Nie patrzę na ekran. Wystarczy, że znam swoje ciało na zewnątrz, nie chcę widzieć ułomności w środku, chociaż zapewne i tak nie umiałabym się połapać w tych cieniach i liniach.

– Może już pani się ubrać – słyszę łagodny głos.

Pośpiesznie wciągam skarpetki i spodnie, góra wydaje się mniej ważna.

– Kość rzeczywiście nie została złożona najlepiej. Oprócz problemu, o którym pani wspomniała, widzę skrzywienie kręgosłupa. Skolioza i lordoza.

Trochę mnie to przeraża. Nigdy nie martwiłam się kręgosłupem.

– To poważne? – pytam niezbyt mądrze.

– Nie na tyle, żeby nie można było zaradzić. Chodziła pani prawie bez podwyższenia i to doprowadziło do skrzywienia. Ma pani bóle krzyża?

Kręcę głową.

– Moim zdaniem powinna pani udać się na operację. Wcale nie jest obciążona dużym ryzykiem. Lepiej byłoby przejść ją w dzieciństwie, ale teraz też może przynieść dobre rezultaty.

Nie przyszłam tu dla diagnozy, nie przyszłam, żeby dano mi nadzieję, ale teraz się jej chwytam.

– Na czym to polega?

– W skrócie: łamie się kości, co może tylko naprawić błąd lekarski z dawnych czasów, a następnie wkłada nogę w żelazny stelaż, który ją rozciąga. W ten sposób w przerwach między połamanyimi kośćmi powstaje nowa tkanka. Po dziewięciu miesiącach może mieć pani nogę dłuższą o siedem centymetrów, czyli obie prawie równe.

Brzmi przerażająco i kusząco jednocześnie.

– To płatna operacja?

– Jeśli jest pani ubezpieczona, można próbować załatwić przez NFZ. Problem polega na tym, że najprawdopodobniej trzeba będzie kilka lat poczekać, a im szybciej zadziałamy, tym lepiej.

Kiwam głową. Z pewnością nie stać mnie na taką operację.

– Ile kosztuje? – pytam jednak.

– Około osiemdziesięciu tysięcy. Znam dobrego specjalistę w Rosji.

Osiemdziesiąt tysięcy! Zupełna abstrakcja. Załatwię przez NFZ, później. Przed oczyma staje mi Dorota. Chcę coś powiedzieć, ale rozlega się pukanie do drzwi. Zawadzka rzuca na mnie szybkie spojrzenie, jakby sprawdzała, czy się nadaję, żeby ktoś mnie oglądał. Spokojnie, pani doktor, mam na sobie skarpetki i spodnie.

– Proszę.

Do gabinetu wchodzi mężczyzna w średnim wieku. Zrobiony na błysk. Nadawałby się, żeby tu pracować. Siwe włosy, ale fryzura nienaganna, drogi

garnitur, brzuch, jeśli jest, schowany pod marynarką.

– Dzień dobry – mówi miłym głosem, potem patrzy wprost na mnie. – Bardzo panią przepraszam. Czy mógłbym o coś zapytać?

Grzeczny, ujmujący. Uśmiecha się prawie nieśmiało. Kiwam głową.

– Kysiu. – Przenosi spojrzenie na Zawadzką. – Przyszedłem w imieniu pacjentki, która się u ciebie leczyła. Helena Gandrak.

– Tak, Stachu?

– Chciałem wydostać jej historię choroby. Mam upoważnienie.

Zawadzka się uśmiecha.

– Wydostać? – Zawiesza głos, jakby zastanawiała się nad doborem słowa, a Stachu rozkłada przepraszająco ręce. Urocze. – Wszystko możesz odebrać z recepcji.

– Już to zrobiłem, ale myślałem, że może masz jakieś dodatkowe notatki.

– Nie mam nic więcej.

W ton lekarki wkrada się zniecierpliwienie, które elegancki Stachu wyczuwa.

– W każdym razie bardzo ci dziękuję. Przepraszam, że przeszkodziłem.

Z szacunkiem kiwa głową lekarce, potem mnie, mówi „do widzenia”, na co ja odpowiadam, a Zawadzka mruczy coś niewyraźnie. Sądzę, że niespecjalnie lubi tego faceta mimo jego uroku. Nic dziwnego, chyba podebrał jej pacjentkę. E tam, podebrał, raczej sama zmieniła lekarza.

– Jak mówiłam, znam świetnego specjalistę w Rosji.

Jej głos odrobinę drży. Chyba jednak przejęła się trochę eleganckim Stachem.

– Dziękuję, muszę to rozważyć. Teraz... chciałam zapytać o coś innego. Mam znajomą, która urodziła się bez nóg i porusza się jedynie na wózku. Czy myśli pani, że po dopasowaniu protez mogłaby wstać... może nauczyć się chodzić? O własnych siłach?

– Ile ma lat? – pyta rzeczowo lekarka.

– Około dwudziestu.

Unosi brwi i ledwie dostrzegalnie kręci głową. Doskonale rozumiem ten gest: kolejne zaniedbane dorosłe dziecko.

– Proszę ją przyprowadzić i niech weźmie ze sobą dokumentację.

Uśmiecham się do współpracownicy babci Doroty.

– Pani doktor, jestem z Sopotu. Prawie rok temu poszłam na plażę. Była paskudna pogoda, a ja miałam ochotę skończyć ze sobą, bo rzucił mnie facet. Na odchodnym powiedział, że to nie tylko dlatego, że mam taką nogę. – Wczuwać się w opowiadaną historyjkę, niemal czuję lodowaty wiatr smagający policzki, słyszę szum wzburzonego morza, sól wdziera się do ust. – Usiadłam na mokrym piasku, fale były coraz bliżej, słona woda przyskała mi na twarz, a ja myślałam, że za chwilę mnie nie będzie i to wystarczyło za całe pocieszenie.

Urywam, przyglądając się twarzy lekarki. Słucha uprzejmie, ale zastanawia się już, w jaki sposób mnie wyprosić. Ostatecznie płacę za konsultację ortopedyczną, nie ma zamiaru przyjmować roli spowiednika czy psychoterapeuty. Powinam się streszczać.

– Usiadła obok mnie kobieta i zaczęła tak po prostu po ludzku ze mną rozmawiać. To była pani współpracownica, Katarzyna Wielosławska. Uwierzyłam, że nie jestem potworem. Nie popełniłam samobójstwa. – Śmieję się niepewnie. – Czy uwierzy pani, że po kilku dniach poznałam człowieka, który teraz jest moim mężem? To on namówił mnie na przyjazd do Warszawy i konsultację. Miałam telefon i adres do przychodni od pani doktor Wielosławskiej. Mówiła, że powinienam się zbadać nie ze względu na tamtego gnojka, tylko ze względu na zdrowie. Gdyby nie ona, nie byłoby mnie tutaj. W ogóle by mnie nie było.

Twarz doktor Zawadzkiej nie wyraża już uprzejmej obojętności, ale nie potrafię określić, co ją zastępuje.

– Ona jest teraz na urlopie. – W jej ton, do tej pory tak profesjonalny, wkrada się niepewność. Nie wiem, z czego wynika i czy ma jakiegokolwiek znaczenie.

– Tak, wiem. Chciałam ją zobaczyć, bo zawdzięczam jej życie, ale

mówiła mi o pani tyle dobrego, podawała panią za wzór lekarza.

– Tak mówiła? – Co słyhać teraz w jej głosie? Niedowierzenie? Brak ufności? – Ona też jest świetnym lekarzem.

Wypada pochwalić współpracowniczkę, która wyrażała się o niej w superlatywach, ale idzie jej to jakoś opornie.

– Tak. – Uśmiecham się szeroko. – Chciałabym jej podziękować osobiście. Kiedy wróci z urlopu?

– Za trzy tygodnie.

Spogląda na zegarek. Odzyskała panowanie nad sobą i daje mi wyraźnie znać, że czas wizyty dobiegł końca.

– Dokąd pojechała? Może jest w Sopocie? Podobno ma tam córkę.

– Nie wiem.

Nie ma zamiaru puścić pary z gęby, czy rzeczywiście nie wie? Zaczynam wątpić we własną umiejętność odgrywania ról. Postanawiam jednak wykonać kolejną próbę.

– Mówiła, że czuje się bardzo samotna, ale ratuje ją pani przyjaźń.

Zawadzka marszczy brwi, sztywnieje.

– To miło.

– Dziękuję, pani doktor. – Idę w kierunku wyjścia, przy drzwiach się odwracam. – Czy mogłaby mi pani podać numer jej komórki? Chciałabym jej też podziękować. Żaden lekarz do tej pory nie zajął się mną tak jak wy. Obie.

Doktor Zawadzka waha się chwilę, po czym podaje mi numer, który wpisuję do telefonu.

– Mówiła, że poznała mężczyznę. – Ryzykuję strzał w ciemno. – Z nim pojechała?

– Nie wiem.

Tym razem głos lekarki jest naprawdę twardy. Dziękuję więc jeszcze raz, mówię do widzenia i wychodzę.

Recepcjonistka jest pogrążona w rozmowie z innym facetem, nie zwraca uwagi na Krzycha. Wydaje mi się to dosyć zabawne, ale opanowuję nerwowy śmiech. Mężczyzna przez chwilę patrzy na mnie, potem znów zwraca się do kobiety za biurkiem. Chciałabym mieć ojca – myślę niespodziewanie.

– Miałaś konkurencję? – pytam w samochodzie.

Krzychu wygląda na skonsternowanego.

– No, ten gość, z którym pani w recepcji rozmawiała, kiedy wyszłam.

– To jej brat. – Krzychu macha ręką. – Lepiej spróbujmy uporządkować informacje.

Niewiele udało mi się wyciągnąć z doktor Zawadzkiej, ale w połączeniu z ploteczkami recepcjonistki zachowanie lekarki nabiera sensu. Mama Beaty jest uważana za lepszego specjalistę, ma więcej pacjentów, chociaż ci, którzy przychodzą do Zawadzkiej, również ją chwala. W trakcie urlopu doktor Wielosławskiej niektórzy umawiają się na wizyty u jej współpracownicy. Finansowo się opłaca.

– Myślisz, że mogłaby zabić, żeby przejąć pacjentów i ich pieniądze? – pytam bez przekonania.

– Nie sądzę, ale nie możemy wykluczyć niczego.

– No, dziwnie się zachowywała, kiedy mówiłam o jej współpracownicy. Może to jednak ona.

Trochę byłoby mi żal, bo runąłby piękny plan przyjścia tu z Dorotą.

– Dziwne by to było, bo nawet mając mniej wizyt, też dużo zarabia.

– Pacjenci jej odpadają, nie tylko na korzyść Wielosławskiej.

Opowiadam o wizycie eleganckiego Stacha.

– Taa – mruczy Krzychu. – Recepcjonistka coś kserowała.

A jak sama zainteresowana do tego podeszła?

Przypominam sobie leciutkie drżenie głosu, ale teraz wydaje mi się czymś w rodzaju *wishful thinking*.

– Przez moment sądziłam, że się odrobinę przejęła, nie wiem. Chyba



ogólnie gościa nie lubi.

– Stachu, mówisz.

– Stachu.

Oboje wybuchamy śmiechem. Na razie nic nam to imię nie daje.

– Recepcjonistka powiedziała mi też coś innego – mówi Krzychu, kiedy opanowuje chichot.

– Tak?

– Doktor Wielosławska niemal przesadnie dbała o wygląd, kupowała co i rusz nowe ubrania, perfumy.

No proszę, a więc moje pytanie o mężczyznę nie było takie całkiem bez sensu.

– Facet?

– Też o to zapytałem, ale powiedziała, że nic nie wie. Zmieniła temat i głupio mi było naciskać.

Tajemnice, tajemnice.

– Może to z nim pojechała?

– Może.

Wiele zbrodni ma podłoże damsko-męskie, przynajmniej w kryminałach, które czytałam.

– A może po prostu recepcjonistka jest złośliwa czy tam po kobiecemu zawistna?

– Po kobiecemu? – Krzychu unosi jedną brew.

– Och, bywają takie baby – odpowiadam z irytacją.

– Baby?

Głupio mi się wymknęło.

– Nie łap mnie za słówka. Faceci mają dużo gorsze wady.

To prawda, ale teraz wolę o tym nie myśleć. Obiecuję sobie sporo po

komputerze w mieszkaniu pani doktor. Postanawiam sprawdzić coś innego.

– Mam numer jej komórki. Spróbujemy zadzwonić?

– Spróbuj. Może odbierze i będziemy mieli to z głowy.

To byłoby najlepsze, chociaż stałoby w sprzeczności z obrazem Doroty, który sobie wymyśliłam. Odnajduję kontakt, przyciskam zieloną słuchawkę. Automat informuje, że abonent ma wyłączony telefon lub znajduje się poza zasięgiem. Chowam komórkę i ogarnia mnie uczucie straszliwego żalu. Lekarka, która zginęła, i moja babcia zlewają się w jedno.

– Wierzysz, że ktoś ją zabił?

Krzychu nie odpowiada od razu.

– Zazwyczaj wierzę w to, na co mam dowody. – Wyciąga rękę, dotyka mojego policzka. Cofam się i opuszcza dłoń. – Dlatego nigdy nie wierzyłem w Boga. Teraz się nie zastanawiam, czy wierzę w morderstwo Wielosławskiej. Chcę zdobyć dowody. Na cokolwiek.

– Nie na cokolwiek! – wybucham. – Mamy znaleźć mordercę.

– Znajdziemy, jeśli to było morderstwo.

– To było morderstwo!

Uderzam ściśniętą dłonią w deskę rozdzielczą i wybucham płaczem. Myślę o komórce, która nie dzwoni. Może została pochowana razem z właścicielką. Wyobrażam sobie obudzenie się ze śmierci klinicznej, walkę z klawiszami, nadzieję.

– Ola, uspokój się! – W głosie Krzycha jest taka stanowczość, że prawie przestaję zawodzić. – Jeśli mamy czegokolwiek się dowiedzieć, nie możesz histeryzować.

Ma rację. Zachowuję się jak egzaltowana smarkuła.

– Zjedzmy coś.

– Mieliśmy się rozejrzeć po okolicy – przypominam.

Uśmiecha się kwaśno.

– Co tu chcesz znaleźć?

Nie odpowiadam, wychodzę z auta. Krzychu robi to samo. Krótki spacer nic nam nie daje. Spokojna część Warszawy, niewielki ruch, sporo zieleni, głównie kilkupiętrowe budynki, nic ciekawego. Decyduję, że rzeczywiście pora na przekąskę. Jemy w małej przytulnej restauracji na Rynku Starego Miasta. Wyobrażam sobie, że naprawdę jesteśmy małżeństwem, Krzychu martwi się o moje zdrowie, więc zabrał mnie do stolicy, żebym odwiedziła ortopedę.

– Lekarka powiedziała, że mogłabym mieć operację. Jest możliwe wydłużenie nogi nawet o siedem centymetrów.

Nie wchodzę w szczegóły. Po co miałabym mówić, na czym taka operacja polega ani że kosztuje grubą kasę, jeśli chce się ją wykonać szybko?

– Powinnaś to zrobić. – Krzychu nie zastanawia się nad odpowiedzią.

Wiem, że to gra, ale przez chwilę chcę traktować ją jak rzeczywistość.

– Żeby lepiej wyglądać? – przekomarzam się.

Krzychu reaguje tak, jak powinien zareagować wymarzony mąż. Kręci głową i patrzy mi w oczy.

– Jesteś piękna. Żeby lepiej się czuć.

Bajery-rowery, ale robi mi się coraz przyjemniej.

– Powinnam, bo mam kłopoty z kręgosłupem. Problem z tym, że nie wiem, czy NFZ zapłaci.

Miałam nie mówić o kasie, ale nie da się cofnąć słów. Wiem, że nastrój za chwilę przyśnie.

– Skombinujemy pieniądze.

Osiemdziesiąt tysięcy? Poczucie rzeczywistości wraca. Nie mam męża i nawet gdyby Krzychu dysponował taką sumą, za nic nie przyjąłabym od niego pieniędzy.

– Jeśli się zdecyduję, to tylko z Dorotą.

Staram się brzmieć twardo, a słowa mają przypomnieć, po co tu jesteśmy. Z pewnością nie dla zabawy w męża i żonę. Krzychu kiwa głową, że niby zrozumiał. Guzik zrozumiał. Zaczyna wychwalać swoją zupę, pyta, jak moja.

Odburkuję coś niewyraźnie.

# Dorota

Dzwonek do drzwi. Z założenia nie miewamy gości. Babcia była właściwie domownikiem, ślusarze wykonywali płatną robotę. Nikt nie próbuje odwiedzić nas ot tak. Oczywiście nie nas, tylko mamę. Mnie nie ma. Mama sztywnieje.

- To pewnie jakaś pomyłka.
- Może listonosz? – podpowiadam.

Przychodzą czasem do mamy listy polecane z różnorakich urzędów, ale poczta zawsze zostawia je w skrzynce. Już babcia to załatwiła. Może jednak jest nowy pracownik, niepoinformowany? A może to pismo z poleceniem odbioru? Z policji? A może nawet policja? Teraz ja sztywnieję.

– W sobotę? – zauważa mama przytomnie i niemal oddycham z ulgą. Policja chyba też nie przyszłaby w sobotę. – Wyjrzę przez okno.

Przechodzi do drugiego pokoju, skąd jest widok na ogród i bramę. Jeszcze jeden dzwonek, po nim cisza. Mama wraca.

- Kto to był?
- Jakaś kobieta. Nie znam jej. Poszła sobie.

Dziwne, że ni z tego, ni z owego zjawiała się pod naszymi drzwiami nieznajoma.

– Jak wyglądała? – Wydaje mi się, że powinnam zapytać, wszystko może być ważną informacją.

- Mama pociera skronie.
- Rozglądała się. Jakby węszyła.
  - Jak wyglądała? – powtarzam.
  - Nie wiem. Normalnie.

Twarz ma ściągniętą. To lęk. Zaraźliwy, mnie też się udziela, chociaż nie

mam pojęcia, w czym mogłaby nam zaszkodzić jedna nieznajoma wężąca kobieta.

– Dorotko. Obejrzyjmy razem jakiś film, dobrze?

Ta nagła zmiana tematu wybija mnie z rytmu, ale dostrzegam w tym szansę, chociaż nie wiem na co.

– Tak – mówię trochę niepewnie.

– Co byś chciała? – Mama gładzi mnie po ręce i czuję szorstkość wnętrza jej dłoni. Pyta o zdanie, liczy się ze mną, nie decyduje sama, co będzie najlepsze. Stwarza iluzje.

– Ty wybierz, mamusiu. – Teraz nie pora na grę w iluzje.

Podchodzi do półki z filmami i przygląda się przez chwilę. Obserwuję jej dłonie, kiedy wyciąga i wkłada kolejne płytki. Ma śliczne, smukłe ręce. Spiłowała paznokcie po nocnej eskapadzie, pociągnęła je bezbarwnym lakierem.

– Może być *Czekolada*?

– Tak.

Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, mogłaby to być nasza historia. Wtulone w siebie, śledzimy losy bohaterek, zapominając o koszmarze. Nie do końca. Gdzieś z tyłu głowy tłucze mi się myśl o kobiecie, która niekiedy oglądała filmy z nami, a teraz... Mama przytula mnie mocniej, oddaję uścisk i w tej chwili dźwięk dzwonka wwierca się w mózg. Mama wstaje.

– Sprawdzę, czy to znowu ona. Jeśli tak, otworzę.

Kiwam głową, jakby mama czekała na moją opinię czy przyzwolenie. Mogę sobie istnieć w tym pokoju czy nawet domu, mogę się buntować, kochać, pragnąć, ale nie przebiję muru, który dzieli mnie od każdego innego człowieka po drugiej stronie. Nie? A gdybym na przykład teraz się wydarła? Co zrobiłaby mama? Wyjaśniła wężącej babie, że ma pod tymczasową opieką niepełnosprawną debilkę? A może poszłaby dalej i pozbyła się świadka? Później pojechałaby pochować kobiecinę we wspólnym dole z babcią. Nie, biorąc na logikę, to byłoby zbyt niebezpieczne. Jeśli ktoś odkryłby grób, ślady prowadziłyby prosto do nas. Lepiej pogrzebać drugiego

trupa setki kilometrów od pierwszego. Jestem podła. Myśli się urywają, zastępują je inne, normalniejsze. Po co przyszła ta kobieta? Czy naprawdę węszy? O czym rozmawiają? Czy jej pojawienie się ma jakiś związek ze śmiercią babci? Muszę wyciągnąć z mamy wszystko, z dokładnym opisem wyglądu włącznie. Kto wie, może to będzie mój wkład w śledztwo. Po obudzeniu zastanawiałam się, czy odkryli jakieś tropy w Warszawie. Komputer będę mogła uruchomić dopiero w poniedziałek. Ciekawe, co by się stało, gdybym została przyłapana na korzystaniu z internetu? Nie będę eksperymentować. W grze, która się toczy, wszyscy stoimy poza prawem. Nie tylko ja. Mama, Ola, jej Krzychu. Babcia też została wystrzelona na tę stronę. Robię porządek w myślach. Powinnam skoncentrować się na istotnych kwestiach. Biorę kartkę i długopis. Robię notatki, jakbym była prawdziwym śledczym.

*Węsząca kobieta. Wygląd. Słowa. Brzmienie głosu. Nazwisko.*

Muszę to wszystko wyciągnąć z mamy. O ile w ogóle otworzy usta. O ile powie mi prawdę.

Wreszcie wchodzi. Siada naprzeciwko i patrzy umęczonym wzrokiem, ale przez chwilę nie mówi nic, jakby budowała napięcie. Jakby w ciągu ostatnich dni napięcia nie było wystarczająco dużo. Czuję przypływ irytacji. Przerывam ciszę.

– Kto to był?

– Nie wiem. Powiedziała, że pracuje dla czasopisma zajmującego się wystrojem mieszkań. Coś jak „Dom i Wnętrze”, tylko mniejszego.

– Jak się to czasopismo nazywa? – wtrącam, bo wygląda, że mama się zacięła.

– „Twój Dom”.

Notuję nazwę w pamięci, muszę sprawdzić w internecie, czy istnieje.

– A jej nazwisko wzięłaś?

Moje pytania przypominają ruchy słonia w składzie porcelany, ale mama nie przejawia zniecierpliwienia czy podejrzliwości. Taka jestem, do takiej miała czas się przyzwyczaić.

– Od razu się przedstawiła, a nawet zostawiła wizytówkę.

Otwiera ściśniętą dłoń i dostrzegam podłużny kartonik. Sięgam po niego, nie protestuje. Amelia Romanowska, to łatwe. Komórki nie ma, jedynie stacjonarny. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa to telefon tej gazetki. Dwadzieścia dwa, tyle zdążę przeczytać, bo mama jakby się obudziła i zabiera mi karteczkę. Wiem, że dwadzieścia dwa to kierunkowy do Warszawy. Czasem mama przynosiła mi telefon i to ja wybierałam numer do babci. Jak przystało na wzorową wnuczkę, znałam go na pamięć. Jedyny, chociaż podejrzewam, że mam pamięć do cyfr i pomieściłoby się sporo więcej.

– Dwadzieścia dwa...? – zawieszam głos, a mama wzrusza ramionami.

– Powiedziała, że pismo jest warszawskie, a ona tam pracuje. Teraz podróżuje na koszt firmy, bo pisze artykuł na temat wystroju kuchni w różnych częściach Polski.

Notuję w pamięci każde słowo, ale jedno budzi grozę.

– Kuchni? – powtarzam.

– Tak. – Głos zaczyna jej drżeć. – Oglądała tam wszystko. Wszystko.

Rozkleja się, pociąga nosem. Wyciągam rękę i gładzę ją po ramieniu.

– Dlaczego ją wpuściłaś?

– Nie wiem. Powiedziała, że ma problemy z tym artykułem. Zrobiło mi się jej żal. To stało się tak szybko, że prawie poza mną. Gdy stała już w kuchni, głupio mi było ją wyrzucać. No i pomyślałam, że wtedy może nabrać podejrzeń.

– Na pewno była dziennikarką – mówię bez przekonania.

Może była. Może tak działają dziennikarze pomniejszych pisemek. Z tą kuchnią to tylko makabryczny zbieg okoliczności. Mama kiwa głową, ale płacze coraz głośniejsze.

– Jak wyglądała?

Nagle się ucisza, przygląda mi się podejrzliwie. Nie może wiedzieć, że zaangażowałam się w prywatne śledztwo, nie ma ku temu żadnych



przesłanek. Spuszczam oczy.

– Co to za różnica?

W jej głosie jest chłód pomieszany z jakąś inną nutą. Mam wrażenie, że chciałyby mnie uderzyć tak jak wczoraj. Brnę dalej.

– No, twoim zdaniem wyglądała na dziennikarkę?

Zgrywam idiotkę, ale mama daje się nabrać. Gdzieś tam w głębi uważa mnie za idiotkę, chociaż nie zarzuciłyby mi niepełnosprawności intelektualnej.

– Dziennikarki pewnie wyglądają normalnie. To była elegancka kobieta w wieku babci.

Niedobrze. Usta lekko jej drżą, chociaż porównanie sama zrobiła. Przestała płakać, a ja mam mętlik w głowie. Jest załamana, przerażona czy ledwie panuje nad wybuchem agresji? Zapewne wszystko razem, zmieszane jak we mnie. Wstaje i bez słowa opuszcza pokój. Nie dokończymy dzisiaj *Czekolady*.

Nie poddaję się tym razem emocjom. Chcę myśleć logicznie. Elegancka kobieta w wieku babci. Amelia Romanowska, rzekoma dziennikarka rzekomego „Twojego Domu”. Oglądała kuchnię. Czy to znaczy cokolwiek? Czy jakoś się wiąże?

# Ola

Otwieramy drzwi.

– Nawet gdybyśmy nie mieli klucza, to nie zabrałoby więcej niż pięć minut – stwierdza Krzychu. – Jej córka ma lepsze zamki.

Nie bała się włamań. Katarzyna Wielosławska była ufną, wierzącą w ludzi osobą.

– Usiądź – mówię głosem niedopuszczającym sprzeciwu. – Nie dotykaj niczego, chcę najpierw sama wszystko obejrzeć.

Krzychu wzrusza ramionami, siada na kanapie i włącza telewizor. Kieruje się do komputera, drżę z niecierpliwości, gdy się uruchamia. Katarzyna ma Outlooka, nie potrzebuję hasła, żeby go otworzyć. Ściągam pocztę, przychodzi kilkanaście maili, którymi zajmę się za chwilę. Na razie koncentruję się na starych. Głównie korespondencja z pacjentami. Doktor Wielosławska to dobry lekarz, dbający o kontakt z chorymi. Z anielską cierpliwością odpowiada na wątpliwości, szuka najlepszych rozwiązań. Dla wnuczki też znalazła najlepsze rozwiązanie. Przez chwilę nienawidzę jej tak, jak można nienawidzić jedynie najbliższych. Zaraz jednak przychodzi opamiętanie. To nie moja babcia, to obca kobieta, która została zamordowana. Zbrodnia, którą zobowiązałam się wyjaśnić. Znajduję kilka maili od Beaty. Nic szczególnego, pani doktor nie prowadziła z córką częstej korespondencji. Nie dziwi mnie to. Gdyby moja mama żyła i mieszkała w innym mieście, też wolałabym rozmawiać z nią przez telefon. Myśl o mamie nie boli, raczej popycha do intensywniejszej pracy.

*Przypomnij mi nazwę tego lekarstwa homeopatycznego, które Dorota brała ostatnim razem. Wydaje mi się, że ma pierwsze oznaki grypy.*

*Odpowiedź: Influenzinum 9ch. Rano i wieczorem jedna kuleczka. Pamiętaj, żeby nie było kontaktu z jedzeniem.*

Krótkie „Dziękuję” w odpowiedzi. Pani ortopeda przepisująca kuleczki homeopatyczne wzbudza jedynie sympatię. Ja również wierzę w taką terapię

bardziej niż antybiotyki serwowane bez opamiętania przez lekarzy przestrzegających tak zwanych procedur medycznych. Tym bardziej że kiedyś usłyszałam, że kuleczki są dziełem szatana. Kiedy je zażywam, czuję się bliżej ojca. Uśmiecham się lekko i wracam do korespondencji. To jedyna wzmianka o Dorocie, ale wystarczy mi za dowód, że to córka Beaty. Wchodzę w wysłane. Najciekawszy jest ostatni e-mail, napisany do córki o szóstej rano w dniu domniemanego morderstwa.

*Za chwilę wyjeżdżam. Nadal nie wiem, czy zdołam wpaść, ale będę się starała.*

No i co? Wcale mnie to nie posuwa do przodu. Zdobywam jedynie kolejne dowody, że Dorota mówi prawdę, ale przecież i tak jej wierzę.

Otwieram nowe maile. Wśród ofert firm farmaceutycznych zaplątała się wiadomość, której nadawcą jest niejaka Agnieszka.

*Nie mogę dodzwonić się na Twoją komórkę. Miałam nadzieję, że jednak wpadniecie. Napisz koniecznie, jak mijają wakacje życia. Słowo daję, czasem żałuję, że jestem szczęśliwą mężatką. Nigdy nie przeżyję już takiego romansu jak Ty, a tego faceta chciałabym poznać. Bez obawy, nie odbije mi, wiesz, że jestem lojalna J.*

Przyglądam się adresowi. Agnieszka2606@gmail.com. Jest w kontaktach, ale innej korespondencji z tą osobą nie ma w odebranych ani w wysłanych. W usuniętych znajduje kilka wiadomości z załącznikami. Artykuły specjalistyczne, co nasuwa przypuszczenie, że to również lekarz ortopeda. Ostatni mail sugeruje, że łączyły je również kontakty towarzyskie. Widocznie też wolały rozmawiać przez telefon.

*Miałam nadzieję, że jednak wpadniecie. Nigdy nie przeżyję już takiego romansu jak Ty, a tego faceta chciałabym poznać.*

Zapewne w sądzie nie zostałyby to uznane za dowód, ale to mocna przesłanka, że Katarzyna nie spędzała urlopu sama. Kim zatem jest tajemniczy nieznajomy? Nigdzie indziej żadnej wiadomości o jakimkolwiek mężczyźnie. Zaczynają mnie irytować odgłosy filmu akcji, chociaż dźwięk jest ustawiony dość cicho.

– Proszę, wyłącz telewizor.

Krzychu pstryka pilotem. Mówię, z czym się zapoznałam, i proszę, żeby zerknął na maile. Siada przed komputerem, ja rozglądam się po mieszkaniu. Otwieram każdą szufladę w salonie, wyciągam dokumenty. Rachunki, potwierdzenia przelewów. Przechodzę do łazienki. Szukam jakiegokolwiek śladu faceta. Jeśli to rzeczywiście był płomienny romans, powinnam coś znaleźć. Wszystko wskazuje jednak na to, że pani doktor mieszkała samotnie. Szperam w szafkach, mnóstwo kosmetyków, wszystko damskie. Przechodzę do sypialni, otwieram szafę. Nic, co potwierdziłoby teorię o wielkiej miłości. Kieruję się do regału, z metodyczną dokładnością przeglądam książki. Coś musi być. Gdzieś. Gdziekolwiek.

– Jak idzie?

Krzychu stoi w progu. Wzruszam ramionami, nie chce mi się nawet odpowiadać.

– Wielki tu porządek, prawda?

Wydaje mi się, że powiedział to jakimś specjalnym tonem.

Spoglądam zdziwiona.

– Nie ma w tym chyba nic nienormalnego? Pedantyczna starsza pani posprzątała mieszkanie przed wyjazdem.

Krzychu kręci głową.

– Możliwe. Dla mnie to jednak wygląda, jakby ten porządek robił ktoś inny. Jeśli była taka pedantyczna, dlaczego zostawiła odkurzacz w pokoju i to włączony do gniazdka, chociaż ma specjalny schowek?

To może odrobinę dziwić, ale czy Krzychu na siłę nie dorabia jakiejś teorii? Zostawienie odkurzacza na zewnątrz nie wygląda na wielkie niedbalstwo.

– Może po prostu się śpieszyła?

– Otwórzmy tapczan i sprawdźmy pościel.

Przyglądam się, jak Krzychu wyjmuje kołdrę i poduszkę. Pościeli nie ma.

– Tak myślałem – mruczy.

Wzruszam ramionami. Nawet jeśli niecodzienne, niekoniecznie

podejrzane.

– Pewnie nie zdążyła założyć świeżej, a zdjęła starą.

– Więc gdzie jest stara? Pojemnik na brudy jest pusty.

To prawda. Podniosłam pokrywę i widziałam.

– Widocznie zrobiła pranie.

To też nie nadzwyczajne. Nawet ja zazwyczaj robię pranie przed wyjazdem.

– Tak? Ma suszarkę w kuchni i wisi tam nawet kilka rzeczy, ale nie pościel.

– Mogła po prostu włożyć ją już do szuflady.

– Mokłą? A jeśli wyschła wcześniej, pod czym spędziła ostatnią noc? Pod kołdrą bez powłoczki? Spała na tapczanie bez prześcieradła? Kładła głowę na niepowleczonej poduszce?

To trochę kłóci się z wizerunkiem pedantycznej kobiety, i to w dodatku lekarki.

– Może nie spędziła tu nocy? – sugeruję.

Mogła przecież spać u kochanka. Może zresztą spędzała u niego większość czasu i właśnie dlatego brak jakichkolwiek śladów mężczyzny.

– Przecież napisała maila do córki o szóstej rano. Musiała pisać z tego komputera, inaczej nie byłoby go w Outlooku.

Twarz Krzycha zaczyna się rozmazywać. Osuwam się na fotel. O co chodzi? Dlaczego przeraża mnie żelazna logika jego dedukcji?

– Moim zdaniem ktoś tu był później i postarał się o zatarcie śladów. Nie chciał, żeby w razie śledztwa odkryto jego DNA.

– A na pościeli...

Nie kończę. Krzychu jednak jest bezlitosny.

– Na pościeli najprawdopodobniej można było znaleźć jego nasienie.

Wiem już, co mnie przeraża. Morderca kochanek niszczący ślady. Obraz

przed oczyma się krystalizuje. To twarz pana Michała. To on, myślę, chociaż wiem, że to absurdalne.

– Może tu jeszcze wrócić?

Jestem na krawędzi. Nie boję się o życie, ono od dawna nie ma wielkiej wartości, przeraża mnie wizja ponownego rozszarpania na strzępy, jak wiele lat temu w gabinecie wychowawcy. Pograżam się w nedorzecznej panice.

– Nawet gdyby, jestem w stanie nas obronić.

Brzmi jak przechwałka gówniarza, ale pomaga. Powoli wracam do obecnej zbrodni, która łączy się ze mną jedynie przez włamanie do domu Beaty. Na pewno nie przez demonicznego kochanka o nijakiej twarzy.

– Najprawdopodobniej jednak – ciągnie Krzychu – nie wróci tu. Załatwił, co chciał, i w jego interesie leży trzymanie się od tego miejsca z daleka.

– Tak – mówię i uśmiecham się jak głupia.

Trzeba kontrolować emocje, nie rozwikłam zbrodni, jeśli będę dawała się ponieść hysterii. Wystarczyło jedno skojarzenie potwierdzone słowem „nasienie”, żebym zeszywniała ze strachu. Później odmienię je przez przypadki. Wstaję i ponownie podchodzę do regału.

– Skończę z tymi książkami. Może tu coś przegapił.

Przerzucam kartki, kiedy ciszę przerywa głos Krzycha.

– Sądzę, że komputer też czyścił.

Odkładam książkę.

– W usuniętych było dużo spamu. – Krzychu mówi takim tonem, jakby prowadził wykład dla trudnej młodzieży. – To normalne, większość ludzi usuwa spam, kiedy tylko przyjdzie. Ona też miała ten zwyczaj.

Nie rozumiem, do czego zmierza, wygłaszając oczywistości. Może nie jestem zbyt bystra, ale znam podstawowe zasady działania poczty elektronicznej.

– Przystudiowałem wysłane i usunięte. Od czterech miesięcy pani Katarzyna korespondowała jedynie z pacjentami i od czasu do czasu z córką. Wcześniej trafiały się maile do znajomych, chociażby do tej Agnieszki, a

teraz zupełnie nic. Jakby kompletnie odcięła się od wszystkich.

– Ale przecież... tam wcześniej też nie było nic ciekawego. Jakieś artykuły.

Krzychu kręci głową.

– Zawsze kilka zdań prywatnie dołączała. Co robiła, jaki film obejrzała, takie bzdety.

– Właśnie.

– Ale były. Teraz nie ma.

Zaczynam pojmować. Kochanek-morderca usunął maile, które w jakikolwiek sposób mogłyby doprowadzić do niego. Nie tylko do siebie, przecież innym też mogła o nim wspominać. Wypowiadam to na głos. Krzychu przytakuje.

– To może oczywiście być zbyt daleko idący wniosek – zastrzega – ale jakoś mi współgra z całą resztą.

Adrenalina krąży po organizmie, uderza do mózgu. Jest mi gorąco i strasznie, ale w jakiś sposób również przyjemnie.

– Podobno nigdy nie można zniszczyć raz wysłanej wiadomości. Ona nadal gdzieś jest.

– Tak. – Krzychu niemiłosiernie przeciąga „a”. – Tak mi się wydaje.

Nie zwracam uwagi na nutę wątpliwości w jego głosie.

– Nie chciałem ruszać tego bez ciebie, ale sprawdźmy jej konto bankowe.

Kiwam głową. To brzydka zbrodnia, a motyw może być banalny.

Siadam przed komputerem, Krzychu zajmuje miejsce obok. W ulubionych jest logowanie do banku. Numer konta wpisany, ale hasło trzeba podać. Z ukosa patrzę na Krzycha; marszczy brwi. Pewnie myśli, ale to należy do mnie. On nie ma pojęcia o Katarzynie Wielosławskiej. Ja też przecież nie. To nic, że nie widziałam nigdy pani doktor. I tak czuję się członkiem tej rodziny. Znam relacje. Beata, ryzykuję i oczywiście hasło jest niepoprawne. Zaraz, ile ona ma lat? Trzymałam w ręku jej dowód, patrzyłam na PESEL. Nie pamiętam, nie miał dla mnie znaczenia. No, dalej. Zamykam

oczy, jakbym mogła cofnąć się do tamtego momentu, ponownie popatrzeć na plastikowy dokument. Nic z tego. Nawet jeśli podświadomość zarejestrowała jakieś cyferki, nie wydobędę ich. Mama Doroty zaszła w ciążę, mając szesnaście lat. Jak moja. Dorota ma dwadzieścia. Rok urodzenia szefowej – 1980? Beata1980, wpisuję, po czym momentalnie kasuję. Zapewne i tak bym nie trafiła. Nie powinnam strzelać, jeśli trzy razy podam niewłaściwe hasło, w ogóle nie uzyskam dostępu. System mnie zablokuje. Może nie? Nie znam się na tym. Krzychu pewnie też się nie zna, więc nawet nie pytam. Może starsza pani odczuła jakiś sentyment dla wnuczki? Babcia. Moja prosta babcia miewała przebłyski czarnego humoru. Gdyby hasłowała dostęp do konta, mogłaby wpisać „kulas”. Tylko że Doroty z całą pewnością nikt kulasem nie nazywał. Zaraz, zaraz. Co powiedziałam przy pierwszym spotkaniu z Beatą w kawiarni? Co ją tak strasznie zdenerwowało? Coś w deseń, że babcia zwracała się do mnie per potworek. I że mama kiedyś też tak powiedziała. Potworek. Powoli, litera za literą, wprowadzam to słowo. Pudło.

– Nie wiem, co to może być – przyznaję.

Krzychu podnosi matę od myszki. Pod spodem zafoliowana kartka. Przyglądamy się w milczeniu. Bank, w tej samej linii rząd liter i cyfr, forum ortopedów – to samo, biblioteka i jakieś jeszcze słowa i liczby.

– To chyba hasła – oznajmia odkrywczu Krzychu.

Wzruszam ramionami i przepisuję długi rząd cyfr i liter przy banku. Tak, to było hasło. Najwyraźniej Katarzyna Wielosławska zupełnie nie martwiła się potencjalnymi włamywaczami. Nagle czuję się wykończona. Nie mam siły spojrzeć na ekran. Krzychu robi to za mnie.

– W środe dziewięćdziesiąt tysięcy, a więc właściwie wszystko zostało przelane na rachunek Beaty Wielosławkiej.

W środe. W dzień morderstwa.

– Sama sobie przelała – mówię słabo.

– Zgadza się – potwierdza Krzychu.

Pieniądze często są najsilniejszym motorem działania. Czy szefowa o subtelnej twarzy zabiłaby własną matkę dla dziewięćdziesięciu tysięcy? Przecenia się kasę. To matka zamknęła ją w domu z kaleką, matka



zdeteminowała całe życie. Najprościej byłoby pozbyć się niewygodnej córki, ale może ona nie przepada za prostymi rozwiązaniami. Dziewięćdziesiąt tysięcy to tylko przykrywka.

– Jutro... – zaczynam, ale ze słów robi się supeł i więźnie gdzieś w krtani.

Chciałam powiedzieć, że jutro zastanowimy się nad tym wszystkim, ale teraz wydaje mi się, że nigdy już żadne zdanie nie przedostanie się przez tę blokadę w gardle.

– Tak, jutro. Idź spać, maleńka.

Często tak do mnie mówi, to nie ma żadnego znaczenia. Prowadzi mnie do sypialni, sadza w fotelu, wyciąga z szuflady świeżą pościel, przygotowuje łóżko. Rzeczywistość się wyłącza. Gdzieś tam jest obraz mnie i Krzycha na plaży, ale zostaje zastąpiony innym. My w świeżej pościeli, na tym tapczanie. Nie ma w tym nic obscenicznego. Pragnę jego dłoni gładzących nagą skórę, chcę poczuć smak pocałunków. To nie namiętność, to czułość, a raczej pragnienie czułości. Podchodzi, obejmuje mnie. Jest mi tak dobrze jak kiedyś na plaży. Chcę, żeby zobaczył mnie w pełnym kalectwie, brzydotę zamienił w piękno. Przez chwilę to jeszcze trwa, potem myślę o innych kobietach, które przytulał. Znam ich imiona. Seks – siła napędowa ludzkości. *Jesteś odrażająca, a wydaje ci się, że jeśli użyjesz cipy, zachęcisz do siebie kogokolwiek?* Głos pana Michała unosi się w powietrzu. Odsuwam się.

– Idź stąd.

Odchodzi. Wślizguję się do łóżka w ubraniu. To bzdura, to wszystko bzdura. Nie zgrywać idiotki, opanować histerię.

– Przyjechałam tu, żeby rozwiązać zbrodnię.

Powtarzam na głos, nie skupiam się na znaczeniu, jedynie na samej czynności i dźwięku, aż wszystkie obrazy bledną, rozmazują się, znikają. Spać. Powoli zapadam w otchłań, gdzie nie ma bólu ani wspomnień. Niczego nie ma. To takie przyjemne.

Budzi mnie gwałtowne bicie serca. Może coś mi się śniło, nie pamiętam. Siadam na łóżku, zdezorientowana, spocona, rozglądam się po nieznanym pomieszczeniu. Gdzie jestem? Rzeczywistość powoli wskakuje na miejsce.

Odrzucam kołdrę, wstaję. Moje ciało wydaje kwaśny, nieprzyjemny zapach. Rozkładam się. Wezmę prysznic, może pomoże. Wychodzę z sypialni, zanim jednak skręcę do łazienki, na palcach idę do salonu. Krzychu śpi przy szeroko otwartych drzwiach. Bezgłownie się wycofuję, zamykam pokój. Nie chcę, żeby obudził go dźwięk lejącej się wody. Słyszę kroki na schodach, zatrzymuję się, wstrzymuję oddech. Ktoś stara się nie robić hałasu, skrada się jak przestępca. Przykładam ucho do drzwi, nasłuchuję. Ten ktoś zatrzymuje się, stoi tuż przy mnie, dzieli nas tylko cienka ściana. Wkłada coś do zamka. Nie uda mu się dostać, zamknęliśmy się na łańcuch, postanawiam więc mu pomóc. Jestem zbyt niecierpliwa, za szybko, za głośno odblokowuję drzwi, ten ktoś po drugiej stronie rzuca się do ucieczki. Wychodzę na zewnątrz, on zbiegł co najmniej do połowy piętra. Rzucam się w pogoń. Kulawa kuternoga chce dogonić zdrowego mężczyznę. Nie mam wątpliwości, że to mężczyzna, kochanek starszej pani, morderca. Może mieć przy sobie pistolet, ale to mnie nie wstrzymuje. Martwi mnie jedynie zwiększająca się odległość. Przyśpieszam, końskie kopyto nie wytrzymuje i z hukiem się przewracam. Rwący ból, rozchodzący się od biodra wzdłuż całej nogi. Drzwi na klatkę zamykają się z trzaskiem. Cholera, cholera, cholera!

– Ola.

Podnoszę głowę. Krzychu stoi nade mną w piżamie, wygląda zupełnie przytomnie.

– Uciekł.

Pot zalewa mi plecy, zlepia włosy na czole, a równocześnie robi mi się zimno i nadchodzą mdłości. Znam te oznaki z czasów nastoletnich, za chwilę zemdleję. Nie protestuję, kiedy Krzychu bierze mnie na ręce, koncentruję się na równomiernym oddechu, żeby dostarczyć organizmowi jak najwięcej tlenu. Krzychu kładzie mnie na sofie.

– Zrób herbaty – proszę.

Z pewnością czuł mój zapach. Kiedy wraca, nalegam, żeby usiadł po drugiej stronie stołu. Może tam nie dochodzi odór.

– Chciałbym obejrzeć twoją nogę.

– Nie. – Siadam. – Nic mi nie jest.

Ponieważ niebezpieczeństwo zemdlenia minęło, chcę od razu zademonstrować swój dobry stan, więc wstaję i wykonuję kilka kroków. Boli jak cholera, kuleję pewnie jeszcze bardziej niż zwykle, ale mogę chodzić. Najważniejsze, że kości nie zostały naruszone. Gdy przyjdzie odpowiedni czas, dam je sobie połamać i wydłużę tę wstrętniejszą. Będę prawie normalna. Ponownie nozdrza wypełnia mi zapach zgnilizny. Teraz najważniejsze, żeby się go pozbyć.

– Zaraz wracam.

Biorę prysznic, spryskuję się obficie dezodorantem i wracam do pokoju.

– Pojedziemy na pogotowie.

W głosie Krzycha jest stanowczość, ale mam ją gdzieś.

– Musiałbyś zabrać mnie siłą. Spróbujesz?

Wzrusza ramionami, uznaje widocznie, że jestem już w dobrej formie, skoro stać mnie na drobne uszczypliwości.

– Co się stało?

Opowiadam.

– To mógł być ktokolwiek – mówi, kiedy kończę.

Podobnie jak ja jest przekonany, że nocny gość jest mordercą, ale nie przyzna się do tego.

Dziś nie czuję już tego obrzydliwego zapachu, który męczył mnie w nocy. Nie gniję, nie rozkładam się. Wysłałam maila do Doroty i snuję się po mieszkaniu, czekając na cywilizowaną godzinę, żeby zadzwonić i sprawdzić, z kim starsza pani kontaktowała się ostatnio przez telefon stacjonarny. Krzychu siedzi przed komputerem pani doktor. Spojrzałam mu przez ramię; przestał już grzebać w mailach, przegląda pliki na twardym dysku.

Dziewiąta trzydzieści. Podnoszę słuchawkę, wciskam „redial”. Ktoś odbiera po kilku sygnałach, ale słyszę jedynie jakieś trzaski. Już mam się rozłączyć, gdy zakłócenia ustają i odzywa się mężczyzna.

– Halo?

– Dzień dobry, mówi Aleksandra Morańska. – Przedstawiam się

nazwiskiem, którego używałam wczoraj w klinice. – Dostałam telefon do pana od mojej ciotki Kasi. Katarzyny Wielosławskiej – szczebioczę. – Dała mi kilka tygodni temu, gdy ją odwiedziłam. Powiedziała, że jest pan świetnym przewodnikiem po Warszawie.

– To miło – przerywa, ale nie daję wybić się z rytmu.

– Wtedy byłam krótko, a teraz pozwoliła mi się zatrzymać na dłużej. Powiedziała, że bym zaopiekowała się mieszkaniem. – Śmieję się. – Wie, że uwielbiam Warszawę. Nie wahałam się, wzięłam urlop. Czy... – udaję, że trudno mi wyartykułować prośbę. – Gdyby miał pan trochę czasu...

– Chwileczkę. Oddzwonię do pani za kilka minut, dobrze?

– Oczywiście.

– Na stacjonarny Kasi?

– Jak panu wygodniej. Mogę podać też numer mojej komórki.

– Poproszę.

Recytuję numer i on się rozłącza. Czekać, bębnię palcami po stole. Co słyszałam w głosie tego gościa? Podejrzenie? Co będzie robił? Może spróbuje skontaktować się z „Kasią”. Na zdrowie. Dzwoni telefon stacjonarny. Skąd mogę wiedzieć, że to on? Zdrętwiałymi palcami podnoszę słuchawkę.

– Halo?

– Pani Aleksandro, pomyliłem się. Chciałem zadzwonić na komórkę.

Zanim zdążę zareagować, rozlega się dźwięk oznaczający koniec połączenia, a po chwili melodia mojej komórki. Dziadek sprawdza wszystko.

– Mam czas i chętnie panią oprowadzę. Możemy zacząć dziś o siedemnastej.

– To wspaniale! Dziękuję! Gdzie pan proponuje spotkanie?

– Kolumna Zygmunta?

Zapewne mój przewodnik nie wykazuje się specjalną oryginalnością, ale nie zamierzam się kłócić.

– Trafie. Jak pana rozpoznam?

– Starszy pan w szarej sportowej kurtce, czarnych dżinsach i granatowych górskich butach. A pani?

– Będę miała na sobie niebieskie dżinsy i granatowy płaszcz. Trochę kuleję.

Powiedzenie, że jedną nogę mam znacznie krótszą, nie przechodzi mi przez gardło.

# Dorota

Bardzo źle czułam się w nocy. Być może miałam gorączkę, bo dostałam potwornych dreszczy i się pociłam. Spałam przez pół godziny, przyśnił mi się mój upiór, który zaniósł mnie do grobu babci, przysypał błotem i zostawił. Obudziłam się i niby byłam przytomna, mimo to pozostawałam w ziemi. Nie ja, zamieniłam się w babcię. Tkwiłam w tym czarnym dole, wdychając smród psującego się mięsa. Może zresztą tak było wygodniej. Prawdopodobnie wolałam się nie przyznawać, że to moje ciało gnije. Przypuszczam, że temu też służyło absurdalne odczucie, że jestem Olą i wydzielam odór rozkładu. Można powiedzieć, że ta noc zbliżyła mnie do Boga. Trzy osoby w jednej postaci, jakoś tak. Ciekawe, czy taka myśl jest bluźniercza. Nie chcę bluźnić, bo mamie by się to podobało. Ona uwielbia bluźnierstwa. W tym jedynie względnie czuje się jak nastolatka buntująca się przeciwko światopoglądowi rodziców. Ostatnio nawet bardziej świadomie.

Czytam maila od Oli i czuję, jakbym była w środku pasjonującej intrygi kryminalnej. Wcale nie tu, w zamkniętym, dusznym pokoju, ale w Warszawie. Ten komputer, wyczyszczony przez zbrodniczego kochanka, ta pościel, której nie ma, te pościgi po schodach. Niemal mimochodem Ola wspomina, że pieniądze z babci konta znalazły się na rachunku mamy. Przypominam sobie, czego dotyczy ta sprawa. To nie tropienie książkowego zabójcy, to próba wyjaśnienia całkiem realnej śmierci mojej babci. Mama przelała pieniądze tuż po zabójstwie. No i co z tego?! Ma pragmatyczny umysł, wie, że później mogłaby napotkać problemy, tak było wygodniej. Nie zabijałaby dla pieniędzy. Jestem pewna, że kochała babcię. Z drugiej strony po co ktokolwiek inny miałby kłopotać się mordowaniem w naszym domu? Czy nie prościej, wygodniej, byłoby zrobić to na neutralnym terenie? A mama? Dlaczego miałyby zabijać u siebie? Dla pewności, że nie znajdzie się świadek. Nikt nas nie odwiedza. Nikt niczego nie widział. Nawet ja. Kto wie, może przyjechały razem? Ledwie babcia usiadła, dostała kulę w łeb. Lodowacieję. Nie cierpię się za takie myśli. Są gorsze niż bluźnierstwo przeciw Bogu, którego nie znam.

Jeszcze raz czytam uważnie maila od Oli. Jest wiele informacji, ale ani słowa o rzekomej dziennikarce. Moja kolej. Wpisuję do wyszukiwarki „Twój Dom”. Jest taka gazeta, ma siedzibę w Warszawie. Istnieje nawet Amelia Romanowska. Nie mam pojęcia, czego to dowodzi. Ola jest w Warszawie, łatwo jej będzie wyjaśnić również ten wątek.

# Ola

Kuleję bardziej niż zazwyczaj, zapewne z powodu nocnego upadku. Idę ze wzrokiem wbitym w ziemię, nie wiem sama, czy bardziej boję się drwiących spojrzeń, czy litościwego odwracania oczu. Krzychu się uparł, że będzie mnie obserwował, siedzi na murku. Równie dobrze mogłabym być naga, ale jego jednego się nie wstydzę. Nadal.

– Pani Ola?

Podnoszę głowę. Wysoki, dobrze zbudowany facet obdarza mnie serdecznym uśmiechem. Przypuszczam, że grubo po pięćdziesiątce, ale jest zbyt przystojny, żeby mówić o nim „starszy”. Piuwne oczy patrzące spod ciemnych gęstych brwi z pewnością potrafią namieszać w głowie niejednej kobiecie. Jest bez czapki, chociaż na dworze lekki mróz, ale chroni go bujna czupryna siwych włosów poprzetykanych czarnymi nitkami.

– Tak. – Wyciągam rękę. – Ola.

Tak lepiej, serdeczniej. Potraktuję go jak wujka. Z drugiej strony może on odwdzięczy się taką samą nieformalnością i poda tylko imię.

– Tadeusz Rogucki.

Uśmiecham się szeroko. Nie opracowałam tego, ale i tak się udało. Dostrzegam krążek obrączki na serdecznym palcu i podstarzały przystojniak wsuwa z powrotem dłoń do rękawiczki.

– Ma pani specjalne życzenie na pierwszy raz?

– Nie. Zdaję się na pana.

– Skoro tu jesteśmy, może zaczniemy od Zamku Królewskiego?

Godzę się z entuzjazmem, mam nadzieję nie przesadnym.

Chodzimy po komnatach, słucham historyjek o królach, które zapewne można znaleźć w internecie. Bardziej niż na treści koncentruję się na brzmieniu głosu i dochodzę do wniosku, że jest niemal radiowy. Jeśli okazał



choćby minimalne zainteresowanie pani doktor, z pewnością straciła dla niego głowę. Chyba za daleko posuwam się w przypuszczeniach. Katarzyna Wielosławska również była atrakcyjną kobietą, a z tym facetem mogła łączyć ją jedynie przyjaźń. Nie będę go na wyrost demonizować.

– Zmęczona?

– Odrobinę. – Rzeczywiście gorsza noga daje o sobie znać. – Tak ciekawie pan opowiada, że prawie tego nie odczuwam.

– Zawsze lepiej zostawić słuchaczy w lekkim niedosycie, niż wywołać przesyt. – Śmieje się. – Proponuję przekąskę, a jutro kontynuujemy zwiedzanie stolicy.

Prowadzi mnie na Rynek. Zastanawiam się, czy Krzychu idzie za nami; nie zauważyłam go, kiedy wychodziliśmy z Zamku. Przystajemy przy kamienicy z Bazyliszkiem i słyszę baśń, której różnymi wersjami raczono mnie przy okazji wszelakich wycieczek, począwszy od czwartej klasy szkoły podstawowej. Tym razem brzmi bardziej złowieszczo, a zarazem erotycznie. Niszczycielski wzrok Bazyliszka wydaje mi się tożsamy ze spojrzeniem pana Tadeusza. Nie ma to jak w każdej sytuacji dobrze się bawić. Bibliotekarka na urlopie daje radę.

– A więc jest pani siostrzenicą Kasi?

Rogucki patrzy na mnie życzliwie, w jego głosie brzmi jedynie przyjazna ciekawość, ale w głowie zapala mi się ostrzegawcza lampka. Jeśli utrzymywał bliskie stosunki z panią doktor, wie, że nie miała siostry. Brata też, gwoli ścisłości.

– Jestem córką jej ciotecznej siostry, ale mam z nią kontakt lepszy niż z rodzonymi ciotkami, nawet... lepszy niż z własną mamą.

Uświadamiam sobie, że staram się naśladować głos mojego towarzysza. Nigdy mi nie wyjdzie, różnica klas. On – arystokracja, ja – niziny. Jeśli nawet jestem córką diabła, z pewnością nie króla piekieł. Kiwa ze zrozumieniem głową i zadaje następne pytanie: – Jest pani studentką?

Podczas rozmowy telefonicznej powiedziałam wyraźnie, że wzięłam urlop. Studenci nie dostają dwutygodniowego urlopu na zwiedzanie stolicy.

– Nie, jestem bibliotekarką.

– O, jak jej córka.

– Tak, jak Beata – potwierdzam.

Kelnerka przynosi obiad i przez chwilę jemy w milczeniu.

– Ciekaw jestem, co Kasia mówiła o mnie.

– Że jest pan jej przyjacielem i świetnym przewodnikiem po Warszawie. Niewielu miała przyjaciół, była raczej typem samotnicy... trochę jak ja. A że jest pan świetnym przewodnikiem, przekonałam się sama.

Jem z apetytem, wczuwając się zarazem w rolę. Zastanawiam się, jak go zapytać, w jaki sposób poznał ciocię, ale sam zaczyna ten temat.

– Ja też jestem trochę typem samotnika i może dlatego od razu poczułem sympatię do Kasi. Swój lgnie do swego, jak to mówią.

Samotnika, akurat! Dałabym sobie rękę uciąć, że facet nie wytrzymałby tygodnia bez możliwości roztaczania swojego uroku.

– Jak się poznaliście?

Teraz pytanie wydaje się jak najbardziej na miejscu.

– W gabinecie. Miałem problemy z kręgosłupem. – Uśmiecha się, ukazując hollywoodzkie uzębienie. – Wszystko przeszło.

Dowiaduję się, że oboje lubią Dostojewskiego, Kinga i wycieczki za Warszawę.

– Gadamy i chodzimy na te spacer, kiedy tylko znajdujemy chwilę. Ja, Kasia i moja żona to taka zgrana paczka o wspólnych zainteresowaniach.

Usiłuję nie dać po sobie poznać, że wzmianka o żonie zrobiła na mnie wrażenie. Nie jestem jeszcze w stanie się zdecydować, czy mu wierzę. Sądzę raczej, iż próbuje rozwiać podejrzenie, że jego i moją ciotkę mógłby łączyć romans.

– Jak się pani podoba praca bibliotekarki?

– Proszę mi mówić po imieniu.

- Dobrze, Olu. Rzeczywiście tak łatwiej. Trochę mi przypominasz Kasię.
- Naprawdę? Pokrewieństwo jest dalekie, ale kilka osób już tak mówiło.
- Naprawdę – zapewnia, jakby to był nie wiem jaki komplement. – Więc jak ci się podoba praca bibliotekarki?

Nie muszę nic zmyślać.

– Dla mnie wymarzona. Spokojna, bez stresów. Książki uwielbiam, lubię rozmawiać z ludźmi, którzy czytają. Organizujemy czasem spotkania autorskie, ale jakoś za tym nie przepadam. Wolę, kiedy pisarz jest niewiadomą. Większość autorów jest takich... – przez chwilę szukam słowa – małoskorych. Nie, może źle to ujęłam, ale często się obrażają, próbują gwiazdorzyć.

Mogłabym pociągnąć temat, podać kilka przykładów i zrobię to, jeśli zajdzie potrzeba, ale teraz odbijam piłeczkę.

– A pan czym się zajmuje? Jest pan zawodowym przewodnikiem?

Śmieje się, jakbym powiedziała najlepszy dowcip.

– Nie, jestem policjantem.

Krztuszę się kawą.

– Naprawdę?

Wydaje się całkiem zadowolony z reakcji, którą wywołał.

– A więc Kasia o tym nie mówiła.

– Nawet się nie zająknęła. To pasjonujące! Rozwiązuje pan zbrodnie?

– Zazwyczaj to brudna i niewdzięczna praca. Niebezpieczna też, ale to może dodawać uroku, prawda? W moim zawodzie nie ma wiele uroku, jest szarość i brzydota. Czasem satysfakcja, ale chwilowa. – Milknie, patrzy w ścianę, a ja znów się zastanawiam, na ile jest szczery, a na ile klepie wyuczone formułki, które powtarza przy każdej okazji. – Mimo to nie zamieniłbym tej pracy na żadną inną.

Jeśli to tylko gra, jest świetnym aktorem. Chyba trochę mi się kręci w głowie, a wypięłam zaledwie dwa kieliszki wina. Niechrzczony najwidoczniej.

– To więcej niż większość ludzi mogłaby powiedzieć o swojej.

Nasze oczy się spotykają i przebiega mnie dreszcz.

– Tak. Więcej.

Nie pozwala mi uregulować rachunku, choć nalegam, tłumacząc, że chociaż w ten sposób chciałabym się odwdziaczyć.

– Absolutnie! Jesteś siostrzenicą Kasi. Może jutro pójdziemy do Łazienek? – proponuje. – Spotkajmy się w dzień. Jestem na urlopie i mam trochę czasu.

Jest na urlopie. Później się zastanowię, co to znaczy.

– Chętnie.

Umawiamy się na trzynastą przy pomniku Chopina. Rogucki proponuje, że po mnie przyjedzie, ale się nie zgadzam. Twierdzę, że jeżdżąc autobusem, również poznaję Warszawę. Krzychu mówił, że bym nie wsiadała do samochodu podejrzanego. Naprawdę tak się wyraził. Swoją drogą, ciekawe, gdzie on jest? Miał czuwać nad moim bezpieczeństwem, a wygląda na to, że się zmył. A może śledzi nas na tyle umiejętnie, że go po prostu nie widać? Gdybym ja zauważyła, to tym bardziej policjant, mający z takim sprawami do czynienia na co dzień. Z drugiej strony on nie zna Krzycha, tylko ja. Nie da rady być niewidzialnym, choćby miało się lata doświadczenia w złodziejskim fachu.

– A dzisiaj pozwolisz się odwieźć? – słyszę głos Roguckiego. – Zaparkowałem na dole Bednarskiej, to kawałek stąd.

Tak jak Krzychu, tłucze mi się po głowie. Być może ich samochody stoją nawet obok siebie. Uśmiecham się z wysiłkiem.

– Bardzo panu dziękuję, ale naprawdę jazda autobusem sprawia mi przyjemność. Uczę się miasta.

Odwzajemnia uśmiech. Ten facet usidli kobietę w każdym wieku. Może oprócz niezłomnej Aleksandry Malańskiej vel Morańskiej. Powinnam chyba dokonać większych zmian w nazwisku.

– Poczekaj, wpiszę jeszcze twoje nazwisko do komórki. Ola... – zawiesza głos.

Nie patrzy na mnie, wstukuje coś do smartfona. W głowie mi huczy od pośpiesznych myśli. Jest gлина, ma dojścia. Co robił przed oddzwonieniem do mnie? Może nie tylko usiłował skontaktować się z babcią Doroty. Może sprawdzał, na kogo jest zarejestrowany telefon. Jeśli nawet nie, ma środki, żeby zrobić to w każdej chwili.

– Malańska – mówię gładko.

– Malańska? Wydawało mi się, że wcześniej mówiłaś Morańska.

– Nie. Malańska. – Mogę nieporozumienie zwać na swoją wymowę lub niedosłuch starszego pana.

Podnosi na mnie wzrok i się uśmiecha. Usiłuję nie myśleć, że na samym początku popełniłam cholerny błąd.

– Odprowadzę cię do autobusu.

Nigdzie po drodze nie widzę Krzycha, ale kiedy opadam na siedzenie niemal pustej sto osiemdziesiątki, rozbrzmiewa melodyjka mojej komórki.

– Jedź do domu, ja też niedługo będę.

Rozłącza się bez pożegnania. Szperam w torebce. Są klucze.

Na schodach widzę staruszkę dźwigającą pękatą torbę z zakupami. To czteropiętrowy blok bez windy. Kobieta stawia na ziemi siatkę, przytrzymuje się poręczy.

– Dzień dobry. – Uśmiecham się najpiękniej jak potrafię. – Pomogę pani.

Obdarza mnie nieco podejrzliwym spojrzeniem, ale pozwala podnieść zakupy.

– Dziękuję, dziecko. Odsapnę odrobinę i zaraz pójdę. Ciężko mi się oddycha, a na dodatek strasznie mnie dziś bołą kolana. Starość nie radość.

Kręcę głową. Wcale nie wydaje mi się już tak stara jak na pierwszy rzut oka. Spojrzenie szarych oczu jest bystre, a głos niemal młodzieńczy.

– Jaka tam starość. Każdy się męczy.

– Starsi ludzie zazwyczaj szybciej niż młodzi – kryguje się. – Przyszłaś do kogoś w gości?

– Ciocia wyjechała na urlop i pozwoliła mi przez ten czas zatrzymać się u niej w mieszkaniu – wyjaśniam.

– A która to twoja ciocia?

Przypominam sobie, że miałam zaprzyjaźnić się z sąsiadami i właśnie nadarza się okazja.

– Katarzyna Wielosławska spod osiemdziesiąt dziewięć.

– Oj, to mieszkamy na tym samym piętrze – cieszy się nowa znajoma. – Już możemy iść.

Rusza żwawym krokiem, jakby chciała udowodnić, że rzeczywiście nie jest taka stara. Ja z kolei idę z trudem, przeszkadza mi ostry ból przeszywający prawą nogę. Prawdopodobnie uszkodziłam ją naprawdę podczas wczorajszego upadku. Oddycham z ulgą, gdy stajemy na trzecim piętrze.

– Wpadniesz do mnie na herbatę? Twoja ciocia czasem wpadała.

– Chętnie, tylko zostawię płaszcz i odrobinę się odświeżę.

W mieszkaniu zrzucam buty i wierzchnie okrycie, zapadam się w fotelu i przez chwilę przyglądam nodze. Jest brzydsza niż zazwyczaj, spuchnięta. Zapewne dzisiejsze zwiedzanie też mi nie pomogło. Może powinnam ponownie umówić się na wizytę do pani doktor Zawadzkiej? Krzywię się. Kolejne trzysta pięćdziesiąt złotych. Jestem ubezpieczona, mam prawo korzystać z darmowej opieki medycznej. Mimo to powtórna wizyta w gabinecie wydaje się uzasadniona. Tam Rogucki poznał babcię Doroty. Przypuszczam, że recepcjonistka może coś pamiętać, z pewnością jest karta i historia choroby. Krzychowi łatwo będzie wyciągnąć z niej, cokolwiek jest do wyciągnięcia, a ja spróbuję ostrożnie wy badać lekarkę.

Staram się nie myśleć o kwestii nazwiska.

# Dorota

Mam pewien pomysł, zapewne niewiele wart, ale muszę próbować wykorzystać możliwości działania. Przed śmiercią babci nie miałam żadnych. Być może morderstwo zbiegło się z włamaniem z jakiegoś wyższego powodu. Teraz mam narzędzia.

Zwykłego maila nie wyślę, nie wiem, jak usprawiedliwić posiadanie adresu. Wchodzę na konto na Facebooku. Wszyscy pisarze przyjęli moje zaproszenie, pięć kolejnych osób zaprosiło mnie, z czego trzy są autorkami, o których nigdy nie słyszałam. Przyjmuję wszystkich. Przypuszczam, że im więcej znajomych, tym poważniej wygląda profil. Znalezienie babci trwa kilka sekund; mama ma ją oznaczoną jako matkę. Przez chwilę przyglądam się tablicy Katarzyny Wielosławskiej. Nie była zbyt aktywna, nie wstawiała zdjęć, nie pisała, co ugotowała na obiad. Od czasu do czasu natomiast podawała odnośniki do artykułów medycznych, których autorką w większości była ona sama. Nie zdawałam sobie sprawy, że pisała teksty naukowe. Na chwilę przepełnia mnie uczucie rodzinnej dumy, po czym znika. Moja rodzina nie mogłaby zagościć na okładce kolorowego magazynu. Babci nie na wiele przydała się wiedza, inteligencja czy cholera wie, co jeszcze. Skończyła w potworny sposób. Mama miota się od wielu lat, nie potrafi dorosnąć, a tym bardziej wyzwolić się z klatki, którą zbudowała jej matka. Ja... Nakazuję sobie urwać ten tok myślenia, dopóki jeszcze jestem w stanie. Za chwilę ogarnęłaby mnie fala litości nad sobą, mogłabym nawet mieć atak. Przeglądam znajomych babci. Są wśród nich cztery Agnieszki. Jedną eliminuję natychmiast; ma dwadzieścia sześć lat, to nie może być ta. Druga jest dziennikarką jakiejś nieznanej mi gazety, na jej profilu aż kipi od polityki, nie sprawia wrażenia osoby, którą interesowałyby artykuły medyczne. Przyglądam się pozostałym dwóm. Obie w wieku babci, obie lekarki, obie z trójmiasta. Jedna zamieszcza mnóstwo rodzinnych zdjęć: ona i mąż, dzieci, niedawno urodzona wnuczka. Rodzinka, ciepłko. Nie wydaje mi się typem osoby, z którą babcia mogłaby się przyjaźnić. Tolerować prawdopodobnie tak, skoro ma ją w znajomych. Skupiam się na ostatniej

Agnieszce. Jej posty są rzadkie, wstrzemięźliwe. Od czasu do czasu daje wyraz oburzenia z powodu zachowania polityków, ale wydaje się, że interesuje ją głównie medycyna. Porównuję linki; niektóre są identyczne u niej i u babci. Jeżeli przyjaciółka, która prowadziła korespondencję z babcią, jest na Facebooku, to musi być ta.

Nie muszę się specjalnie wysilać, napisałam kiedyś łzawe opowiadanie o pozbawionej nóg kobiecie w średnim wieku, której pomogła przypadkowo spotkana lekarka.

*Dzień dobry. Długo się wahałam, czy do Pani napisać, ale trochę się niepokoję, a jest Pani jedyną osobą, o której wiem, że może posiadać jakiegokolwiek informacje. Nazywam się Dorota Woźniak, mam trzydzieści siedem lat i urodziłam się bez nóg. Jeszcze dwa lata temu poruszałam się jedynie na wózku. Wtedy umarła moja mama i świat się zawalił. Był wprawdzie tata, obiecywał, że mnie nie zostawi, ale wtedy najdotkliwiej uświadomiłam sobie, że nie takie powinno być życie. To ja chciałam zajmować się rodzicami, a byłam jedynie ciężarem. Gdyby zabrakło taty, mój los byłby przypieczętowany. Czułam się tak nieszczęśliwa i zasklepiona w sobie, że przestawałam odbierać sygnały ze świata zewnętrznego. Zdarzały się chwile, kiedy nie widziałam ani nie słyszałam, co dzieje się wokół. Bałabym się choroby psychicznej, gdybym w ogóle próbowała analizować. W takim stanie, jak co dzień, pojechałam po chleb. Zawsze robiłam małe zakupy samodzielnie. Rodzice chcieli mi pokazać, że potrafię, nie jestem zdana bezustannie na łaskę innych. Nie zauważyłam, że przejeżdżam przez ulicę na czerwonym świetle, nie słyszałam nawet pisku opon, kiedy samochód zahamował tuż przede mną. To była pani doktor Katarzyna Wielosławska. Historia jest długa, w każdym razie pani doktor zajęła się mną zupełnie bezinteresownie. Wcześniej chodziłam do lekarzy, ale wszyscy rozkładali ręce, może dlatego, że nie stać nas było na opiekę prywatną czy łapówkę. Dzięki pani Kasi przeszłam operację i noszę protezy. Znalazłam nawet pracę. Maluję kubki dla pewnej firmy. Mogłam robić to wcześniej, ale nigdy nie przyszło to nam do głowy. To też pomysł pani Kasi. Kilka dni temu dzwoniła do mnie i mówiła, że będzie w Gdańsku przejazdem, bo wybiera się na wakacje i chciałyby mnie zbadać. Tajemnicza, nie powiedziała nawet, dokąd się wybiera. Cały dzień telefonowałam na komórkę, miała wyłączoną. Nadal ma wyłączoną. Nie jestem w stanie uwierzyć, że z własnej woli unikałaby ze*



*mną kontaktu. Wspomniała, że jedzie na wakacje z kimś, zrozumiałam, że to mężczyzna, ale nic więcej nie powiedziała. Lubiłam myśleć, że jestem jej przyjaciółką. Kiedyś wyrwało jej się, że ma niewielu przyjaciół i wymieniła Panią. Czy nie wie Pani, co się z nią dzieje? A może zna Pani nazwisko mężczyzny, który z nią wyjechał? Proszę wybaczyć śmiałość, ale ponieważ ona była mi bliska, Pani również jest mi bliska.*

Przebiegam wiadomość wzrokiem. Nie wyślę jej w takim kształcie. Mogę sobie pisać opowiadania, których jestem bohaterką w alternatywnej rzeczywistości, ale nie wolno mi puszczać maili błyskawicznie wskazujących na moje autorstwo. Zmieniam więc historię na potrzeby pani Agnieszki. Staję się ofiarą mózgowego porażenia dziecięcego zaniedbaną przez lekarzy. Dalej idzie tak samo. Mama umiera, szlachetna Katarzyna Wielosławska mi pomaga. Przechodzę operację, rehabilitację i tak dalej. To już brzmi lepiej. Zamykam oczy i wysyłam.

Pamiętam, kiedy napisałam tamto opowiadanie. To był wyjątkowo piękny dzień, za oknem świeciło słońce i pomyślałam, że nie wytrzymam. Wytrzymałam niby wiele pięknych dni, ale niekiedy wzbierała czarna goryczy i wylewała się jak lawa. Mogłam stać się wulkanem i zacząć krzyczeć, często to robię, ale wtedy zmusiłam się do pisania. Przełam do komputera marzenie, które nie miało szansy się spełnić. Nadal nie mam nóg, ale nikt mnie nie więził. Oboje rodzice mnie kochali. Mama umarła, jakoś nie potrafiłam uśmiercić taty, którego podarowałam sobie w prezencie. Zabijanie mamy z kolei, choć straszne, dawało jakąś ponurą satysfakcję. Babcie zostawiłam przy życiu, była obca i dobra. Wielokrotnie miałam ochotę pokazać ten tekst mamie, ale w ostatnim momencie zawsze się powstrzymywałam. Zapewne rozmowa po lekturze nie byłaby przyjemna.

Już jest odpowiedź. Minęło siedemnaście minut, trzydzieści dwie sekundy.

*Pani Doroto, ja też się martwię. Usłyszałam od niej, że najprawdopodobniej w drodze na wakacje pokaże mi swojego towarzysza. Nie wiem o nim wiele poza tym, że była szaleńczo zakochana. Sprawdzałam na Facebooku, ale w gronie jej znajomych jest zbyt wielu mężczyzn, a żaden nie wydaje się tym jedynym. Codziennie próbuję dzwonić. Wysłałam maila, nie odpowiedziała. Za chwilę skontaktuję się z jej córką, może ona coś będzie*

*wiedziała. Pozostanemy w kontakcie.*

Sztywniej. Przyjaciółka babci opowie mamie moją historię, wskaże profil na Facebooku. Może mama nie ma umysłu detektywa, ale musiałaby być zupełnie ślepa, żeby nie skojarzyć. Czuję jak na skroniach nabrzmiewają mi żyły, ręce drętwieją. Muszę usunąć stąd to cholerne konto. Jeśli zabraknie śladu, mama nie skojarzy. Gdybym zostawiła brak nóg, podałabym własną głowę na tacy, bynajmniej nie srebrnej. Dobrze, że chociaż to zmieniłam.

Usunięcie się z Facebooka nie jest takie łatwe, jak mi się zdawało. Początkowo w ogóle nie mogę znaleźć takiej opcji. Kiedy w końcu do niej dochodzę, jestem zasypana pytaniami. Najgorsze to „dlaczego”? Dostaję nawet jakieś możliwości do wyboru. Jest prawdziwa: „Nie czuję się bezpiecznie”, ale odrzucam ją natychmiast. Zaznaczam, że obecność tutaj nic mi nie daje, chociaż to dalekie od prawdy. Dostałam informację, że babcia była szaleńczo zakochana. Moje konto wreszcie znika, ale chyba nie do końca. W każdym momencie mogę je odtworzyć, twierdzi Facebook. Mam nadzieję, że zarówno mama, jak i nowo odkryta pani Agnieszka są laikami i nie będą potrafiły do niego dotrzeć.

Ola jeszcze nie odpowiedziała. Piszę do niej kolejnego długiego maila o moim własnym kawałku śledztwa. Przez chwilę mam wrażenie, że babcia mi kibicuje.

# Ola

Wróciłam do mieszkania. Krzychu siedzi przy kuchennym stole i pije kawę rozpuszczalną, którą rano znaleźliśmy w jednej z szafek. Siadam naprzeciwko.

– Gdzie byłaś?

Stare małżeństwo i zazdrosny mąż. Tyle że wiem, że to konkretne pytanie, nie zazdrość. Trochę nawet mi żal.

– U sąsiadki z piętra. Zaprosiła mnie na herbatę.

– Dowiedziałaś się czegoś?

– Niedużo. Zapytała, czy słyszałam hałasy dziś w nocy.

– I co powiedziałaś?

– Że spałam jak zabita. Stwierdziła, że mam świetny sen, bo huk był taki, jakby stado słoni przebiegało.

Krzychu się śmieje.

– A to tylko ty i ktoś jeszcze. Wzdycham teatralnie i ciągnę: – Mówiła, że przestraszyła się tak bardzo, że wyjrzała na korytarz dopiero po kwadransie. Raczej nie skojarzyła, że hałasy zaczęły się od tego miejsca.

– Miejmy nadzieję – wtrąca Krzychu.

– Pani Marysia jest bardzo miła, opiekuńcza też, ale chyba ma niewiele wspólnego z typem staruszki, której celem życia jest podglądanie sąsiadów przez dziurkę od klucza. Ma dzieci, wnuki, pokazała wszystkie zdjęcia.

– Rozmawiałyście tylko o nocnych hałasach i jej rodzinie?

– Powiedziała, że czasem ciocia miewała gości. Panów również.

– A więc trochę podgląda przez dziurkę od klucza.

Wzruszam ramionami.

– Mógł być wśród nich nasz pan Tadeusz.

– A jak pan Tadeusz?

Opowiadam. Gdy wzmiankuję o erotycznym uroku nowo poznanego gliny, Krzychu się krzywi, jakby zjadł cytrynę. Nie przerywa mi jednak. W końcu niechętnie wspominam o kwestii nazwiska.

– Kurczę!

Jest zmartwiony, może nawet przestraszony.

– To źle, prawda?

– Niezbyt dobrze.

– Co mogłam zrobić? Jeśli sprawdził mój telefon, wiedział, jak się nazywam.

– Teraz myśli, że kręcisz.

– Może uznaje, że się przesłyszał?

– Może – mruczy. – Malańska, Morańska na szczęście brzmią dość podobnie.

– A jeśli... – urywam. – Czym to grozi?

– Nie wiem. – Krzychu rozkłada ręce. – Superbezpiecznie w ogóle nie jest.

Puszczam do mnie oko i napięcie opada.

– Umówię się na jutro z doktor Zawadzką – oznajmiam.

– Gorzej z nogą?

Próbuję wyczuć troskę. Wzruszam ramionami.

– Nie zaszkodzi sprawdzić. Ważne jest natomiast, żebyś ty wybadała recepcjonistkę w sprawie Roguckiego.

– Tak?

Podnosi brew tak zabawnie, że muszę się roześmiać.

– Tak. Przecież tam się poznali, przynajmniej według jego słów. Ja

popróbuję pogadać z lekarką, chociaż brak mi męskiego seksapilu.

Głupie, nie powinnam tego dodawać. Zanim zdąży rzucić jakąś zabawną uwagę, której nie mam ochoty słuchać, mówię: – Napiszę do Doroty.

Włączam komputer, po czym odwracam się ponownie do Krzycha.

– Cały czas nas obserwowales?

– Jasne.

Podnosi wzrok, uśmiecha się. Bez dwóch zdań, mimo różnicy wieku łączy go z Roguckim coś nieuchwytnego.

– Nie widziałam cię.

– Na tym polega dobre szpiegowanie – odparowuje. – Powiem ci jeszcze, że szpiegowałem naszego amanta po tym, jak rozstał się z tobą.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej?

– A miałem szansę?

Mistrz celnej riposty. Najgorsze, że ma rację. Ostatnio zachowuję się mało racjonalnie, powinnam bardziej nad sobą panować.

– Dokąd pojechał?

– Na Żoliborz. Włociańska. Nie wiem, czy tam mieszka, ale teraz znamy nazwisko, możemy sprawdzić. Jest domofon, ale często ktoś wchodzi, można się załapać. Pojadę jeszcze dzisiaj.

– Uważaj na siebie.

Krzychu uśmiecha się szeroko.

– Martwisz się o mnie?

Mogłabym ściemniać, że prowadzimy razem śledztwo, ale odwzajemniam uśmiech.

– Przecież jesteśmy przyjaciółmi.

Znów jest dobrze jak przed tym cholernym włamaniem.

– Skoro jest policjantem, z pewnością ma pistolet – rzuca Krzychu niemal mimochodem.

Kiwam głową na znak, że sama zdążyłam o tym pomyśleć, a potem ze  
wzrastającym zdumieniem czytam maile od Doroty.

# Dorota

Mama gwałtownie otwiera drzwi i mówi już w progu: – Miałam telefon.

Rzuca się na fotel. Makijaż jej się rozmazał, na twarz wystąpiły plamy.

– Jaki telefon, mamó? Zaczynam się trząść.

– Od koleżanki babci. Poznałam ją kiedyś.

Podejrzewa mnie, jeśli zajrzy do komputera, znajdzie modem, będzie miała pewność, że łączyłam się z internetem.

– Powiedziała, że boi się o babcię.

Głos mamy się uspokoił, plamy powoli znikają, oczy robią się coraz zimniejsze, podobne do oczu babci. Za chwilę ujmie linijkę i będzie walić mnie po palcach.

– Dlaczego się boi? – pytam przez ściśnięte gardło.

Nie zna się na informatyce, nie wejdzie na moją pocztę, nie odgadnie hasła, nie odtworzy historii na Facebooku.

– Bo nie może się z babcią skontaktować.

Uderza pięścią w stolik, komputer się trząsie. Kulę się, czekam.

– Na Facebooku napisała do niej jakaś Dorota Woźniak. Weszłam na fejsa, znalazłam kilka osób o takim nazwisku, ale to nie może być żadna z nich.

Znów milknie. Nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Co ta... Dorota?

Cholera, dlaczego nie zmieniłam imienia? Mogłam przecież stworzyć zupełnie nowy profil.

– Wyobraź sobie, ofiara dziecięcego porażenia mózgowego, zaniedbana przez lekarzy. Babcia jej pomogła – za darmo!

Znów uderza pięścią w stół, a ja mam wrażenie, że cios spadł na moją głowę. Co za cholerną bzdurę wymyśliłam.

– Wyobrażasz sobie, żeby babcia komuś obcemu pomogła za darmo?

Mama wybucha nieprzyjemnym śmiechem. Czy nie widziałyśmy w babci nawet odrobiny dobra? Czy jej własna córka uznawała ją za chciwe babsko, nic więcej? Biorę na siebie rolę adwokata.

– Myślę, że w babci była szlachetność, której po prostu nie potrafiłaś dostrzec.

Mama patrzy zdziwiona.

– Pani Agnieszka mówiła coś podobnego. – Pociera skronie i dodaje: – Powiedziałam jej, że babcia skontaktowała się ze mną, wszystko u niej w porządku i wyłączyła komórkę.

– Powiedziałaś... co?

– Musiałam, bo ona chciała już zawiadomić policję.

Przez chwilę trawię jej słowa i dochodzę do wniosku, że mnie nie podejrzewa.

– Mamo, przecież policja w końcu się dowie, że babcia nie wróciła z urlopu, i zaczną jej szukać. Trafiają do nas.

– Trzy tygodnie. – Mama pokazuje na palcach. – Zaczną jej szukać po trzech tygodniach. Nawet jeśli uda im się kiedyś ją znaleźć, nie określą dokładnie czasu śmierci. My natomiast mamy trzy tygodnie na to, żeby coś ze sobą zrobić.

– Co ze sobą zrobić? – Z trudem przepycham słowa przez krtań.

– Policja tu przyjdzie, prawda? – Robi przerwę, więc kiwam głową. Na więcej mnie nie stać. – Dziwne by było, gdyby nie przyszli. – Do tej pory logiczne jak dwa plus dwa, lecz co może oznaczać logika w głowie zdeterminowanej, szalonej kobiety? – Gdybyś tu została, znaleźliby cię.

Zastygam, boję się oddychać. Cisza dzwoni w uszach. Muszę ją przerwać, chociaż to wysiłek.

– A więc...



Dalej nie dam rady. Mama przyklęka obok wózka, przytula głowę do mojego brzucha. Patrzę na piękne złociste fale. Zazwyczaj mam ochotę wsunąć w nie palce. Teraz wolałabym pociągnąć za nie mocno, sprawić jej ból.

– Posłuchaj, córeczko.

Znów milknie, wtula się we mnie.

– Mamo?

Siada z powrotem w fotelu.

– Myślałam o tym już wcześniej, ale teraz to konieczność – oznajmia rzeczowym tonem. – Muszę coś wynająć i przenieść cię tam.

– Przenieść... mnie? Przecież nie mogę mieszkać sama.

– Spokojnie, kochanie, spokojnie. Będę przychodzić co najmniej dwa razy dziennie, dam ci jeść, wykąpię. Będzie dobrze, zobaczysz, to tylko kilka miesięcy.

– Co wynajmiesz? To będzie kosztować.

Chyba połykam końcówki, ale mama mnie rozumie.

– Znajdę coś dyskretnego. A kasa – macha lekceważąco ręką – też się znajdzie.

– Przełałaś pieniądze z konta babci?

– Potrzebujemy zabezpieczenia, a ona już z tych pieniędzy nie skorzysta.

Jest odrażająca, ale przynajmniej szczerą. Moje życie nie jest bezpośrednio zagrożone. Chwytam się tej nędznej egzystencji, jakby rzeczywiście była cokolwiek warta.

– Pójdę przejrzeć ogłoszenia w internecie – oznajmia mama.

Pomimo rozmazanego makijażu znowu jest piękna. Wzięła się w garść.

Mama zrealizuje plan, zostanę przeniesiona. Załóżmy, że rzeczywiście to będzie tylko kilka miesięcy. Tylko? Dla mnie to wieczność. Czy dotrzyma obietnicy i będzie odwiedzać mnie dwa razy dziennie? Zwiędnę bez niej. Co za idiotyczne wyrażenie, zakładające, że teraz jestem w pełni rozkwitu. A

jeśli nie będzie przychodzić? Jeśli zostawi mnie samą na dzień? Może dwa albo trzy. Wspomnienie atakuje. Nie zablokuję go, muszę przeżyć to jeszcze raz.

Zostałam sama na dwa dni. Babcia od kilku miesięcy już z nami nie mieszkała, a mama przekonywała, że to jeden jedyny raz, bardzo dla niej ważny, musi wyjechać, a ja z pewnością dam radę. Mnóstwo żarcia, pieluchy w zasięgu ręki i tak dalej. Co miałam robić? Wyjechałaby tak czy inaczej, więc udzieliłam jej błogosławieństwa.

Początkowo nie było nawet tak źle. Jedzenia zostawiła mi dosyć, a ja nigdy nie byłam wybredna. Płatki, chrupki chleb, ser paczkowany. Czemu nie? Do tego woda, parę kartonów soku, jabłka i pomidory. Pełen zestaw witamin. Nikt nie mógłby jej zarzucić, że skazuje córkę na niedożywienie. Pieluchy jakoś udawało mi się zmieniać. Zdecydowałam robić tylko siusiu, najwyżej później będę miała problemy, trudno. Rano, po pierwszej nocy, w powietrzu unosił się już mdławy zapach moczu, jednak nie przeszkadzało mi to aż tak bardzo, jak sobie wcześniej wyobrażałam. Po śniadaniu poczułam parcie na stolec, ale postanowiłam przeczekać. Zaczęłam coś czytać, włączyłam telewizję. Było coraz gorzej. Brzuch wydawał się skręcać z bólu. Nie wytrzymałam. Zmieniłam pieluchę, niespecjalnie brudząc siebie i wózek. Za chwilę jednak przyszedł następny atak bólu, jeszcze ostrzejszy niż poprzednio. Chyba się czymś zatrulałam. Stolce były coraz rzadsze, zmienianie pieluchy szło mi coraz gorzej, pokój wypełniał ostry zaduch, ręce, ubranie i wózek zostały wymazane w kale.

– Mama – powtarzałam w kółko, jakby to mogło cokolwiek zmienić. Miała wrócić późno wieczorem i z pewnością nie przybędzie wcześniej.

Nie jadłam już nic, zresztą nie potrafiłabym w takich warunkach przełykać, ale biegunka nie ustępowała.

Około dwudziestej trzeciej usłyszałam parkujący samochód. Za chwilę nastąpi wybawienie. Wbiegała po schodach.

– Cześć córe... – zaczęła, otwierając drzwi.

Wciągnęła cuchnące powietrze, rozejrzała się po pokoju i twarz przybrała zielonkawą barwę. Myślę, że próbowała pohamować torsje, ale chlusnęła z niej fala wymiotów.

– Przepraszam – powiedziała słabo. – Zaraz wrócę.

Zamknęła mnie na powrót w pokoju z kałem, zapachem wymiocin i rozpaczą.

Wróciła, oczywiście. Nie wiem, jak długo dochodziła do siebie. Zapomniałam, że czas jest jedyną rzeczą, nad którą lubię udawać kontrolę. Włożyła mnie do wanny i sprzątnęła pokój. Jej twarz wciąż miała ten zielonkawy kolor. Próbowałam coś powiedzieć, w jakiś sposób się usprawiedliwić, ale nie zwracała uwagi. Przemówiła następnego dnia, ale nawet nie wspomniała o całej sytuacji, jakby zupełnie nie miała miejsca. Może w ten sposób wymazywała ją z własnej pamięci, może chciała wymazać z mojej? Ja nigdy jednak nie zapomniałam.

Nie wiem, co będzie teraz. Wiele się zmieniło i obawiam się, że nie na lepsze.

# Ola

Dzień zaczynamy od wizyty w klinice. Lekarka w skupieniu dotyka mojej nogi, robi rentgen i USG. Odczuwam coraz silniejszy niepokój.

– To nic poważnego. – Wypuszczam z ulgą powietrze, jakbym usłyszała upragniony werdykt. – Po prostu stłuczenie. Powinna pani robić okłady i nieco tę nogę teraz oszczędzać.

– Dziękuję, bardzo mnie pani pocieszyła. – Zaczynam się ubierać. – Wtedy... gdy spotkałam panią Kasię... poznałam jej przyjaciela. Nie mógł się nachwalić waszego gabinetu.

Doktor Zawadzka uśmiecha się z przymusem.

– Wypiszę pani receptę.

Trochę mnie dziwi, że nie odnosi się do moich słów.

– Nazywał się Tadeusz... – udaję, że przeszukuję pamięć, lekarka nie podnosi wzroku, pisze – Rogucki. Kojarzy go pani?

– Tak. – Podaje mi receptę. – Proszę przykładać co najmniej dwa razy dziennie. Środki przeciwbólowe doraźnie, jeśli zajdzie potrzeba.

Jej głos ma fakturę papieru ściernego. Uśmiecham się szeroko.

– Dziękuję, pani doktor. Jest pani cudowną osobą. Odwzajemnia uśmiech, ale pozostaje sztywna.

– Pytałeś recepcjonistkę o Roguckiego?

– Nie bardzo wiedziałem jak. – Krzychu nie potrafi wszystkiego. Nawet ja okazałam się lepsza. – Wyszła na chwilę.

– Recepcjonistka? Dokąd?

– Pewnie do toalety. – Wzrusza ramionami. – Starczyło mi czasu, żeby spojrzeć w jego kartę.

– Wiedziałaś, gdzie szukać?

– Tak się składa, że zapamiętałem ze szkoły alfabet.

Mój bohater ma poczucie humoru, a na dodatek nie bał się przyłapania na grzebaniu w papierach.

– Dobrze, geniuszu. No i co?

– Okazało się, że początkowo był pacjentem Zawadzkiej.

– To co nieco wyjaśnia – mruczę.

– Co wyjaśnia?

Opowiadam o reakcji lekarki.

– Zazdrosna współpracowniczka – podsumowuje Krzychu. – Myślisz, że między nią a emanującym erotycznym urokiem panem Tadeuszem do czegoś doszło?

– Może – nakręcam się. – Mogło zdarzyć się tak, że nie tylko lekarzkę zmienił, kochankę też. Zdradzona zaczyna się na rywalkę i strzela. Obcy teren, idealne warunki.

Podoba mi się ten scenariusz. Zdążyłam wprawdzie polubić doktor Zawadzką, ale wolę ją niż innych kandydatów w roli morderczyni.

– Nie uważasz, że to trochę naciągana historia? – Krzychu ostudza mój zapał. – Zresztą skąd wzięła pistolet? Nasz amant posiada znacznie większe możliwości, w końcu jest policjantem.

Rogucki pasuje nawet bardziej niż lekarka. Wszystkie dowody jego winy pousuwane – prześcieradło, maile. O co innego mogłoby chodzić?

– Mógł mieć dosyć Katarzyny, o ile rzeczywiście była jego kochanką, ale po co od razu ją likwidować? – zgłaszam wątpliwość.

Krzychu wzrusza ramionami.

– Za mało jeszcze wiemy. Może stała się zbyt zaborcza? Może chciała rozwalić jego małżeństwo?

– Może, może. Powinniśmy dotrzeć do żony.

Na razie docieramy do budynku redakcji. Tu również odgrywamy małżeństwo. W recepcji miła pani w średnim wieku momentalnie ulega czarowi Krzycha. Dobrze, że nigdy nie będę jego żoną, bo nie lubiłabym

żadnej kobiety. I tak mało kogo lubię.

– Szukamy pani Amelii Romanowskiej. – Krzychu błyska bielą zębów.

Trzymamy w pogotowiu odpowiednią historię, ale na razie nie jest potrzebna. Recepcjonistka podaje numer pokoju, kokieteryjnie trzepocząc rzęsami posklejanymi maskarą.

Amelia jest platynową blondynką o wzroście i figurze modelki. Miałabym ochotę obrzucić ją epitetem w stylu plastik, Barbie czy co tam jeszcze, ale w przebłysku samoświadomości dociera do mnie, że zazdroszczę jej wyglądu. Odpowiada grzecznie na nasze „dzień dobry” i patrzy pytająco.

– Dostaliśmy do pani kontakt od Beaty Wielosławskiej – zaczyna Krzychu. Obserwuję twarz dziewczyny, unosi starannie wyregulowane brwi, wydaje się zdziwiona, jakby nigdy wcześniej nie słyszała tego nazwiska. – Z Sopotu. Była pani u niej dwa dni temu w sprawie artykułu na temat wystroju kuchni w Polsce. Moglibyśmy pomóc, pokazać naszą. Żona uważa, że jest dość typowa, a jednocześnie niepowtarzalna. Ładnie prezentowałaby się na zdjęciach.

Otacza mnie opiekuńczym ramieniem i prawie wcielam się w rolę głupiutkiej żoneczki, której największym marzeniem jest ujrzenie własnego wypucowanego mieszkańca na fotografii w gazecie.

– Nie znam pani Beaty i nie byłam ostatnio w Sopocie. Nie piszę artykułu na temat wystroju kuchni. To jakaś pomyłka.

Nie jestem specjalistką od mimiki i mowy ciała, ale wierzę jej. Matka Doroty opisała Amelię jako kobietę w średnim wieku. Ta laska jest w moim. Beata mogła kłamać, tylko po co?

– Dziwne. – Krzychu nadal mnie przytula, prowadząc jednocześnie flirt z wylaszczoną dziennikarką. Gdybym była zazdrosną żoną, gra spojrzeń między tymi dwojgiem z pewnością by mnie zaniepokoiła. – Beacie coś się pomyliło, a przyszliśmy zaproponować, żeby pani wpadła do nas i zrobiła kilka zdjęć.

Tego nie było w planie. Sztywnieję.

– I tak mogłabym wpaść. Piszę teraz na temat salonów, ale kuchnia może

być następnym tematem.

– Jak myślisz? – Krzychu zwraca się do mnie. – Salon też nadaje się do sfotografowania?

Stać mnie tylko na kiwnięcie głową.

Laska prześlizguje się po mnie wzrokiem, po czym ponownie skupia uwagę na Krzychu.

– Podadzą mi państwo adres?

Krzychu bez zająknięcia podaje ulicę i numer mieszkania Katarzyny Wielosławskiej, a piękna Amelia obiecuje, że wpadnie jutro po osiemnastej.

– Zwariowałeś? – zwracam się do Krzycha w samochodzie.

– Być może. – Znów uśmiecha się po hollywoodzku.

– Zachowaj te miny dla lasek, które masz zamiar czarować.

– Zazdrosna?

Nie będę komentować idiotyzmów.

– Po co ją zaprosiłeś?

– Przecież to oczywiste, że musi być w jakiś sposób powiązana. Powinniśmy sprawdzić, w jaki.

– Nie zareagowała na nazwisko ani na adres.

– Może jest świetną aktorką? – sugeruje.

– Beata opisała Amelię Romanowską jako kobietą w wieku swojej matki. Jeśli to ta, to bardzo dobrze zakonserwowana.

– Wszyscy kłamią, szczególnie gdy w grę wchodzi morderstwo.

Zastanawiam się, czy „wszyscy” dotyczy również Krzycha.

# Dorota

Mama wygląda na zadowoloną.

– Znalazłam idealne miejsce.

Nawet przez chwilę nie mam wątpliwości, o czym mówi. Zaczynam się dławić. Powinnam spytać o szczegóły, w moim interesie jest dowiedzieć się jak najszybciej i przekazać informacje. Nie potrafię jednak ująć myśli w słowa, z krtani wychodzi charchot. Mama kładzie rękę na mojej dłoni i trochę się uspokajam.

– Nie ma się czego bać. Zawiozę cię tam jutro wieczorem.

Nie ma się czego bać? Jutro? Dostałam jeden dzień na przygotowanie? Czy jestem meblem, który można przewozić w nowe miejsce, jeśli nie pasuje już do starego? Chciałabym to wszystko wykrzyczeć, ale słowa nie wyjdą. Nawet gdybym dała radę wypowiedzieć to bez złości i w miarę logicznie, nie przekonam mamy. Decyzja została podjęta. Mebel czy nie, nie zmienię jej.

– Co to za miejsce?

Sukces. Opanowałam emocje, zachowuję się rozsądnie.

– Mieszkanie. Kawalerka na obrzeżach Gdańska. Stare budownictwo i wejście zupełnie samodzielne. Nikt nie będzie cię niepokoił.

Nie brzmi dobrze. Wolałabym mnóstwo sąsiadów, ale przecież nie o towarzystwo chodziło. Nadal mam być ukryta przed światem, może nawet staranniejsze niż do tej pory. Doszedł strach przed policją.

– Nikt nie wie, że wynajmujesz to mieszkanie?

Mama śmieje się jak niesforna dziewczynka.

– Nikt. Właścicielce nie zależało na nazwisku, a tym bardziej na dokumentach. Ucieszyła się, kiedy zapłaciłam gotówką za pół roku z góry.

Pół roku. Palce mamy ściskają czule moją dłoń.



– To nie znaczy, że tak długo tam będziesz. Zapłaciłam na wszelki wypadek.

Muszę się zabezpieczyć.

– Będę tam miała komputer?

Patrzy zdziwiona, ale kiwa głową.

– Jasne.

Powinnam wytłumaczyć, bo jeszcze nabierze podejrzeń.

– Muszę pisać. Szczególnie teraz to dla mnie ważne.

– Oczywiście, córeczko.

Matka tolerancyjna dla fanaberii niepełnosprawnej córki.

– Kim jest właścicielka?

Niespecjalnie mnie to interesuje, ale chcę odwrócić uwagę mamy od komputera.

– Stara baba, wygląda na meliniarę.

Słyszę w jej głosie lekceważenie, nawet pogardę. Może to i dobrze, że nikomu o mnie nie opowiada.

– Jak się nazywa?

– Czy to ważne? – W jej ton wkłada się zniecierpliwienie, ale dodaje: – Wanda Serbska.

Notuję w pamięci. Wszystko może być istotne. Raczej nie do znalezienia mordercy babci, ale dla zapewnienia sobie minimum bezpieczeństwa. A może po prostu dla zachowania higieny psychicznej. Nie jestem meblem, wiem cokolwiek o otaczającym mnie świecie. Zyskałam nawet możliwość kształtowania go. Ode mnie zależy, czy i jak ją wykorzystam. Nie znajduję niczego na temat Wandy Serbskiej. Piszę maila do Oli, starając się nie wplatać w słowa rozżalenia czy strachu. Jeśli będę trzymać się na zewnątrz, nie rozpadnę się wewnątrz. Podaję nazwisko właścicielki mieszkania, adres prześlę, kiedy tylko go poznam.

# Ola

Towarzystwo Roguckiego sprawia mi przyjemność, chociaż co jakiś czas przypominam sobie, że to główny podejrzany. Podejrzany, który może podejrzewać mnie. Pytanie, o co? Krzychu nas obserwuje. Jeśli coś robi, jest w tym dobry. Na ile dobry jest pan Tadeusz? Jeśli mają sprzeczne interesy, starcie jest nieuniknione.

Podczas obiadu, który oczywiście znów mi stawia, zagaduję, czy ma dzieci.

– Niestety. – Uśmiecha się smutno. – Nie udało się.

Nie bardzo wiem, po co zadałam pytanie. Wiedza na temat bezdzietności starego amanta nie pomoże mi raczej w rozwiązaniu zagadki.

– Moja żona nie może mieć dzieci. Bardzo to przeżywała.

Powinnam może wyrazić współczucie, ale myślę tylko, że facet prawie obcej osobie opowiada, że to żona jest bezpłodna, a nie on. Prymitywny samiec.

– Proponowałem adopcję, ale się nie zgodziła.

– Przykro mi.

Naprawdę robi mi się go żal, poprzednia niechęć się rozwiewa. Czuję, że mógłby być dobrym ojcem. Takim, którego zazdrozczą rówieśnicy, kumplem, a jednocześnie wzorem do naśladowania. Sama chciałabym być jego córką. Z drugiej strony mnie nietrudno zadowolić; nie miałam żadnego ojca.

– Nie miałam ojca.

Z niedowierzaniem słucham własnego zwierzenia. Nigdy nie rozmawiałam na ten temat nawet z Krzychem, a teraz uczyniłam powiernikiem głównego podejrzanego. Pan Tadeusz kładzie rękę na mojej dłoni. Odbieram gest jak ojcowską czułość. No ładnie; zaraz się popłaczę,

rzucę się facetowi na szyję i może jeszcze nazwę go tatusiem.

– Chcesz o tym opowiedzieć?

Kręcę głową. Udało mi się przynajmniej częściowo odzyskać panowanie nad sobą i zdolność logicznego myślenia.

– Nie teraz.

– Kiedy tylko będziesz chciała. – Rogucki patrzy życzliwie, uśmiecha się już wcale nie smutno. – Może miałybyś ochotę odwiedzić jutro mnie i moją żonę? Opowiadałem jej o tobie i chciałyby cię poznać.

– Będzie mi bardzo miło.

– Przyjdź na obiad. Koło szesnastej będzie dobrze?

Przypominam sobie, że jutro o osiemnastej mamy zapowiedzianą wizytę dziennikarki. W małżeńskim gniazdku. W mieszkaniu zamordowanej kobiety.

– Jutro jestem umówiona po południu i raczej nie dam rady tego przełożyć.

– To pojutrze.

Podaje mi adres. Zgadza się z tym, który słyszałam od Krzycha. Wpisuję w komórkę.

– Masz znajomych w Warszawie?

Pytanie, z pozoru niewinne, może być działaniem szcwanego lisa. Cały czas muszę trzymać się na baczności.

– Nie, koleżanka zadzwoniła, że wpadła do stolicy.

Rogucki się uśmiecha. Pociągam łyk białego wina i zagaduję o króla Stasia.

Ponownie nie zgodziłam się na odwiezienie do domu. Krzychu przypomniiał mi przed spotkaniem, że pod żadnym pozorem nie wolno mi wchodzić do samochodu amanta. Kasuję bilet, siadam, rozlega się dźwięk mojej komórki.

– Wszystko w porządku? – pyta Krzychu.

Wzruszam ramionami.

– W porządku. Do zobaczenia.

Czuję się rozbita, zdezorientowana. Tęsknię, a przecież nie mam za kim. Chcę przytulić się do ojca, którego nigdy nie miałam. Którego nigdy nie będę miała. Może dlatego nie jestem normalna.

# Dorota

Obsesyjnie chodzę po internecie, jakbym chciała nadrobić wszystkie stracone lata. Przeglądam wiadomości, portale plotkarskie, grzebię w rozmaitych forach. Na Facebooka nie wracam, chociaż korci mnie, żeby się dowiedzieć, czy koleżanka babci nie próbowała wysłać mi kolejnej wiadomości. Wszędzie szukam informacji na temat uczestników sprawy. Krystyna Zawadzka. Poza kliniką znajduję jej nazwisko na forum ortopedów. Rejestruję się, żeby móc czytać wszystko. Wspólniczka babci nie wydaje się zbyt aktywna. Kilka postów bez specjalnego odzewu. Znajduję jakieś publikacje naukowe podpisane jej nazwiskiem i jedną z 1999 roku wspólną ze Stanisławem Zawadzkiem. Szperam dalej. Stanisław Zawadzki jest uznanym autorytetem. Mąż? Były mąż? Robię notatkę. Ola powinna się dowiedzieć.

Tadeusz Rogucki. Rzeczywiście policjant. Zajmuje się sprawami kryminalnymi. Nadkomisarz. Jeśli jest naszym przeciwnikiem, z pewnością bardzo niebezpieczny. Boję się o Olę. Wplątałam ją w śmiertelną grę. Poprawka. Sama się wplątała. Nieważne, w efekcie ryzykuje wiele, może nawet więcej niż ja.

Co się stanie, jeśli ustalimy, kto jest mordercą? Samosąd? Przebiega mnie zimny dreszcz od kikutów po cebulki włosowe. Samosąd nie wchodzi w grę, zresztą kto miałby go dokonać? Może jednak uda się przekonać mamę, żeby poszła na policję? Będę już dobrze ukryta, nie wpadną na mój trop. To ja stanowiłam główną przeszkodę w składaniu zeznań. Teraz się zapętlilo, nawet po usunięciu mnie z mieszkania nie puści pary z gęby. Nie zdoła przecież wytłumaczyć, dlaczego pozbyła się ciała z własnej kuchni. Postanawiam nie zawracać sobie głowy jałowymi refleksjami. Na pewno znajdziemy rozwiązanie, kiedy przyjdzie na to czas.

Aleksandra Malańska. Archiwalna strona gdańskiego liceum pokazuje, że była laureatką olimpiady polonistycznej. Idę za ciosem i sprawdzam informacje na temat Krzysztofa Pastorskiego. Przecieram w zdumieniu oczy.

Kilka lat temu miał publikacje w czasopismach literackich. Może to nie on? Data urodzenia się zgadza. Jeśli ma talent, dlaczego wybrał karierę drobnego złodziejzka zamiast pisania? Mama organizuje dość regularnie spotkania autorskie, więc zna dość dobrze środowisko pisarzy. Twierdzi, że niewielu potrafi utrzymać się z literatury. Kradzieże więc są znacznie pewniejszym interesem niż powieści.

Jest dwudziesta druga trzydzieści cztery, siedemnaście sekund. Mama pakuje moje rzeczy. Jutro o tej porze już mnie tu nie będzie. Pierwsza przeprowadzka w życiu. Do czego to wszystko zmierza?

# Ola

Cały dzień czuję się podenerwowana. Niepokoi mnie, że Beata przewozi dokądś Dorotę. Oprócz szefowej tylko my wiemy o istnieniu jej kalekiej córki. Do czego może się posunąć, żeby ratować własny tyłek? Gniewie mnie ciężar odpowiedzialności, więc, żeby trochę zapomnieć, rozgryzam znaczenie informacji przekazanych przez Dorotę.

Moja pani doktor jest lub była mężatką? Stanisław. Stach. Facet, który wszedł do gabinetu podczas mojej wizyty, jest jej mężem? Byłem mężem? Nie jestem w stanie uchwycić jakiegokolwiek związku z morderstwem, ale chyba muszę pofatygować się na kolejną wizytę. Za nic nie zadam pytania Zawadzkiej, ale Krzychu zbierze informacje od recepcjonistki. Najchętniej wysłałabym go tam samego, lecz mimo całego uroku mojego przyjaciela taki numer chyba by nie przeszedł. Po co niby miałyby iść beze mnie? To już zakrawałoby na prawdziwy romans, ale woli pewnie przynajmniej trochę młodsze, więc nie będę go w to wkręcać.

Dzwonię do gabinetu, mówię złamanym głosem, że noga boli mnie bardziej, chociaż regularnie łykam przepisane środki. Udaje mi się wpasować na wizytę na czternastą.

– Publikowałeś jakieś opowiadania? – pytam w samochodzie.

Ta kwestia też nie daje mi spokoju.

– A... no tak. Wydaje się speszony.

– Nie powiedziałeś nigdy, że piszesz.

Z niezadowoleniem słyszę w swoim głosie pretensję. Przecież nie ma obowiązku spowiadać mi się ze wszystkiego.

– Nic wielkiego. Chciałem poczekać, aż napiszę powieść, i przynieść ci egzemplarz autorski. To by dopiero było coś, nie?

Przyglądam się z boku jego twarzy. Ironiczny uśmiezek w kącikach ust nieco mnie dezorientuje.

– I co z tą powieścią?

– Nic.

– Nie napisałeś?

– Napisałem, ale nikt nie chciał.

– Idioci wydawcy – mówię impulsywnie.

– Tak myślisz? – Na chwilę odrywa wzrok od drogi i patrzy na mnie, ironiczny uśmiezek staje się wyraźniejszy. – Nawet mi się twoja teoria podoba. W swoim czasie doszedłem do wniosku, że powinienem raczej zająć się innymi rzeczami. Może jeśli mnie wsadzą do kicia, książka będzie miała większą szansę.

Parkujemy pod kliniką.

– O czym jest twoja powieść?

– O chłopcu, który zszedł na złą drogę.

Nadal uśmiecha się w ten sam ironiczny sposób.

– Chciałabym przeczytać.

– Dam ci, kiedy znajdziemy mordercę.

Mam nadzieję, że to niedługo.

Doktor Zawadzka uważnie ogląda moją nogę, ponownie wykonuje badania.

– Nic poważnego. Spuchnięcie wskazuje, że jest zbyt obciążana. Powtarzam, teraz szczególnie powinna pani ją oszczędzać.

– Postaram się – mruczę pokornie.

– Poza tym nic nie widzę. Nie ma powodu, żeby bolało aż tak bardzo. Moim zdaniem ból tkwi w głowie.

Czy w ten zawołowany sposób mówi mi, że jestem wariatką? Tłumię nerwowy śmiech. Miałabym ochotę zagadnąć o życie osobiste, ale to chyba drażliwy temat. Musi wystarczyć to, czego Krzychu dowie się od recepcjonistki.



– Ta kobieta jest skarbnicą wiedzy.

Nasz śmiech wypełnia samochód. Przez chwilę wierzę, że nie mamy zmartwień, robimy komuś niewinnego psikusa jak dwójka szalonych nastolatków.

– Czego się dowiedziałeś, Sherlocku?

– Doktor Zawadzka była mężatką, kiedy zakładały gabinet. Nie ma dzieci. Twój Stach to rzeczywiście jej były mąż. Bardzo znany lekarz, chorobliwie zazdrosny. Zdarzało się, że nawet tu przychodził sprawdzać, czy nie ma jakichś gachów. Nawet po rozwodzie. Jakieś dwa lata temu wspomniała doktor Wielosławska wzięła go na rozmowę i od tego czasu jest spokój. Widocznie jednak coś go tu ciągnie... – urywa.

– Wielosławska go uspokoiła? – Zaczynam szybko, zwalniam, zastanawiam się nad znaczeniem słów.

– Tak. Mnie też to uderzyło. Chyba nie mam wyboru, muszę skontaktować się z uznaną sławą, doktorem Zawadzkim.

– Myślisz, że był jej kochankiem, a później zaczęła go zdradzać i się wściekła?

– Nie wiem. Powinniśmy po prostu zbadać ten wątek. Nic nie jest wykluczone.

Chorobliwie zazdrosny facet i zamordowana kochanka. Najprawdopodobniej była kochanka. Nawet jeśli to przełom w śledztwie, mam teraz na głowie inne sprawy.

Laska dziennikarka przychodzi punktualnie o szóstej. Mówi, że na salon ma już dużo materiałów i koncentruje się na kuchni. Dziękuje nam za podrzucenie pomysłu. Nic nie wskazuje na to, żeby tu była wcześniej. Idąc do toalety, najpierw otwiera drzwi sypialni. Rozkład mieszkania jest dziwny, sama się na to nabrałam. Pstryka zdjęcia pełna entuzjazmu. Albo jest świetną aktorką, albo rzeczywiście praca jest jej pasją. Napięcie między nią a Krzychem jakby opadło, nie próbuje z nim flirtować, a mój „mąż” wydaje się wyciszony. Proponuję kawę, stawiam na stylowym drewnianym stole. Krzychu kroi ciasto, które zakupiliśmy w cukierni mijanej po drodze.

– Musimy się pani do czegoś przyznać – mówi nagle Krzychu.

Sztywniej, ale na wargach nadal mam serdeczny uśmiech. Młoda żonka nie błyska inteligencją, jednak nie zrobiłaby sceny przy obcej kobiecie.

– Tak naprawdę to nie nasze mieszkanie. Ciocia żony wyjechała na urlop, my w tym czasie korzystamy z jej gościnności.

– Tak?

Zaczynam się domyślać, o co chodzi. Uważnie obserwuję twarz Amelii.

– Tak. Chcieliśmy zrobić jej niespodziankę. Będzie zachwycona, kiedy zobaczy zdjęcia własnej kuchni w gazecie.

– Są państwo tego pewni? – Amelia wyraża niepokój. – Nie chciałabym później skarg z jej strony.

– Absolutnie pewni. – Tym razem ja mówię, to w końcu moja ciotka.

Dziennikarka przez chwilę przygląda mi się niezdecydowana.

– Dobrze. To piękna kuchnia i myślę, że świetnie będzie pasować do nowego artykułu.

Uśmiecham się do niej.

– Ja też tak myślę.

– Muszę w takim razie kilka rzeczy zmienić. Czym zajmuje się ciocia?

Patrzy tylko na mnie, stałam się partnerem do rozmowy.

– Jest lekarką. Ortopedą.

Robi notatkę.

– Samotna?

– No... – waham się. – Nie ma męża.

– Rozumiem. Ma partnera, tak?

– Raczej nie na stałe. Proszę nie pisać o tym w gazecie.

– Oczywiście. – Dziennikarka uśmiecha się uspokajająco.

– Miała męża, ale dawno temu się rozwiódła – kontynuuję.

Notuje skrętnie, nie widać, żeby cokolwiek zrobiło na niej wrażenie.

– Ma dzieci?

– Córkę. Mieszka w Trójmieście i jest bibliotekarką.

– To właśnie Beata, o której pani mówiliśmy – wtrąca Krzychu. – Jest kuzynką żony. To ona podsunęła nam pomysł, żeby skontaktować się z panią po tym, jak odwiedziła ją pani w Sopocie.

Jeśli to miała być pułapka, nie wyszła. Amelia kręci głową.

– Nie byłam tam. Mówiłam przecież.

– To dziwne... – Krzychu na moment zawiesza głos, jakby się nad czymś mocno zastanawiał. – Pewnie przeczytała o pani w gazecie i wkręciła nas w to wszystko. Taki... żart.

– Tak, zapewne – przyznaje dziennikarka. – Wcale bym nie chciała, żeby ktoś się za mnie podawał.

Śmieje się perliście i zamyka notatnik wyraźnie zadowolona.

– Ciocia nazywa się Katarzyna Wielosławska.

Ponownie otwiera zeszytik. Dałabym sobie głowę uciąć, że nie słyszała wcześniej tego nazwiska.

– Nie mogę umieścić w artykule jej nazwiska, chyba że wyrazi zgodę.

– Chcemy zrobić jej niespodziankę – upieram się.

– W takim razie napiszę Katarzyna W.

# Dorota

Cały dzień było mi niedobrze, a serce wyczyniało dzikie harce nawet po wzięciu tabletki. Przeczytałam tylko maila od Oli i wyłączyłam komputer. Dzisiaj wynik śledztwa prawie nie ma znaczenia. Boję się. Mam kontakt ze światem, powtarzam sobie co chwila. Nie jestem bezbronna. Może kiedy znajdę się już na miejscu, oswoję strach. Może. Powinnam podejść do całej sprawy racjonalnie. Moje położenie nie zmieni się dramatycznie. Tu byłam ukryta przed światem, tam będzie tak samo. Mama zapowiada codzienne wizyty. Nigdy mnie nie oszukiwała. Chyba. Skąd mogę wiedzieć, jak wiele mi mówi? Sama odgrodziłam się od niej, spiskując z innymi. Nie spiskuję przecież przeciwko niej. Poważnie uważam, że gramy w jednej drużynie? Gdyby wiedziała, jakie mam teraz środki, z pewnością próbowałyby mnie ich pozbawić. Mogłaby nawet... Nie. Już raz wyobrażałam sobie, że chce mnie zabić, i okazało się to halucynacją chorego umysłu. Nawet jeśli wpadłaby w szal, nie użyłaby środków ostatecznych. Nie wiesz tego, potworku – odzywa się w mojej głowie zimny głos, przypominający babcię. Niemal czuję uderzenia linijki na krótkich palcach i odruchowo cofam rękę. Rzeczywiście, nie wiem. Czy mama mogła wpaść w szal i użyć środków ostatecznych z babcią? Bzdura. Dowody przeczą, nawet gdyby była do tego zdolna. Na własne oczy widziałam ranę postrzałową, a mama nie miała dostępu do broni. Nie wiesz tego, potworku. To już nie babcia. Strach nie musi mieć jej twarzy ani jej głosu. Mimo to wcale nie łatwiej go znieść.

Mama stara się zachowywać naturalnie. Nie daję się oszukać. Widzę nerwowość jej ruchów, spojrzenie ściganego zwierzęcia, wyczuwam drżenie w głosie. Uspokaja mnie to. Ona się boi, ja będę silna. Wbrew kalectwu i ograniczeniom. Wbrew wielkiej niewiadomej.

– Jaki jest adres?

Nie wiem, czy w ciemności zdołam przeczytać tabliczkę z nazwą ulicy, zauważyć numer.

– Co za różnica? – mówi, wzruszając ramionami, ale za chwilę się

uśmiecha, jakby chciała mi wynagrodzić ten gest. Adresu nie podaje.

Jest dwudziesta trzecia czterdzieści sześć, siedemnaście sekund, kiedy mama zaczyna znosić rzeczy do samochodu. Nie ma ich wiele; jedna torba z ciuchami, druga z pampersami, kilka książek, lampka nocna i komputer.

Zostałam tylko ja. To takie dziwne wyjechać na dwór. Mama zaczyna mnie podnosić.

– Mamo – proszę. – Pozwól mi przez chwilę tu postać.

Cofa ręce. Chłód przenika do szpiku kości, ale wdycham zapach lasu, patrzę w gwiazdy, słucham szumu drzew. Nigdy zmysłowe odczucia nie były tak intensywne. Jestem wolna. Przez krótki moment.

– Musimy już jechać.

Przenosi mnie do samochodu, ładuje wózek do bagażnika i ruszamy. To pierwsza przejażdżka w moim życiu, więc próbuję wykrzesać z siebie odrobinę entuzjazmu, ale się duszę. Samochód zamienia się w skrzynkę, z której nie ma ucieczki, wiozącą nas w głąb ciemności. Trzęsę się, łapię otwartymi ustami resztki powietrza.

– Co się stało? – Głos mamy dociera jak przez gruby mur.

– Otwórz... okno.

Szyba się opuszcza. Przystawiam głowę do szeroko otwartego okna. Pęd powietrza smaga twarz. Dobrze. Żyję.

– To klaustrofobia – ocenia mama. – Nie sądziłam, że na to cierpisz.

– Nie odwracam się, nie cofam głowy.

– Ja też nie sądziłam.

– Nie możesz się tak wystawiać, bo się przeziębisz. Bardzo bym nie chciała, żebyś była chora.

Martwi się o mnie. Pomimo że kikuty i końce palców drętwieją z zimna, wewnątrz rozchodzi się znajoma fala ciepła. Powoli przestaję się trząść. Mama naciska jakiś guziczek i szyba się podnosi.

– Zostawiłam lekko uchylone – mówi uspokajająco.

Jest spora szparka. Powietrza mi nie zabraknie. Jazda samochodem nie jest przyjemna, ale już wiem, że ją przeżyję.

Zatrzymujemy się. Nawet w mdłym świetle latarni widzę, że budynek jest brzydki i obdrapany. Pięć pięter, liczę. Na brudnym murze ktoś umieścił wielki wulgarny napis. Odwracam oczy. Mama wyciąga mnie z samochodu, sadza w wózku. Na chodniku pełno psich kup. Będzie musiała nieźle manewrować, żeby je ominąć. Gdzieś niedaleko leży rozbita butelka, dociera do mnie ostry zapach alkoholu. W ostatniej chwili zmuszam się, żeby poszukać adresu. Jest tabliczka, kiepsko widać, ale wyteżam wzrok, odczytuję, notuję w pamięci. Rzadko zapominam cokolwiek. Jeśli zapamiętywanie jest talentem, raczej go posiadam. Pewnie to jednak wyćwiczona umiejętność. Babcia pomogła mi opanować ją do perfekcji. Wjeżdżamy na klatkę i za chwilę jesteśmy w windzie. Jest jeszcze straszniej niż w samochodzie. Dociera do mnie kwaśny zapach moczu pomieszanego z rzygowinami. Z całych sił próbuję stłumić odruch wymiotny. Mama trzyma mnie za rękę i gładzi włosy.

– To tylko chwila. Zaraz będziemy na miejscu.

Zamykam oczy, oddycham ustami, usiłuję skoncentrować się wyłącznie na jej dotyku i słowach. Kiedy drzwi windy się otwierają, jestem lepka od potu.

– Widzisz, już dobrze.

Mama sięga po klucze, a ja się rozglądam. Tylko jedne drzwi, te, przed którymi stoimy. To rozumiała przez samodzielne wejście. Wbijam sobie do głowy numer mieszkania. Światło wewnątrz jest równie nieprzyjemne jak w korytarzu. Tanie świetlówki. Nie pamiętam, czy znam to określenie z gazety, czy z jakiejś książki. Wszystko tu jest tanie i zaniedbane, ale nie śmierdzi, a przynajmniej inaczej niż w windzie. W powietrzu unosi się drażniący zapach środków czyszczących. Zastanawiam się, czy gospodyni meliniara robiła porządek, czy mama zadbała o mieszkanie dla córeczki. W łazience zaczynam kichać. Alergia na proszek do szorowania? Kieruję spojrzenie na wannę; w kilkunastu miejscach emalia odprysła. Mama wyjeżdża stamtąd szybko, jakby się wstydziła, bez słowa oprowadza mnie po reszcie mieszkania. Nie krytykuję, nie odzywam się. Kuchnia bez okien, maleńka,

ale jest czajnik elektryczny i kuchenka gazowa. Nie widzę dziurek na klucze w żadnych drzwiach, nie trzeba forsować progów, dostęp do pomieszczeń mam nieograniczony, jeśli tylko mama nie zablokuje mi wózka. Mam nadzieję, że zostawi jakieś produkty, więc jest szansa, że coś ugotuję. Przeglądałam przepisy w książkach kucharskich i powinnam dać radę. Ta myśl przyjemnie mnie podnieca, zapominam o smrodzie. Jedziemy do sypialni. Nie zwracam uwagi na ordynarną lampę na brudnym suficie ani na odrapane ściany. Nie interesuje mnie łóżko wyglądające na nieporównanie mniej wygodne niż ekskluzywny tapczan w sypialni starego domu. Moją uwagę przyciągają ciężkie metalowe rolety, całkowicie opuszczone, blokujące dostęp do okien. Na dole jest dziurka na klucz. Z pewnością są zamknięte, a nawet gdyby nie były, nie wyobrażam sobie, jak mogłabym je podnieść. Nie mam dostępu do naturalnego światła i powietrza. Klaustrofobiczny lęk z samochodu nie wraca. Wypełnia mnie wściekłość, ale potrafię nad nią zapanować. Nie mogę zrobić awantury. Nie mogę.

– Świetnie, prawda? – szczebioce mama.– Nikt nie zrobi ci tu krzywdy, jesteś odgradzona od ludzi zupełnie jak u nas w domu.

Nie pytam, czy wynajęła tę kawalerkę z powodu rolet, czy sama je zainstalowała.

– Uduszę się tutaj – mówię głucho.

– Co ty opowiadasz, córeczko?! Jest wentylacja.

Jaka wentylacja? Chcę zapytać, ale nie daję rady. Nie mogę zrobić awantury – powtarzam znów w myśli.

– Mam niespodziankę. Pokażę ci, kiedy przyniosę rzeczy z samochodu. Spodoba ci się. Na razie poczekaj tu grzecznie.

Ponownie zwiedzam mieszkanie, tym razem sama. Otwieram lodówkę, jest zaopatrzona w podstawowe produkty. Nie czuję głodu, ale wyciągam plasterki szynki. Przez dwadzieścia lat życia nie wzięłam sama niczego z kuchni. Chwilę obracam wędlinę w palcach, po czym wkładam do ust. Mama wraca.

– Widzę, że sobie radzisz. – Śmieje się radośnie. – Nawet gdyby zdarzyło mi się kiedyś nie przyjść, nic ci się nie stanie. – Zauważa, że sztywnieję, więc

dodaje pośpiesznie: – Oczywiście nie przewiduję, że kiedyś miałoby mnie nie być.

Po kilkunastu minutach wszystko jest na miejscu.

– Nie jedź za mną. – Mama zniża głos. – Muszę coś przygotować. Za chwilę cię zawołam.

Wychodzi z sypialni, zamykając za sobą drzwi. Konspiracja, kurczę. Pozwolę jej wręczyć tę całą niespodziankę na jej zasadach. Może nawet udam zachwyty. Patrząc na zasunięte okna. Jak długo wytrzymam bez światła?

– Chodź już, Dorotko!

Dawno nie słyszałam tyle zapału w jej głosie. Naprawdę jestem zaintrygowana. Mama stoi w otwartych drzwiach łazienki, zapraszając mnie do środka. Faktycznie замуrowało mnie.

– Podoba ci się? Kiedyś mieszkała tu chyba osoba niepełnosprawna, były otwory w ścianach. To podsunęło mi pomysł. Kupiłam uchwyty i syn właścicielki dopasował wszystko. Wywiercił też dodatkowe dziury. Te uchwyty podobno są niezawodne. Specjalną deskę też ci założyłam, żeby było wygodniej. Spróbuj.

Słucham uważnie instrukcji i udaje mi się przesiąść. Z trudem, nigdy tego nie robiłam, ręce są niewyćwiczone i niedostatecznie silne.

– Świetnie, kochanie! Niedługo dojdiesz do perfekcji.

– Dziękuję.

– Podoba ci się? – upewnia się.

Potakuję, ale w głowie huczy pytanie: „Dlaczego dopiero teraz?”.

– Dlaczego dopiero teraz? – Nie zdołałam powstrzymać słów.

– Nie cieszysz się? Jedyne, na co cię stać w tej chwili, to pretensja? – W ton mamy wkradają się histeryczne nuty, ale za chwilę je opanowuje. Najwidoczniej nie jestem jedyną osobą, która postanowiła nie robić dziś awantury. – Nie zdawałam sobie nawet sprawy, że mogłybyśmy takie rzeczy dla ciebie zainstalować. Babcia nie zająknęła się na ten temat.

Mamy więc winną wszelkich nieszczęść. Uśmiecham się z trudem.



– Ale teraz w domu też mi zainstalujesz? I pozbędziesz się progu w moim pokoju?

– Oczywiście – zapewnia mama. – Umyj zęby. Pora spać. Z pewnością jesteś zmęczona. Ten dzień był pełen wrażeń.

Mama kładzie się obok.

– Zostanę dziś z tobą.

Obejmuję ją, zapach jej włosów łaskocze nozdrza.

– Troszeczkę przewietrzymy przed snem. – Całuje mnie w czoło i wstaje.

Przecież jest wentylacja. Za nic tego nie powiem. Wyjmuje z torebki kluczyk, otwiera szeroko okno. Lodowate powietrze wypełnia pokój.

– Nie zimno ci? – pyta mama, ponownie zamykając mnie w ramionach.

Kręcę przecząco głową. Mama wstaje jeszcze raz, rozbiera się do bielizny. Modelki z reklam telewizyjnych nie poszczycą się lepszymi ciałami. Córce przekazała porąbaną przez chorobę mieszaną genetyczną.

– Później zamknę okno – mruczy sennie, wsuwając się pod kołdrę.

Wśluchuję się w bicie jej serca i zasypiam spokojna. Kiedy się budzę, słyszę krzątanie w kuchni. Okno jest zamknięte, rolety opuszczone. Zamykam oczy, ale serce bije ostrzegawczo. Nie powinnam teraz spać. Wózek stoi na tyle daleko, że nie zdołam się przesiąść.

– Mamo! – drę się na całe gardło.

Przychodzi uśmiechnięta, włosy ma wilgotne, twarz bez makijażu. Docierają do mnie dwie rzeczy: wykąpała się w tej obskurnej wannie, więc ja też mogę, oraz nie jest pomalowana, z czego wynika, że nie opuści mnie natychmiast.

– Dzień dobry, kochanie.

Nie komentuje mojego wrzasku, przewozi do łazienki, podaje płyn do kąpieli i szampon. O nic nie muszę prosić. Na śniadanie grzanki i sałatka jarzynowa. To, co najbardziej lubię. Najprawdopodobniej stara się wynagrodzić mi krzywdę przeniesienia. Temu też służą uchwyty w łazience i deska na toalecie. Rzucam okiem na rolety, po czym przenoszę wzrok na

mamę i się uśmiecham.

– Przyjdę dziś po pracy. Bez samochodu – mruczy.

– Dlaczego?

– Im mniej pozostawię śladów prowadzących do tego miejsca, tym lepiej.

Brzmi to złowieszczo, tym bardziej że unika mojego wzroku.

Odprowadzam ją do drzwi i myślę, że to pierwszy raz w życiu. Zamykamnie od zewnątrz. Ja nie mam kluczy. W tym względzie nic się nie zmienia.

W oczach czuję ziarenka piasku, pod czaszką ścisk metalowej obręczy; klasyczne objawy niewyspania. Zmuszam się i otwieram laptopa, wysyłam do Oli maila z nowym adresem i pośpiesznie wyłączam komputer. Spać. Na śledztwo, analizowanie, a tym bardziej zamartwianie się przyjdzie jeszcze pora.

# Ola

Krótki e-mail od Doroty.

*Przeprowadziłam się. Mój nowy adres: Głębocka 12 m. 36, Gdańsk.*

Nie odniosła się nawet do mojej wieczornej wiadomości na temat Amelii. Niepokoi mnie ta lakoniczność. Wypijam trzy kawy z rzędu, bębnię palcami po stole. Nie mogąc znieść beczynności, przygotowuję śniadanie. Krzychu przychodzi do kuchni po jedenastej.

– Spałaś już wczoraj, kiedy znalazłem kontakt do doktora Zawadzkiego – oznajmia. – Przyjmuje w prywatnej klinice.

– Mam iść do niego? – pytam bez entuzjazmu.

– Przecież ty masz swoją lekarkę. Chyba jesteś w miarę zadowolona? – Kiwam głową, jakby naprawdę czekał na odpowiedź. – Ja powinienem zasięgnąć porady. Ostatnio boli mnie kręgosłup.

Doceniam, że nie prosi mnie o umówienie się na kolejną wizytę. Jestem pewna, że wyciągnie z doktora Zawadzkiego cokolwiek jest do wyciągnięcia. Jego urok działa nie tylko na kobiety. W bidulu każdy chłopak chciał być jego kumplem. Wcale się nie zdziwię, jeśli niedługo wybierze się ze znanym lekarzem na piwo. Mówię coś w tym rodzaju i rozluźniam się, słuchając dowcipów Krzycha. Przed wyjściem długo się szykuję. Nie zamaskuję kalectwa, staram się więc przynajmniej twarzowo ułożyć włosy i nałożyć dyskretny, lecz korygujący defekty urody makijaż. Nie wiem, dlaczego tak mi zależy, żeby zrobić dobre wrażenie.

Ręka mi drży, gdy naciskam dzwonek. Drzwi się otwierają. Obok Roguckiego stoi wysoka kobieta w obcisłych dżinsach i eleganckiej jedwabnej koszuli. Ma kasztanowe włosy do ramion, siateczkę zmarszczek wokół niebieskich, niemal przezroczystych oczu, piegi na nosie i figurę nastolatki. Nie ma regularnych rysów modelek, ale emanuje takim wdziękiem, że nie jestem w stanie oderwać od niej wzroku.

– Marysiu, to właśnie Ola, o której ci tyle opowiadałem. Olu, to moja żona.

Uścisk dłoni pani Marii jest pewny i energiczny. Uśmiecha się tak serdecznie, że skrępowanie znika.

– Cieszę się, że cię poznałam. Tadeusz tak się tobą zachwycił, że aż byłam trochę zazdrosna.

Rogucki obejmuje ją czule.

– Moja pani zazdrosna. Nawet mi to pochwlebia.

Przez sekundę patrzą sobie w oczy jak para zakochanych małolatów.

Idę do łazienki, wysyłam SMS-a do Krzycha. „Wszystko gra”. Chciał przyjechać, czatować przed domem, ale ostatecznie przekonałam go, że kontakt SMS-owy wystarczy. Lepiej, żeby zajął się sprawdzeniem Zawadzkiego. W razie czego dojedzie w dziesięć minut.

Przy obiedzie rozmawiamy, jakbyśmy znali się od zawsze. Szczerze opowiadam o swojej pracy, czytelnikach, Trójmieście, wrażeniach ze stolicy. Przyjaciele. To nie do końca dobre określenie. Wołałabym „rodzice”. Nie boję się już tej nazwy. Czuję się u nich na swoim miejscu. Po drugim daniu Rogucki uśmiecha się przepraszająco.

– Wyjdę na papierosa.

– Nawet nie wiedziałam, że pan pali.

– To jego jedyna wada – śmieje się pani Maria. – Udało mi się ograniczyć to do kilku papierosów dziennie.

– Chciałaś chyba powiedzieć, że to mnie udało się ograniczyć – podkreśla Rogucki z godnością.

Pani Maria odprowadza go spojrzeniem.

– Chodź, pokroimy ciasto – zwraca się do mnie, gdy za jej mężem zamykają się drzwi.

Przechodzimy do małej kuchni, która wydaje mi się najbardziej przytulnym pomieszczeniem, w jakim byłam. Ściany i podłoga w delikatnym pomarańczowym kolorze współgrają z drewnianymi meblami.

– Jesteś taka miła. Ile masz lat?

– Dwadzieścia pięć.

– Tyle miałyby moja córka. – Głos pani Marii jest ledwie słyszalny.

*Moja żona nie może mieć dzieci.*

Jej oczy nagle robią się zupełnie puste. Cisza się przedłuża, staje mi w gardle.

– Pani Mario?

Dotykam jej ręki. Kobieta się otrząsa, uśmiecha mechanicznie. Mam wrażenie, że mam przed sobą starodawną nakręcaną lalkę.

– Pani Mario – powtarzam.

Zaskakuje jakiś trybik i dusza gospodyni wraca na miejsce. Uświadamiam sobie, że nadal trzymam ją za rękę.

– Opowiem ci wszystko, ale teraz nie zdążymy. Chcesz pójść za mną jutro na kawę?

Nie jestem pewna. Dorosłam już i nie potrzebuję matki. Osoba, która zamienia się w pustą laleczkę, nie mogłaby zresztą nią być. Wolę własną, dawno zmarłą, chociaż daleko odbiegała od ideału. Powinnam się umówić ze względu na śledztwo. Mam ochotę parsknąć śmiechem.

– Tak, bardzo.

Rozlega się chrobot otwieranych drzwi.

– O jedenastej w Bordo – mówi pani Maria ściszym głosem.

Nie mam pojęcia, gdzie to jest, lecz jedynie kiwam głową. Konspiracja to konspiracja. Wychodzę do łazienki. Pora na kolejnego SMS-a.

Przy deserze gospodarze znów wyglądają na perfekcyjne małżeństwo. Proponują, żebym mówiła im po imieniu, przystaję z uśmiechem. Nadal rozmawiamy jak starzy przyjaciele, ale powtarzam sobie, że to gra. Tak powinno być od początku. Żadnych emocjonalnych związków.

Wizyta się kończy. Oboje nalegają, żeby Tadeusz mnie odwiózł, odmawiam grzecznie, lecz stanowczo. Pozwalam odprowadzić się do

autobusu. Patrę przez szybę, jak stoją objęci, idealnie dopasowani, ich dłonie unoszą się w pożegnalnym geście. Przypominam sobie puste oczy Marii, mechaniczny uśmiech, konspiracyjny ton. Czego dowiem się jutro?

Krzychu czeka na mnie z herbatą. To miłe, zdążyłam zmarznąć w drodze z przystanku.

– Jak twój kręgosłup? – pytam, zdejmując kurtkę.

– Nie kwalifikuje się na razie do operacji.

Nie jestem pewna, czy to żart.

– Naprawdę masz kłopoty?

Wzrusza ramionami.

– Niespecjalne. Za szybko rosłem w dzieciństwie. Wiem już, jakie wykonywać ćwiczenia.

– A mnie zawsze się wydaje, że to ja jestem najbardziej godna pożałowania.

Oboje się śmiejemy, chociaż zapewne nikt obcy nie zauważyłby nic śmiesznego.

– A jak doktor? Pamiętał cię?

– Chyba nie, w każdym razie nie dał tego po sobie poznać. Trudno mi rozgryźć tego człowieka. Wydaje się mocno zdystansowany. Dżentelmen w każdym calu.

– To jego oblicze na pokaz.

– Jasne, że może w nim drzemać bestia. – Krzychu mówi wolno, jakby zastanawiał się nad każdym słowem. – Wyobrażam sobie, że jest zdolny do dzikich scen zazdrości. – Ale... – urywa.

– Ale co? – domagam się niecierpliwie.

– Ale w zaciszu domowym. Publiczne manifestowanie uczuć nie pasuje do niego. Rozmawiałem z pielęgniarką i recepcjonistką. Obie uważają go za lekarza w starym stylu, rycerza bez skazy. Chyba nawet się w nim podkochują.

– Ma kogoś?

– Jest jakaś kobieta, też lekarka, ale za granicą. Taki związek głównie na odległość.

– Mimo to – wracam do poprzedniego wątku – robił sceny zazdrości. – Sam to słyszałeś od recepcjonistki. Po co miałyby kłamać?

– Żeby ubarwić rzeczywistość? Sama wydać się bardziej interesującą?

– Zrobić na tobie wrażenie, tak? – Daję mu kuksańca w ramię.

– Auć! – syczy teatralnie. – Wrodzona skromność nie pozwala mi się do tego ustosunkować.

Parskam śmiechem, kropelki herbaty rozpryskują się z moich ust. Krzychu kręci głową, a mnie śmieszy to jeszcze bardziej.

– A jak wizyta u amanta?

Opowiadam.

# Dorota

Mama była u mnie godzinę dwanaście minut i trzynaście sekund. Potraktowała to jak odwiedziny albo raczej wypełnienie obowiązku. Zjadłyśmy obiad, pomogła mi przy szybkiej toalecie i tyle. Pognała gdzieś, mówiąc, że do domu. Mówiła, że jest okropnie zmęczona i musi się wyspać. Może i do domu, ale co do tego spania nie byłabym taka pewna. Niby późno, ale poharcować można. Ciekawe, czy już zaprosiła gacha. Z tamtym niby zerwała, ale chata wolna, jest okazja do pogodzenia się. Jeśli nie, zawsze można znaleźć kogoś nowego. Nie wypytuję, a ona na razie mi się nie zwierza. Wstydzi się, zbyt mało czasu upłynęło od morderstwa, nowe podrywy nie przystoją. Może naprawdę się wstrzymuje i jakiś czas odczeka.

Zbyt długo miałem to w myślach. Żeby zająć umysł czymkolwiek innym, włączam komputer, sprawdzam pocztę. Obszerny mail od Oli. Sprawa komplikuje się coraz bardziej, podejrzanych przybywa.

*Napisz coś o nowym mieszkaniu i swoich odczuciach. Martwię się o Ciebie.*

Palce same latają po klawiaturze, zaczynam od uchwytów w łazience i rolet w sypialni, przechodzę niepostrzeżenie do spraw mniej namacalnych, piszę o lęku i nadziei, o mamie, którą kocham każdą komórką organizmu, i o tym, jak zniewala ją moja miłość. Opowiadam, w jaki sposób sama zostałam zniszczona, dodaję, że nie ma w tym niczyjej winy, w tym samym akapicie oskarżam dwie kobiety mojego życia. Jedna z nich nie ma już szansy odkupić win, chociaż zapłaciła najwyższą cenę. Wstukuję w komputer sprzeczności, nie zastanawiam się nad tym, zupełnie jakbym uwalniała myśli w rozmowie ze sobą. Wysyłam, zanim zdążę przeczytać i zastanowić się nad brakiem sensu.

Zamykam klapę laptopa i słyszę dzwonek. Zamieram, wstrzymuję na chwilę oddech. Kto zechciał złożyć wizytę nowej lokatorce? Może właścicielka mieszkania – stara meliniara? Drugi dzwonek. To zapewne jakieś dziecko wjechało na górę i się bawi. Trzeci. Czwarty. Brzmi coraz



bardziej natarczywie. Kładę dłonie na uszach, ale dźwięk wślizguje się pod czaszkę. Z trudem wstrzymuję się od krzyku, co i tak nie ma znaczenia. Mury są grube, drzwi dźwiękoszczelne, mama pomyślała o wszystkim. Teraz dzwoni bez żadnych przerw, jeszcze głośniejsze. Nagle zalega cisza. Boję się odetchnąć, ale decyduję się na namiastkę działania. Leżę w łóżku, wózek stoi blisko. Do tej pory nie próbowałam, lecz skoro potrafię przemieścić się z deski i z powrotem, mogę też wyjść z legowiska. Wymaga to chyba większej siły w rękach, ale się udaje. Podjeżdżam pod drzwi wejściowe, przykładam ucho. Przez chwilę nic, potem nagle rozlega się chrobot. Ktoś wkłada klucz do zamka. Próbuje przekręcić, mociuje się, w końcu daje za wygraną. Żadnych dźwięków. To działa w obie strony. Świat zewnętrzny jest równie niesłyszalny dla mnie jak ja dla niego. Dziurka od klucza czy dzwonek to punkty stykowe, których mama nie usunęła. Co robi intruz? Usiadł pod drzwiami i rozmyśla, jak dostać się do twierdzy? A może poszedł po środki, które umożliwią zdobycie fortecy? Specjalnie używam w myśli takich wyrażań, chciałabym nabrać dystansu, obnażyć śmieszność, ale sytuacja wcale nie staje się zabawna. Co powinnam zrobić? Nie mam kontaktu z mamą. Nie mogę zadzwonić na policję. Wysłanie maila nie wchodzi w rachubę. Czy jakikolwiek stróż prawa potraktowałby poważnie tego rodzaju wezwanie? Nawet jeśli, nie wolno mi. To najprawdopodobniej jakiś wyglup, a moja akcja pociągnęłaby mamę na dno. Gdyby udało jej się z tego wymigać, mogłaby mi nie wybaczyć, jeśli natomiast poszłaby do więzienia, oszalałabym. Lepiej już umrzeć. Boże, co za patetyzm. Przyłapanie się na takiej górnolotności zwykle mnie śmieszy, teraz pogłębia rozżalenie i poczucie niemocy. Do Oli nawet nie będę próbowała pisać. Co ona może zaradzić, będąc w tej całej Warszawie? Dam sobie radę. Jadę do kuchni, wyciągam największy i najostrzejszy nóż. Rzeźnicki, kołacze po głowie określenie, powodując mdłości, a jednocześnie sprawiając upiorną satysfakcję. Z całej siły zaciskam palce na rączce, przed oczyma przesuwa się obraz, najprawdopodobniej zapamiętany z jakiegoś filmu: ostrze zagłębiające się w czyichś miękkich wnętrznościach, czerwień spryskująca wszystko dookoła. Wracam do przedpokoju, nie zwalniając uścisku na rękojeści. Spuszczam wzrok na własne dłonie, nie ma na nich śladów krwi. Śmiertelna scena nie rozegrała się w tym mieszkaniu. Nie jestem jakąś pieprzoną lady Makbet. Wreszcie wybucham śmiechem. Postanawiam spędzić noc w przedpokoju. Jestem przygotowana na gościa, w jakichkolwiek intencjach by

nie przybywał.

Nic się nie dzieje. Próbuję kontrolować czas, ale o trzeciej czterdzieści siedem, dziewięć sekund pozwalam sobie zamknąć oczy. Budzi mnie jakiś dźwięk. Od razu przytomna, chwytam nóż, który leżał luźno na kolanach. Mobilizuję wszystkie siły, zmysły się wyostrzają. To klucz. Tym razem bez trudu przekręca się w zamku. Drzwi się otwierają.

# Ola

Nie mogę spać. Obrazy z dzieciństwa migają przed oczyma, nakładają się na wspomnienia z ostatnich kilku dni. Krzychu leży w drugim pokoju. Chciałabym pójść do niego. Właściwie dlaczego nie mogę? Powiedzieć, że mi źle. Wstaję, kładę rękę na klamce. To mężczyzna, z którym kiedyś uprawiałam seks, który w takiej sytuacji liczyłby na to ponownie. Oczy pana Michała patrzą drwiąco. Zapalam światło, włączam komputer.

Mail od Doroty komuś postronnemu wydawałby się niespójny i pełen sprzeczności, ale ja rozumiem każde słowo, jakby wychodziło spod moich palców. Historia dziewczyny na wózku różni się od mojej jedynie w zewnętrznych szczegółach. Chcę, żeby wiedziała. Wstukuję kolejne zdania, odsłaniam wszystkie sekrety. Moja opowieść jest pewnie jeszcze bardziej chaotyczna niż jej.

Wysyłam i słyszę pukanie. Nie odpowiadam. Nic tu po Krzychu w tej chwili. Dźwięk się powtarza. Otwieram usta, ale gardło mam związane na supeł. Naciska na klamkę, uchyla drzwi.

– Nie śpisz?

Wzruszam ramionami. Nadal nie mogę mówić.

– Zobaczyłem światło – dodaje Krzychu tonem usprawiedliwienia.

Węzeł w krtani się rozluźnia.

– Ty też nie możesz spać?

Mimo że go nie zapraszałam, siada na krześle.

– Nie. Myślę, co zrobimy, kiedy znajdziemy mordercę.

To stoi w takiej sprzeczności z moimi odczuciami sprzed chwili, że wypełnia mnie irytacja.

– Znajdźmy go najpierw.

– I co? Mamy ręce związane obietnicą złożoną tej kalece.

– Krzychu!

Twarz mnie pali, jakbym otrzymała siarczysty policzek. Nie przestaję idealizować Krzycha. Rycerz, który nie krzywdzi swojej damy. Niby mnie. Co za cholerna bzdura.

– Przepraszam. – Kręci głową. – Po prostu jestem wściekły. Czy ona chce, żebyśmy zajęli się sprawiedliwością od początku do końca, może włącznie z karą śmierci?

– Ona ma na imię Dorota – przypominam.

– Dorota.

Chciałabym walnąć na odlew. Jeśli nazywasz ją kaleką, skurwysynu, równie dobrze możesz zwracać się tak do mnie. Nie zrobię sceny.

– Jeśli znajdziemy mordercę – zacznym i poprawiam się szybko: – Kiedy znajdziemy mordercę, przekonam Dorotę.

– Akurat! Dlaczego nie teraz?

– Bo teraz jest nasza kolej. Policja zajmie się tym później.

– Akurat – powtarza Krzychu. – Nawet jeśli Beata nie zabiła matki, i tak pójdzie do więzienia. Ja zresztą też, a jeśli zaczną grzebać, dokopią się do innych rzeczy.

– I ja.

Próbuję się uśmiechnąć. Nie czuję już złości.

– Mam nadzieję, że nie. Założmy jednak najgorszy scenariusz. Ty też pójdziesz do więzienia. Co stanie się wówczas z tą biedną dziewczyną, o którą wszystko się rozbija?

– Z Dorotą – poprawiam.

– Z Dorotą.

Krzychu patrzy surowo jak nauczyciel oczekujący odpowiedzi, tyle że nauczyciel zazwyczaj zna odpowiedź. On nie. Ja tym bardziej.

– Są pieniądze. Dorota będzie mogła wynająć dobrą opiekunkę.

– Sama w to nie wierzysz. Załamie się kompletnie.

– Pójdzie do lekarza – kontynuuję, jakbym nie słyszała jego wstawki. –  
Zacznij nowe życie.

– Dlaczego nie teraz?! – Krzychu uderza pięścią w stół. – W jaki sposób  
zdołasz przekonać ją później?

Nie skulę się, nie zasłonię twarzy.

– Kiedy znajdziemy mordercę, Dorota odnajdzie ład.

Ja też. Potrzebuję tego w równym stopniu co ona.

– Ład? – powtarza Krzychu.

– Tak. W świecie, w którym do tej pory panował chaos i bezsens, pojawi  
się porządek. Jak myślisz, co wybierze?

– Nie wiem. Chyba nie do końca rozumiem.

Ja rozumiem, przynajmniej w tej chwili.

– Więc uwierz mi. A teraz już idź. Może prześpiemy się kilka godzin.

– No dobra. – Krzychu wstaje, robi krok w kierunku drzwi, po czym  
nagle się odwraca. – A nie lepiej razem?

Parskam śmiechem. Stary, dobry Krzychu.

– Nie, nie lepiej. Dobranoc.

Podchodzi do mnie, całuje mnie szybko w policzek i opuszcza pokój.  
Potrzebuję ładu. Podnoszę rękę i dotykam miejsca, w którym dotknęły mnie  
usta Krzycha.

# Dorota

Trzymam nóż w obu dłoniach, gotowa zadać cios. Żarówka z klatki schodowej oświetla wchodzącą kobietę.

– Mama – szepczę.

Nóż upada z brzękiem na podłogę. Mama zapala światło w przedpokoju i patrzy, jakby zobaczyła upiora.

– Boże – mówi chrypliwie i stoi nieruchomo.

Wybucham głośnym płaczem. Mama budzi się z odrętwienia i zatraskuje drzwi. Przyklęka przy wózku, gładzi mnie po twarzy.

– Cicho, Dorotko. Cicho, kochanie – powtarza.

– Ma... mo – wydobywam wśród łkań.

Kołysze mnie w ramionach. Zamykam oczy, oddech zwalnia.

– Ty śpisz?

Podnoszę ciężkie powieki. Kręcę głową.

– Nie.

Mama wiezie mnie do pokoju. Zapala światło, siada na łóżku, wózek ustawia naprzeciwko.

– Co się stało?

Nie przerywa, gdy opowiadam, od czasu do czasu przygryza wargę tak mocno, że pod koniec dostrzegam ranę.

– Nie martw się niczym. Zostanę dziś z tobą, a rano pogadam z właścicielką. To musiał być ktoś od niej. Dobrze, że wymieniłam zamki. Budzę się nad ranem. Mama leży tyłem do mnie, plecy wstrząsa bezgłośnie łkanie. Dotykam jej, odwraca się, patrzy mi w oczy.

– Nie ma się czego bać – mówi, przyciągając moją rękę do policzka.

Tym razem to ona się boi. Rozumiem to. Zaplątała się w kłamstwach i jedna pomyłka może sprawić, że wszystkie zacisną się na jej szyi. Przyciągam ją do siebie. Dobrze, że nie widzi mojej twarzy, zapewne nie spodobałby się jej uśmiech wypełzający na wargi.

Znów zasnęłam. Tym razem budzi mnie alarm w komórce mamy. Nie podnoszę powiek, słucham, jak wstaje, na palcach przemierza pokój.

– Dlaczego przyjechałaś wczoraj w nocy?

Otwieram oczy, przyglądam się jej. Zatrzymuje się, ale nie odwraca.

– Poczułam, że mnie potrzebujesz.

Wychodzi, za chwilę w łazience zaczyna lać się woda. Proszę, nawiązałyśmy telepatyczną łączność. Lepsze to niż telefon czy internet. Ciekawe, czy zdąży, jeśli będzie groziło mi realne niebezpieczeństwo. Ciekawe, czy naprawdę wierzy, że zadziała. Nie sprawdzam godziny, ponownie zapadam w sen.

– Obudź się, Dorotko. Śniadanie gotowe.

Nie widzę już śladu strachu. Wręcz przeciwnie, mama wydaje się tryskać zdrową energią i wesołością.

– Dzwoniłam do właścicielki. Pogadała z synem i okazało się, że to on. Jest trochę... opóźniony umysłowo. Więcej tego nie robi.

– Skąd to można wiedzieć?

– Bo przetrzepała mu skórę i obiecała, że zrobi to dużo mocniej, jeśli coś takiego się powtórzy. Romek ma prawie trzydzieści lat, jest wielki i silny, ale nadal boi się lania od matki. To taki nieszkodliwy głupek. Potrafi pracować fizycznie.

Przypominam sobie, że to jemu zawdzięczam zainstalowanie uchwytów w łazience. Mama trajkocze beztrąsko, śmieje się cicho.

Śmiesz cię, że jest opóźniony umysłowo czy że boi się przetrzepania skóry?

– To głupie, co mówisz. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Tak. Przepraszam.

Rzeczywiście głupio zrobiłam, bo mama przestaje się odzywać, na do widzenia mnie nie całuje, oznajmia jedynie, że wpadnie na chwilę po pracy. Z podkreśleniem „na chwilę”.

– Mamusiu, przepraszam.

Nie podoba mi się, że skomlę jak pies. Mama udaje, że nie widzi moich błagalnie wyciągniętych ramion.



# Ola

Na miejsce spotkania docieram kwadrans przed umówioną porą. Maria zjawia się pięć minut po mnie. Początkowo prowadzimy rozmowę o niczym, niby luźną i miłą, lecz żona Tadeusza wydaje się spięta. Nie potrafię sterować konwersacją, sama zaczynam się usztywniać. Moja rozmówczyni z pewnością to dostrzega.

– Przepraszam.

Patrzę zdumiona.

– Nie powinnam cię tu ściągać.

– Jest mi z tobą bardzo miło – bąkam bez sensu.

– Chodzi mi o to, że gadam jakieś głupoty.

– Ja też. – Próbuję się uśmiechnąć.

– Na dodatek chciałam cię obciążyć własnym ciężarem, a to znacznie gorsze.

Gadka szmatka. Nadal chce mnie obciążać, inaczej nie wypowiadałaby takich słów. W normalnych warunkach może bym to wykrzyczała i poszła sobie. Własne upiory tak znajomo okręcają szyję, że cudze są niepotrzebne. Teraz jednak prowadzę śledztwo i nie powinnam zachowywać się jak zwykle.

– Po to przyszłam. Przypominasz mi mamę.

To zabawne. W tej kobiecie nie ma nic z mojej mamy. Wczoraj przez chwilę wydawała mi się matką idealną, marzeniem, które przyszło za późno. Teraz widzę, że jest krucha i niestabilna. Tym lepiej. Mam szansę być tą silną.

– Nikt nigdy mnie tak nie nazwał. – Z oczu płyną jej łzy, znacząc policzki ciemnymi śladami tuszu. – Byłam raz w ciąży. Moja córka miałaby teraz tyle lat co ty.

*Moja żona nie może mieć dzieci. Kłamał. Dlaczego?*

– To był już ósmy miesiąc. Byliśmy tacy szczęśliwi. Oglądaliśmy wózki, ubranka, łóżeczka, planowaliśmy przyszłość dziecka. Może Bóg ukarał nas za brak pokory?

– Bzdura – szepczę.

Prawdziwa ja i rola, którą odgrywam, spotykają się w tym słowie.

– Tak. Bzdura. – Wyciąga chusteczkę, rozprowadza ciemne ślady po całej twarzy, ale stają się mniej widoczne. – Jechaliśmy na ślub kuzynki Tadeusza. Pijany kierowca wyjechał z szaloną prędkością z drogi podporządkowanej. Tadeusz, chcąc uniknąć zderzenia, wykręcił i wpadł na drzewo. Miał wstrząśnienie mózgu i złamaną nogę. Przytomności nie stracił i był w stanie wezwać pomoc. Zabrali nas do szpitala na Solcu. Ja...

Wiem, co teraz nastąpi. Różne bywają tragedie. Nikt nie powiedział, że moja jest najstraszniejsza, ale to, co ma do powiedzenia ta kobieta, jest zbyt pospolite.

– Doznałam różnych urazów wewnętrznych, wszystkie jakoś się zagoiły. Dziecko nie przeżyło, ale pozostało wewnątrz mnie. Miałam... operację. Wydostali moją córeczkę.... martwą od momentu wypadku. Po tym nie mogłam mieć dzieci.

– A adopcja?

Nie powinnam. Prawdziwa ja, wściekła i niewychowana, zepchnęła na bok panią detektyw. Wargi Marii drżą, ale już nie płacze. Ręce zacisnęła w pięści. Przez chwilę mam wrażenie, że chciałaby mnie uderzyć.

– Nie mogłam. Po wypadku leczono mnie dość długo w szpitalu psychiatrycznym.

Z jej głosu znika napięcie, ręce się rozluźniają.

– Musiałam mieć skłonności, ale wypadek i przeżycia zrobiły swoje. Zdiagnozowano schizofrenię paranoidalną.

– To halucynacje? – szepczę jak ostatnia idiotka.

Wyznanie Marii zbiło mnie całkowicie z tropu. Siedzę naprzeciwno

wariatki. Prawdopodobnie dość często obcowałam z ludźmi mających większe lub mniejsze problemy psychiczne, lecz po raz pierwszy spotykam kogoś, kto był u czubków.

– Tak to nazywają. – Wzdrygam się na dźwięk jej głosu, jakbym usłyszała styropian rysujący po szkle. – Zanim wylądowałam w szpitalu, urządziłam mojemu mężowi piekło. Wyprowadzili mnie, on mnie wyprowadził, biorę leki i wszystko jest pod kontrolą.

Wcale nie jestem pewna. Oczy Marii robią się puste jak wczoraj. Szklane oczy lalki. To, że są tak jasne, potęguje wrażenie. Pod tą pustką może kryć się niebezpieczna szalona kobieta. Milczenie zawisa między nami, jest lepkie i ciężkie.

– Miałaś straszne przeżycia – mówię, żeby je przerwać – ale wspaniale, że pokonałaś chorobę.

Maria się śmieje, ale jej oczy pozostają bez wyrazu. Cofam się, mrugam powiekami. Nie ma wobec mnie złych zamiarów, a nawet jeśli, jesteśmy w miejscu publicznym, kobieta naprzeciwno jest drobniejsza i sporo starsza ode mnie. Z pewnością słabsza.

– To nie ja. – Głos Marii normalnieje, oczy wreszcie przestają przypominać szklane guziki. – To zasługa mojego męża. Przestaliśmy mówić o dziecku, to zbyt bolesne dla nas obojga. Poza tym nie mamy tajemnic.

Może dlatego opowiedział mi o bezpłodności żony. Mówienie prawdy jest ponad siły. Uśmiecham się z trudem.

– Bardzo do siebie pasujecie.

– Tak, córeczko.

Nie chcę, żeby mnie tak nazywała. Chciałabym zwać z tej kawiarni, ale przypominam sobie, że nie przyszłam tu dla przyjemności.

– To piękne, że dwoje ludzi kocha się tyle lat. Nigdy nie mieliście żadnych wątpliwości?

– Ja nigdy. Nawet w najcięższym stadium choroby wiedziałam, że on jest moim przyjacielem. Nie mogłabym mieć kochanki, jeśli o to ci chodzi. Sama myśl mnie obrzydza. A on... – Urywa.

Nie jestem dobra w te klocki, nie mam pojęcia, jak nakłonić ją do zwierzeń. Jeśli jednak teraz nie usłyszę o romansie Tadeusza, druga taka okazja szybko się nie powtórzy.

– Mężczyźni są dziwni – ryzykuję. – Tata zdradzał mamę – mówię drżącym głosem. – Siedziała w kącie domu i płakała, nie zwracając na mnie uwagi. – Maria kładzie mi rękę na dłoni, ściska palce. – Jednak Tadeusz tak na ciebie patrzy, że nie mógłby... chyba... – Zaczynam się jąkać.

– Naprawdę nie mógłby.

Maria się uśmiecha, jakby chciała dodać mi odwagi.

– Wiesz... bałam się, że może on i ciocia...

Maria śmieje się zupełnie inaczej niż poprzednio. Lekko, dziewczęco, bez troski.

– No co ty? Oni byli przyjaciółmi. Ja też przyjaźniłam się z Kasią.

Jest szczerą czy gra? Schizofreniczka, która ujarzmiła chorobę czy nieobliczalna wariatka?

– Ciocia nie ma nikogo?

Maria wzrusza ramionami.

– Chyba ostatnio kogoś poznała, ale była bardzo tajemnicza. Ty masz chłopaka?

Przestała mieć ochotę roztrząsać własne problemy, a temat męża i Katarzyny Wielosławskiej albo nie wydaje jej się ciekawy, albo uznaje za niebezpieczny. Powinnam rzucić jakiś ochłap w formie przynęty. Niech uważa, że jej ufam, traktuję trochę jak zastępczą matkę.

– Mam przyjaciela. Kiedyś był moim chłopakiem. Później coś się stało...

– Brak mi tchu, postanowienie rzucenia ochłapem bierze w łeb. Przełamuję się i ciągnę: – Zostałam zgwałcona i nie potrafię się zaangażować. Nie umiem też zrezygnować z przyjaźni z nim. To wszystko, co mam.

Informacja za informację, zwierzenie za zwierzeniem. Cała się trzęsę. Z pewnością jestem przekonująca. Maria podnosi się, okrąży stolik, siada obok, przytula. Nie protestuję, potrzebuję teraz ciepła czyichś ramion. Słowa

włoczyły mnie w tamten czas, a dotykając kogoś żywego, przypominam sobie, że to już minęło.

– Moja biedna mała dziewczynka – słyszę głos Marii.

Niech tak mówi. Na moment pozwalam jej być moją mamą. Niech sobie wierzy, że jestem tamtą, która wcale nie zginęła w wypadku przed urodzeniem. Jeśli chodzi o mnie... Nie rozumiem, co się dzieje i się nie zastanawiam. Szczęki powoli przestają latać, oddech się uspokaja.

– Przepraszam – mówię wreszcie i odsuwam się nieznacznie.

– Obie się rozkleiłyśmy. – Maria uśmiecha się porozumiewawczo.

W autobusie próbuję złożyć to wszystko do kupy. Są chwile, gdy Maria wydaje się potwornie niestabilna emocjonalnie. Prawdopodobnie tak ciężkiej choroby jak schizofrenia nie można całkowicie opanować. Nie jestem pewna, co sądzić na temat małżeństwa Marii i Tadeusza. Zbyt to wszystko wydaje się idealne, wygładzone. Każdy zmęczyłby się chorą psychicznie kobietą i bezustanną opieką nad nią. Można szukać ucieczki na różne sposoby. Czy Tadeusz znalazł ją w romansach z innymi, na przykład z Katarzyną Wielosławską? Czy Maria odkryła ich związek i zlikwidowała rywalkę? Tadeusz jest na urlopie. Od razu nasuwa się podejrzenie, że miał go spędzić z babcią Doroty. To on jest tajemniczym kochankiem, po którym nie został nawet ślad w komputerze czy mieszkaniu. Żona policjanta zapewne ma ułatwiony dostęp do broni. Szlachetny rycerz uznał, że lepiej pozostać po stronie połowicy i zlikwidować wszelkie ślady. Zresztą, cholera wie, może on sam znudził się kochanką i ją wykończył. To nie jest jedyna dwójka podejrzanych – przypominam sobie. Nie można wykluczyć współniczki, zazdrosnej o powodzenie zarówno u mężczyzn, jak i pacjentów. Co ją łączyło z Tadeuszem? Powinnam go kiedyś umiejętnie o to zahaczyć. A mąż współniczki? Facet zdolny do dzikich scen zazdrości może przecież dokonać morderstwa. Wprawdzie Krzychu wyraża wątpliwości, ale od kiedy jest takim znawcą ludzkiej natury? A jeśli to jednak Beata? Ona na śmierci matki korzysta najbardziej. A jeśli... Nie, tamto odrzuciłam już dawno.

Dzwoni komórka. Tadeusz.

– Słyszałem, że już skończyłyście.

Jego głos brzmi jak zawsze; ciepły, pełen dyskretnego uroku.

– Tak.

– Spotkasz się też ze mną? Nawet dziś wieczorem?

Ton się nie zmienia, jednak słowa zaskakują. Czy chce szybko przedstawić swoją wersję?

– Okej, o dziewiątej, tam, gdzie byłam z twoją żoną.

– Czyli w Bordo? – upewnia się.

Potwierdzam.

– Co ci powiedziała?

Po raz pierwszy Tadeusz nie wydaje mi się przykładem dżentelmena w starym stylu. Niecierpliwość przebija zarówno z tonu, jak i z każdego ruchu od momentu, gdy się spotkaliśmy. Zapytał niby, na co mam ochotę, złożył zamówienie, ale na tym skończyła się zabawa w dyplomację. Wzruszam ramionami.

– To była prywatna rozmowa.

Kręci głową. Maria uważa go za ideał męża. Gdyby nim był, z pewnością nie naciskałby, żebym relacjonowała treść konwersacji niemal bezpośrednio po rozstaniu z jego żoną.

– Nie rozumiesz.

Pewnie, że nie. Nie mam kwalifikacji, żeby prowadzić jakiegokolwiek śledztwo. Czuję się zaplątana w gąszczu kłamstw.

– Ona... miewa urojenia. – Słowa przychodzą mu z trudnością.

– Właśnie to...

Przerywam, bo kelnerka stawia przed nami zamówione zupy. Wyraz twarzy Tadeusza się zmienia, obdarza ją tym swoim czarownym spojrzeniem i już jest jego.

– Uwielbiasz rzucać urok na kobiety, co? – mówię z przekąsem, gdy dziewczyna się oddala.

– Słucham?

Albo demonstruje świetną sztukę aktorską, albo faktycznie nie jarzy.

– Nieważne. Twoja żona powiedziała mi, że miewa urojenia. Właśnie to.

Z wysiłkiem powstrzymuję się od wyrażenia pogardy w dobitny sposób. Troskliwy opiekun ganiający za każdą osobą, z którą rozmawia jego żona.

– Tak. Zaczęło się od wypadku. Ja prowadziłem.

– Wiem – przerywam, zanim powie, że to jego wina.

– To moja wina.

I tak wyznanie grzechu mnie nie ominęło, trudno. Ukrywa twarz w dłoniach, a we mnie narasta irytacja. Zmuszam się jednak i wypalam: – Oczywiście, że nie twoja. To tamten kierowca był pijany.

Podnosi głowę i wbija we mnie oczy. Odwracam wzrok. Nie chcę się nad nim litować.

– Poprzedniej nocy oglądałem telewizję. Jakieś głupie programy, nawet nie wiem po co. Mało spałem, byłem zbyt zmęczony, żeby odpowiednio zareagować. Nie o to chodzi. Nie będę wylewać żalów czy oczekiwać rozgrzeszenia.

Całe szczęście – mam ochotę powiedzieć, ale w ostatniej chwili gryzę się w język.

– Tamten wypadek... no... po nim wszystko się zmieniło. Obudził szaleństwo u mojej żony. Żaden lekarz nie potwierdził tej teorii, ale też żaden nie powiedział, że to niemożliwe.

Mówi obojętnie, chłodno. Kimkolwiek jest, to z pewnością nie szaleniec. Jeśli zamordował, wykalkulował wszystko zimno.

– W którym szpitalu?

– Co?

– Do którego szpitala was zawieźli?

Wzrusza ramionami, ale odpowiada:

– Na Solec.

Irytuje mnie coraz bardziej. Nawet to, że potwierdza adres szpitala.

– Stało się coś jeszcze, prawda? – syczę.

Resztki współczucia gdzieś wyparowały. Skurczybyk zgrabnie omija temat dziecka. To nie on jest najbardziej poszkodowany. Patrzy, jakby nie rozumiał.

– Straciliście dziecko – wyjaśniam lodowato.

Zaciska mocno szczęki, mięśnie twarzy zaczynają mu drgać.

– Nie rozumiesz – mówi wreszcie.

Przeżywa – inaczej niż żona, co nie znaczy, że mniej boleśnie.

– Pewnie masz rację – zgadzam się. – Czego nie rozumiem?

– Nigdy nie było żadnego dziecka. Moja żona nie była w ciąży.

Dosłownie opada mi szczęka, patrzę na Tadeusza jak sroka w gnat. Uświadamiam sobie, że głupio wyglądam, więc zamykam usta.

– Nie była w ciąży?

– To właśnie było pierwsze urojenie. Zaczęła mówić, że była w ciąży i straciła dziecko. Potem przyszły następne. Na początku myślałem, że to szok powypadkowy, zaraz minie, ale było tylko gorzej. Spędziła w Tworkach pół roku, wyprowadzili ją z tego. Brała leki, wydawała się opanowana, spokojna. Dopiero po kilku dniach w domu znów wspomniała o dziecku. Powiedziałem, że nie było dziecka, ona wpadła w szal. Następnego dnia widziała małe czerwone ludziki, które wstrzykują truciznę do mojego mózgu. Wciskałem w nią leki, pluća. Musiała znów być hospitalizowana.

Czy on kłamie, czy też jego żona jest aż tak szalona? Przypominam sobie puste, szklane oczy, własny lęk.

– Zacząłeś więc przyznawać jej rację?

– Zmieniałem temat. Nie od razu zadziałało. Jeszcze trzykrotnie była w szpitalu. Teraz... już od wielu lat o tym nie wspomina.

*Przestaliśmy mówić o dziecku, to zbyt bolesne dla nas obojga –*



przypominam sobie słowa Marii. Przynajmniej w jednym punkcie małżonkowie się zgadzają. Czy ten facet celowo miesza, wprowadza mnie w błąd? Po co niby miałyby to robić? Może to zimny morderca. Mimo to nie rozumiem, po co miałyby kłamać w tej kwestii.

– Jednej rzeczy nie rozumiem – słyszę głos Tadeusza.

Tylko jednej? – chcę zapytać, ale powstrzymuje mnie nagły strach. Brązowe oczy patrzą surowo. Tadeusz podnosi rękę, ze zwykłym uroczym uśmiechem prosi o rachunek. Przeciąga napięcie, ale mój lęk opada. Znow jestem zirytowana.

– Czego nie rozumiesz?

– Zaraz ci powiem. Wyjdźmy.

Na zewnątrz niespodziewanie chwyta mnie za łokieć i prowadzi gdzieś szybko.

– Kto to jest? – pyta ostro.

Stoimy naprzeciwko Krzycha i z przykrością stwierdzam, że mój przyjaciel ma niezwykle głupi wyraz twarzy. Nieprzerwany strumień ludzi płynie obok. Miejsce nie mogłoby być bardziej publiczne. Wybucham śmiechem.

– To Krzychu. – Krztuszę się od chichotu.

– Jestem jej przyjacielem. – Głos Krzycha brzmi buńczucznie, kojarzy mi się z małym chłopcem przyłapanym na zabronionym uczynku. – Niepokoję się, kiedy umawia się z obcymi.

Tadeusz odwraca się do mnie. Dopiero teraz zauważam, że nadal trzyma mnie za łokieć. Przestaję się śmiać.

– A ty kim jesteś? Podajesz dwa różne nazwiska. Kasia nie ma żadnych sióstr, o bliskich ciotecznych też bym wiedział, a tym bardziej siostrzenic, którym daje ot tak sobie klucz do swojego mieszkania.

– Znasz wszystkie jej tajemnice? – mówię z wściekłością. – Jesteś jej kochankiem?

– Uważaj, panienko!

Usiłuję wyszarpnąć rękę, lecz Tadeusz zaciska palce.

– Puść ją! – krzyczy Krzychu.

– Możemy porozmawiać tutaj albo zaprowadzę was na komendę. Dokumenty.

Nie wiem, czy blefuje, lecz podejmuję błyskawiczną decyzję.

– Porozmawiajmy tutaj. Puść mnie.

Tadeusz zwalnia uścisk.

– Dokumenty – powtarza.

Wyciągam dowód, podaję. Tadeusz studiuje go przez chwilę.

– Tak – mruczy. – Malańska – Przynajmniej komórka nie jest kradziona. Jeszcze ty – mówi do Krzycha.

Krzychu waha się moment, ale kiwam głową. Przeczuję większe kłopoty, gdybyśmy zaczęli się stawiać. Dowód Krzycha ląduje w dłoni Tadeusza.

– Czego ode mnie chcecie?

Opowiadam tę samą historyjkę, którą uraczyłam doktor Zawadzką. Dodaję, że sama dała mi klucz i telefon do niego. Postanowiłam po prostu wykorzystać szansę.

– Moja noga zawsze była powodem kompleksów. Przestałam już wierzyć, że kiedykolwiek uda się coś zrobić, kiedy pojawiła się ona – kończę płaczkliwie, po chwili jednak postanawiam dodać: – Wychowywałam się w domu dziecka.

– Skąd miałaś mój telefon i dlaczego do mnie zadzwoniłaś?

– Już ci powiedziałam. Ona mi dała, mówiąc, że jesteś świetnym przewodnikiem po Warszawie. Poza tym chciałam poznać kogoś, o kim tak dobrze się wyrażała.

Istnieją dwie możliwości. Pierwsza bardzo dla nas niebezpieczna. To z Tadeuszem Katarzyna miała spędzić urlop, ale ją wykończył. Zdaje więc sobie sprawę z moich kłamstw. Nie mogłam dostać telefonu do faceta,

którego nie miało być w Warszawie. A może myśli, że Katarzyna knuła rozbicie jego małżeństwa. Zadzwońabym, a Maria natychmiast domyśliłaby się wszystkiego. Druga możliwość: to nie on jest tajemniczym kochankiem, więc w mojej wersji wszystko gra. Historia mocno naciągana, ale nie nieprawdopodobna. Tak czy inaczej, teraz nie mam innego wyboru, lecz się jej trzymać.

– Po co wzięłaś go ze sobą? – wskazuje brodą na Krzycha.

– To mój przyjaciel z domu dziecka. Jedyne przyjaciel.

– Hej! – W głosie Krzycha znów pojawia się nuta młodzieńczego buntu. Świetnie wszedł w swoją rolę, o ile rzeczywiście to tylko rola.

Tadeusz ledwie zaszczyca go spojrzeniem.

– Dowiem się, czy mówicie prawdę.

To nie brzmi jak groźba. Zupełnie niespodziewanie wydaje się zmęczonym starym człowiekiem. Kiedy jednak odzywa się ponownie, w głosie wibruje poprzednia wroga energia.

– Dlaczego Kasia nie odpowiada na telefony?

Świdruje mnie wzrokiem.

– Nie wiem. Ja również się tym martwię.

– Powinniśmy iść na komendę – mówi w zamyśleniu. – Tyle że cię polubiłem. Nawet chciałem ci wierzyć. Dlatego nie grzebałem, chociaż kwestia nazwiska powinna mnie zaalarmować. Głuchy przecież nie jestem. Mimo to dałem się zwieść podobieństwu i spasowałem. Całkiem sprytnie zagranie. – Mówi to takim tonem, że nie jestem w stanie zdecydować, czy kpi. – No i ten koleś tutaj. – Przenosi wzrok na Krzycha. – Nie od razu skojarzyłem, że nas śledzi. No ale nie mogłem pozwolić, żebyś spotkała się ot tak z moją żoną. Musiałem was obserwować. Muszę przyznać, że scena... – Przypuszczam, że ma zamiar powiedzieć coś uszczypliwego, ale macha ręką i ciągnie: – Nie sądzę, żebyście mówili całą prawdę. Dojdę do tego tak czy inaczej. Zacznę od sprawdzenia waszych tożsamości. Jeśli coś będzie nie w porządku...

– Co pan właściwie sobie wyobraża? – protestuje Krzychu. Tadeusz

przygląda mu się chwilę spod zmrużonych powiek, jakby traktował go jak ciekawy okaz zoologiczny.

– Daruj sobie, chłopcze.

Chowa nasze dowody do kieszeni, a ja daję znak Krzychowi, żeby tym razem naprawdę sobie darował.

– Zadzwoń jutro i się umówimy. Może wam oddam dokumenty.

Krzychu mimo wszystko nabiera oddechu, ale ja mam już dosyć tej żałosnej sceny.

– Dobrze.

Patrę Tadeuszowi prosto w oczy. Ponownie czuję bolesne pragnienie, żeby przeżyć życie od nowa z takim ojcem u boku.

– Do zobaczenia, Ola. Wszystko, co ci mówiłem, mówiłem szczerze.

Dotyka lekko mojego ramienia i kompletnie ignorując Krzycha, odwraca się i odchodzi.

– Dałem cię, sorry.

Otrząsam się. Nie przeżyję jeszcze raz swojego życia. Nie wiem, kim jest Tadeusz, z pewnością nie moim ojcem. Znam jego zawód.

– On jest policjantem, a ty... – milknę zawstydzona.

– ...drobnym złodziejaszkiem – kończy Krzychu. Obawiam się, że taka jest rzeczywistość. Drobnny złodziejaszek i kaleka bibliotekarka, dwoje spaczonych wychowanków domu dziecka. Na co myśmy się porwali? Jak mamy zamiar poradzić sobie z zagadką ponurej zbrodni?

– Wracajmy – mówię zduszonym głosem.

W samochodzie Krzychu coś mówi, ale się wyłączam. Pod czaszką dudnią dwa słowa: „drobny złodziejaszek”. Robi mi się niedobrze, przeszkadza pulsowanie w skroniach. Opuszczam lusterko, przyglądam się sobie. Żyły wyszły na wierzch, twarz jest czerwona. Opieram głowę na zagłówku, zamykam oczy. Krzychu milknie.

W domu opowiadam mu, czego się dowiedziałam, chociaż nie wiem, czy

to ma jeszcze jakiegolwiek znaczenie.

# Beata

Stukot własnych obcasów na schodach drażnił jak miarowe wbijanie gwoździ w ścianę o piątej nad ranem. Pustka w domu na odludziu przytłaczała. Otworzyła drzwi pokoju córki. Rutyna, z której nie zrezygnowała, nawet kiedy przewiozła Dorotę na drugi koniec Trójmiasta. Obecnie nic nie wskazywało, że mieszkała tu kiedyś kaleka. Nawet śladu po niepełnosprawnej. Beata położyła się na łóżku i przez chwilę wpatrywała tępo w sufit, po czym przewróciła się na brzuch, wachała materac. Świeżo wyprany, pachniał jedynie proszkiem. Wstała, poprawiła narzutę i ogarnęła wzrokiem pomieszczenie. Na regale zostało kilka książek, na parapecie paprotka. Telewizor na stoliku pod ścianą. Wszystko bez wyrazu, bezosobowe. Sypialnia dla gości. Tak zamierzała powiedzieć, gdyby zajrzała tu policja.

Konsekwentnie usunęła ślady, była przygotowana. Nic nie mogło jej zagrozić. Nic. Przeszła do swojej sypialni, automatycznie włączyła komputer. *Mieszkała tu kiedyś kaleka.* Myśl sformułowana w pokoju córki powróciła. *Kiedyś.* Beata miała ochotę wrzeszczeć i walić głową w biurko. Skłonność do ataków hysterii Dorota odziedziczyła chyba po niej. Tylko że ona, Beata, potrafiła je opanować. Ścisnęła palcami skronie, zmusiła mózg do posłuszeństwa.

Może teraz, kiedy starej jędzy zabrakło, można będzie się wyplątać. Wpisała w wyszukiwarkę „adwokat Trójmiasto” i Google zasypało ją wynikami. Otwierała kolejne strony, czytała. Informacje o prawnikach działały jak środek uspokajający na skołatane nerwy. Co szkodziło spróbować? Prawie uwierzyła, że się skontaktuje. Jutro.

# Dorota

Mama wpadła tylko na chwilę. Powiedziała, że boli ją głowa i musi dojść do siebie we własnym łóżku. Jak przystało na dobrą, wyrozumiałą córkę, wyraziłam troskę i powiedziałam, żeby już szła i odpoczęła. Usiłowałam nie zwracać uwagi na ulgę w jej oczach. Zresztą może to wszystko tylko mi się wydawało? Tworzę w głowie rozmaite scenariusze i jeszcze w nie wierzę.

Żadnej wiadomości. Napisałam do Oli, żądając informacji. Nic. Minęła już północ i nadal nic. Tkwię w martwym punkcie. Sama. Niewiedza mnie paraliżuje. Nie mam siły krzyczeć czy zalać się łzami. Nie boję się, że ktoś wejdzie i zrobi ze mną porządek. Coś zaczęłoby się dziać, nawet jeśli szybko by się skończyło.

Gdzieś na zewnątrz toczy się życie. Często bolesne, niekiedy przerażające, czasami wypełnione radością. Mnie omija. Nie mam aktu urodzenia, dowodu, paszportu czy cholera wie czego, więc nikt się ze mną nie liczy. Nie zmienię tego, chociaż teraz mogłabym próbować.

Wytyczyłam sobie jeden bezpośredni cel. Chcę wiedzieć, kto i dlaczego zabił babcię. Założyłam, że dowiem się tego, zwracając się do dwójki nieodpowiedzialnych młokosów, drobnych przestępców. Wymyśliłam pokrewieństwo duchowe z Olą. Nie ma żadnego pokrewieństwa. Nie istnieje nawet zwykła komunikacja. Zabrakło tej dziewczynie przyzwoitości czy choćby dbałości o pozory. A jeśli stało jej się coś złego? To byłaby moja wina. Świadomie naraziłam ją na niebezpieczeństwo. Nie mogę się tłumaczyć nieznaną światu. Dobrze wiem, że morderstwem powinna zająć się policja. Co mam na swoją obronę? Czy zrobiłam to ze względu na mamę? To byłoby całkiem szlachetne, ale chyba działałam z pobudek egoistycznych. Gdyby zamknęli mamę, zostałabym sama. To żadna cholerna lojalność, to zwykły prymitywny strach. Do czego doprowadziłam? Tkwię w tym mieszkaniu, odizolowana od reszty świata.

Cholera, będę działać. Dowiem się, co stało się z Olą. Czytam jej maile. Tadeusz Rogucki. To z nim miała się spotkać. Jeśli ktokolwiek próbował ją

skrzywdzić, to mógł być tylko on. Główny podejrzany w sprawie morderstwa mojej babci. Policjant. Z pewnością ma broń. Kochanek babci. To tylko założenie, ale kto niby miałby nim być? Zapewne kilku chętnych by się znalazło, ale zastanowię się nad ich kandydaturami nieco później. Od czegoś muszę zacząć.

Nauczyłam się już posługiwać internetem do tego stopnia, że znalezienie maila Roguckiego nie nastęrcza mi trudności. Przez chwilę nawet przenika mnie puste uczucie samozadowolenia. Tworzę nową wiadomość, wpisuję adres. Co teraz? Nie ma potrzeby się bać. Pozostaję anonimowa, on jest znany z imienia i nazwiska, miejsca pracy, zawodu. W tym względzie odczuwam przewagę. Zaczynam pisać; najpierw powoli, zastanawiam się nad każdym słowem, później coraz szybciej, palce ledwie nadążają za mknącymi myślami.

*Szanowny Panie,*

*jestem przyjaciółką Oli Malańskiej.*

Nie, lepiej nie Malańskiej. Mogła nie podać prawdziwego nazwiska. Oli, wystarczy. Będzie wiedział, o kogo chodzi.

*Wiem, że spotkała się dziś z Panem. Znam treść każdej Waszej rozmowy, wiem, że podejrzewała Pana o popełnienie zbrodni. Co się z nią dzieje? Nie mogę się z nią teraz skontaktować. Jeśli zrobił Pan jej cokolwiek, odpowie Pan za to. Być może jest Pan niewinny. Proszę w takim wypadku napisać do mnie, wyjaśnić. Martwię się o nią.*

Odpowiedź przychodzi niespodziewanie szybko. Czy ten facet też cierpi na bezsenność i tkwi przy komputerze?

*Co do przyjaciółki Szanownej Pani, może Pani być spokojna. Przynajmniej z mojej strony nie grozi jej niebezpieczeństwo. Kiedy rozstawałem się z nią wczoraj, była w świetnym zdrowiu. Jeśli przyjrzeć się temu dokładniej, to ja mógłbym czuć się osaczony. Na każdym spotkaniu podązał za nami jej chłopak. Teraz odzywa się Pani. Uznajecie mnie wszyscy za idiotę? Kim jest Szanowna Pani czy też Panienka, Która Mnie Straszy? I drugie, może nawet ważniejsze pytanie: o jaką zbrodnię jestem podejrzewany? A tak w ogóle, dlaczego nie może Szanowna Panienka (Pani) skontaktować się ze swoją przyjaciółeczką? Najprawdopodobniej nie jest ku*



*temu odpowiednia pora. Może śpi i ma wyłączoną komórkę? Może położyła ją gdzieś daleko i nie słyszy? Sam bym tak zrobił, gdybym miał przyjaciół, którym przychodzi do głowy kontaktować się ze mną w środku nocy. Wszystko to zaciekawia mnie coraz bardziej, ale dobre wychowanie nie pozwala mi przerywać cudzego snu. Zadzwońię do Pani przyjaciółeczki jutro rano i Pani radzę zrobić to samo. Powinna Panienka pójść spać. Wcześniej tylko proszę uchylić rąbka tajemnicy: o jaką zbrodnię chodzi?*

Jestem kompletną idiotką. Na szczęście anonimową.

*Dziękuję za ironię, z jaką mnie Pan traktuje. Co do zbrodni, jeśli ją Pan popełnił, doskonale zdaje Pan sobie sprawę, o co chodzi. Może też być Pan pewny, że za nią odpowie. O swój sen potrafię zadbać sama.*

Czekam na odpowiedź, ale tym razem nie przychodzi. Ostatni raz patrzę na zegarek o szóstej trzydzieści cztery, dziewiętnaście sekund. Zamykam oczy, nie troszcząc się nawet o wyłączenie komputera. Gdyby mama przyszła, odkryłaby wszystkie tajemnice. Może powinnam raczej użyć określenia „knowania”? Nie przyjdzie – dudni w głowie. Nie przyjdzie.

Nie wiem, czy śpię. Mam wrażenie, że cały czas powtarzam w myśli „Nie przyjdzie”. Kiedy patrzę na zegarek, jest siódma dwadzieścia jeden, czterdzieści dwie sekundy. Wciąż żadnej wiadomości. Czytam wszystkie poprzednie, jakby mogły cokolwiek wyjaśnić. Zatrzymuję się na słowach: *Zadzwońię do Pani przyjaciółeczki jutro rano i Pani radzę zrobić to samo.* W nocy nie zwróciłam na nie uwagi, teraz wydają mi się tak irracjonalne, że wybuchaam śmiechem.

# Ola

Budzę się kilka razy, jednak nie chcę wracać do rzeczywistości. Spać. Nawet jeśli coś mi się śni, nie pamiętam. To są zresztą rzeczy rozgrywające się wyłącznie w mojej głowie, nie boję się takich. Już nie. Są bezpieczne.

Dźwięk komórki. Naciągam kołdrę na głowę, lecz to nie pomaga. Wyciągam rękę, odbieram, nie patrząc na wyświetlacz.

– Dzień dobry – wita mnie aksamitny głos Tadeusza. – Spałaś jeszcze?

– Tak jakby – mruczę niechętnie.

– Już po dziesiątej – mówi z łagodną przyganą, po czym jego głos twardnieje. – Spotkajmy się dziś o szesnastej.

To nie pytanie ani propozycja.

– Chwileczkę – odparowuję ze złością. – Sprawdzę swój terminarz.

– Marny dowcip, panienko. Mamy do pogadania, a szesnasta jest dla mnie akurat. Przyrowadź swojego przyjaciela.

Chyba rzeczywiście on jest górą.

– Dobra, szesnasta może być. Gdzie się spotkamy?

– Mogę wpaść do Kasi. Tam się przecież zatrzymaliście.

– Nie! – reaguję błyskawicznie. – Spotkajmy się na neutralnym gruncie.

Przerywa mi jego śmiech. I pomyśleć, że niedawno roiłam sobie, by jeszcze raz przeżyć życie z nim jako z ojcem.

– Dobra, na neutralnym gruncie. Pola Mokotowskie przy pubie Bolek.

Nawet nie zdążę potwierdzić bądź zgłosić sprzeciwu. Tadeusz się rozłącza. Rzeczywiście palnęłam z tym publicznym miejscem. Gdyby chciał, mógłby w każdej chwili przyjść tutaj i wystrzelać nas jak muchy. Może to właśnie zrobi? Przemierzam mieszkanie w tę i z powrotem, jest puste. Krzychu nawet nie stworzył iluzji, że w razie czego mnie obroni. Zresztą po

wczorajszej wpadce nie wierzę w jego możliwości. Władowałam się z własnej woli w cholerne gówno. Śmierć wydaje się najprawdopodobniejszym finałem. Nie chcę umierać.

Idę do łazienki, biorę chłodny prysznic. Atak paniki mija. Dzwonię do Krzycha.

– Oła, oddzwonię za pięć minut. Nie mogę teraz rozmawiać.

Nie może rozmawiać. Gniew zapala się i gaśnie. Oddzwoni za pięć minut. Dobre i to. Powinnam może napisać do Doroty, ale sama myśl o włączeniu komputera powoduje mdłości. Tkwię w tym bagnie może z własnej woli, ale w gruncie rzeczy przez nią. Nie ma ucieczki. Policjant, który najprawdopodobniej jest mordercą, trzyma mnie w garści. Dzwoni mój telefon, przerywając nieprzyjemne myśli.

– Zaraz się zobaczymy, jadę już do domu.

Niemal daję się złapać w pułapkę, prawie wierzę w te słowa. Przypominam sobie, jak bawiłam się myślą, że jesteśmy małżeństwem. Skończył się czas zabaw.

– Gdzie byłeś?

– W szpitalu. Opowiem ci już w domu.

Nie chce mi się reagować.

– Jesteśmy umówieni z Tadeuszem o szesnastej – informuję.

– Okej.

Rozłączam się i rzucam telefon. Na kanapę oczywiście, wolę go nie uszkodzić.

Krzychu pochłania kanapkę, jakby nie jadł od tygodnia. Jeśli się boi, strach nie odbiera mu apetytu.

– Więc co w tym szpitalu? Po co w ogóle tam pojechałeś?

– W szpitalu na Solcu – precyzuje. – Wersja Tadeusza jest prawdziwa. Maria nie była w ciąży. Silne urazy wewnętrzne, szok powypadkowy. Tylko to. Żadnego dziecka.

Czuję narastającą irytację.

– Jak się tego dowiedziałeś? Tak oczarowałeś recepcjonistkę, że od razu sprawdziła akta? Czy ona też wyszła do toalety, a ty, znając alfabet, sam sprawdziłeś?

Jego twarz pokrywa się rumieńcem. Wrażliwy młodzieniec, można by pomyśleć.

– Moja... znajoma jest tam pielęgniarką. Poprosiłem i sprawdziła.

– Aha. Pożytecznie jest mieć tyle... znajomych – parodiuję jego ton.

– Sprawdziliśmy też kartę w Tworkach. Wygląda na to, że Tadeusz mówił prawdę.

– Tam też masz... znajomą? – Znów robię wymowną przerwę przed ostatnim słowem.

– Nie, pracuje tam koleżanka Anety.

– A więc nadal prowadzisz śledztwo, chociaż mamy nóż na gardle?

– Nie rozumiem. – Krzychu odsuwa talerz. – Po to tu przyjechaliśmy, nie? To ty chciałaś, żebyśmy wykryli mordercę na własną rękę.

– Tak, jasne, moja wina. Zawsze wszystko jest moją winą – mówię podniesionym głosem i nagle zdaję sobie sprawę, jak głupio brzmię. – Przepraszam. Boję się po prostu.

Krzychu kiwa głową.

– Posłuchaj. Jeśli chcesz, możemy jeszcze się z tego wycofać. Pójdziemy na policję i opowiemy wszystko od samego początku. Olejemy spotkanie z Tadeuszem, nie mamy pewności, czy to dobry, czy zły glina.

Możemy to zrobić, nawet teraz. Najprawdopodobniej wylądujemy w pierdlu, ale odpadnie strach o życie. Pozostaje kwestia lojalności. Dlaczego założyłam od początku, że liczy się lojalność tylko w stosunku do Doroty? Pociągnęłam Krzycha za sobą, nie pytając o zdanie.

– Chciałbyś, żebyśmy poszli na policję?

– Nie – pada natychmiastowa odpowiedź. – Za bardzo się wciągnąłem,

żeby teraz całkowicie oddać tę sprawę. Wolałbym tylko mieć w drużynie profesjonalistę.

Obym źle zrozumiała.

– Co sugerujesz?

– Tadeusz jest policjantem.

– Chyba oszalałeś! – Znow podnoszę głos. – Przecież to jest główny podejrzany. Masz innego kandydata na kochanka Katarzyny? – Przypominam sobie, że istnieje mąż doktor Zawadzkiej i poprawiam się. – Lepszego kandydata? Jeśli to on, a najprawdopodobniej to on, kiedy się dowie, że grzebiemy w morderstwie, co zrobi? Jeśli ktoś zabił raz, nie będzie miał zahamowań, żeby zabić po raz kolejny. Jedna, dwie osoby więcej, co za różnica?

– Nie wykluczam, że to on – pada spokojna odpowiedź. – Jeśli okażemy mu zaufanie, przestanie się mieć na baczności, łatwiej będzie go obserwować.

– Nie mów nic o obserwowaniu! – Walę pięścią w stół. – Już go obserwowałeś i okazało się to żałosne.

Twarz Krzycha po raz drugi podczas naszej przyjacielskiej pogawędki oblewa się krwawym rumieńcem. Do tej pory nie zauważyłam, że tak łatwo się czerwieni.

– Dałem plamę, masz rację.

Macham lekceważąco ręką.

– Co się stało, to się nie odstanie. Wtajemniczenie go nie wchodzi w rachubę.

– To chodźmy na posterunek.

– Chcesz tego? – pytam jeszcze raz.

– Powiedziałem ci już, że się w to wciągnąłem i nie chcę oddawać.

– A więc musimy ciągnąć sami.

Nie dostrzegamy Tadeusza, kiedy stajemy przed Bolkiem.

– Jesteście punktualni – słyszę aksamitny głos.

Odwracam się skołowana.

– Że też ci się chce w to bawić – pryham.

– W co?

– W pojawianie się znikąd.

Wzrusza ramionami.

– Wejdziemy? – wskazuje pub. – Mamy sporo do omówienia.

Nie czeka na odpowiedź, rusza w kierunku budynku. W milczeniu podążamy za nim. Zamawiamy herbatę i sok. Mogłabym uraczyć się piwem, łatwiej byłoby mi przełknąć, cokolwiek mnie tu spotka, ale znieczulenie w tej sytuacji wydaje mi się trochę niebezpieczne. Siadamy przy stoliku w głębi sali. Tadeusz wyjmuje z kieszeni nasze dokumenty, kładzie je przed sobą. Żadne z nas nie wyciąga ręki.

– Sprawdziłem. Rzeczywiście byliście w domu dziecka. Przynajmniej to się zgadza.

– A co się nie zgadza? – Krzychu pyta i jakby od niechcienia podnosi swój dowód.

Robię to samo, również staram się wyglądać na obojętną.

– Naprawdę jesteś bibliotekarką. – Tadeusz patrzy mi prosto w oczy. – Zaskoczyło mnie trochę, że pracujesz w tej samej bibliotece, w której córka Kasi jest kierowniczką.

Byłam na to przygotowana.

– Co w tym dziwnego?

– Chociażby to, że mi o tym nie powiedziałaś.

– Nie pytałeś.

– Ach tak? Wczoraj też się nie zająknęłaś.

– Że niby wczoraj miałam wyrecytować cały życiorys? Spotkałam panią Kasię właśnie dzięki pracy w tej bibliotece.

Tadeusz pociąga łyk herbaty.

– Kiedy w nocy pracowałem nad waszymi tożsamościami, dostałem maila. Dość dziwnego.

Przerywa, trudno oprzeć się wrażeniu, że dla dramatycznego efektu.

– Trzymasz nas w napięciu? – W głosie Krzycha brzmi złość. – Dajesz, koleś.

Parskam śmiechem. Tadeusz przez chwilę patrzy na Krzycha z politowaniem, po czym przenosi wzrok na mnie.

– Osoba, która do mnie napisała, przedstawiła się jako twoja przyjaciółka. Wyraziła obawę o ciebie, pytała, czy czegoś ci nie zrobiłem. Powiedziała, że zna treść każdej naszej rozmowy, zasugerowała, że podejrzewasz mnie o jakąś zbrodnię. Czy możesz mi wyjaśnić, o co chodzi?

Spokojnie – powtarzam w myśli. – To nic.

– Nie jestem pewna. – Mój ton brzmi wręcz przesadnie lekko. – A kto do ciebie napisał?

– Mail przyszedł z adresu Dorota.wakacyjna53@gmail.com.

– To Dorota. Rzeczywiście się przyjaźnimy.

– O jaką zbrodnię chodzi?

– Nie mam pojęcia. Dorota bywa trochę niezrównoważona i ma bujną wyobraźnię. Nie bierz tych słów poważnie.

Nie spuszczam wzroku, wytrzymuję spojrzenie Tadeusza. Wolę nie patrzeć na Krzycha.

– Już wziąłem. Na tyle poważnie, że sprawdziłem, skąd te wiadomości były wysyłane.

Znów zalega cisza. Dajesz, koleś. Tadeusz uśmiecha się drwiąco, jakby słyszał moje myśli.

– Okazało się, że połączenie z internetem zostało wykonane przez modem zakupiony w Gdańsku przez Krzysztofa Pastorskiego. – Na chwilę przenosi wzrok na Krzycha, potem znów patrzy na mnie. – Lokalizacja nie zajęła zbyt

długo. Na obszarze, z którego mogły być wysyłane te maile, stoi jeden budynek. Gdańsk, Głębocka 12. Nic mi to nie mówiło, ale z ciekawości sprawdziłem adres Wakacyjna 53. Jest taki dom na obrzeżach Sopotu. Właścicielką jest Beata Wielosławska.

To musiało nastąpić. Jak mogłam sądzić, że uda nam się zmylić profesjonalistę? Sama przyczyniłam się do zdemaskowania; najpierw podarowałam Dorocie internet, potem przestałam do niej pisać. To ja zasugerowałam adres maila. Tadeusz jako policjant, ma środki, żeby posprawdzać takie rzeczy. Nawet gdyby ta cholerna karta nie musiała być zarejestrowana, prawdopodobnie nic by to nie zmieniło.

– No więc? O co chodzi? Czekam na wyjaśnienia.

Może dałoby się to jeszcze zapłatać, jednak nie jestem pewna, czy zdołałabym wydostać się z tych węzłów. Rzucam spojrzenie na Krzycha; jego twarz jest pozbawiona wyrazu. Najwyraźniej pozostawia wszystko w moich rękach. Nabieram oddechu i wypalam: – Powiemy ci wszystko. Będziemy potrzebować twojej pomocy. Nieoficjalnie. Musisz obiecać, że nic z tego nie przedostanie się do twoich kolegów z policji. Wszystko pozostanie między nami.

– Nie mogę tego obiecać. Sam zdecyduję, czy to są informacje, które wolno zataić.

– Nie wolno ci o tym mówić! – Uderzam pięścią w stół. Krzychu bierze mnie za rękę. W pierwszym odruchu mam ochotę ją wyrwać, ale wysuwam ją delikatnie. Awantura jest ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebujemy. – Jeśli nie obiecasz, niczego się nie dowiesz – oznajmiam beznamiętnie. – Grzeb sobie, zobaczymy, co zdołasz wygrzebać.

To blef, ale nic innego nam nie pozostało.

– Mogę obiecać, że nie złożę raportu, chyba że będzie to absolutnie konieczne.

Nie sądzę, żeby udało mi się wymusić jakąkolwiek inną obietnicę. Rozglądam się wokół; nadal nie ma wielu ludzi, jednak nie zaryzykuję mówienia o tym wszystkim w publicznym lokalu.

– Nie tutaj. Chodźmy do samochodu.



– Mojego – dodaje Krzychu.

Uśmiecham się do niego z wdzięcznością. Będę się pewniej czuła na terenie, gdzie Tadeusz nie jest panem i władcą.

– Dobrze. – Tadeusz wzrusza ramionami.

Krzychu siada na miejscu kierowcy, ja obok, Tadeusz z tyłu. Łatwo by mu było przestrzelić nam głowy. Patrzę na Krzycha.

– Opowiadaj – proszę.

Niewiele się wtrącam.

– Cholera! – Patrzę na Tadeusza w lusterku. Jest bardzo blady, mięśnie twarzy ma napięte. – Ta historia jest tak nieprawdopodobna, że prawie wam wierzę. Chyba nikt nie potrafiłby wymyślić nic podobnego. Z drugiej strony... – Głos zaczyna mu drżeć, ręce się trzęsą. Po raz pierwszy, od kiedy go poznałam, nie panuje nad odruchami. – Kasia nie żyje?

Wydaje mi się, że w oczach dostrzegam łzy. Żałoba? Może tylko strach. Albo jedno i drugie. Nawet jeśli zabił, może po niej płakać.

– Nie żyje – mówię twardo. – Byłeś jej kochankiem?

Kręci głową.

– Nie. Była moją przyjaciółką. Kiedyś... poniosło nas. Raz. Marysia o tym nie wie.

Wyznaje grzech, pewnie dlatego wydaje się szczery. Świetny aktor wie, jak kłamać. Musimy udawać, że wierzymy mu bez zastrzeżeń. To nasza jedyna szansa.

– Połączmy siły. Znajdźmy jej mordercę. Obiecałam to Dorocie.

Nie podobają mi się wzniosłe słowa ani patetyczna nuta w moim głosie. Tadeusz nie odzywa się długo. Patrzy w okno, zapewne mieli wszystko w myślach. Może powinnam się martwić, jaki będzie wynik, ale kompletnie mnie to teraz nie rusza.

– Dobrze – mówi w końcu. – Zrobimy to nieformalnie.

– Słuszna decyzja.

W moim tonie pojawia się nuta protekcjonalizmu. Takie małe, absurdalne odwrócenie ról. Tadeusz uśmiecha się bez cienia ironii.

– Na razie nieformalnie. Jedźcie do domu. Muszę posprawdzać pewne rzeczy.

– W jaki sposób poznałeś Katarzynę? – Pytanie Krzycha pada, kiedy Tadeusz otwiera już drzwi.

Przyglądam się kumpłowi zdziwiona. Nie odpuszcza. To dobrze. Tadeusz wzrusza ramionami.

– Poszedłem do jej gabinetu. Początkowo byłem pacjentem jej współpracownicy, potem... jakoś tak wyszło.

Wymieniamy spojrzenia. Nabieram oddechu, ale widzę, że Krzychu ledwie dostrzegalnie kręci głową. Nie rozumiem, powstrzymuję się jednak przed powiedzeniem czegokolwiek.

– Postanowiłeś go sprawdzić?

Krzychu się nie odezwał, od kiedy ruszyliśmy.

– Jak mówiłaś, nadal jest głównym podejrzanym. Poza tym coś mi w tym nie gra.

– Mnie nie gra mnóstwo rzeczy. – Uśmiecham się bez jadu. – A tobie co konkretnie?

– Ten gabinet.

– Co? Przecież jego wersja zgadza się z tym, co sam odkryłeś. Poznali się w gabinecie.

Krzychu kręci głową, nieprzekonany.

– Zapiszę się do doktor Zawadzkiej – oznajmia. – Powinienem dbać o swój kręgosłup.

# Beata

Wczoraj, kiedy zadzwoniła do prawnika i umówiła się na spotkanie, upoiło ją poczucie zwycięstwa. Zrobiła to. Przestała być bezwolną, automatyczną lalką zaprogramowaną przez matkę. Teraz, wpatrując się w tabliczkę „Henryk Popławski adwokat”, czuła się jak mała dziewczynka, która dobrowolnie idzie naskarżyć na siebie do gabinetu dyrektorki. Dotknęła dzwonek. Gdy się tam znajdzie, nie będzie odwrotu. Opuściła rękę. Wiele granic ostatnio przekroczyła, kolejna nie robi różnicy. W tym wypadku będzie mogła myśleć o sobie nieco lepiej. Miła odmiana. Ponownie podniosła dłoń, nacisnęła guzik. Czekwała, wstrzymując oddech. Rozległ się dźwięk domofonu, pchnęła drzwi, ustąpiły. Szła wyprostowana, pewnym krokiem. Kancelaria Henryka Popławskiego znajdowała się na parterze. Tym razem Beata bez namysłu przycisnęła dzwonek i bezzwłocznie została wpuszczona.

– Dzień dobry – zwróciła się do uśmiechniętej szatynki w recepcji. – Jestem umówiona z panem Henrykiem Popławskim.

– Dzień dobry. – Uśmiech recepcjonistki stał się szerszy. Kobieta wyglądała na około czterdzieści lat, zgrabna, ubrana w stonowane granaty i szarości. Spódnica do kolan, jedwabna bluzka, krótki żakiet. Dobrze nałożony, nierzucający się w oczy makijaż. Włosy kończące się z linią brody. Perfekcyjna fryzura. Pełen profesjonalizm. – Pan mecenas czeka na panią.

Beata przeszła przez ostanie drzwi z poczuciem nierealności. Wykraczała poza sferę teoretyzowania, a miała wrażenie, że gra rolę. Mężczyzna siedzący za biurkiem podniósł się na jej widok. Przywitanie, uśmiechy, uścisk dłoni. To miała obcykane, w tym zawsze czuła się dobrze. Jakaś część niej zauważyła, że adwokat jest interesujący. Siwe skronie, szare szczerze oczy. Nie miał urody amanta filmowego, ale coś, co ciągnęło w jego stronę. Tak, tylko że ona nie przyszła tu dla flirtów ani w celu znalezienia nowego absztyfikanta. Usiadła. Co teraz? Przez chwilę panowała cisza.

– Z jakim problemem pani do mnie przychodzi – odezwał się w końcu Popławski.

Głos wzbudzał zaufanie. Wygląd też. Czy można ufać prawnikom? Jeśli zapłacą im się wystarczająco, można.

– Ja...

Słowa utknęły. To nie teoria, nie rola, którą można odegrać. Nawet nie szkolny gabinet. To coś, w czym nie miała doświadczenia. Musiała obnażyć się psychicznie, pokazać bez upiększeń własne ja. Sama, patrząc na siebie, stosowała różne filtry.

– Moja przyjaciółka ma problem – zaczęła.

Tak było łatwiej. Historia w trzeciej osobie nie brzmiała tak odpychająco. Popławski wysłuchał bez mrugnięcia okiem.

– Rzeczywiście życie pani przyjaciółki bardzo się skomplikowało.

Tę wypowiedź mógłby sobie darować, wiedziała to i bez niego.

– A więc nie widzi pan wyjścia? – spytała sucho.

– Zawsze jest wyjście. Muszę jednak wiedzieć kilka rzeczy, żeby coś zaproponować.

– Tak, jestem przygotowana.

Spojrzał na nią przenikliwie. Jeśli miał jakieś wątpliwości, czy ona i przyjaciółka to ta sama osoba, teraz musiały się ulotnić.

– Czy kiedy znajdzie się ciało matki, pani przyjaciółka będzie utrzymywać, że ona nie wywiozła go do lasu i nie zakopała?

– Nie wiem, czy... – zrobiła przerwę, wzięła głęboki oddech – czy to możliwe.

– Można iść w zaparte – powiedział wolno. – Jeśli jednak znajdą się ślady, że to ona wywiozła ciało, podejrzenie, że popełniła morderstwo, będzie dużo silniejsze.

– Ale to nie ona! – wybuchła.

– Ja wierzę – odpowiedział spokojnie. – Trzeba jednak będzie przekonać sąd.

– Nie znajdą śladów. Samochód umyty został kilkakrotnie, łopata

wyrzucona daleko od domu. Żadnych świadków.

Adwokat pokręcił głową.

– Załóżmy, że rzeczywiście nie pozostawiła śladów. Jak jednak wytłumaczymy przelew dokonany tuż po śmierci?

– Możemy... – Beata ukryła twarz w dłoniach. Zadanie przekraczało jej siły. – Nie wiem.

– Możemy powiedzieć, że matka zadzwoniła, prosząc córkę o tę transakcję. Jest przecież możliwe, że bała się o swoje życie albo z jakiegoś powodu chciała zniknąć, ale dbała o los swojego dziecka.

Dokładnie taką wersję chciała podać na samym początku.

– Właśnie – szepnęła.

– Czy pani przyjaciółka nie ma dostępu do broni?

To pytanie zostało zadane nadspodziewanie twardym tonem. Beata się skuliła.

– Nie.

– Nie miała żadnych kontaktów, choćby przypadkowych, z półświatkiem lub z policją?

– Nie – powtórzyła.

– Będą szukać – ostrzegł adwokat. – Jeśli znajdą cokolwiek, nie odpuszczą. Nie zna nikogo, kto mógł jej ten dostęp umożliwić?

– Nie.

– To dobrze. Jeśli nie wykażą, że miała możliwość, by zdobyć pistolet, nie będą w stanie udowodnić morderstwa.

Nie będzie siedzieć za zamordowanie własnej matki. Co za ulga – pomyślała bez ironii. – Ten człowiek o to zadba.

– A córka? – szepnęła.

Dłuższą chwilę wpatrywał się w nią w milczeniu.

– Córka przyjaciółki? – zapytał w końcu, jakby wcześniej rozważał inne

możliwości.

– Tak. – Tym razem ona mówiła twardo. Płaci, niech adwokacina się wykaże. – Przyjaciółka chciałaby ujawnić jej istnienie.

Chciałaby – powtórzyła w myślach. – Skończyć z wiecznym ukrywaniem, z kłamstwami, z mrokiem złej tajemnicy. Odetchnąć.

– Wcześniej czy później powinna to zrobić.

Nie przyszła, żeby ktoś jej mówił, co powinna. Nie za to płaci.

– Choćby dla własnego komfortu psychicznego – dokończył Popławski.

Nie chciała wdawać się w dyskusje.

– Chodzi o to, żeby nie poszła siedzieć – powiedziała lodowato. – Nie chce zostawiać córki samej.

– To jasne. Będzie wiele okoliczności łagodzących. Chociażby to, że kiedy urodziła, była bardzo młoda, trzymana w szachu przez matkę. Jeśli córka zezna, że była dobrze traktowana, szanse na wyrok w zawieszeniu są całkiem spore.

Córka zezna. Wyrok w zawieszeniu.

– Kiedy...

– Przypuszczam, że nie należy zwlekać zbyt długo.

To naprawdę się działo. Zmusiła się do uśmiechu.

– Teraz?

– Nie sądzę, że to byłby dobry pomysł. Lepiej, żeby najpierw wyjaśniła się sprawa matki przyjaciółki. Trzeba odczekać. Inaczej będzie tego za dużo.

Jeszcze nie teraz. Przełknęła ślinę, usiłując nie myśleć, że uczucie, które ją wypełniło, to ulga.

– A więc poprowadzi pan tę sprawę?

– Tak.

Wstała i wyciągnęła rękę.

– Dziękuję.

– Proszę dzwonić i informować mnie o rozwoju wypadków.

– Będę w kontakcie.

Pożegnała się i skierowała do wyjścia. Otworzyła drzwi i zatrzymała się w progu. Odwróciła się powoli, podeszła do biurka. Adwokat stał, patrząc na nią poważnie. Nie oceniał jej. Dostawał pieniądze, nie miał prawa jej oceniać.

– Pan wie, prawda?

– Słucham?

Oczywiście, że wiedział. Mimo to musiało to wyjść od niej. Była ostatnią szują, ale zmieniała to.

– Nie ma żadnej przyjaciółki. – Skinął lekko głową, ale Beata ciągnęła: – To ja. To chodzi o mnie, moją matkę i moje dziecko.

– Tak, wiem – powiedział łagodnie. – Wszystko będzie dobrze.

Banalne pocieszenie, stosowane tak często przez ludzi, którzy nic innego nie potrafią wymyślić, ale tym razem naprawdę pomagało.

– Pan jest jedyną osobą, która wie. Boję się.

– Pani Beato, wszystko będzie dobrze. Proszę mi zaufać.

Zapewne takim tonem zwracał się do klientów, za każdym razem używając tych samych słów, zmieniając jedynie imiona. Ufała mu.

# Dorota

W końcu przyszedł mail od Oli. Dostałam też wiadomość od tego całego Tadeusza. Dochodzę do wniosku, że jak na osobę, która przez dwadzieścia lat nie miała kontaktu ze światem zewnętrznym, prowadzę całkiem obfitą korespondencję.

– Wydajesz się dzisiaj dziwnie rozkojarzona, Dorotko. Dobrze się czujesz?

Dziwnie rozkojarzona oznacza, że nie zwracam na nią szczególnej uwagi.

– Dobrze, mamusiu.

Wyciągam ramiona. Jest ciepła i moja. Jeśli wszystko wyjdzie na jaw, zapakują ją do więzienia, a mnie do domu opieki. Kurczowo zaciskam ręce na szczupłych plecach.

– Dorotko?

Nie wrywa się, gładzi mnie po włosach. Wybucham głośnym płaczem.

– Kocham cię – powtarzam co chwila.

Rozluźniam uścisk i opadam na poduszkę. Kolejny napad hysterii za mną.

– Kochanie, co ci jest? Powiedz mi, proszę. Myślisz o babci?

Tak prosto zadane pytanie niemal ponownie mnie rozkleja. Do tej pory mama unikała tematu, lawirowała wokół niego.

– Myślę. – Przez chwilę patrzę w jej przejrzyste oczy, po czym wlepiam spojrzenie w sufit. Łatwiej mi bez kontaktu wzrokowego. – Ale babci nigdy nie kochałam tak jak ciebie. Nie chcę cię stracić.

Teraz ja lawiruję, poruszam się w bezpiecznej przestrzeni półprawdy. Mama kładzie mi rękę na czole, jakby badała temperaturę. Przymykam oczy.

– Nie stracisz mnie.

Brzmi jak przyrzeczenie. Dotrzymałaby go, gdyby to zależało tylko od



niej.

– A jeśli... – Nieznośny ciężar na piersiach utrudnia oddychanie. Opanowuję się w ostatniej chwili. – A jeśli wszystko wyjdzie na jaw?

– Sądzisz, że o tym nie myślałam? Może pójde do więzienia, może nie. Jest wiele okoliczności łagodzących. – Nawet jeśli pójde... – Urywa, przełyka ślinę. – Na pewno nie na długo, stać mnie teraz na dobrego adwokata. – Głos twardnieje jej nieoczekiwanie. – Stać mnie... nas też będzie na dobrą opiekunkę dla ciebie. A później już zawsze będziemy razem.

– Nie chcę, żebyś szła do więzienia.

– Ja też nie chcę, skarbie. To najczarniejszy scenariusz. – Gładzi mnie po ręce. – Podjęłam wszelkie środki ostrożności. Chcesz, żebym została dzisiaj na noc?

Tłumię pierwszy impuls.

– Dam sobie radę, mam. Przyjdiesz jutro.

– Na pewno?

– Tak. Na pewno przyjdiesz – mówię, chociaż doskonale wiem, że pyta o coś innego.

Jemy kolację, nie poruszając już trudnych tematów. Dobrze, że ta rozmowa się odbyła. Mam wrażenie, że mama pokazała mi część duszy do tej pory ukrytej nawet przede mną. Duszę osoby dojrzałej, odpowiedzialnej.

Po jej wyjściu natychmiast włączam komputer. Wystukuję kilka słów do Oli. Potwierdzam, że sprawy przybrały dobry obrót, a policjant z pewnością będzie przydatny w naszym śledztwie. Chyba że jest mordercą – myślę. Zabije ich i nie zostawi śladów. Kasuję poprzednie zdania.

*Wycofajcie się z tego. Naraziliście się już wystarczająco. Dziękuję, że próbowaliście. To robi się zbyt niebezpieczne.*

Wcześniej miałam zamiar napisać też do Tadeusza, ale rezygnuję. Naprawdę nadeszła pora, żeby porzucić tę grę. Przepraszam, babciu.

# Ola

Aha, jasne. Wycofajcie się z tego. Ciekawe, jak ona to sobie wyobraża.

*To miłe, że się troszczysz.*

Czy powinnam katować tę biedną dziewczynę ironią? Wiem, że ją wyczuje. No i co, zrobi jej się przykro?

*Nie wycofamy się teraz, tkwimy zbyt głęboko. Tadeusz zna naszą tożsamość oraz prawie każdy szczegół sprawy. Chciałabym napisać, że będzie dobrze, ale nie będę pocieszać Cię na siłę. Nie wiem, co będzie. Mogę Cię zapewnić, że ja również się boję.*

– Umówiłem się z Zawadzką. – Krzychu staję w otwartych drzwiach. – Zgodziła się przyjąć mnie za pół godziny, akurat wypadł jej pacjent.

Wysłałam maila, zamykam klawisz laptopa i wstaję.

– Pojadę z tobą. Dobra żona powinna wspierać męża w ciężkich chwilach.

Przytulam się do niego, niby żartobliwie, ale kiedy mnie obejmuje, rozklejam się jak skretyniała małolata. Gładzi mnie po włosach.

– No, już, już – słyszę jego głos. – Moja wada kręgosłupa nie jest śmiertelna, wyjdę z tego.

Chlipię jeszcze chwilę, po czym zaczynam się śmiać. Odsuwam się i patrzę na jego komicznie poważną minę.

– Tak bardzo się cieszysz, że przeżyję? – Podaje mi chusteczkę. – Trochę ci leci z nosa.

Chichoczę jak głupia, nie mogę przestać.

– No i skoro masz ze mną jechać, popraw trochę makijaż, bo się rozmazałaś.

Wciąż zanosząc się śmiechem, idę do łazienki. „Trochę” jest

eufemizmem, na policzkach mam grube czarne ślady od tuszu. Czuję się lekka, jakby ktoś uwolnił mnie od niewidzialnego ciężaru. Do tej pory tkwiła we mnie wątpliwość. Dopiero teraz całkowicie pozbyłam się podejrzania, że mordercą może być Krzychu. Nie wiem, co to sprawiło, nieważne. Mam przyjaciela, który jest blisko i choćbym narobiła w gacie ze strachu, potrafię to znieść. Uśmiecham się do twarzy w lustrze, pokrytej świeżym makijażem, i wychodzę z łazienki.

Recepcjonistka wita nas serdecznie. Byłabym niesprawiedliwa, mówiąc, że ta serdeczność odnosi się tylko do Krzychu. Jestem jednak pewna, że błysk w oczach nie jest spowodowany moim widokiem. Krzychu mówi coś, zapewne dowcipnie i elokwentnie, nie słucham, bardziej zajmuje mnie reakcja – smukłe kobiece palce poprawiające włosy, rumieniec na policzkach, rozchylone usta. To niesamowite, jak niektóre baby są głupie. Poprzedni pacjent opuszcza gabinet, Krzychu wchodzi, zostajemy same.

– Ma pani świetnego męża – zwraca się do mnie recepcjonistka. Mogłaby się bardziej postarać, srożę się w duchu, ale przywołuję na usta uśmiech. – Pasujecie do siebie. On silny i przystojny, pani subtelna i śliczna. Świetna para.

W tym momencie drzwi się otwierają i do poczekalni wchodzi mężczyzna w średnim wieku. Rozpoznaję go natychmiast.

– Dzień dobry – mówi z uśmiechem.

Nie jest tak przystojny jak Tadeusz, ale ma ujmującą powierzchowność. Dość wysoki, szczupły, ciemne włosy poprządkane srebrnymi nitkami, piwne inteligentne oczy. Zapominam, że przed chwilą byłam zła.

– To mój brat Robert – przedstawia recepcjonistka. – Pani Ola czeka na męża.

Nie mówię, że pamiętam. Wyciągam dłoń. Mężczyzna ją ujmuje i gestem przedwojennego dżentelmena pochyla się, a następnie składa na niej pocałunek.

– Robert Warecki. Niezwykle miło mi panią poznać.

Zazwyczaj takie gadki mnie irytują, cmoki w rączkę wydają się żałosne, ale teraz wszystko jest na miejscu. Nie czuję przesady, nie dostrzegam żadnej

falszywej nuty. To nie Tadeusz ani Krzychu, którzy na wszystkie babki rzucają coś w rodzaju czaru erotycznego.

– Mnie również jest bardzo miło.

Mam ochotę porozmawiać z nim o czymś, o czymkolwiek. Wydaje mi się, że oderwę się na chwilę od mroku, który mnie otacza. Głupie. Chcę się ogrzać promieniującym ciepłem. Jeszcze bardziej głupie. Nie miałam ojca, ale to nie znaczy, że każdy starszy mężczyzna ma robić za substytut. Drzwi od gabinetu się otwierają.

– Chodźmy, Ola.

Krzychu ujmuje mnie za ramię.

– Do widzenia – mówię szybko.

Czuję, jakbym coś traciła.

Krzychu odzywa się dopiero w samochodzie.

– Goguś! – rzuca.

– Jaki goguś? – odpowiadam zirytowana.

– No ten, na którego teraz patrzyłaś, jakby to był co najmniej George Clooney. Brat recepcjonistki.

– Odwal się – odparowuję.

Wkłada kluczyk do stacyjki. Widzę, że jest zły.

– Wiem, jak się nazywa.

– Dawaj.

– Robert Warecki.

Staram się brzmieć, jakbym smakowała imię i nazwisko. Złość Krzycha sprawia mi radość.

– Uważaj, Ola. Ten facet nie wzbudza mojego zaufania.

– A moje wzbudza – mruczę.

– Wszyscy są podejrzani. Skąd wiesz, że to nie on jest mordercą?

– No i co, zabije mnie na oczach własnej siostry? Twoja troska mnie wzrusza.

Krzychu rusza. Jest urażony. Decyduję, że już wystarczy.

– A jak poszło z doktor Zawadzką?

Nabiera oddechu i odpowiada zupełnie normalnie.

– Wydaje się bardzo zrównowazona. Zeszliśmy na tematy urządzania kuchni. Zarekomendowałem pismo „Twój Dom”, stwierdziła, że nigdy o nim nie słyszała, ale zacznie kupować. Powiedziałem, że pracuje w nim moja znajoma, wymieniłem nazwisko, dodałem, że wydaje mi się, że była kiedyś ich pacjentką. Otworzyła szeroko oczy, zdumiona. Wyglądała jak ucieleśnienie niewinności.

– Zbyt niewinnie?

– Nie wiem. – Krzychu ledwie dostrzegalnie wzrusza ramionami.

Żadne z nas nie jest ekspertem od interpretowania ludzkich zachowań. Zastanawiam się, czy policjant może spełniać również rolę psychologa.

– Nie powiedzieliśmy Tadeuszowi o tym wątku – przypominam.

– Nie powiedzieliśmy.

– A jeśli to ważne?

– Niech sam do tego dojdzie. Coś daje nam przewagę.

Nie sądzę, żeby Krzychu wiedział, jak tę przewagę wykorzystać, z drugiej strony rzeczywiście nie powinniśmy odsłaniać się do końca. Jeśli Tadeusz lub jego żona ma coś wspólnego z Amelią Romanowską czy też z osobą, która się za nią podawała, lepiej ukryć, że o tym wiemy.

– Nie mówmy – zgadzam się. – A co ci nie gra w gabinecie?

– Sam nie wiem. Myślałem, że Zawadzka.

# Dorota

Postanowiłam nie pogrążyć się w wyrzutach sumienia. Muszę wierzyć, że wszystko skończy się dobrze, inaczej oszaleję. Napisałam do Tadeusza. Streściłam historię swojego życia „przed”, po czym gładko przeszłam do włamania, odnalezienia ciała i ukrycia go „gdzieś w lesie”. Kilka ostatnich dni obfituje w więcej zdarzeń niż poprzednie dwadzieścia lat.

*Mama się boi. Nie ze swojej woli została wciągnięta w machinę kłamstwa. Ufam Panu. Proszę znaleźć mordercę i zadbać, żebyśmy nie zostały rozdzielone. Mama nie może iść do więzienia. To nawet ważniejsze niż wyjaśnienie zbrodni i ukaranie winowajcy.*

Melodramatyczne, ale płakałam, pisząc i wysyłając. Długo potem nie mogłam się uspokoić. Tadeusz odpisał, że rozumie i zrobi, co w jego mocy, żeby moje życie nie zachwiało się w posadach. To rozrzewniło mnie jeszcze bardziej. Świat odwrócił się do góry nogami w chwili morderstwa, podstawowe pojęcia się rozmazały. W zamian zyskałam życzliwych ludzi po tamtej stronie. Odpisałam: „Dziękuję”. Po prostu.

Uspokoiliłam się. Rozmawiam z mamą o nowej książce Nesbø. Trudno powiedzieć, która z nas jest większą fanką. Ciekawe, że nie znudziły nam się zbrodnie na papierze, chociaż nasze życie zamieniło się w kryminał.

– My same jesteśmy teraz jak bohaterki mrocznego kryminału – mówi mama ze smutnym uśmiechem.

To niesamowite, że pomyślała o tym samym. Jeszcze bardziej niesamowite, że takie zdanie przeszło jej przez usta. A już zupełnie niewiarygodne, że wygłosiła je tak spokojnie, z dystansem.

– To samo pomyślałam, ale bałam się powiedzieć.

Mama kładzie dłoń na mojej.

– Przecież jesteśmy już ze sobą zupełnie szczerze, prawda? Nie możemy mieć tajemnic nawet w myślach. – Odruchowo się kurczę, mama to zauważa.

– Co ci jest, kochanie?

Nabieram oddechu.

– Muszę... muszę ci coś wyznać.

Nie chcę jej oszukiwać. Kłamstwo wydaje się teraz gorsze niż kilka dni temu.

– Nie mówiłam ci... bardzo ważnych rzeczy.

– Jakich rzeczy?

Muszę zacząć od początku.

– No więc... kiedy było to włamanie....

Przerywa mi dźwięk jej komórki i mama idzie do kuchni odebrać. Ogarniają mnie wątpliwości. Czy mam prawo jej powiedzieć? Obciążę w ten sposób nie tylko siebie, ale i Olę, która pierwsza uchyliła mi drzwi do wolności. Mama do tej pory nie wpadła na pomysł, że mogę mieć coś wspólnego z jej ulubienicą. Najbardziej troszczy się o własny tyłek; temu przecież służyło ukrycie ciała i przeniesienie mnie do innego mieszkania. Może ładnie gadać o wzajemnym zaufaniu i szczerości, co ją to kosztuje? Wraca. Jestem niesprawiedliwa, myślę, patrząc na słodką twarz. Kocha mnie, jak potrafi, otacza opieką, jak nauczyła ją babcia. Lepiej, babcia nie okazała czułości, przynajmniej w stosunku do mnie.

– Kto dzwonił, mamusiu? – pytam, bo widzę w jej oczach łzy.

Macha ręką.

– Znów on. Nie potrafi odpuścić.

– Chciałabyś, żebyście byli razem?

– W innej rzeczywistości, gdzie on nie miałby żony i dziecka, a ja...

Zagalopowała się. Córka potworek pozostaje tematem tabu.

– A ty nie miałabyś córki, o której nie możesz powiedzieć – kończę z goryczą.

Pociera palcami skronie.

– Dorotko...

– No co?

Chciałabym, żeby mój ton poraził szorstkością, ale brzmi po prostu płaczliwie.

– Dobrze wiesz, że to nie tak. Nie zamieniłabym cię na żadnego mężczyznę. Nie będę ukrywać, czasem się buntuję, nie potrafię zrozumieć, dlaczego życie nie ułożyło mi się jak innym, czemu zostałam zamknięta w klatce, ale ty... ciebie kocham najbardziej.

Szczerłość w głosie, powaga w oczach, opanowanie pomimo smutku – wszystko jest spójne z nowym obrazem mamy. To nie tylko piękna gadka.

– Wierzę ci – mówię i mięśnie w jej twarzy się rozluźniają. Nie mogę się powstrzymać i dodaję: – Wiesz jednak, że ja też jestem w klatce? Dużo bardziej niż ty?

Mama przełyka ślinę, ręce zaczynają jej minimalnie drżeć. Oczy pozostają poważne, smutne i szczerze.

– Wiem, kochanie. Bardzo wobec ciebie zawiniłam. Kiedy skończy się sprawa z babcią, zrobię wszystko, żeby to zmienić.

– Jak?

– Zlecę to dobremu adwokata, który poradzi, w jaki sposób ujawnić twoje istnienie. Znają różne sztuczki.

– Dlaczego nie teraz?

– Byłoby tego zbyt dużo naraz. Śmierć babci i dorosłe dziecko. Sądmógłby tego nie przełknąć. Co innego później.

– Jak bardzo później?

Po raz pierwszy w ciągu tej rozmowy mama odwraca wzrok.

– Po prostu później.

Znów zaczyna kręcić. Mam ochotę wrzeszczeć, bić ją pięściami i nieważne, że nie miałabym szans.

– Dlaczego uważasz, że później będzie lepiej? – pytam nienaturalnie



wysokim tonem, ale udaje mi się zachować poprzednią głośność.

Nadal na mnie nie patrzy.

– Dlaczego?! – Tym razem jednak krzyczę. Koniec cackania się.

Mama wreszcie zwraca ku mnie wzrok; ma oczy przestraszonej dziewczynki albo raczej ściganego zwierzątka. Oto, co zostało z dojrzałej kobiety. Ogarnia mnie coś na kształt litości, a jednocześnie robię się coraz bardziej wściekła.

– Byłam już u adwokata.

Zdumienie wypiera wszelkie inne uczucia. Po chwili uświadamiam sobie, że wgapiam się w nią z otwartymi ustami. Jak sroka w gnat. To powiedzenie babci.

– Co? – wykrztuszam z trudem.

– Byłam u adwokata – powtarza mama. Opanowała się i tylko żyły pulsujące na skroniach zdradzają zdenerwowanie. – To on poradził mi, żeby nie mieszać zniknięcia babci z twoim ujawnieniem.

Uderzam pięścią w stolik, na twarzy mamy nie zachodzi żadna zmiana.

– I ty mówisz, że nie mamy przed sobą tajemnic?! A ten adwokat to co?

– Przecież właśnie ci o nim mówię.

Żyły przestały pulsować, mama się rozluźniła, wydaje się nawet nieco rozbawiona. Kręcę głową. Nie mam pojęcia, co o tym sądzić. Wyciągam rękę, dotykam jej twarzy. Całuje czubki moich palców.

– A ty co chciałaś mi powiedzieć?

Wyrzuty sumienia mieszają się z pretensjami i paniką. Normalna.

– Ja? – Rozpaczliwie próbuję zyskać na czasie.

– Wspomniałaś coś o włamaniu – przypomina.

I pomyśleć, że przed chwilą burzyłam się przeciw jej kręactwom.

– No tak. – Robię przerwę po każdym wyrazie. – Kiedy było to włamanie, bardzo się przeraziłam.

I kto tu mota, kto kręci?

– Przykro mi. Tutaj niemal spotkało cię to samo. Zdaję sobie sprawę, jakie to traumatyczne przeżycie.

Nie dodaje, że to jej wina, ale słyszę nutę samooskarżenia.

– Nie o to chodzi. Wtedy przez chwilę chciałam krzyknąć, żeby do mnie przyszedli, miałam ochotę opowiedzieć im, kim jestem, błagać, żeby mi pomogli.

Nawet w tym ją oszukuję. Wcale nie miałam takiej ochoty. Wtedy jeszcze lojalność w stosunku do mamy była podstawą.

– Żeby ci pomogli.

W jej głosie brzmi gorzycz.

– Tak. Wybacz mi. Później pomyślałam o tobie i o tym, jak bardzo się kochamy. W ten sposób nie wolno zmieniać niczego. I wcale nie chodzi o to, że to bandziory. Chciałam zmiany, chcę jej nadal, ale nie w ten sposób.

No i proszę, uczyniłam z siebie bohaterska męczennicę. Usta mamy drżą.

– Zrobię wszystko, żeby to zmienić. Obiecuję. Nie pytam już kiedy. Hamuję napływające łzy.

– Kocham cię, mamó – mówię przez ściśnięte gardło.

Przynajmniej jedno prawdziwe stwierdzenie.

– Jesteś lepsza niż ja.

Jestem podła, mamó, ale nie powiem ci tego teraz.

# Ola

– Zadzwońm do Anety... wiesz, do tej mojej znajomej pielęgniarki.

Podnoszę głowę.

– To ta z Solca?

– Tak. Umówiłem się z nią na wieczór. Chcę z nią jeszcze pogadać. Może mieć dodatkowe informacje.

Nie może wytrzymać kilku dni bez kobiety. Irytuje mnie jego wymówka. Po co ściemnia?

– Powinam być zazdrosna? – pytam chłodno. Zbyt chłodno.

– Fajnie by było – mruży Krzychu.

– Nic z tego.

Milczymy. Odeszła mi ochota na zabawę w stare małżeństwo.

– Może Tadeusz umiałby przywrócić usunięte maile – przerywa ciszę Krzychu.

– Może. Pogadam z nim.

Rozglądam się za komórką.

– Nie umawiaj się z nim beze mnie.

– Sądzisz, że gdyby chciał mnie rozwalić, nie zrobiłby tego tak czy inaczej?

Krzychu patrzy na mnie poważnie.

– Nie umawiaj się z nim beze mnie – powtarza.

Uparty jest. I tak nie mam ochoty na spotkania z Tadeuszem bez świadków.

– Dobra. Na razie pogadam przez telefon.

Tadeusz nie odbiera. Postanawiam napisać do Doroty.

Kiedy Tadeusz oddzwania, Krzycha nie ma.

– Dzwoniłaś.

– Tak. Znasz się na informatyce?

– Trochę.

– Na tyle, żeby odtworzyć usunięte maile?

– To zależy, jak zostały usunięte. Mogę wpaść i spróbować.

– Nie wpuszczę cię, dopóki jestem sama – oznajmiam.

Tadeusz wzdycha.

– Dobrze, daj znać, kiedy nie będziesz sama.

Uśmiecham się, sama nie wiem dlaczego.

– Nie ma sprawy.

– Na razie, Oleńko.

Lubię brzmienie jego głosu, lubię, kiedy nazywa mnie Oleńką. Powraca idiotyczna tęsknota za idealnym ojcem. Z największą ostrożnością odkładam komórkę. Boję się gwałtownych ruchów, jakby groziły rozsypaniem się. Zaglądam do poczty. Dorota odpisała.

*Dzięki za informacje. Wydaje się, że jest tego dużo, ale w gruncie rzeczy nadal nic nie wiemy, prawda? To frustrujące. Oczywiście, że nie będę omawiać z Tadeuszem wątku „Twojego Domu”. Sądziś, że kobieta, która podawała się za dziennikarkę, mogła być jego żoną? Tkwi we mnie głębokie przekonanie, że ta kobieta ma związek z morderstwem.*

Wychodzę na balkon, nie zakładając kurtki. Pewnie jest kilka stopni mrozu, ale potrzebuję rześkiego powietrza. Dzieci bawią się na podwórku, śmiejąc się i pokrzykując. Jakiś chłopiec pokazuje dziewczynce coś nade mną. Na chwilę jej oczy spotykają się z moimi. Nie wydaje się zainteresowana, jednak cofam się, jakby zobaczył mnie główny świadek oskarżenia. Bałam się o różne rzeczy, nawet o życie, nie pomyślałam tylko, że mogę trafić do pierdła za morderstwo. Wszystkie tropy prowadzą do mnie.

Pozostawiliśmy ślady DNA, nie mówiąc już o odciskach palców, zarówno tutaj, jak i w domu Beaty. Wcale nie dbaliśmy o anonimowość. Sąsiedzi Katarzyny nas widzieli, ja byłam nawet na pogawędce u miłej staruszki. Nadal zamieniamy kilka słów, kiedy się spotkamy. Nie podejrzewam jej o daleko posuniętą demencję, z pewnością mnie rozpozna. Dużo łatwiej mnie znaleźć niż Krzycha, to ja mam powiązania z Beatą, a mój wygląd jest bardziej charakterystyczny. Ciekawe, jak dam radę odsiedzieć za kogoś wyrok. W bidulu miałam obrońcę, ale pan Michał i tak zrobił swoje. Wątpię, żeby w więzieniu ktokolwiek stawał po mojej stronie. Mój chłopak z domu dziecka najprawdopodobniej będzie w męskim kiciu. Wiem, że by chciał, ale nie da rady działać na odległość.

Wygrzebuję z torby plastikową bransoletkę z kolorowymi koralikami i wsuwam na rękę. Dostałam ją od Krzycha w bidulu, tuż po tym, kiedy zgodziłam się zostać jego dziewczyną. Wszędzie wożę ją ze sobą, chociaż rzadko nakładam.

Klucz przekręca się w zamku. Drzwi się nie otworzą. Zamknęłam na łańcuch. Umówiony sygnał dzwonka. Na wszelki wypadek sprawdzam przez wizjer. Krzychu.

– Co ci jest? – pyta od progu.

Popłakałam się, wyobrażając sobie rozmaite więzienne upokorzenia. Tusz znów niewodoodporny, więc nie miałabym szansy w konkursie na najładniejszą buzię.

– Nic. Zaraz się umyję.

Kiedy wychodzę z łazienki, czeka na mnie kubek z gorącą herbatą. Siadam i ostrożnie pociągam łyk. Przez moment oczy Krzycha zatrzymują się na nadgarstku ozdobionym plastikową bransoletką. Chowam rękę pod stół, drugą poprawiam włosy. Zachowuję się jak durna panienka.

– No więc? – pytam ostro, żeby zatrzeć wrażenie.

– Najpierw ty. Dlaczego płakałaś? Postanowił jednak mnie przepytać.

– Pomyślałam sobie, że zostanę aresztowana za morderstwo.

– Za morderstwo? Nie wiem o czymś? Załatwiłaś kogoś czy dopiero

masz zamiar?

Mimo woli wybucham śmiechem, za chwilę jednak poważnieję i opowiadam, do jakich wniosków doszłam.

– Oleńko. – Lubię też, kiedy Krzychu nazywa mnie Oleńką. – Przecież wiesz, że istnieje domniemanie niewinności. Nie mogą skazać cię za coś, czego ci nie udowodnią.

– Szczerze wątpię w prawidłowe działanie naszego systemu sprawiedliwości.

– Ho, ho! – Ton Krzycha zmienia się na przesadnie teatralny. – Jesteś z prezydentem czy z partią rządzącą?

Rzucam w Krzycha papierowym pudełkiem z herbatą ekspresową. Łapie je w locie.

– Ola, zrozum, nic na nas nie mają. – Podoba mi się, że podkreśla słowo „nas”, nie zostawia mnie w wirtualnym więzieniu samej. – Nic, co jest związane ze śmiercią. Dopóki nie ma ciała, mogą nawet nie podejrzewać morderstwa. Zniknięcie Wielosławskiej zostanie uznane za zaginięcie i w tym kierunku będzie szło śledztwo. Poza tym mamy jednego stróża prawa po swojej stronie.

– Jesteś pewien? – wtrącam. – Nie chciałeś mu nawet o wszystkim opowiadać.

– Nie jestem pewien niczego ani nikogo oprócz ciebie i siebie. – Czuję przyjemną falę ciepła. – Nawet jeśli jest winien, nie będzie próbował nas oskarżać, to mogłoby być niebezpieczne dla niego.

Najwyżej zlikwidować – myślę bez strachu.

– To ta bransoletka?

W tej chwili zdaję sobie sprawę, że bawię się koralikami. W oczach Krzycha przez moment dostrzegam nieuchwytny blask albo raczej wierzę w to, co chciałabym widzieć. Nieraz wmawiam sobie, że jest zakochany, bo tak mi lepiej, łatwiej. Gdyby naprawdę był, nie wiem, co bym zrobiła. Sama nie będę już zakochana. W nikim.

– Tak. Zawieruszyła mi się w torbie – mówię od niechcienia. Sięgam po

komórkę. – Zadzwońię do naszego policjanta.

Wcale nie chcę już pytać o laskę z Solca.

Tadeusz przyjeżdża niemal natychmiast. Gdy grzebie w komputerze, zostawiamy go samego, idziemy do kuchni i wlewamy w siebie kolejne herbaty. Po kilku godzinach pojawia się ze zmarszczonym czołem.

– Jeśli były jakieś maile, zostały usunięte na tyle trwale, że nie jestem w stanie ich odtworzyć.

Nie wiem, czy powinnam wierzyć, jest mi to niemal obojętne.

– Zabiorę komputer i skorzystam z pomocy informatyka.

Może jemu się uda.

– Nie – mówi Krzychu. – Komputer zostaje tutaj.

Wychodzę. Nie wiem, co jeszcze roztrząsają. Na razie mam dosyć.

Przed pójściem spać chowam bransoletkę na dno torby.

Budzę się w nocy i piszę długiego maila do Doroty.

# Dorota

Budzę się z gwałtownym biciem serca. Druga trzydzieści dwie, dwadzieścia trzy sekundy. Zapalam lampkę nocną, sięgam po komputer. Jest mail od Oli wysłany w momencie, kiedy spoglądałam na zegarek. Z sekundami nie dojdę, ale godzina i minuty się zgadzają. Żałuję, że nie mogę opowiedzieć mamie. Drwi z telepatii i wszelkich niecodziennych zjawisk. Z drugiej strony, kiedy głupkowaty syn właścicielki chciał się do mnie włamać, powiedziała „poczułam, że mnie potrzebujesz” czy jakoś tak. Porozumienie na odległość tylko między nami i to tylko wtedy, gdy jej pasuje. Ciekawe, jak by wyjaśniła czas wysłania maila. Zbiegiem okoliczności zapewne.

Przypuszczalnie wyjaśnienie byłoby strzałem w dziesiątkę. Wiadomość nie wprowadza nic nowego. Wiele nieszczęścia jest na zewnątrz, ludzie cierpią, chorują i kłamią. Chciałabym tam wyjść, nawet jeśli oznaczałoby to całkowite zanurzenie w bagnie. Ogarnia mnie uczucie duszności podobne do doświadczenia w zamkniętym samochodzie. Zaczynam się trząść, palce drętwieją, obraz przed oczyma się rozmazuje. Spokojnie – w głowie odzywa się głos do złudzenia przypominający mamę. Całą wolę wkładam w równomierne oddychanie i atak paniki mija. Mama obiecała mi wolność w bliżej nieokreślonej przyszłości. Chwytam się tej obietnicy.

Przyszła nowa wiadomość. Od Tadeusza, podejrzanego i prowadzącego śledztwo w jednej osobie.

*Jutro przyjeżdżam do Sopotu. Chcę porozmawiać z Twoją mamą, więc wpadnę do biblioteki. Nie bój się, będę nieoficjalnie, nie wspomnę o faktach, o których nie powinienem wiedzieć. Jeśli zamierzam rzetelnie zbadać tę sprawę, muszę taką rozmowę przeprowadzić. Jestem to winien Kasi. Tobie też. Obiecałem Ci prawdę.*

Jak ładnie to brzmi. Straciłam babcię, zyskałam sprzymierzeńców, którzy rozwiążą zagadkę jej morderstwa. Przyjaciół. Równie dobrze to wszystko może być fałszem. Otaczają mnie siecią kłamstw, których nie jestem w stanie wykryć. Otrząsam się i piszę do Oli. Może nie wie, że Tadeusz postanowił



złożyć wizytę mojej mamie. To z Olą zawarłam pierwszy sojusz i tego będę się trzymać. Poza tym mam nadzieję, że Ola nie podała mu numeru mojego mieszkania. Kto wie, może miałby ochotę zrobić mi krzywdę?

# Ola

To ciekawe. Tadeusz postanowił odwiedzić Sopot, nic nam o tym nie mówiąc. Dorocie powiedział prawdę? Piszę do niej krótkiego maila, zapewniam, że nasz policjant nie zna jej dokładnego adresu, po czym dzwonię do Marii.

– Czuję się trochę samotna. Mogłabym do was wpaść?

– To dziwne – odpowiada. – Właśnie miałam do ciebie dzwonić. Telepatia! – Śmieje się nerwowo.

– Rzeczywiście niesamowite – mruczę. – Mogę wpaść?

– Tadeusz wyjechał dziś skoro świt. Służbowo. – Wzdycha głęboko. – Nawet na urlopie nie dają mu spokoju. Jeśli nie znudzi cię towarzystwo starszej pani, zapraszam. Ja też czuję się trochę samotna. I... nie uwierzysz... ale właśnie w tym celu chciałam do ciebie zadzwonić... żebyś wpadła.

– Nie ma w tobie nic ze starszej pani. – Kiedy nauczyłam się mówić rzeczy, które ludzie chcą usłyszeć? – O której mogę przyjść?

– Nawet zaraz.

Krzychu jeszcze śpi. Nie będę go budzić. Nie potrzebuję asysty czy ochrony. Udaję się na spotkanie z delikatną kobietą, z pewnością fizycznie dużo słabszą ode mnie. Istnieje wprawdzie możliwość, że jest niebezpiecznym przestępcą, ale i tak się nie boję. Odegram rolę zmartwychwstałej córeczki i owinę ją sobie wokół palca.

*Nie chciałam Cię budzić. Tadeusz wyjechał do Sopotu porozmawiać z Beatą. Poszłam do Marii, utnę sobie z nią pogawędkę. W razie czego możesz dzwonić czy pisać SMS-y.*

Zostawiam kartkę na stole w kuchni.

Maria wita mnie wielkim uśmiechem i pysznym ciastem z truskawkami. W innej rzeczywistości ogrzałabym się w domowym ciepłku. Co tam w

innej rzeczywistości, tu i teraz robi mi się dobrze i bezpiecznie.

– Znam was tak krótko, a chciałabym, żebyście byli moimi rodzicami.

Trochę żałuję, że to powiedziałam.

– Wiesz, że ja też, Oleńko. Moja córka... miała na imię Ola.

Gówno prawda, nie było żadnej córki. Jeśli mam kontrolować jej szaleństwo, muszę trzymać na wodzy własne emocje. Z drugiej strony aktor powinien wczuć się w rolę. Im bardziej, tym lepiej. Dla mnie to łatwe.

– Nie powiedziałam ci wczoraj całej prawdy – szepczę.

– Oleńko.

Kolejna osoba, której pozwalam się tak nazywać.

– Tata nie zdradzał mamy. Wcale nie miałam taty.

Opowiadam o poszarpanym dzieciństwie, jak na spowiedzi. Do tej pory tylko Dorota wiedziała o fragmentach. Teraz słowa wypływają, jakby ktoś odkręcił kran.

– Biedactwo, już dobrze, już będzie dobrze.

Przychodzi SMS, przywraca mnie do rzeczywistości. To tylko rola, którą odgrywam, a prawdziwa historia pomogła mi być w niej dobrą. Uwalniam się z objęć Marii. Schizofreniczki, przypominam sobie. Czytam.

„Wszystko w porządku?” Od Krzycha, naturalnie. „Tak”. Spoglądam na zegarek. Minęła jedenasta. „Już wstałeś?”

„Wstałem, wstałem. Trzeba było mnie obudzić”.

Zerkam na Marię, nastawia wodę. Kładę komórkę na stole.

– Napij się herbaty, kochanie. – Stawia przede mną kubek z parującym napojem.

Piję, nie zważając, że parzę przełyk.

– Rozkleiłam się – mówię przepaszająco.

Maria kręci głową.

– Czasem potrzeba. Jesteśmy przyjaciółkami, prawda?

Akurat.

– Oczywiście. A dokąd pojechał Tadeusz?

– Do Trójmiasta. Chyba coś ważnego, skoro ściągają stołecznego glinę, i to na urlopie.

– A co to za sprawa?

Wzrusza ramionami.

– Tajemnica służbowa.

Ziewam szeroko. Zdecydowanie za mało spałam.

– Nic ci nie powiedział?

– Nie rozmawiamy o jego pracy. Wolę nie wiedzieć.

Zupełnie nagle zrobiłam się tak okropnie zmęczona, że marzę jedynie o pozycji horyzontalnej. Ostatkiem sił walczę z opadającymi powiekami.

– Muszę...

Jestem zbyt słaba, żeby dokończyć zdanie. Powinnam wstać i wyjść. Głowa ciąży, opieram ją na stole. Czułe palce Marii wsuwają się w moje włosy.

– Oleńka, moja Oleńka. Tak długo byliśmy rozdzielone. Teraz to się skończyło.

Cholera jasna. Nie mam siły, żeby zareagować. Słyszę sygnał mojej komórki. To wybawienie. To Krzychu. Wystarczy odebrać, powiedzieć, żeby po mnie przyjechał. Odpływam.

# Dorota

Cały dzień się denerwuję. Co wyniknie ze spotkania mamy z policjantem? Czy Tadeusz dotrzyma obietnicy? Co on właściwie mi obiecywał? Porozmawia z mamą i zrobi wszystko, żeby moje życie nie wywróciło się do góry nogami. Nie wiem, co to znaczy. Nawet jeśli rzeczywiście będzie się starał, w każdej chwili może zwyciężyć w nim stary glina. Weźmie mamę w krzyżowy ogień pytań, doprowadzi do jej załamania, odkryje grób babci i wpakuje mamę do więzienia. O pieniądzach, zapobiegliwie przelanych na nasze konto tuż po morderstwie, z pewnością już wie. A może będzie chciał mamę zlikwidować? Bezwzględny morderca zabił matkę, a teraz dobierze się do córki. Mojego adresu na razie nie ma. Dziewiętnasta zero dwie, trzynaście sekund. Mamy jeszcze nie ma. Może pojechali do lasu, pokazała mu dziurę, gdzie zakopała babcię? Może zabrał mamę na posterunek w Warszawie? Może przesłuchuje ją gościnnie w którejś z komend Trójmiasta? Może już ją zamordował? Drzwi się otwierają.

– Mamo! – krzyczę.

Wbiega do pokoju i mocno mnie przytula.

– Co się stało?

– Martwiłam się o ciebie.

Odsuwa mnie na odległość ramienia, żeby spojrzeć mi w oczy.

– Bardziej niż zwykle?

Wyczuwam drwinę, mimo to nie mam pretensji.

– Obie mamy teraz napięte nerwy, prawda? Kiedy myślę o tym wszystkim, martwię się. Tak. Bardziej niż zwykle.

– Wiem. – Sarkazm znika. – Ja też się martwię. Musimy jednak żyć dalej. Mamy siebie.

Ile razy już to słyszałam? Czasem męczą mnie te słowa. Nie teraz.

– Tak. – Przez chwilę się kołyszemy, wtulone w siebie. – Jak minął dzień, mamusiu?

Rzadko o to pytam. Sama wciska mi swoje życie, jakby wierzyła, że będę nim żyć. Na dobrą sprawę powinno się udać, nie mając własnych spraw, mogłabym emocjonować się jej życiem. Tak się jednak nie dzieje, prawdopodobnie z powodu mojego egocentrycznego nastawienia.

– Praca jak praca. Ola jest na nartach, trochę mi jej brak. W jakiś sposób przypomina mi ciebie. Do mnie też jest podobna.

Dobrze, że na mnie nie patrzy. Wyrzuty sumienia opanowują mnie na powrót i jestem pewna, że można wyczytać je z mojej twarzy.

– Żadnych ciekawych czytelników?

– Czytelników nie, ale przyszedł... – zawiesza głos – nie wiem, czy powinnam o tym mówić, boję się, że cię to zdenerwuje.

– Mamo! – protestuję.

– Masz rację, powinniśmy mówić sobie teraz o wszystkim. – Zagryzam wargi, ból łagodzi niepokój. – Przyszedł mężczyzna, przyjaciel babci. Tadeusz Rogucki. Nigdy nie słyszałam tego nazwiska, ale babcia nie miała w zwyczaju mi się zwierzać. To przykre, prawda? Moja własna matka. – Pociąga nosem, w oczach pojawiają się łzy. – Tęsknię za nią, wiesz? Mimo wszystko.

Jest dziewczyną skrzywdzoną przez matkę. Ja też, ale biorę na siebie rolę opiekunki i pocieszycielki.

– Będzie dobrze. Mamy siebie.

– Tak. – Mama odzyskuje panowanie nad sobą tak łatwo, że się zastanawiam, czy płacz nie był odrobinę odgrywany. – Ten facet jest bardzo sympatyczny. Z Warszawy.

– Z Warszawy? – Przestałam mieć skrupuły, chcę dowiedzieć się jak najwięcej, porównać wersję mamy z wersją Tadeusza, o ile w ogóle jeszcze do mnie napisze. – Co tu robił?

– Przyjechał służbowo. Babcia mu mówiła, gdzie pracuję. Rozumiesz, mówiła mu o mnie, a mnie o nim nic. – Rozżalenie małej dziewczynki wraca.

– Miał jakąś konferencję, wpadł w przerwie, proponował spotkanie później. Zgodziłam się, chciałam porozmawiać z kimś, kto znał babcię. Dlatego tu przyszedłam później.

– Oczywiście – mówię, jakby to miało znaczenie.

Usprawiedliwia się przede mną dla zasady. Wie, że nie mogłabym jej nie rozgrzeszyć.

– Pokazywał mi zdjęcia. Opowiadał. Ona była zupełnie inna, tam, w Warszawie. Bez nas.

– Jak inna?

– Łagodna, wyrozumiała, z poczuciem humoru – recytuje mama.

Ciekawe, czy Tadeusz też wymieniał te cechy na wdechu, czy podawał przykłady.

– Pokazywał zdjęcia?

Niespecjalnie interesują mnie jakiegokolwiek fotografie, ale może pytając o nie, zmuszę mamę do ujawnienia kilku szczegółów.

– Tak. Z nim i z jego żoną. W lesie, w Łazienkach, w jej mieszkaniu, u nich. Wyglądała na... odprężoną.

– Na odprężoną? – podchwytuję.

– Tak. Na taką, która wcale nie ma zamiaru ludzi ustawiać, pouczać, planować za nich życia.

Głupi, sentymentalny żal staje w gardle.

– Wystarczyło, że nam ustawiła życie, prawda? – szepczę.

Mama powoli kiwa głową.

– Rzeczywiście, ale nie powinniśmy już mieć pretensji. Pozwoliłyśmy na to.

Pozwoliłyśmy. Czuję, jak puls mi przyspiesza. Kładę ręce na kółkach wózka i nagle się uspokajam. Awantura, jaką zrobiłam w sylwestra, nie pasuje do sytuacji.

– Ty pozwoliłaś – mówię chłodno.

Mama podnosi rękę, mam wrażenie, że zaraz mnie uderzy. Jakaś część mnie chce tego, chcę być notoryczną ofiarą. Mama jednak, podobnie jak ja przed chwilą, opanowuje wściekłość.

– Masz rację.

– Przepraszam, mamusiu. – Wyciągam rękę, ściskam jej palce. – Wcale tak nie myślę.

Oddaje uścisk, ale wydaje się nieobecna. Wracam do poprzedniego tonu plotkującej przyjaciółki.

– Gdzie poszłaś z tym przyjacielem babci?

– Zaprosiłam go do domu.

A więc do naszego domu można już zapraszać gości. Do jej domu. Potworek jest zamknięty w innym mieszkaniu.

– Do domu – powtarzam, usiłując utrzymać gawędziarski ton.

Mama jednak odgaduje, co się ze mną dzieje i patrzy mi prosto w oczy.

– Niedługo będziemy tam razem. – Nie wiem, co to ma znaczyć. – Wpuścimy, kogo będziemy chciały – precyzuje.

Konsekwentnie używa dziś liczby mnogiej.

– Co powiedział na podjazd dla wózka?

– Zapytał, czy mam w rodzinie osoby niepełnosprawne. Wyjaśniłam, że mama przecież jest ortopedą. To był jej dom i potrzebowała tego podjazdu. Pacjenci i tak dalej. Nie koncentrowaliśmy się na tym.

– A na czym? Na babci?

– Tak. Powiedział, że nie odbiera telefonów i nie odpowiada na maile. Nie martwił się tym, mówił, że chyba wdała się w jakiś szalony romans, ale nie znał szczegółów. Pytał, czy ja znam.

– No i? – ponaglam, bo mama milknie, a jej oczy znów robią się nieobecne.



– Oczywiście odpowiedziałam, że nie znam. – Ton mamy jest nieco urażony. Przypuszczam, że to pretensja nie do mnie, ale do babci. – Dodałam, że mama nie zwierza mi się z tego rodzaju spraw i nie wiem nawet, czy ma romans.

Czyli pilnowała, żeby używać czasu teraźniejszego.

– Naprawdę nigdy nic nie mówiła? – Mama kręci głową, ale widzę, że się waha. Może wyjaśnienie jest blisko, może to mama wie, kto był kochankiem. – Nigdy?

– Nie. Kiedy zadzwoniłam na sylwestra, powiedziała, że wybiera się ze znajomym do Europejskiego. Możliwe, że chciała powiedzieć coś więcej, ale nie pociągnęłam tematu. Potem do tego nie wracała. Powinam spytać, prawda?

– Nie – mówię niepewnie, myśląc jednocześnie, że gdyby spytała i uzyskała odpowiedź, oszczędziłoby to nam mnóstwo wysiłków. – Poczęstowałaś go czymś? – dodaję po chwili.

– Tylko kawą. On przyniósł pudełko czekoladek. I kwiaty.

Jej policzki oblewają się rumieńcem. Nie jest niewrażliwa na wdzięki uroczego Tadzia, chociaż to starszy facet.

– Gdzie piliście kawę?

Moje pytania nie budzą podejrzeń, wręcz przeciwnie, mama cieszy się, że wczuwam się w sytuację.

– W kuchni. Powiedział, że w kuchni zawsze jest najlepiej i na wszystkich imprezach...

Milknie. Zapewne nie potrafiłam zapanować nad mimiką.

– Wiem, co myślisz... – mówi smutno.

Wzdrygam się.

– Mamo...

– ...ale musimy wracać do życia, przepędzić upiory. Kuchnia pozostaje kuchnią, chociaż zdarzył się w niej potworny wypadek.

Próbuję się uśmiechnąć.

– Masz rację.

# Ola

Powieki są ciężkie, w głowie szumi jak po straszliwym przepiciu, jest mi niedobrze. Kac nie jest niczym przyjemnym. Gdzie tak zabalowałam? Nic nie pamiętam. Z trudem otwieram oczy i rozglądam się po skąpo oświetlonym pomieszczeniu. Siadam zdezorientowana. Gdzie, do jasnej cholery, jestem?! Leżę zwinięta w kłębek na czerwonej wersalce. Oprócz tego w pokoju znajduje się lampka nocna z wiśniowym abażurem oraz jedno krzesło i stolik na kawę – drewniany komplet pomalowany na krwisty amarant. I biurowy fotel na kółkach zupełnie od czapy. Gdyby nie on, mogłabym podejrzewać, że ktoś mnie porwał do burdelu. Żadnych okien. Podchodzę do drzwi, naciskam na kłamkę. Zamknięte. Koncentruję się maksymalnie. Ostatnią sceną, którą wygrzebuję z pamięci, jest rozmowa z Marią. Herbata i moja senność. Osuwam się na podłogę pokrytą czerwoną wykładziną i chowam twarz w dłoniach. Za chwilę jednak opanowuję się i wstaję. Z trudem dochodzę do kanapy. Jestem bardzo słaba, zapewne po środkach, jakimi uraczyła mnie żona Tadeusza, ale zbieram myśli. Zostałam zamknięta, prawdopodobnie w piwnicy, przez wariatkę, która ubzdurała sobie, że znalazła zaginioną córkę. W jaki sposób dała radę mnie tu umieścić? Dotykam oparcia fotela na kółkach. Nie ważę zbyt wiele, przypuszczam, że bez problemów udało jej się zsunąć mnie z krzesła na fotel, a następnie z fotela na kanapę. Nie sędzę, żeby piwnica, o ile to rzeczywiście piwnica, znajdowała się w bloku Roguckich. Maria użyła więc jeszcze samochodu. Wariatka, ale myśli logicznie.

Ktoś przekręca klucz w drzwiach. Chciałabym przygotować się do ataku, ale nie mam siły. Następnym razem. Maria wchodzi. W wyciągniętych dłoniach trzyma pistolet. Czuję, jak moje szanse maleją.

– Jak się masz, Oleńko?

Matczyzny ton kontrastujący z sytuacją.

– Czuję się lepiej, gdybyś nie celowała do mnie z tej zabaweczki.

Podoba mi się, że brzmię jak przestraszona dziewczynka. Może podejść

ją litością. Maria opuszcza ręce i się uśmiecha.

– Wybacz, kochanie, ale muszę zachować środki ostrożności.

Hamuję złość. Rozdrażnianie tej kobiety byłoby zupełnie nieodpowiedzialne.

– Skąd masz pistolet?

Jej uśmiech staje się szerszy.

– Jestem żoną policjanta, zapomniałaś? Wykorzystałam okazję.

Dziwne, ale dopiero teraz zaczynam się bać.

– Dlaczego tu jestem?

Powinłam zapytać gdzie, ale na to przyjdzie pora. Może.

– Muszę na jakiś czas odizolować cię od kłamliwego świata. Już uwierzyłaś w ich wersję.

Zapada cisza. Wydaje mi się, że słyszę oszalałe bicie własnego serca.

– W jaką wersję?

– W to, co mi opowiadałaś. Nic z tego nie jest prawdą. Oni po prostu zrobili eksperyment. Oddali taniej dziwce moje dziecko na wychowanie. Jej córka zmarła, kazali lekarzom udawać, że moja.

– Kto? – udaje mi się wyszeptać.

– Oni. Chcą mnie zniszczyć, ale im się nie uda. Uciekłyśmy tutaj, nikt nas nie znajdzie.

Postanawiam zignorować „nikt nas nie znajdzie”. Nie wiem, czy powinłam wdawać się w dyskusję, ale jakie jest inne wyjście niż rozmowa?

– Mówiłaś, że to twoje dziecko zmarło z powodu wypadku.

– To nie była prawda. Musiałam tak mówić. Michael powiedział, że to jedyna szansa, żeby wyprowadzić ich w pole i odzyskać ciebie.

– Kto?

– Michael – powtarza.

– Kim jest Michael?

– To przyjaciel.

Nie wdaje się w dalsze tłumaczenia, ale nie przypuszczam, żeby ktokolwiek oprócz niej znał tego faceta o zagranicznym imieniu. Coś mi mówi, że to jej anioł stróż czy jakiś inny ognisty rycerz.

– Skąd wiesz, że jestem twoją córką? – pytam ostrożnie.

– Och, Michael śledził twoje losy. I tak bym cię rozpoznała. Potrzebuję chwili, żeby strząsnąć z siebie jej szaleństwo.

– Gdzie jesteśmy?

Może już odpowiednia pora.

– Podoba ci się?

Ma oczy dziecka, które domaga się pochwały. Wolę nie mówić, że nasunęło mi się skojarzenie z domem publicznym.

– Tak. – Kręci mi się w głowie, jestem słaba, ale próbuję nadać głosowi swobodny ton. – Bardzo wygodna wersalka.

– Cieszę się, kochanie.

Podchodzi i gładzi mnie po włosach. Może udałoby mi się wyrwać pistolet, gdybym wpadła na to sekundę wcześniej, ale Maria się cofa. Siada w biurowym fotelu i odsuwa się na bezpieczną odległość.

– Gdzie jesteśmy? – powtarzam.

– To działkowy domek twoich dziadków. Umarli, zanim poznałam Tadeusza. Michael poradził mi, żeby nie mówić nikomu o tym miejscu, nawet mężowi. On zawsze ma rację.

– Znałaś Michaela, zanim spotkałaś Tadeusza?

Ledwie dostrzegalnie wzrusza ramionami.

– Nie. Początkowo nie powiedziałam, bo nie było okazji. Rzadko o tym miejscu myślałam. Z działki od czasu do czasu korzystała moja siostra.

To zawsze jakaś szansa. Siostra może tu przyjechać i... Przed oczyma

przesuwa mi się karawan trupów. Jeszcze trochę i sama stracę rozum.

– Już nie korzysta?

– Wyjechała na stałe do Stanów. Po co o tym mówić? Twoja ciocia rzadko daje znak życia.

Przez chwilę modłę się do wszystkich znanych i nieznanym bóstw, nie pomijając ojca szatana, żeby przyjechała z kilkoma osiłkami. Znów widzę padające krwawiące ciała. Szalona Maria nie oszczędziłaby siostry. Co tam siostra! Ona siedzi z pistoletem przy mnie, zaklinając się, że jestem jej dzieckiem!

– Uważasz, że jestem twoim dzieckiem? – Niepotrzebne mi upewnienie, ale może zdołam jakoś przestawić jej sposób rozumowania.

Uśmiecha się z czułością, od której przechodzą mnie ciarki.

– Wiem, że jesteś moim dzieckiem.

– I strzeliłabyś do mnie? Zabiłabyś własną córkę?

Wygląda na wstrząśniętą.

– Oczywiście, że bym cię nie zabiła. Michael powiedział, że strzał cię nie uśmierci. Nie chcę tego robić, bo dochodziłabyś do siebie miesiącami. Teraz, gdy cię odzyskałam, nie potrzebuję kolejnych zmarnowanych chwil.

Oddychaj – powtarzam w duchu.

– Wierzysz we wszystko, co mówi ci Michael?

– To mój jedyny przyjaciel.

– A Tadeusz?

Patrzy smutno, wygląda jak pomnik szlachetnego cierpienia.

– Kocham twojego ojca, ale nie udało mu się zatrzymać ciebie.

– Michaelowi też nie – przypominam.

– Michael walczył, nie poddał się. Tadeusz powtarzał kłamstwa. Kiedyś posunął się do tego, żeby powiedzieć, że nigdy cię nie było. Nigdy, rozumiesz?!

Oddycha szybko, oczy jej płoną, trzęsie się. Nie sędzę, żeby brała lekarstwa. Przestała w tajemnicy przed mężem. Nie wiem, do czego zdolni są nieleczeni schizofrenicy. Potrzebuję chwili przerwy.

– Muszę iść do toalety.

Maria wydaje się już zupełnie spokojna.

– Otwórz drzwi. Wyjdę za tobą.

Będzie trzymać mnie na muszce podczas sikania? Rzucam przelotne spojrzenie na pistolet. Palce, zaciśnięte na lufie, są smukłe i nienaturalnie białe.

Jesteśmy w wąskim korytarzu. Po lewej stronie dostrzegam schody.

– W prawo, kochanie.

Skręcam posłusznie. Nie dam rady uciekać. Jeszcze nie.

– Zapewne potrzebujesz trochę prywatności. Wejdź sama.

Obrzucam ją krótkim spojrzeniem. Widocznie dostrzega w nim to, co powinnam ukryć, bo cofa się o krok, kuli. Wydaje się, że palce na pistolecie zaciskają się jeszcze bardziej kurczowo. Naciskam na klamkę. Łazienka jest całkiem wypasiona; w zielonych kafelkach, czyściutka, z prysznicem. Nie ma burdelowej czerwieni. Mam ochotę trzasnąć drzwiami, opanowuję się jednak, zmuszam do uśmiechu.

– Mogę się wykapać?

Maria się rozluźnia.

– Oczywiście. Powiesiłam ci ręcznik.

Delikatnie zamykam drzwi, przekręcam zamek od wewnątrz. Żałosny gest, Maria może otworzyć śrubokrętem czy nożyczkami. Łaknę jednak choćby ułudy prywatności. Rozglądam się po pomieszczeniu, szukam drogi ucieczki. Nie ma okien ani dodatkowych drzwi. Nie czuję strachu, raczej litość nad sobą. Z własnej woli wpakowałam się w to bagno. I pomyśleć, że jeszcze niedawno żałowałam, że moimi rodzicami nie są Tadeusz i Maria Roguccy. Idealni ojciec i matka. Szłam do Marii i myślałam, że odegram rolę zmartwychwstałej córki. Jak szybko los się zemścił. Odkręcam prysznic i

czuję ulgę, kiedy łzy mieszają się ze spadającymi strumieniami. Płacę nad sobą. Nie wiem, czy ktoś zrobi to po mojej śmierci, która najprawdopodobniej niedługo nastąpi. Nie wiem, czy ktokolwiek dowie się o niej. Zawodzę coraz głośniejsze, mając nadzieję, że szum wody mnie zagłusza.



# Dorota

To jak uderzenie obuchem. Ból rozłupuje czaszkę, kiedy po raz kolejny czytam wiadomość od Tadeusza.

*Gdy byłem w Sopocie, zniknęły Ola i moja żona. W tej chwili priorytetem jest odnalezienie ich. Nie wiem, czy Ola podzieliła się z Tobą informacją, że Maria leczyła się na schizofrenię. Nie mam pewności, czy ostatnio brała lekarstwa. Przyjaciel Oli zażądał oficjalnego zgłoszenia zaginięcia. Zgodziłem się z nim, w tym przypadku niebezpieczeństwo jest na tyle realne, że nie wolno nam liczyć jedynie na własne siły. Na posterunku nie wspomnieliśmy o Twojej babci. Wierzę, że te sprawy się nie łączą. Jeśli jednak jest związek, sam potrafię odkryć powiązanie. To kwestia przyszłości, mam nadzieję, że niedalekiej.*

*Zapewne interesuje Cię moja rozmowa z Twoją mamą. Nie mam czasu teraz wnikać w szczegóły, napiszę tylko, że udało mi się przekonać ją, aby zaprosiła mnie do siebie. Widziałem w domu podjazd dla wózków. Trudno mi uwierzyć, że Twoja babcia zbudowała go dla pacjentów. Nawet jeśli pracowała w domu, nie sądzę, żeby gabinet był na górze. Jestem starym gliną, więc łatwo było mi dostrzec, że Twoja mama ukrywa nie tylko cel udogodnień dla niepełnosprawnych. W kuchni rzeczywiście wydarzyło się coś, co ma związek z Kasią. Pieniądze przelane na Wasze konto są niemal dowodem, że nie ma jej wśród żywych. Za wcześnie, żeby kogokolwiek podejrzewać, ale istnieje kilka tropów. Zajmę się tym po wyjaśnieniu sprawy o wiele pilniejszej. Będę informował Cię na bieżąco.*

*Jeszcze jedno. Przypuszczam, że martwisz się o Olę. Jej przyjaciel zarzucił mnie już oskarżeniami. Powtórzę Ci to, co powiedziałem jemu. W mojej żonie nie ma agresji. Głęboko wierzę, że nie potrafiłaby nikogo skrzywdzić. W momentach nasilenia choroby może fałszywie postrzegać rzeczywistość, ale nie posunie się do ostateczności.*

*Nie posunie się do ostateczności. Skąd on może wiedzieć? Przypuszczalnie nawet psychiatra nie jest w stanie przewidzieć, co zrobi*

osoba fałszywie postrzegająca rzeczywistość. Ostateczność to chyba to, co spotkało babcię. Przestrzelony mózg, a potem nieznaną grób. Nie ja jestem temu winna. Jeśli natomiast Ola... Nie kończę. Wysłałam ją na tę misję, kazałam walczyć z wiatrakami. „Wierzę, że te sprawy się nie łączą”. Pisał to, żeby mnie uspokoić, po co inaczej dodawałby, że sam potrafi odkryć powiązanie? Jedyne połączenie to osoba jego żony. „Pieniądze przelane na Wasze konto są niemal dowodem, że nie ma jej wśród żywych”. To pogróżka? Mam się nie wtrącać, bo inaczej mama zostanie wrobiona? Jadę do łazienki, wymiotuję. Ból nie odpuszcza.

# Ola

Zatraciłam poczucie czasu. Maria zabrała moją komórkę, nie mam na ręku zegarka. Żyję bez dostępu do naturalnego światła, nie wiem nawet, czy jest noc, czy dzień. Maria przynosi jedzenie, głównie kanapki, tłumaczy, że ma niewiele produktów. Za każdym razem mogę skorzystać z łazienki. Picie, nawet jeśli to kawa, dostaję w butelce ze specjalnym korkiem. Nie mam szans na niespodziewane oblanie płynem mojej strażniczki, która nie rozstaje się z pistoletem. Nie wykonuję gwałtownych ruchów, aby nie zostać „unieruchomiona”. Wcześniej nawet nie przypuszczałam, że tak bardzo jestem przywiązana do własnego nędznego życia. Teraz wcale nie wydaje mi się nędzne. Wyobrażam sobie scenę, kiedy Maria pakowała mnie do samochodu. Zapewne wyprowadziła mnie tylnym wyjściem z bloku. To nie znaczy, że nikt nas nie widział. Nawet jeśli komuś wydało się to podejrzane, nie sądzę, by poinformował policję. Gdyby poinformował, co z tego? Kto może wiedzieć, dokąd mnie zawiozła? Wierzę, że Krzychu podjął kroki, które mnie ocala. Chwilami. Czasami tłucze się myśl, że mogę liczyć tylko na siebie. Zazwyczaj jednak wiem, że nie mam szans. Maria z pistoletem w dłoni nieodmiennie okazuje mi matczyną czułość. Nie słucham, nie dyskutuję, potakuję i się uśmiecham.

Budzi mnie własny krzyk. Śniło mi się, że byłam w górach, ktoś wpychał mi kamienie do ust i zmuszał do połykania. To jeden z koszmarów dzieciństwa, który przetrwał do dziś. Szkoda, że już się obudziłam. Tam jest łatwiej. Połykam kamienie i krzyczę. I tyle. Luz-blues. Skoncentruj się, idiotko. Myśl.

Zaczynam spacer wokół pokoju. To ponoć nawyk więźniów. Jeśli moje zamknięcie potrwa dłużej, sama się od tego uzależnię.

Maria przychodzi z kanapką i kawą. Biorę butelkę w obie ręce, sprawdzam temperaturę. Niezbyt wysoka, jak zwykle. Zabezpieczenie na wszystkich frontach. Śniadanie, kolacja, może obiad? Suka uśmiecha się szeroko. Czują burdelmama. W myślach mogę jej naubliżyć. To w pewnym

stopniu pomaga.

– Dobrze spałaś, kochanie?

Chyba śniadanie w takim razie. Odwzajemniam uśmiech.

– Która godzina?

– Po dziewiątej dwadzieścia. Dobrze spałaś? – powtarza.

Zgodnie ze scenariuszem siadam na kanapie, chowam twarz w dłoniach. Zaczynam się trząść. Łatwo mi to przychodzi, niczego nie udaję.

– Oleńko – słyszę szept.

Szlocham rozdierająco. Mnie samej pęka serce, co dopiero matce.

– Powiedz mi, kochanie.

Podnoszę głowę. Policzki mam zupełnie mokre. Nie potrafiłabym przestać płakać, nawet gdybym chciała.

– Nie mogę spać – mówię przerywanym od łkań głosem. – Jeśli nawet uda mi się zasnąć, dręczą mnie koszmary. Nie wiem, gdzie jestem. Własna mama zamyka mnie na klucz i odwiedza z pistoletem w ręku.

Zapewne sporo ryzykuję, ale wstawienie „własna mama” powinno minimalizować niebezpieczeństwo.

– Oleńko – znów szepcze.

Ledwie słyszę. Chyba zaczynam tracić kontrolę. Rozzalam się coraz bardziej. Zdaję sobie sprawę, że cieknie mi z nosa i to przywraca prawidłowe proporcje.

– Daj mi chusteczkę.

– Zaraz przyniosę.

Wychodzi, zamyka drzwi na klucz. Jej umysł dotknięty szaleństwem w pewnych szczegółach działa sprawnie.

– Proszę.

Podaje mi paczkę lewą dłonią, zachowując bezpieczny dystans. Przez sekundę się zastanawiam, czy gdybym mimo to schwyciła ją za rękę, nie

dałaby się zaskoczyć, poluzowałaby być może uścisk na pistolecie. Jak przystało na grzeczną dziewczynkę, odbieram chusteczki, dziękuję, wyciągam jedną i wysmarkuję nos.

– Kochanie, wytrzymaj jeszcze trochę. Już niedługo wszystko się zmieni.

Hamuję cisnące się na usta: „Michael ci powiedział?”. Nie dałabym rady ukryć szyderstwa.

– Nie mogę – odpowiadam drżącym głosem. – Już nie daję rady. Jestem zamknięta, a ty nawet mnie nie pogłaszczesz, nie przytulisz. Zawsze trzymasz pistolet. Mamo...

Brzmie rozdzierająco, jakby skarżyło się nieszczęśliwe dziecko, wyciągało do matki małe, biedne rączki. Udało się. Siada koło mnie, przytula. Momentalnie wykorzystuję okazję, chwytam ją za prawą rękę, usiłuję wyrwać broń. Jest silniejsza, niż przypuszczałam. Długo szamoczymy się złączone uściskiem. Słabnę z każdą chwilą. Nie wolno mi odpuścić. Chwytam ją za włosy i w tej samej chwili rozlega się wystrzał. Nie wiem, kto nacisnął na spust. Co za różnica zresztą, skoro to dla mnie skończyło się źle. W ułamku sekundy w krótszej nodze następuje eksplozja bólu. Puszczam Marię i spoglądam na rozharatane udo. Jeśli uda mi się z tego wyjść, do końca życia będę miała bliznę i stanę się jeszcze większym kulasem. Przenoszę wzrok na kobietę w środku pokoju. Teraz ona się trzęsie, powtarza jakieś słowo, które udaje mi się rozszyfrować dopiero po dłuższej chwili.

– Przepraszam.

Boże, jak mnie cholernie boli. Rzucam ponowne spojrzenie na nogę. To błąd. Jeszcze nigdy tak potwornie nie krwawiłam. Za moment zemdleję, zapewne bardziej od widoku niż z wykrwawienia.

– Przynieś jakiś bandaż – udaje mi się powiedzieć.

Maria wybiega, nie zapominając o pistolecie i przekręceniu klucza w zamku. Zupełnie niepotrzebnie, i tak nie miałabym siły wstać. Wraca za moment, nie rejestruję otwierania drzwi, ale słyszę głośny oddech tuż nad głową.

– Zrób sobie opaskę uciskową, kochanie.

Patrzę na nią wzrokiem skomlącego psa, może nawet wydaję podobny dźwięk. Kładzie pistolet na podłodze, siada obok, zakłada mi bandaż. Cóż za wspaniała okazja; mogłabym ją obezwładnić i uciec. Myśl się pojawia i znika. Zamykam oczy, czuję jej delikatne palce i pomimo bólu jest mi nawet przyjemnie. Zważywszy na sytuację, to całkowicie irracjonalne, ale daję się ukołysać absurdowi, prawie się uśmiecham.

– Zaraz wrócę, córeczko.

Pistolet zabiera ze sobą, lecz nie zamyka drzwi na klucz. Nie wstanę, to poza moim zasięgiem, ale wyrywam się z nonsensu. Powtarzam sobie, że to ona jest moim wrogiem i będę z nią walczyć... następnym razem. Gdzieś ucieka czas, zmysły tępieją. Chyba tracę przytomność.

Gdy ją odzyskuję, Maria podtrzymuje mi głowę i poi łyżeczką. Piję łapczywie. Skąd to pragnienie, czyżby z upływu krwi?

– Będę musiała wyjąć ci kulę.

Przez chwilę się zastanawiam, o co chodzi. Gdy znaczenie dociera, pozostaję obojętna.

– Potrafisz?

– Skończyłam medycynę, chciałam specjalizować się w chirurgii.

Aha. Tyle że zwariowałam – chciałabym dopowiedzieć. Jest niezłe; w moich myślach na powrót pojawia się sarkazm.

– Na żywca?

– Nie bój się. Dałam ci środek, po którym będziesz spała i nic nie poczujesz. Operacja prosta, bezpieczna i bezbolesna. Miejscowe znieczulenie też ci zaaplikuję.

Kładzie mi rękę na czole zroszonym kropelkami potu. Może zaraz umrę, ale nikt nie może powiedzieć, że nie próbowałam. Marne pocieszenie. Po chwili nie potrzebuję żadnych pocieszeń. Noga przestaje boleć, ciało się rozluźnia. Kołyszę się w próżni.

# Dorota

– Dlaczego płaczesz, kochanie?

Nawet przy mamie roztrząsam najgorsze scenariusze, wyobraźnia podsuwa najkrwawsze sceny.

– Myślę o babci.

Nie kłamię. Babcia nie opuszcza mojej głowy. Kiedy żyła, nigdy nie myślałam o niej tak intensywnie. Wróc, intensywność doznań zawsze była z nią związana. Teraz jest czułość, żal, współczucie, groza.

Mama przygryza wargi.

– Wyzwolimy się z tego. To wymaga czasu.

Nie wytrzymuję.

– Mamo! Babcia gnije w jakimś dole! Jak możemy się wyzwolić?

Twarz mamy robi się kredowobiała. Podchodzi do zasuniętego szczelnie okna. Patrząc na jej zgarbione plecy, dostrzegam, że się trzęsie. Odwraca się.

– Obwiniasz mnie o to? – mówi zduszonym głosem.

Żadnej agresji, wściekłości, jedynie ból i zmęczenie. Kręcę głową, nie stać mnie na słowa.

– Co noc mam koszmary, budzę się z krzykiem. Ale to tylko nasze lęki, to i tak nie ma znaczenia.

Z jej głosu znika zmęczenie, zastępują je twardość i ostrość. W grze, w którą kiedyś się bawiłyśmy, jej obecny ton mógłby wyrażać jednocześnie kamień i nożyce. Nie rozumiem, dlaczego to rozwściecza mnie najbardziej.

– Nie ma znaczenia?! – krzyczę. – To, że leży w czarnej dziurze, gdzie sikają zwierzaki, nie ma znaczenia?!

Na bladej twarzy pojawiają się sine plamy. Mama oddycha głęboko kilka razy. Kiedy się odzywa, lodowaty spokój w głosie przyprawia mnie o ciarki.

– To tylko ciało, które nic nie czuje. Babci nie ma. Nikogo już nie skrzywdzi.

Podejrzenie, którego do tej pory nie traktowałam poważnie, przytłacza. Kładę ręce na głowie, jakbym zasłaniała się przed lawiną.

– Ty ją zabiłaś?

Zbyt późno zdaję sobie sprawę, że pytanie nie powinno paść. Mama przez chwilę stoi nieruchomo, plamy na twarzy robią się coraz bardziej sine, łapie oddech jak wyjęty z wody karp, po czym wybiega z mieszkania, zatraskując drzwi.

Powinnam odgryźć sobie język. Po raz pierwszy pragnę śmierci i wcale nie interesuje mnie czarny dół, w którym hipotetycznie miałabym spoczywać. Drzwi się otwierają.

– Mamo! – krzyczę.

Brak odpowiedzi. Znowu trzaśnięcie, po czym zgrzyt zamka. Wcześniej zapomniała klucza. Błąd naprawiony. Miałam szansę wyjechać na korytarz i dzikim wrzaskiem oznajmić światu, że przegapił moje istnienie. Mama nie zdaje sobie sprawy, że nadal mam tę możliwość. Dzikie wrzaski w internecie w dzisiejszych czasach dociera do właściwych ludzi. I tak z tego nie skorzystam.

Jadę do kuchni. Przeglądam noże, wybieram najostrzejszy. Ten, z którym kiedyś stałam pod drzwiami, gdy głupkowaty Romek chciał się do mnie dostać. Nacinam skórę na nadgarstkach, z ciekawością przyglądam się nielicznym kropelkom krwi. Muszę postarać się bardziej. Kilka razy zaciskam i rozwieram pięści. Żyły wychodzą na wierzch, pulsują. Przez chwilę wątpię, żebym się odważyła, po czym zdecydowanym ruchem tnę głęboko. Łatwizna. Powtarzam manewr na drugiej ręce. Trochę szczypie, ale nie ma bólu, którego się obawiałam. Ciemnoczerwona krew płynie nieprzerwanym strumieniem, plami ubranie i wózek, na podłodze jest jej niewiele. Trzeba będzie posprzątać, ale nie ma porównania z pracą, którą mama wykonała po śmierci babci.



# Ola

Budzę się, unoszę na łokciach i rozglądam po pokoju. Marii nie ma. Opadam na poduszki. Zero bólu. Dostałam obiecane znieczulenie. Przypuszczam, że już po operacji. Co za szumna nazwa, jasny gwint! Już zaczęłam używać jej słów, co stanie się za kilka dni? Zacznę myśleć jak ona? Dotykam obandażowanego miejsca. Mam dość siły, żeby rozwinąć opatrunek i sprawdzić, co dzieje się pod nim, ale rezygnuję. Wolę zachować energię na ważniejsze sprawy.

– Jak się czujesz?

Nie słyszałam otwierających się drzwi. Zapadłam w niekontrolowaną drzemkę albo straciłam przytomność. Przyglądam się Marii. Stoi w bezpiecznej odległości, w oczach matczyna miłość, w ręku rewolwer. Zapala się iskra wściekłości, ale szybko ją gaszę. Silne emocje będą potrzebne później. Teraz spokój, lodowaty, wykalkulowany. Uśmiecham się słabo, jak przystało na rekonwalescentkę.

– Nieźle. Już po operacji?

Chciałam dodać „mamo”, ale nie przeszło mi przez gardło. To i lepiej, Maria nie jest głupia, wyczułaby fałsz, przejrzała moją grę.

– Tak. Kula nie tkwiła głęboko i noga powinna szybko się zagoić. Opatrunek zmienimy jutro.

Mówi rzeczowym, lekarskim tonem. Uspokaja mnie. No, jestem spokojna jak cholera!

– Chcę do toalety.

Chciałam powiedzieć coś neutralnego, ale rzeczywiście odczuwam potrzebę.

– Weź kule i pójdziemy, kochanie.

– Kule? – powtarzam zdeorientowana.

– Położyłam obok łóżka. Na razie musisz oszczędzać chorą nogę.

Schylam się. Koło kanapy faktycznie dostrzegam dwie kule. Zastosowuję się do rady, nie opieram na zranionej nodze.

– Skąd masz kule?

Towarzyska pogawędka w drodze do siusiarni.

– Moja siostra miała kiedyś złamaną nogę. – Zatrzymujemy się przed łazienką. – Nie mocz opatrunku, córeczko.

Odgradzam się od niej drzwiami, przekręcam zasuwkę. Nadal mnie kocha. Wytłumaczyła sobie, że to, co się stało, to fanaberie zbuntowanej nastolatki. Przełamie je bezinteresownym poświęceniem, bezwarunkową miłością. Uśmiecham się krzywo, siadając na sedesie. To jeszcze nie koniec. Zamknięta przez wariatkę, postrzelona w nogę, po raz pierwszy w życiu czuję, że wyzwoliłam się z wszelkich ograniczeń.

# Dorota

Długie palce na moim czole, łagodna pieszczota. Powoli otwieram oczy. Twarz anioła pochylona nade mną, twarz mojej mamy. Jeśli istnieje niebo, nie doświadczę tam nic lepszego.

– Mamo...

– Kochanie.

Obsypuje mi twarz pocałunkami.

– Ty płaczesz? – pytam zdziwiona.

– Dorotko, kocham cię. Jak mogłaś to zrobić?

Wiem, że jej słowa mają jakiś sens. Unoszę ręce, aby ją przytulić i dostrzegam własne obandażowane nadgarstki. Pamięć wraca. Kuchnia, nóż, krew. Nie umarłam. Mama mnie uratowała. W głowie rozbrzmiewają anielskie chóry, słodycz wypełnia brzydkie, kalekie ciało. Euforia tętni w zranionych żyłach.

– Mamusiu – powtarzam raz po raz i całuję jej rękę.

Wszystko, co ma znaczenie, zawiera się w tym słowie.

– Jak mogłaś to zrobić?

Płacz mamy przedziera się przez chór aniołów. Boli mnie jej smutek.

– Przepraszam.

Gdybym miała kolana, upadłabym na nie i całowała jej stopy.

– Przysięgnij, że nigdy, przenigdy już tego nie zrobisz.

– Przysięgam.

Przygryza wargi.

– Na co przysięgasz?

Wiem, że Bóg czy dusza nie wchodzą w grę.

– Przysięgam na moją miłość do ciebie.

Gdyby nawet Bóg czy dusza nie były pojęciami wymyślonymi przez głupią, głodną pocieszenia ludzkość, przysięga na nie złożona nie miałaby takiej mocy. Mama przestaje płakać, wyciąga chusteczkę, wyciera głośno nos.

– Gdybyś umarła, nie przeżyłabym tego. Zabiłabyś mnie, rozumiesz?

Śpiew aniołów się urywa.

– Przepraszam.

Mało brakowało, a zostałabym morderczynią własnej matki. Nie chciałam! Mama się odsuwa, kilka razy odдыcha głęboko i zaczyna mówić. Słowa padają szybko, niemal połyka końcówki wyrazów.

– Zadałaś mi pytanie, a ja wybiegłam, nie udzielając odpowiedzi. Wiesz dlaczego? – Nie mam czasu zareagować, słowa płyną, jakby ktoś odkręcił kran. – Bywały chwile, że naprawdę życzyłam jej śmierci. Za wszystko, co mi zrobiła. Co nam zrobiła. Wyobrażałam sobie, że ją zabijam. Ale wiesz co? Nigdy bym tego nie zrobiła. Kochałam ją. Mimo wszystko. Tak jak córka może kochać matkę. Jak ty mnie. – Tym razem robi przerwę, otwieram usta, ucisza mnie dłonią i ciągnie. – Od razu wzięłam pieniądze, bo później mógłby być z tym kłopot. Wywiozłam ją daleko i zakopałam ciało, żeby nikt nie wtrącał się do nas. Może to był błąd, ale nie cofnę tego. Przyznanie się w tej chwili byłoby zwykłą głupotą. Nie zabiłam jej. Nie mogłabym jej zabić.

Znów zaczyna płakać. Wczepia się we mnie, jakbym to ja była ostoją.

– Wierzysz mi?

– Tak.

Nie wiem, ile razy powtarzam, że jej wierzę, aż w końcu się uspokaja.

– Zmienię ci opatrunek.

Nie patrzę na przecięte nadgarstki, chłonę widok mamy, karmię się jej czułością. Zostaje na noc. Zasypia wcześniej ode mnie. Wsłuchuję się w jej oddech, a w pamięci jak film na korbce przewijają się ostatnie sceny. Moje absurdalne podejrzania się rozprysły, miłość mamy potwierdziła. Pomimo wszystkiego, co dzieje się na zewnątrz, jestem bezpieczna i spokojna.

Zasypiam, uśmiechając się. Śni mi się Ola. Wzywa mojej pomocy.

# Ola

Miałam sen. Widziałam Dorotę i darłam się jak idiotka, jakby dziewczyna bez nóg i bez kontaktu ze światem mogła mi pomóc. W gruncie rzeczy nawet kiedy śniłam, nie wierzyłam w to. Nie chodziło mi o ratunek, bardziej o zemstę. Osóbka, która wpakowała mnie w tę kabałę, wydawała mi się obrzydliwie zadowolona, paskudnie bezpieczna. Niech to poczucie stabilizacji rozpadnie jej się w proch.

Bzdura. Nie chcę się mścić na tamtej kalece, nie ona jest moim wrogiem. Co do pomocy, przestałam jej oczekiwać. Krzychu, silny chłopak, z którym straciłam cnotę, też mnie nie wybawi. Nikt nie może powiedzieć, że nie próbowałam. Tak pomyślałam tuż przed utratą przytomności po środku zaaplikowanym przez Marię. Kolejna bzdura. Nawet jeśli próbowałam, to za mało, za słabo.

Podpierając się kulami, dochodzę do drzwi. W udzie rwie i piecze. Widocznie miejscowy środek znieczulający przestał działać. Siadam na podłodze. Jakiś głos mówi, że jestem biedna, samotna, ranna i osłabiona i nie dam rady. Nie rozkleję się teraz. Łzy pozostawię sobie na później, po zwycięstwie. Zwycięstwo. Obracam w myślach to słowo. Pomaga. Prawie czuję jego smak. Prawie wierzę.

Maria przekręca klucz z drugiej strony. Wstaję, ściskając obie kule. Kiedy przekracza próg pokoju, uderzam w kolana i w brzuch. Zapewne zaskoczenie działa bardziej niż siła ciosów, ale Maria przewraca się, kanapka i pistolet wypadają z jej dłoni, toczą się po podłodze. Wykopuję broń na zewnątrz, nie ryzykuję walki, może prowadzić do przegranej. Wybiegam z pokoju, kule rzucam na podłogę, mogą mnie spowolnić, zamykam drzwi, klucz zostawiam w zamku. Maria szarpie za klamkę, równocześnie wrzeszcząc, jakbym obdzierała ją ze skóry. Jakaś część mnie odczuwa satysfakcję. Widzisz, suko, jak to jest. Inna, mądrzejsza część wie, że nie wolno jeszcze pozwolić sobie na poczucie zwycięstwa. Powinnam momentalnie opuścić dom, mimo to zatrzymuję się na górze, rozglądam. To

nie świadoma decyzja, raczej instynkt, ale tym razem mnie nie zawodzi. Na stole leży portfel, chwytam go, nie sprawdzając zawartości. Komórek nie ma na wierzchu, nie będę ich szukać. Wrzask Marii i bezustanne walenie w drzwi świdrują mi czaszkę. Wychodzę na dwór. Tu krzyki wydają się już przytłumione, dochodzące z innego świata. Pada gęsty śnieg, ale pomimo braku wierzchniego okrycia nie czuję zimna. Muszę dać radę. W oddali dostrzegam zabudowania. Biegnę w tamtym kierunku. Adrenalina wcześniej łagodziła ból, teraz udo znów rwie jak cholera. Nie zatrzymuję się. Utykam coraz bardziej, ale zachowuję tempo.

Dopiero na drodze przystaję i zginam się w pół. Nigdy nie byłam dobrą biegaczką, ale przypuszczam, że dzisiaj pobiłam swój rekord zarówno pod względem dystansu, jak i prędkości. Powinnam otrzymać order, tym bardziej że jestem ranna. Co tam order, najchętniej położyłabym się na ziemi i poczekała, aż oddech się uspokoi, a serce zwolni, lecz teraz, gdy wyrwałam się z łap „mamusi”, nie uśmiecha mi się zostać przejechaną przez samochód. Prostuję się i otwieram portfel. Wizytówki, karta płatnicza i wiele banknotów, również dwustuzłotowych. Liczę; cztery tysiące osiemset pięćdziesiąt złotych. Widocznie Maria wyjęła kasę, żeby nie zostać później namierzoną przez męża gliniarza. Dobrze, mnie również przyda się gotówka. Ruszam, tym razem wolno, każdy krok jest okupiony bólem. Nieco bardziej przytomnie rozglądam się po okolicy. Domów niewiele, ale w niezłym stanie. Nie widzę rozwalających się chałup ani brudu w obejściach. Od kiedy zaczęłam iść tą drogą, nie przejechał żaden pojazd, nie dostrzegłam też ludzi. Przez chwilę czuję się jak bohaterka horroru. Gęsty śnieg, wymarła wioska, a ona, cudem ocalona z jednej kabaty, pakuje się w drugą, dużo gorszą. Widzom włos jeży się na głowie. Zabawne. Zapewne w rzeczywistości ludzie obserwują mnie z okien mijanych domostw, zastanawiając się, co za idiotka kuśtyka w mróz w przewiewnym dresie. Najbardziej jednak prawdopodobne jest to, że nikt nie zawraca sobie mną głowy. Ludzie, którzy nie pojechali do roboty w jakimś miasteczku, siedzą przed komputerem bądź telewizorem w zależności od wieku. Na roli o tej porze roku się nie pracuje. Dzieci w szkole. Fajnie by było, gdybym natrafiła na jakąś szkołę, pocztę czy inny obiekt użyteczności publicznej. Daleko już nie zajdę, ledwie powłóczę zranioną nogą.

Marzenia jednak się spełniają. Sklep spożywczo-przemysłowy. Za ladą

chuda tleniona blondynka z ciemnymi odrostami zajmuje się malowaniem paznokci. Kiedy wchodzi, odstawia lakier i przygląda mi się z umiarkowanym zainteresowaniem.

– Dzień dobry.

Nie zrobię ani jednego kroku więcej.

– Przepraszam, kiepsko się poczułam. Czy mogłabym... Rozglądam się bezradnie, jednak nie widzę miejsca siedzącego. Osuwam się na podłogę. Chuda dziewczyna w jednej chwili znajduje się przy mnie.

– Słabo pani? Coś podać?

– Już lepiej. – Wykrzywiam twarz w uśmiechu. – Poproszę butelkę wody. Gazowanej. – Wyciągam dziesięć złotych i się podnoszę. – Chciałabym na chwilę gdzieś usiąść.

– Chwileczkę.

Dziewczyna zabiera pieniądze, przynosi mi z zaplecza krzesło, po czym podaje wodę i resztę. Przygląda się, jak piję.

– Pomogło?

Kiwam głową.

– Podaj dwa piwa, Grażynka.

Do sklepu wchodzi dwóch facetów, którzy, jak na mój gust, wcale już piwa nie potrzebują. Grażynka ich obsługuje, szepczą coś, rzucając na mnie spojrzenia. Jakaś sensację jednak wzbudzam. Jest mi prawie wszystko jedno, ale chciałabym, żeby wyszli, bo mam sprawę do załatwienia. Spuszczam wzrok, portfel leży na kolanach. Wyglądam jak łatwy cel do obrobienia. Byłoby szkoda, gdyby ukradli mi kasiorę, chociaż ona niby nie jest moja. Jak to nie moja, mam prawo do zadośćuczynienia za szkody moralne i fizyczne, których doznałam. Uśmiecham się prawie szczerze na takie sformułowanie i zaciskam palce na „zadośćuczynieniu”. W razie potencjalnej napaści niewiele by to pomogło, jednak zwiększa moje poczucie bezpieczeństwa. Mężczyźni w końcu opuszczają sklep, patrząc na mnie jak na ciekawy okaz.

– Jak się pani czuje? – pyta Grażynka.



– Lepiej. – Wstaję, podchodzę do lady. Staram się jak najmniej utykać. – Czy mogłabym zadzwonić?

Wyraz troski znika z jej twarzy.

– Nie mamy tu telefonu.

– Może mogłaby mi pani pożyczyć komórkę? Grażynka nie waha się ani chwili.

– Nie wzięłam ze sobą.

Wyciągam banknot stułotowy, kładę na ladzie.

– Naprawdę potrzebuję zadzwonić.

Przesadziłam, powinnam zapytać o pocztę, jednak nie mam siły iść dalej. Zresztą kto bogatemu zabroni? Dziewczyna chwyta pieniądze, jakby się bała, że za chwilę się rozmyślę.

– A może jednak wzięłam. Sprawdzę, czy nie zostawiłam na zapleczu.

Wraca za moment, przynosi mi telefon.

– Jest. Trochę nie tak z moją pamięcią. – Śmieje się.

Aparat wygląda na stary, więc nawet gdybym go porwała i uciekła, Grażynka nie byłaby stratna. W pośpiechu naciskam cyfry.

– Halo.

Głos Krzycha jest zmęczony. Chce mi się płakać.

– To ja.

– Ola! Gdzie jesteś? Patrę na Grażynkę.

– Gdzie jesteśmy? – Dziewczyna wygląda na zdezorientowaną, więc dodaję tonem wyjaśnienia: – Zgubiłam się.

– Danowskie.

– Danowskie – powtarzam. – W sklepie. – Ponownie zwracam się do Grażynki, wyciągam z portfela następne sto złotych. – Czy mogę poczekać tu na swojego chłopaka?

Kładę pieniądze na ladzie, dziewczyna momentalnie zaciska na nich

palce.

– Bardzo proszę.

– Poczekam tu na ciebie.

– Podaj mi adres.

Znów zwracam się do ekspedientki, ale tym razem obywa się bez pieniędzy.

– Zaraz tam będę.

– Jeszcze jedno – powstrzymuję go. – Tadeusz też powinien przyjechać. – Niech będzie... – chcę powiedzieć „uzbrojony”, w ostatnim momencie się powstrzymuję – przygotowany. – Zapewne bardziej niż broń przydadzą się lekarstwa uspokajające. – Maria jest w pobliżu. Nie znam adresu, nie wiem, co z nią.

Rozłączam się i zwracam do Grażynki:

– Jak długo jedzie się tu z Warszawy?

– Około czterech godzin – odpowiada mechanicznie, a potem patrzy na mnie ze źle skrywaną podejrzliwością.

– Zgubiłam się – powtarzam, mając nadzieję, że nie będzie drążyć tematu.

Oddaję jej telefon i wracam do krzesła w momencie, gdy przychodzi następna klientka. Kupuje proszek do prania i pół litra, „bo stary gości na wieczór zaprosił”. Wychodzi szybko, rzucając na mnie ciekawskie spojrzenie.

– Może przeniesie się pani na zaplecze? – Grażynka ponownie wykazuje troskę. – Tam będzie wygodniej.

Zgadzam się. Nie mam ochoty być przez cały dzień traktowana jak mała w zoo. Na zapleczu nie ma okien, więc wydaje się trochę duszno, ale to mi nie przeszkadza. Dopiero teraz odczuwam, że spacer na mrozie zrobił swoje. Jest też toaleta. Uświadamiam sobie, że dawno już powinnam skorzystać. Kiedy spuszczam spodnie, widzę pod opatrunkiem krew. Bandaż nie jest całkowicie przesiąknięty, więc tragedii nie ma. Zajmę się tym potem.

Wracam do kanciapy i siadam w wyświechtanym, ale miękkim i wygodnym fotelu. Zapadam się w nim, zamykam oczy.

Budzi mnie nagle wzdrygnięcie. Lepiej nie spać. Grażynka nie wygląda na osobę, która chciałaby mi zrobić krzywdę, ale za wcześnie na ulgę. Poczucie bezpieczeństwa może jedynie osłabić czujność. Portfel leży luźno na kolanach. Otwieram go, pieniądze nie znikły. Przeglądam dokładniej zawartość.

– O Boże!

– Coś się stało?

Grażynka pojawia się w drzwiach. Uświadamiam sobie, że moje „O Boże” było wypowiedziane na głos. Wykrzyczane w zasadzie.

– Nie, nie – odpowiadam pośpiesznie. – Coś mi się przyśniło.

Chowam portfel do kieszeni bluzy. Mieści się z trudem.

– Ma pani ochotę na kawę albo herbatę? Może coś do jedzenia?

Za dwieście złotych coś mi się należy.

– Kawę poproszę.

To będzie najdroższa kawa w moim życiu. Kieszeń ma suwak błyskawiczny. Zamykam ją. Dziwne, że do tej pory nie przyszło mi to do głowy. Sporo ryzykowałam, trzymając portfel Marii w ręku lub na kolanach.

# Dorota

Nadgarstki mam obandażowane, zegarek leży na szafce, więc niezbyt często sprawdzam godzinę. Co dziwniejsze, nawet mi się nie chce. Mama wyczuła mnie na pożegnanie, ponownie zapewniła o miłości. Moje myśli są powolne, podobnie jak ruchy. Kilka razy przechodzi mi przez głowę, żeby zajrzeć do laptopa, ale pomysł znika, nie wywołując emocji ani chęci działania. Sięgam w końcu po zegarek. Czternasta trzydzieści dwie, jedenaście sekund. Mama wyszła o ósmej zero sześć, dziesięć sekund, więc jestem sama od sześciu godzin dwudziestu czterech minut i jednej sekundy. Nagle coś przeskakuje mi w mózgu i budzę się z odrętwienia. Sześć godzin i dwadzieścia cztery minuty i jedną sekundę leżę, nie zwracając sobie głowy rzeczywistością. Jakie mam usprawiedliwienie? Że na samym początku zostałam wyłączona z gry? Wskutek różnych zbiegów okoliczności znalazłam się na boisku. Może nie do końca, raczej usiadłam na ławce rezerwowych, ale równocześnie zachowywałam się jak mało profesjonalny trener; rozmieszczałam zawodników według własnego widzimisię, a oni dopasowali się do zabawy. Wszyscy zapomnieliśmy, że to nie sport.

Włączam komputer, ściągam pocztę. Krótka wiadomość od Tadeusza.

*Ola dzwoniła ze sklepu w Danowskich. Jedziemy po nią. Moja żona podobno jest w pobliżu.*

Ola dzwoniła, więc żyje. Zakładając oczywiście, że ten facet pisze prawdę. Sprawdzam miejscowość. Urocza, otoczona jeziorami. W sezonie są tam turyści. Teraz to zwykła opustoszała wioska, cokolwiek to znaczy. Pograżam się w szukaniu informacji i przestaję zwracać uwagę na sygnały świata wokół mnie.

– Cześć, kochanie – słyszę głos mamy. – Zwolniłam się wcześniej z pracy, chcę być z tobą.

Mam na tyle przytomności umysłu, żeby wyjść z internetu. Zamykam klawisz, chcę schować komputer do torby, ale dostrzegam, że mama patrzy prosto na modem.

# Ola

Grażynka otwiera drzwi.

– Do pani...

Nie daję jej dokończyć, wybiegam. Krzychu i Tadeusz stoją pośrodku sklepu. Rzucam się w ramiona przyjaciela i chlipię jak idiotka. Istna sielanka, koniec zmartwień, kurtyna w dół. Żyli długo i szczęśliwie.

– Gdzie Maria? – słyszę głos Tadeusza.

To jeszcze nie koniec.

– Zaprowadzę was.

Żegnam się z Grażynką, jest dosyć wylewna, jakby się bała, że zmienię zdanie i zażądam z powrotem dwustu złotych. Zarobiłaś na nie, dziewczyno – mam ochotę powiedzieć, ale się streszczam, bo dostrzegam, że Tadeusz ledwie panuje nad niecierpliwością.

– Na wszelki wypadek przyjechaliśmy dwoma samochodami – mówi na zewnątrz. – Wsiądź do mojego, będzie szybciej. Krzysiek może pojechać za nami.

– Nie.

Krzychu nie wyjaśnia.

– Chcesz usiąść z przodu? – zwraca się do mnie.

– Chcę obok ciebie.

Otwiera dla mnie tylne drzwi forda Tadeusza. Dżentelmen, kurde. Wsiada z drugiej strony. Dobrze, że mnie nie zostawi.

– Na razie prosto – instruuje.

Po drodze streszczam wydarzenia. Żaden nie komentuje.

– Masz przy sobie broń? – pytam na koniec.

Tadeusz na moment odwraca głowę w moim kierunku. W jego oczach jest trudny do określenia wyraz; interpretuję go jako zgrozę pomieszaną z wrogością.

– Tak – mówi, ponownie patrząc na drogę. Zatrzymujemy się przed domem, który opuściłam zaledwie kilka godzin temu. Zaczynam się trząść.

– Zaczekajcie tutaj – rzuca Tadeusz i wybiega.

Wychodzę z samochodu. Nadal pada śnieg, zimny wiatr przewiewa mnie na wylot, ale tu będę lepiej widziała i słyszała. Nie przekroczę progu tamtego budynku, jednak w aucie czułam się bardziej odizolowana, niżbym sobie tego życzyła. Krzychu nakrywa mnie kurtką. Nie pomaga, nadal szczękam zębami. Pozwalam się przyciągnąć, otoczona jego ramionami czuję się nieco pewniej.

– Aaaaaa! – Z domu dochodzi potworny, mrozący krew w żyłach wrzask.

# Dorota

– Co to jest?

Głos mamy jest spokojny, jakby zadawała nic nieznaczące pytanie. Czuję się podobnie jak podczas jazdy samochodem. Zapadam się w ciemność, brak mi powietrza, za moment się uduszę.

Mama bez dalszych słów odbiera mi komputer, włącza go.

– Skąd masz internet?

Nadal jest porażająco spokojna. Dławię się, nie jestem zdolna wykrztusić żadnego artykułowanego dźwięku. Mama uderza pięścią w stół.

– Skąd to masz? Przestań histeryzować i odpowiedz.

Przeszłość miesza się z teraźniejszością. Wiem, że jestem z mamą, a jednocześnie wydaje mi się, że to babcia uczy mnie tabliczki mnożenia. Przed chwilą uderzyła mnie linijką, za moment czeka mnie to znowu. Chciałabym. Wtedy miałam jakieś szanse uniknięcia ciosu. Teraz sytuacja jest beznadziejna. Prostuję się, patrzę prosto w oczy mamy. Zimne jak Bałtyk. Obce. Wrogie.

– Dostałam.

– Ooo, dostałaś, to ciekawe – szydzi. – A ja myślałam, że wyszłaś do sklepu i kupiłaś.

Nie spuszczam wzroku, ale nie mówię tego, co ciśnie mi się na usta. Wyszłabym, gdybyś nie zamknęła mnie w klatce.

– Od kogo dostałaś?

Mama ponownie uderza pięścią w stół. Nie bije mnie po palcach. Podnoszę w górę ręce, przyglądam się obandażowanym nadgarstkom. Przysięga nadal jest ważna? Mama chwyta mnie za prawą dłoń, ściska z całej siły, wbija paznokcie w skórę. Wyrywam się.

– Nie wiem, czy wolę to, czy bicie linijką, ale nieźle ci idzie. Babcia

byłaby z ciebie dumna.

Nie mam pojęcia, jak przeszło mi to przez gardło, gdzie znalazłam hardość.

– Wydaje ci się, że jesteś elokwentna? Dowcipna? Złośliwa?

Kręcę głową. Żadne z tych określeń nie pasuje do mnie.

– Nie. Jestem żalonym potworkiem.

– Jasna cholera! – Mama wreszcie podnosi głos. – Czego ty chcesz?! Wylać na mnie własną frustrację?! Nie z mojej winy urodziłaś się taka! Nie piłam w ciąży, nie paliłam, nie uprawiałam sportów ekstremalnych. Nie wyskrobałam cię, nie oddałam do zakładu, dałam ci miłość, całe życie podporządkowałam tobie.

Rozkleja się, jej twarz staje się mokra. Znow jest moją mamusią, osobą, którą znam na wskroś. Najbliższą. Którą kocham bardziej niż cały świat, bardziej niż siebie i swoją hipotetyczną wolność.

– Mamo...

Chcę położyć jej rękę na ramieniu, cofa się jak przed dotknięciem robaka. Doprowadziłam do tego, że brzydzi się mną całkiem otwarcie. Przestaje płakać równie nagle jak zaczęła, patrzy na mnie jak śledczy przesłuchujący podejrzanego w jakimś nędznym kryminale. Co mi zostało oprócz drwienia w myślach? Kocham cię! – krzyczę w duchu.

– To teraz nieistotne – mówi mama twardo i chociaż wiem, że jej słowa odnoszą się do poświęcenia dla kalekiego dziecka, czuję, jakby odpowiadała na moje wyznanie miłości. Odbieram to jak policzek, na który zasłużyłam. – Zadałam ci pytanie. Od kogo dostałaś modem?

Mrugam powiekami. Nie mogę jej powiedzieć. Im mniej kłamstw jednak, tym lepiej.

– Było włamanie, pamiętasz? – zaczynam idiotycznie.

Jestem pewna, że mama zareaguje szyderstwem, ale zaczyna oddychać z trudnością, jakby się dusiła, jak ja w napadach rzekomej klaustrofobii. Kiwa głową, jej oczy niemal wychodzą z orbit. Przestała w jakikolwiek sposób przypominać babcię. Czuję przewagę, robię się spokojna.



- Jednak weszli na górę?
- Tak. Jeden z nich podarował mi modem – ciągnę.
- Po co?
- Żebym miała z nim kontakt.

Mama znów uderza pięścią w stół. Jest purpurowa na twarzy, wygląda jak uosobienie wściekłości. Kulę się. Przeceniłam swoją przewagę.

# Ola

Tadeusz niesie żonę na rękach. Kobieta zwisa bezwładnie, jakby spała albo była martwa. Przeżalenie podchodzi mi do gardła. Byłam gotowa zabić, ale to mogła być cena odzyskania wolności. Nie chcę już śmierci.

– Zaaplikowałam jej zastrzyk – wyjaśnia Tadeusz. – Mam go zawsze w pogotowiu, chociaż dawno nie było potrzeby, żeby...

Urywa, układa Marię na tylnych siedzeniach samochodu, przypina pasem.

– Muszę jak najszybciej zawieźć ją do szpitala. Podrzucę Olę pod sklep.

– Nie. – Krzychu i ja protestujemy jednocześnie. Odwracamy do siebie głowy, uśmiechamy się.

– Dobrze, jak chcecie. – Tadeusz nie nalega. – Skontaktuję się z wami wieczorem.

Wsiada do samochodu, odjeżdża. Odprowadzam forda wzrokiem, oddycham z ulgą. Jestem bezpieczna.

– Mogliśmy jednak przyjechać dwoma samochodami – wzdycha Krzychu. – My z przodu, Tadeusz za nami.

– Świetnie, geniuszu. Szkoda, że wcześniej na to nie wpadłeś.

– Zaniosę cię – oznajmia. – Nie powinnaś nadwyręzać teraz nogi.

Nie protestuję. Rycerz niesie na rękach ocaloną księżniczkę. Sielanka, kurde! Drwię w myślach, ale nie tłumię radości. Powinnam powiedzieć, co znalazłam w portfelu Marii, jednak odkładam to na później. Słowa nie zakłócą tej chwili.

Krzychu również się nie odzywa. Gdy docieramy na miejsce, jest zasapany.

– Zmęczyłeś się? – Próbuję włożyć w ton trochę dawnej drwiny.

– No wiesz... – Uśmiecha się, patrząc mi prosto w oczy. – Słodki, bo słodki, ale ciężar.

Wchodzimy do samochodu. Chcę skomentować ten „ciężar”, ale otacza mnie ramionami i słowa gdzieś odpływają.

– Martwiłem się o ciebie – mówi, wodząc ustami po moich policzkach. – Bardzo.

Jego dłonie wślizgują się pod bluzę, gładzą nagą skórę pleców. Rozchylam wargi, całuje mnie. Chyba postradałam zmysły. Odpycham go, odsuwam się do okna.

– Nie – mówię ostro.

Ostrzej niż powinnam. Wyraz jego twarzy przypomina mię małego chłopca złapanego na zrywaniu jabłek z cudzego sadu. Wzruszenie ściska mnie za gardło. Zawsze będę w jakiś sposób kochać tego chłopca.

– Przepraszam. – Opieram rozpalone czoło o szybę.

Przekręca kluczyk w stacyjce, rusza.

– To ja przepraszam. Nie powinienem.

Ma rację, nie powinien. To nie było nic innego niż wykorzystanie momentu mojej słabości. Dobrze, że rozum mi wrócił, zanim sprawy zaszły za daleko.

– Nic się nie stało – mówię lekceważąco.

Tak będzie najłatwiej: zbagatelizować ten głupi pocałunek. Krzychu się nie odzywa, patrzy prosto na drogę. Twarz mu stężała. Wyciągam portfel, otwieram.

– Może zacieka cię zawartość.

Rzuca szybkie spojrzenie, po czym ponownie koncentruje wzrok na drodze. Mięśnie na jego twarzy się rozluźniają.

– Kasa? – mówi z uśmiechem. – Przeliczę później, okej?

Muszę się roześmiać. Jest jak dawniej. Mój dowcipny przyjaciel-złodziej. Casanova przy okazji też, ale to mnie nie dotyczy. Nie ma powrotu,

przynajmniej dopóki nie wyjaśnimy sekretu morderstwa matki mojej szefowej.

– Nie chodzi mi o kasę – mówię poważnie. – Zatrzymaj się na poboczu.

– Co?

– Zatrzymaj – powtarzam. – Musisz to obejrzeć.

# Dorota

– Cholera jasna, co ty sobie, gówniarzyco, wyobrażasz?! Bawisz się ze mną w kotka i myszkę?! Gadaj!

– Przecież... – zaczynam.

– Kto to był?

– To...

Milknę.

– To nie gra, idiotko! Gadaj!

Prawie powiedziałam. Oprzytomniałam w ostatniej chwili. Nie wmieszam w to Oli. To ostatnia szansa. Nie wiem dla kogo, nie wiem na co, ale uczepiam się tej myśli, wierzę, że to prawda. Wyobraźnia pracuje na pełnych obrotach, podsuwa historię.

– Przedstawił się jako Antek, nie podał nazwiska.

– Jak wyglądał?

– Około trzydziestu lat, szczupły, wysoki, pewnie ze dwa metry, blon...

– Pisałaś do niego? – przerywa mama.

– Kilka razy, już dawno nie.

– Pokaż mi te maile.

Patrzę na nią z pogardą. Po raz pierwszy w życiu.

– Nie.

Uderza mnie w twarz. Boli. Dotykam policzka.

– Pokaż mi te maile – syczy.

Za chwilę uderzy znowu. Widzę to w jej oczach.

– Nie. – Trzęsę się cała. Nie chcę ciosów, boję się. – To moja prywatna

korespondencja.

– Twoja prywatna korespondencja, tak? – Wrzeszczy tak, że prawie pękają mi bębenki. Kropelki śliny lądują mi na twarzy. – Nie masz prywatnej korespondencji, wstrętna gówniario!

Rzeczywiście wali mnie ponownie, tym razem w oba policzki. Nie chcę płakać. Nie potrafię jednak zapanować nad idiotycznymi łzami.

– Gadaj! Nie maż się!

Znów bierze zamach. Zasłaniam twarz. To zupełnie co innego niż tamte dwa żłosne policzki w naszym domu. Wtedy prawie nie bolało. Ciosy spadają na głowę, coraz silniejsze. Bije pięściami. Nie wytrzymam długo. Próbuję hamować mdłości, ale przy kolejnym uderzeniu z ust chluszcze fala wymiotów. Mama przestaje.

– O Boże, Dorotko, przepraszam.

Myje mnie, przebiera, bezustannie błagając o wybaczenie. Wszystko wydaje mi się nierealne, jakby przydarzało się komuś innemu. Kształty są rozmazane, słowa docierają przytłumione, zniekształcone. Nie reaguję, nie ze złościwości, poczucia niesprawiedliwości czy zemsty, po prostu nie mam siły.

# Beata

To działo się naprawdę. Pobiła własne dziecko. Dorota naraziła je obie na niebezpieczeństwo, ale przecież nie usprawiedliwiało to bestialstwa. Podła, jestem podła – powtarzała Beata w myślach, patrząc z przerażeniem na opuchniętą twarz córki, na jej uciekające do góry źrenice. Dziewczyna co chwila traciła i odzyskiwała przytomność. Znajdowała się na skraju świadomości, jakby jej organizm nie mógł się zdecydować, w którą stronę pójść. Na skraju życia. Co za bzdura. Aż taka krzywda jej się nie stała. Wyjdzie z tego, a po kilku tygodniach nie zostanie ślad. Nikt nie będzie mógł udowodnić matce brutalnego pobicia. Jezu Chryste! Beata niemal żałowała, że to pusty zwrot. Fajnie byłoby zwrócić się do jakiegoś boga, otrzymać przebaczenie. Po cholere? Nie takiego przebaczenia potrzebowała. Nie od jakiegoś facia, który ponoć dał się ukrzyżować, żeby ludzie już zawsze składali mu hołd.

– Dorotko.

Żadnej reakcji. To ona doprowadziła do tego stanu, ona przekroczyła kolejną granicę, chociaż była pewna, że dalej już nie można się posunąć. Nałkowska z bożej łaski. Przeczytałaś kilka książek i będziesz znajdowała cytaty na każdą okazję.

– Dorotko. Już nigdy. Nigdy.

Zabrzmiało jak echo słów, które wypowiedziała w podobnej sytuacji. Podobnym tonem. Do czego prowadzi bezkarność i nieograniczona władza nad drugim człowiekiem? Okazało się, że wcale nie nieograniczona. Co Dorota zrobiła, do czego się posunęła? Co napisała? Czy naprawdę tylko jednej osobie, czy też wie o niej już pół Polski? Rany, za chwilę ktoś tu może przyjść. Skażą ją już nie tylko za ukrywanie córki przed światem, lecz także za pobicie. Dorzucą jeszcze morderstwo, czemu nie. Całe życie spędzi w więzieniu. Spojrzała na opuchniętą, siną twarz i poczuła, że sama musi wyrzygać.

Kiedy wróciła z toalety, Dorota miała zamknięte oczy i oddychała

spokojnie. Może nawet spała. Beata podeszła, położyła dłoń na czole córki. Dziewczyna skuliła się, osłoniła głowę.

– Nie. – Zabrzmiało jak skomlenie psa. Bitego psa.

Beata cofnęła dłoń. W gruncie rzeczy zasłużyła na resztę życia w pudle. Sięgnęła po komórkę i przeszła do kuchni. Wystarczy wybrać sto dwanaście i połączą ją z policją. Zakończy to wreszcie. Dotykała kolejnych cyfr, pokonując strach.

– Numer alarmowy sto dwanaście. Proszę czekać na zgłoszenie się operatora.

Nacisnęła czerwoną słuchawkę. Nie powinna iść tą drogą. Kto zaopiekuje się Dorotą, gdy ona będzie gnić w pierdłu? Przyjąć konsekwencje, tak, ale nie zostawiać dziecka samego. Odszukała nazwisko adwokata. Popławski odebrał natychmiast.

– Panie mecenasie.

Nie da rady. Jak ubrać w słowa to, co się stało? W dodatku przez telefon.

– Pani Beato? – mówił łagodnym głosem, jak wtedy, gdy zapewniał, że wszystko będzie dobrze.

– Ja... – Nie mogła zacząć od tego, co zrobiła. – Okazało się, że Dorota miała internet.

– Słucham?

Opowiedziała, co usłyszała od córki.

– Sądzi pani, że to prawda?

Niczego nie sądziła, niczego nie wiedziała.

– Czy co jest prawdą?

– Że pisała tylko do włamywacza?

– Nie wiem. Ja... Głos jej się załamał.

– Pani Beato. – Popławski znów brzmiał jak pocieszyciel. – Nasza sytuacja się nie pogorszyła, po prostu wiemy więcej.



Rzeczywiście. Dorota siedziała w internecie, ale nikt tu nie przychodził, nikt nie podawał ich do sądu, nie zgłaszał na policję.

– Tak – szepnęła.

– Lepiej, żebyśmy wiedzieli wszystko – ciągnął adwokat. – Proszę porozmawiać z córką, spróbować wyciągnąć od niej całą prawdę.

Wyciągnąć całą prawdę. Beata stłumiła odruch wymiotny.

– Ja... próbowałam i... straciłam panowanie nad sobą. Ja... ją...

Nie była w stanie dokończyć. Nie teraz. Nie przez telefon.

– Pani Beato, jestem z panią, cokolwiek pani zrobiła. Rozumiem szok, stres. Nerwy. Odtąd jednak proszę nad sobą panować.

Zabrzmiało jak rozkaz.

– Dobrze – powiedziała potulnie.

Usłyszała jeszcze kilka współczujących słów, zapewnień, że wszystko będzie dobrze. Odłożyła telefon i pobiegła do pokoju. Dorota nie spała. Oczywiście, zazwyczaj duże, teraz szparki w poobijanej twarzy, patrzyły wprost na matkę. Beata uklękła i pokryła pocałunkami dłońie córki.

– Kochanie, to się już nigdy nie powtórzy, uwierz mi.

Już to mówiłaś, pamiętasz? Matka śmiała się w jej głowie.

# Ola

Podaję mu portfel.

– Przejrzyj.

Nie liczy pieniędzy, nie żartuje. Wyciąga wizytówki. Te, które się liczą, zostawiłam na wierzchu. Są trzy.

– Amelia Romanowska – odczytuje. – Tu były?

– Przecież nie podrzuciłam, nie?

Krzychu w napięciu przygląda się kawałkom papieru, jakby badał autentyczność.

– Jedziemy na posterunek.

Nie jestem pewna, czy słyszę znak zapytania.

– Nie, jeszcze nie.

Chciałabym. Maria powinna odpowiedzieć za wszystko. Jeśli zdecydują, że jest kompletnie niepoczytalną wariatką, niech zamkną ją w psychiatryku. Do końca życia. Jedyne, co mi przeszkadza w złożeniu raportu, to lojalność w stosunku do dziewczyny, którą widziałam raz. Zapewne fałszywie pojęta lojalność.

– Ola... – Krzychu dotyka moich włosów, po czym szybko cofa rękę. – Prawie umarłaś przez nią.

W samochodzie jest ciepło, ale przechodzą mnie nieprzyjemne ciarki, jakbym znalazła się na zewnątrz. Prawie umarłam. Następna trauma do kolekcji.

– Ale nie umarłam.

Próbuję się roześmiać, marnie mi wychodzi.

– Powinniśmy natychmiast pojechać na posterunek.

Tym razem to na pewno nie pytanie. Kręcę głową.

– Najpierw skontaktuję się z Dorotą.

– Czy nie sądzisz, że ta zabawa stała się zbyt niebezpieczna? Dziewczyna pociąga za sznurki z odległości kilkuset kilometrów, a my dajemy sobą manipulować tylko dlatego, że ona jest kaleką.

– Krzychu!

– Tymczasem ona nie ryzykuje niczego, siedzi sobie w ciepłku.

– Krzychu!

– Jak długo będziemy jej marionetkami? – ciągnie, nie zwracając uwagi na moje pełne oburzenia wykrzykniki. – Dopóki jedno z nas naprawdę nie zostanie wyeliminowane? Czy wtedy też będzie oczekiwać, że drugie pociągnie tę grę dla jej przyjemności? Policja przyjęła zawiadomienie o twoim zaginięciu. Teraz pójdziemy i powiemy resztę.

– Nie zmusisz mnie do niczego. Nie złożę zeznań obciążających Marię, dopóki nie skontaktuję się z Dorotą.

– Jasny gwint! – Wali pięścią w deskę rozdzielczą. – Jeszcze ci mało?! To nie jest zabawa!

– Więc się wymiksuj. Ja gram dalej.

– To nie jest...

Nie daję mu dokończyć.

– Po prostu zawieź mnie do Warszawy i wracaj. Z furią przekręca kluczyk, rusza z piskiem opon.

– Trochę się uspokój, nie mam zamiaru zginąć na drodze tuż po uwolnieniu z łap wariatki.

Prycha z wściekłością, ale zwalnia. Odwracam głowę, obserwuję mijany krajobraz. Wszystko jest pokryte świeżym śniegiem, brud zasypany. Próbuje skoncentrować się na bieli, nie potrafię.

– Jedziemy do Warszawy? Jesteś pewna?

– Najzupełniej.

– Okej – mruczy. – Ale kiedy to się skończy, stawiasz dużą wódkę.

Uśmiecham się.

– Nie ma sprawy.

Nie myślałam poważnie, że Krzychu mnie zostawi. Ten głupi niepokój nie miał żadnego racjonalnego uzasadnienia.

# Dorota

Mama całuje mnie po rękach, cały czas płacząc.

– Kochanie, to się już nigdy nie powtórzy, uwierz mi.

Budzi się we mnie diabelski chochlik, coś na kształt czarnego poczucia humoru. Mam ochotę poprosić, żeby przysięgała, usłyszeć „na moją miłość do ciebie” i wybuchnąć drwiącym śmiechem. Dość słabe to poczucie humoru, a poza tym wolę nie prowokować przyrzeczeń, boję się, że mogą być wymagane ode mnie w rewanżu. Nie mówię więc nic, ale wspaniałomyślnie gładzę ją po głowie.

– Przebaczasz mi? Potakuję.

– Ja tobie też, kochanie, chociaż być może sprowadziłaś na nas potworne niebezpieczeństwo.

Wracamy do codziennej farsy. Zaciskam zęby. Nic z tego. Zbyt wiele się zmieniło.

– Musisz mi powiedzieć – szepcze mama.

W jej tonie nie pojawia się już agresja. Może sobie próbować różnych taktyk. Nie wyciągnie ze mnie nic. Nic.

– Dorotko, spójrz na mnie.

Patrzę prosto w jej oczy.

– Musisz mi powiedzieć – powtarza gorąco i czule, jakby wypowiadała wyznanie miłosne.

Nie da mi spokoju, dopóki nie podejmę rozmowy.

– Co powiedzieć, mamusiu?

– O czym mu pisałaś?

– O różnych rzeczach. O tym, że lubię czytać, że sama napisałam kilka opowiadań, że nigdy z nikim nie korespondowałam, a internet jest dla mnie

nowym doznaniem.

– Pisałaś, że jestem twoją matką?

Nie waham się ani chwili.

– Nie.

– Pisałaś, że nikt o tobie nie wie?

– Nie. Po co?

– A co pisałaś... – Zacina się, trudno przechodzą jej przez usta niektóre słowa – o babci?

– Nic.

– Pokaż mi te maile. Chcę wiedzieć, jak mogą być niebezpieczne.

– Mamo, nie mogę, to prywatna korespondencja.

– Ty nic nie rozumiesz!

Znów podnosi głos. Prawie chce mi się śmiać, ale się cofam, zasłaniam twarz i głowę, jakbym chciała uniknąć ciosów. Uświadamiam sobie, że stosuję jej taktykę, wpycham ją w poczucie winy. To śmieszy mnie jeszcze bardziej. Wewnątrz. Na zewnątrz zachowuję powagę, okazuję lękliwość. Działa. Głos mamy traci ostrość, ponownie staje się płaczący.

– On zabił babcię, może zabić nas.

– Nie zabił! – protestuję.

Zbyt gwałtownie.

– Skąd wiesz, pisałaś z nim o tym?

Nie ma sensu zaprzeczać. Chyba nie ma.

– Tak.

– Mówiłaś przecież, że nic nie pisałaś o babci. – W jej ton wślizguje się oskarżenie o kłamstwo.

– Napisałam tylko o morderstwie – próbuję się bronić.

Mama kręci głową.

– I że ją wywiozłam do lasu?

Nie zmienia intonacji, nie zacina się.

– Nie. – Nie potrafię nadać głosowi pewności. – Po prostu, że nie żyje.

– Jeśli nie on zabił, powie policji.

Nie patrzy na mnie, chyba mówi sama do siebie. Mam ochotę wykazać nielogiczność jej rozumowania, ale znów robi mi się słabo. Może mam wstrząśnienie mózgu. Jak to się leczy? Nie sprawdzę w internecie. Już nic nie sprawdzę w internecie. Gdybym miała siłę, wyłabym i wierzgała tylko z tego powodu.

– Może nie powie. – Głos mamy dociera jak zza ściany. – Jest zamieszany, poszedłby siedzieć.

Brawo, mamusiu, całkiem nieźle ci idzie. Szyderstwo się tli, ale nie chce się rozpalić.

– Chyba że zgłosi anonimowo – ciągnie mama. – Pokaż mi te maile.

Powiedziałabym po raz kolejny, że to prywatna korespondencja, ale nawet otwarcie ust wydaje się wysiłkiem przekraczającym możliwości.

– Muszę je zobaczyć – słyszę jeszcze, po czym wszelkie obrazy i dźwięki przestają docierać.

# Ola

Krzychu umawia mnie na wizytę do doktor Zawadzkiej. Nie protestuję. Na pewno przyda się, żeby obejrzała mnie lekarka.

– Co się stało? – pyta Zawadzka, odwijając przesiąknięty opatrunek.

– Zostałam postrzelona. – Patrzy niepewnie, więc wyjaśniam. – Kolega zabrał nas na strzelnicę. To był wypadek, właściwie moja wina. Kulę usunięto mi w szpitalu, ale stuprocentowe zaufanie mam tylko do pani.

Biorę ją pod włos głównie dlatego, że nie przekonują ją moje tłumaczenia na temat strzelnicy. Powściąga ciekawość. Ostatecznie nie współpracuje z NFZ-em, dostaje sporo kasy bezpośrednio od pacjentów. Jedynym jej obowiązkiem jest leczyć bez zadawania zbędnych pytań.

– Czy operacja została prawidłowo wykonana?

– Tak.

Oddycham z ulgą. Nie do końca wierzyłam w lekarskie umiejętności Marii.

– Wszystko dobrze, ale szwy pękły. Zmienimy je od razu. – Chyba zbladłam, bo dodaje: – Proszę się nie obawiać, będzie bezboleśnie.

Zamykam oczy, nie chcę na nic patrzeć. Lekarka uwija się szybko.

– Nie oszczędzała pani tej nogi – oznajmia tonem odkrywcy. – Trzeba trochę bardziej o siebie dbać. – To dodaje z intonacją, którą przestałam lubić, z intonacją troskliwej matki.

– Postaram się – mruczę.

– Wypiszę pani receptę na kule – mówi. – NFZ zwraca część kosztów.

Zważywszy na to, że podałam fałszywe nazwisko, nie liczę na jakikolwiek zwrot, ale przecież mogę pokryć koszty z portfela Marii.

Zawadzka bada mi również kostkę, o której zdążyłam zapomnieć.



Przepisuje maści i środki znieczulające, upomina, żebym się oszczędzała. Chyba nigdzie mnie nie zadenuncjuje – myślę, zamykając drzwi. Trochę żałuję. Gdyby spełniła obywatelski obowiązek, zrzuciłaby ze mnie odpowiedzialność.

Krzychu jak zwykle flirtuje z recepcjonistką. Nigdy mu dosyć. Drzwi wejściowe się otwierają i wchodzi jej brat. Ciepły błysk w oczach, galanteria. Mówi „dzień dobry”, jakby używał specjalnej intonacji dla mnie, jakbym była najbardziej interesującą kobietą na świecie. Znowu myślę, że nie ma to nic wspólnego z podrywem, przynajmniej w tradycyjnym rozumieniu. Rysy recepcjonistki również przybrały nowy wyraz, znikła kokieteria, pojawiła się miękkość. Świat jest piękny i tak dalej. Ogarnia mnie jakaś głupia, nieracjonalna radość, chciałabym pobyc z tym dziwnym mężczyzną, zostać przekonaną, że mogę zdobywać życie, czerpać z niego garściami, ale Krzychu pociąga mnie za rękę i zostaję wepchnięta w poprzednie ograniczenia.

– Patrzyłaś na niego jak sroka w gnat – mówi Krzychu w samochodzie.

Wzruszam ramionami, po czym odwracam twarz w kierunku pierwszego i jedyne go chłopaka, jakiego miałam.

– Jesteś zazdrosny?

Nie powinnam. Po dzisiejszym obściskiwaniu się i pocałunku takie słowa brzmią prowokująco.

– Tak.

Nie próbuje obrócić niczego w żart. Chce mi się płakać, ale zagryzam tylko wargi.

– Jedźmy. Jestem zmęczona.

Przekręca kluczyk w stacyjce.

– Przepraszam.

Wszystko mnie boli. Jedziemy do sklepu rehabilitacyjnego i kupujemy kule, dużo ładniejsze niż te, których używałam na działce „dziadków”.

# Dorota

Mama klęczy przy mnie, patrzy z troską. Ułożyła mnie na boku, więc od razu napotykam jej spojrzenie.

– Jak się czujesz?

Wzruszam ramionami o tyle, o ile jest to w tej pozycji możliwe.

– Zapewne mam wstrząśnienie mózgu.

– Nie przypuszczam. Powinnaś jednak leżeć spokojnie i nie wykonywać gwałtownych ruchów – instruuje.

Zamykam oczy. Nie chcę z nią rozmawiać ani na nią patrzeć. Leciutko dotyka palcami moich włosów. Muśnięcie sprawia, że rezygnuję z odgradzania się, podnoszę powieki, wpatruję się w wilgotne błękitne oczy.

– Tak bardzo cię kocham – słyszę.

Prawie odwzajemniam wyznanie, powstrzymuję się w ostatniej chwili. Przygryzam usta, niezbyt mocno, ale czuję smak krwi. Wydaje mi się tak nieprzyjemny, że z trudem panuję nad kolejną falą wymiotów. Przekąkam z obrzydzeniem. Zapewne mam rozcięte wargi po uderzeniach. Dotykam policzków, wydają mi się spuchnięte. Wyglądam zapewne jeszcze gorzej niż zazwyczaj. Chciałabym przejrzeć się w lustrze, zobaczyć podbite oczy, siną twarz. Po raz pierwszy własne odbicie przejęłoby mnie wstrętem nie do siebie.

– Chcesz coś do picia, kochanie?

– Nie.

– Nie chcesz pokazać mi tych maili, prawda?

Nigdy nie odpuści.

– Nie.

Mogłabym dodać, że to jedyne, co mi zostało, ale nie będę na darmo

strzepić języka. Mama i tak nie zrozumie. Tym razem nie nalega. Bierze laptopa i wychodzi do kuchni. Słyszę, że uruchamia komputer.

– Co będziesz robić? – wołam.

Nie powinnam. To przyznanie się do strachu. Mama pojawia się w progu z ciepłym uśmiechem.

– Sprawdzę historię, kochanie.

– Po co? – pytam głupio.

– Muszę przeczytać te maile. Chyba że pokażesz mi je sama. – Kręcę głową. – W ten sposób odzyskałabyś moje zaufanie, a i tak dojdę do prawdy.

Blefuje. A jeśli nie? W ustach nagle wysycha.

– Napiję się jednak czegoś.

Mama mnie poi, ale nie zamieniamy już ani jednego słowa. Poprawia mi poduszki, okrywa i ponownie wychodzi.

Nie uda jej się. Musiałaby być hakerką albo chociaż mieć jakieś umiejętności informatyczne. Nie ma. Zawsze mi mówiła, że jest typową humanistką, a komputer traktuje jak narzędzie, którego zasad nie rozumie, ba, chwaliła się własną ignorancją. Babcia by mi wyjaśniła, o co chodzi w tej technice. Ona lubiła wszystko wiedzieć, lubiła przekazywać mi wiedzę, nieważne, w jaki sposób. Miałam okazję samodzielnie nadrobić niedostatki edukacji, korzystając z internetu, teraz na zawsze straciłam tę możliwość. Sztywnieję, zdając sobie sprawę, że odpływam myślami bardzo daleko, zapominając o bezpośrednim niebezpieczeństwie. Co, jeśli mama jednak potrafi włamać się na moje konto? Czym to naprawdę grozi? Podnoszę rękę, przecieram czoło, trochę się dziwię, że jest mokre, podczas gdy jest mi tak bardzo zimno.

Mama staje w progu z triumfalnym uśmiechem. Przestaję oddychać.

– No, no, poczta na Gmailu. – Kręci głową, jakby nie dowierzała całkiem banalnemu faktowi. – Nazwałaś się Dorota Wakacyjna 53? – dodaje sarkastycznie. – To trochę nieaktualne, nie?

Powoli wypuszczam powietrze.

# Ola

Odechciało mi się zamykać w pokoju i płakać w pościel. To takie banalne po wszystkim, co przeżyłam. Krzychu usadził mnie na kanapie, kazał wyciągnąć nogę, podłożył pod nią kilka poduszek. Postawił przede mną ugotowany przez siebie rosół, prosił, żebym jadła. Zgodziłam się pod warunkiem, że będzie mi towarzyszył. Ukazał olśniewającą biel zębów w lekko drapieźnym uśmiechu i stwierdził, że do jedzenia on zawsze pierwszy. Laski lecą na ten uśmiech hollywoodzkiego amanta, a mnie się podoba, że wróciliśmy do dawnych, bezpiecznych, bratersko-siostrzanych relacji. Relacji sprzed włamania do domu szefowej. Myślałam, że będę w sobie wmuszać, ale okazało się, że jestem piekielnie głodna. Człowiek to jednak nieskomplikowany mechanizm, posłuszny pierwotnym instynktom. Pochłonęłam talerz zupy, z apetytem zjadłam dokładkę, po czym powiedziałam, że muszę napisać maila. Nie patrzyłam na Krzycha, jestem jednak pewna, że uśmiechnął się krzywo, wcale nie po hollywoodzku.

Wstukuję więc teraz wiadomość do Doroty. Wciągam się, jakbym pisała opowiadanie, podoba mi się nagły zwrot akcji i typowy hollywoodzki (skąd we mnie zamiłowanie do tego słowa?) happy end. Historia byłaby śliczna, ale nie mogę jej tak zostawić. Piszę o wizytówkach.

*Postanowiłam zdać się na Twój osąd. Ta sprawa najbardziej dotyczy Ciebie. Widzę trzy opcje. Pierwsza: idziemy na policję i opowiadamy wszystko. To byłoby najwłaściwsze, a może również i najprostsze. Druga: dzielimy się wiedzą z Tadeuszem. To konsekwentnie wynika z naszego wcześniejszego postępowania. Można mieć nadzieję, że facet będzie kierował się poczuciem sprawiedliwości, a nie osobistym uwikłaniem. I wreszcie trzecia możliwość: nie robimy nic. Dotrzyliśmy słowa, odkryliśmy morderczynię Twojej babci. Na tym miała się skończyć nasza rola. Naraziliśmy się chyba wystarczająco, teraz pora na powrót do domu i poprzedniego życia.*

*Ty zdecyduj. Dla Ciebie to się jeszcze nie kończy. Wcześniej czy później*

*zniknięcie Twojej babci zostanie zauważone. Tradycyjne śledztwo jest nieuchronne.*

*Proszę, odpowiedz szybko. Być może z moich niektórych słów wyciera pretensja, ale mimo wszystko sądzę, że w porównaniu z Tobą mam uprzywilejowaną pozycję. Ty, zamknięta w czterech ścianach, nie jesteś nawet w stanie narazić się na niebezpieczeństwo. Chciałabym, żeby ta historia miała prawdziwy happy end.*

Tak kończę. Nie dodaję, że prawdziwym happy endem byłoby uwolnienie Doroty. Ona i tak zrozumie. Nie wiem tylko, czy zechce wykorzystać szansę.

Czy naprawdę odkryliśmy morderczynię? Po raz pierwszy wkrada się wątpliwość. Jaki dowód stanowią wizytówki? Same wizytówki to może mało, ale wystarczają w połączeniu z dostępem do broni, chorobą psychiczną i motywem.

Mija godzina za godziną. Sprawdzam pocztę co pięć minut, ale Dorota nie odpowiada. Prawdopodobnie szefowa odbębnia obowiązek wizyty u córki. Zamykam na chwilę oczy i wraca koszmar ostatnich dni. Prawie umarłam. Życie wydaje mi się teraz na tyle cenne, że nie mam ochoty nim szastać. Środki ostrożności będą konieczne. Nadal nie ma maila od Doroty. Dopiero dziewięta trzydzieści. Szefowa przypuszczalnie jeszcze jest u córki. Podnoszę głowę na pukanie do drzwi.

– Proszę.

– Dzwonił Tadeusz. Chce tu przyjechać. Powiedziałem, że muszę to skonsultować z tobą.

Wzruszam ramionami.

– Niech przyjedzie. Gdyby chciał się nas pozbyć, zrobiłby to wcześniej. Na razie nie mówmy mu o tych wizytówkach.

– Dobra. – Krzychu nie próbuje przekonywać mnie do czegokolwiek innego. – Za godzinę?

– Tak.

Dlaczego Tadeusz zadzwonił do Krzycha, nie do mnie? Ach tak, nie mam już komórki. Pochyłam się nad komputerem. Nadal brak odpowiedzi od

osoby, która powinna być najbardziej zainteresowana. Pewnie kochająca mamusia została z nią na noc.

# Dorota

Nie odzywam się. Czekam.

– Jeszcze nie przeczytałam twoich maili. Jeszcze masz szansę pokazać mi je sama.

Mogę sobie wyobrazić, czym jest sprawdzenie historii na komputerze. To przypuszczalnie narzędzie dostępne dla każdego. Odkryła mój adres, wielkie rzeczy! Wystarczyło wejść na Gmaila, zawsze był wpisany. Włamanie na cudze konto to zupełnie inna sprawa. Całe szczęście, że nie przyszło mi do głowy pozostawać zalogowaną.

– Mamo, to moja korespondencja.

– To, co się może stać, dotyczy nas obu! – mówi ze złością i znów wychodzi.

Postanawiam trwać w uporze. W jakiś pokrętny sposób sytuacja zaczyna mnie bawić. Mama wraca.

– Korzystałaś z Facebooka?

O co jej chodzi? Na wszelki wypadek wzruszam ramionami.

– Kiedyś weszłam.

Zaprzeczanie nie ma sensu. Ma tę swoją historię.

– Kiedyś weszłaś – powtarza wolno. – Czy to ty pisałaś do tej koleżanki babci?

Przeszywa mnie ostrym spojrzeniem. Mówi cicho, lecz ton jest twardy, pozbawiony sentymentalizmu sprzed kilkunastu minut. To chyba nie jest odpowiedni sposób traktowania osoby podejrzewanej o wstrząśnienie mózgu, które zresztą samej się spowodowało. Nie ryzykuję powiedzenia tego na głos, ale sama myśl pomaga mi wytrzymać jej wzrok, nie spuścić oczu. Zabawa trwa.

– Nie.

Mama wychodzi. Ponownie grzebie w moim komputerze. Nie potrafi. Nie odgadnie hasła. Nawet gdyby przyszło jej do głowy, że dwudziesty drugi stycznia był przełomową datą, którą postanowiłam uwiecznić, nie podejrzewa powiązań między mną a jakąkolwiek Aleksandrą. Chyba że jej myśli pójdą własnym torem i spróbuje po swojemu. Zawsze uważała, że fascynuje mnie to, co ją. Miała rację. Zastanawiam się nad jej fascynacjami w dniu włamania. Jedną z nich był książkę z bajki, przy okazji żonaty łajdak. Drugą młoda bibliotekarka. Modłę się do Boga, w którego ona nie wierzy, więc ten Bóg z czystej przyzwoitości powinien stanąć po mojej stronie. Proszę, niech jej myśli nie podążą tym tropem. Proszę. Zatracam się w tym błaganiu, a później, jakby ośmielona, zaczynam wznosić inne modły. Spraw, żeby wszystko skończyło się szczęśliwie. Proszę. Nie formułuję, co oznacza szczęśliwe zakończenie, nie mam pojęcia, w jaki sposób byłoby ono możliwe. Przecież Bóg od tego jest Bogiem, żeby znał odpowiedzi nawet na takie pytania. Powoli się uspokajam, wyciszam.

– Kochanie. – Mama trzyma mnie za rękę. Nie zauważyłam, kiedy weszła. Spałam czy straciłam przytomność? – Nie podałaś mi adresu tego mieszkania?

Nadal niczego nie wie. Przynajmniej w jednej sprawie Bóg jest moim sprzymierzeńcem. Co do adresu, chyba już pytała.

– Nie. Przecież nie znam – mówię zbolalym tonem.

Niech wie, że mnie męczy. Na jej twarzy zamiast wyrzutów sumienia widzę cień ulgi.

– To dobrze. Jutro porozmawiam z informatykiem.

Straszy mnie. Wątpię, żeby znała jakiegoś informatyka, a nawet jeśli, o co niby go spyta? Jak włamać się na konto córki, która nie istnieje? Ścisnę moje palce.

– Już o tym nie mówmy.

Dobry pomysł. Zamykam oczy. Rozkoszuję się jej dotykiem, jakby nic się nie stało.



# Ola

– Jestem wam winien wyjaśnienia.

Siedzimy przy stole w kuchni. Każde z nas obejmuje kubek herbaty, jakbyśmy chcieli rozgrzać palce. Głupie. Kładę dłonie na stole, wbijam wzrok w zmęczoną twarz Tadeusza.

– Zaczynij od tego, w jaki sposób twoja żona znalazła się w posiadaniu broni.

– Trzymałem ten pistolet w zamykanej szafce. Nie miałem nawet pojęcia, że ona o nim wie. Nigdy się tym nie interesowała.

– A klucz?

– Nośłem w kieszeni.

– Był tylko jeden? – wtrąca ostro Krzychu.

– Tak, ale... jest możliwe, że odwiesiłem marynarkę, a ona mogła sięgnąć do kieszeni i dorobić dodatkowy.

Wymieniamy z Krzychem spojrzenia.

– To z twojej strony spore niedopatrzenie, prawda?

Ledwie dostrzegalne kiwnięcie głową.

– Zauważyłeś, że broń zniknęła razem z twoją żoną? – pyta Krzychu.

Tadeusz patrzy mi prosto w oczy.

– Tak.

– Nie powiedziałeś mi o tym! – Krzychu uderza pięścią w stół. – Nie powiedziałeś też na policji.

– Nie powiedziałem, kiedy zgłaszaliśmy zaginięcie. – Tadeusz na moment patrzy na Krzycha, po czym ponownie przenosi wzrok na mnie. – Powiedziałem swoim kumplom prywatnie.

Coś zaczyna mnie dławić. Widzę Marię mierzącą do mnie z pistoletu, który wzięła, ot tak sobie, z szafki we własnym mieszkaniu. Chowam ręce pod stół, żeby nikt nie dostrzegł ich drżenia. Krzychu wyczuwa, że dzieje się ze mną coś niedobrego, i na moment kładzie mi dłoń na ramieniu. Pomaga. Rozluźniam się.

– Powinniście za to odpowiedzieć – syczy Krzychu. – Oboje.

– Jestem gotowy. – Tadeusz nie odwraca wzroku. – Moja żona leży w szpitalu w ciężkim stanie. Jest niepoczytalna, to ja odpowiadam za wszystko.

Jakie to, kurde, szlachetne. Chcę wygłosić jakąś kąśliwą uwagę, ale Krzychu odzywa się pierwszy: – I niech nie przychodzą ci do głowy żadne głupoty. Poinformowałem moją znajomą o obciążających cię faktach. Jeśli nie odezwę się do niej do północy, ma iść na komendę i opowiedzieć dokładnie o wszystkim.

Próbuję zachować kamienną twarz, nie wzdrygnąć się ze zdziwienia.

– Dzwoniłem już, mówiłem, że się znalazłyście. – Tadeusz zwraca się do mnie, ignorując słowa Krzychu. – Musisz dopełnić formalności i zgłosić się na komisariat. Jeśli zechcesz, możesz wniesć oskarżenie.

Przez chwilę bawię się myślą, że mam władzę. Nie wykorzystam jej, nie teraz. Wszyscy mamy coś do ukrycia.

– Na razie nie wniosę oskarżenia – oznajmiam. – Nie przyszło ci do głowy, że to ona zabiła Katarzynę? – dodaję na jednym tchu.

– Oszalałaś? – mówi ostro Tadeusz. Ostrzej niż powinien, zważywszy na okoliczności. – Kiedy waszym zdaniem zostało popełnione morderstwo, byliśmy razem. Tu, w Warszawie.

Kręcę głową.

– Pojedźmy na komendę teraz. Chcę to mieć za sobą.

Krzychu marszczy brwi.

– Może jutro? Nie jesteś zbyt zmęczona?

– Nie – ucinam dyskusję.

Rysy policjanta, z którym rozmawiam, rozmazują się, mam trudności ze

skupieniem wzroku na jego twarzy. Mówię, że pojechałam z żoną Tadeusza do działkowego domku jej siostry. Maria chciała się oderwać, wpadła na pomysł, żeby nie mówić nikomu, gdzie jesteśmy, i wyłączyć komórki. Zgodziłam się, nie zdawałam sobie sprawy, jakie następstwa to może pociągnąć. Podpisuję jakieś papiery i tyle. Wizyta na posterunku wydaje się nierzeczywista jak mający niewielkie znaczenie sen. Tadeusz chce ponownie jechać z nami do domu Katarzyny, ale Krzychu protestuje.

– Jutro. Dajmy jej odpocząć.

Gada, jakby mnie tu nie było, ale jest mi wszystko jedno. Sprawdzam jeszcze pocztę. Nie ma wiadomości od Doroty. Ukłucie niepokoju nie powraca. Spać. Myśleć będę jutro.

Budzę się o piątej. Nadal nie przyszedł mail, na który czekam. Nic dziwnego. Jeśli matka została z nią na noc, Dorota nie miała możliwości odebrać poczty.

Przechodzę do drugiego pomieszczenia. Krzychu śpi na boku, oddycha równomiernie. Przez chwilę przyglądam się jego rozluźnionej twarzy. Gdyby ktoś nas obserwował, mógłby pomyśleć, że zakochana małolata wpatruje się w swojego idola. Wycofuję się po cichu, ale nie wracam do łóżka. Miałabym ochotę chodzić po pokoju, jak robiłam to, będąc uwięziona, ale o kulach to nie to samo. Siadam przy biurku, co kilka minut sprawdzam pocztę.

# Dorota

Mama poszła do pracy, zabierając ze sobą mój komputer. Nie zadowolili się odebraniem mi modemu. Podwójne zabezpieczenie? A może rzeczywiście będzie grzebać w laptopie z jakimś hakerem? Jest mi prawie wszystko jedno. Jeśli odkryje prawdę, moja sytuacja się nie pogorszy. Co może zrobić Oli? Zapewne nawet nie wyrzuci jej z pracy. Będą związane jeszcze silniej, mając się nawzajem w garści. Sama nigdy nie powiem, postawiłam to sobie za punkt honoru. Napawam się rolą prześladowanej bohaterki.

Mama prosiła, żebym leżała, ale nie mam zamiaru jej słuchać. Przemieszczam się na wózek, jeżdżę po mieszkaniu. Przynajmniej w czasie jej nieobecności będę robiła, co chcę, we własnych ścianach. Gównu własnych. Uśmiecham się. Mam ochotę używać wulgaryzmów, na złość mamie.

– Gównu własnych. To więzienie – mówię na głos.

Zastanawiam się nad znaczeniem. Zdarzały się przypadki ucieczki z więzień lepiej strzeżonych. Wprawdzie nie słyszałam, żeby uciekła kaleka bez nóg, ale ktoś musi być pierwszy. Mam szansę. Kierunek myśli mnie zdumiewa. Nigdy nie marzyłam, żeby uciec, życie z mamą było priorytetem. Wczoraj również udało jej się obezwładnić mnie psychicznie. Nawet po brutalnym pobiciu i nachalnym grzebaniu w komputerze pozostawała dla mnie aniołem. Bzdura, bzdura, cholerna, pieprzona bzdura! Tylko ją kocham, nie zmienię tego, choćbym pojechała na drugi kraniec ziemi. Zostanę tu? Z powodu miłości? Pomieszczenie robi się coraz mniejsze, ściany zbliżają się do siebie, za chwilę mnie zgniotą. Duszę się jak w samochodzie. To tylko klaustrofobia. Uspokój się, idiotko. Zamykam oczy, zmuszam się do regularnego oddechu.

Atak paniki mija. Nie zostanę tu, postanawiam. Potrzebuję wolności, zdobędę ją, nawet jeśli cena będzie bardzo wysoka. Miejsce przerażenia zajmuje energia, jakiej wcześniej nie znałam. Nie mam wstrząśnienia mózgu, nie czułabym się w ten sposób. Jadę do kuchni, wybieram nóż, którym nie

tak dawno podcinałam sobie żyły. Głupi pomysł. Teraz wykorzystam to narzędzie znacznie lepiej. Przemieszczam się do drzwi frontowych, grzebię w zamku. Przydałby mi się chłopak Oli. On wiedziałby, jak sobie z tym poradzić. Mnie też się uda. Nie dziś, to jutro. Albo za dwa dni.

# Ola

Już po dziesiątej, a wiadomości nadal nie ma.

– Musimy porozmawiać – oznajmiam.

Krzychu wstał niedawno. Wypiłam już trzy kawy, ale siedzę przy następnej, dotrzymując mu towarzystwa.

– Dajesz – zgadza się z uśmiechem.

Wygląda na zaspanego.

– Powinniśmy coś zrobić. Patrzy ze zdziwieniem.

– Co masz na myśli? Mam wrażenie, że bezustannie coś robimy.

– Dorota nie odpisała. Powinniśmy zdecydować, co zrobimy z wizytówkami.

– Już mówiłem, trzeba iść na policję.

Wzdycham.

– Jesteś uparty. Na samym początku zgodziliśmy się, że nie będziemy mieszać w to policji. – Krzychu kręci głową i otwiera usta, ale ciągnę, nie zwracając na niego uwagi. – Obiecałam Dorocie. Nie pójdę na policję, dopóki z nią nie porozmawiam.

– A więc wracamy do Trójmiasta.

Powrót jest kuszący. Zamknęłabym ten rozdział. Napisałam Dorocie, że odkryliśmy mordercę, więc nasza rola się skończyła. Nie będzie trudności, żeby porozmawiać z córką szefowej. Krzychu otworzy mi kolejne drzwi, to dla niego bułka z masłem.

– Myślisz, że to Maria zabiła jej babcię?

Krzychu wzrusza ramionami.

– Nosila w portfelu te cholerne wizytówki, to może oznaczać, że

podawała się za Amelię Romanowską. Motyw miała, a poza tym jest nieźrównowazona psychicznie. Dostęp do broni też na nią wskazuje. Nie widzę innych kandydatów oprócz Tadeusza, który mógł się znudzić kochanką. Nam powiedział o jednorazowym numerku dla zamydlenia oczu.

– I zastrzelił ją ze służbowego rewolweru? Sądysz, że jest aż tak głupi?

– To mógł być inny rewolwer.

– Taa – mruczę. – Ale po co właściwie miałby ją zabijać? Nie wystarczyło kulturalnie zerwać?

– Może go szantażowała? – podsuwa niepewnie Krzychu. – Może straszyla, że wszystko powie żonie?

– Naprawdę myślisz, że była aż tak zdesperowana?

– Nie wiem. Ludźmi targają różne namiętności.

– A on aż tak się przestraszył, że ją zabił?

Krzychu wygląda, jakby meł w myślach odpowiedź.

– Nie wydaje mi się to prawdopodobne – mówi w końcu.

– A więc ona.

– Mówi, że byli wtedy w Warszawie. Razem.

– Chroni ją albo swój tyłek.

– Powinniśmy to sprawdzić.

– Dobra. Sprawdźmy, jeśli masz pomysł jak. Może od niego zażądać dowodu? Nie widzę innego wyjścia, niż gadać z nim. Wszystko niech leży u tej twojej znajomej. – Słyszę, że brzmie jadownicę, chociaż wcale tego nie chciałam. – Dobry miałeś pomysł – dodaję, uważając na intonację. – To nas trochę chroni.

Krzychu patrzy mi prosto w oczy. Nie mam pojęcia, dlaczego akurat teraz myślę o wczorajszym pocałunku. Dotykam ust, on się uśmiecha. Nagle czuję się bezbronna, więc odwracam wzrok.

– Muszę się przyznać, jeszcze tego nie zrobiłem. Dopiero podczas rozmowy z nim przyszło mi to do głowy. Chyba uwierzył, nie?

– Chyba – odpowiadam szorstko. – Ja uwierzyłam. W każdym razie musisz to zrobić. – Zaczyna ogarniać mnie złość, ale nie mam ochoty wdawać się w dyskusję. Wyszłabym na idiotkę, którą zresztą się czuję. – Teraz – dodaję, wstając. – Pisemnie. W razie czego... zanieś to na policję.

W razie czego oznacza chyba w razie naszej śmierci.

– Dobrze, szefowo. Już się zabieram.

Idę do pokoju, sprawdzam pocztę. Nadal nic. Niepokój atakuje z nową siłą.



# Dorota

Jestem zmęczona. Oddycham szybko, twarz mam zalaną potem. Wiedziałam, że moje zadanie nie jest łatwe, jednak nie przypuszczałam, że wymaga aż takiego wysiłku fizycznego. Najpierw próbowałam majstrować w dziurce od klucza, przekręcić zamek. Nie ograniczałam się do noża, zmieniałam narzędzia, stosowałam nożyczki, pilnik, gdzieś znalazłam nawet śrubokręt. Siłowałam się z tym cholernym ustrojstwem, coś skrzypiało, brzęczało, ale drzwi pozostawały zamknięte. Zdecydowałam się zmienić metodę. Wycinam krawędź drzwi blokującą dostęp do zamka. Kiedy już będzie widoczny, spróbuję go przeciąć. Na razie robię bałagan, na podłogę lecą odkrojone kawałki, celu nie widać. To nic, wcześniej czy później go osiągnę. Przychodzi myśl, że wtedy bardziej przydałaby mi się piłka do metalu, ale wyrzucam ją z głowy. Koncentruję się na pracy, nie zastanawiając się, co będzie dalej. Ręce mi omdlewają, ale nie ustają.

Kiedy słyszę zgrzyt zamka, jak oparzona odjeżdżam od drzwi. Kieruję się do kuchni, rzucam na stół nóż. Mama. Zerkam na zegarek. Siedemnasta zero dwie, dwadzieścia jeden sekund. Co się stało z moim poczuciem czasu? Dlaczego nie sprawdzałam godziny, czemu odrzuciłam kontrolę nad czymś, co teraz było naprawdę istotne? Cholera! Słyszę jej kroki, pojawia się w drzwiach.

– Cześć, kochanie. Jak się...

Urywa, jej spojrzenie wędruje do noża na stole, wraca do mojej twarzy. Dlaczego nie potrafię przybrać odpowiedniej maski, przywołać powitalnego uśmiechu?

– Klucz nie obracał się tak łatwo jak zwykle – mówi wolno.

Jej wzrok zdaje się przewiercać mnie na wylot. Nie wytrzymuję, spuszczam oczy. Wychodzi, nie jadę za nią, nie mam siły oglądać, jak podnosi z ziemi pilnik, nożyczki i śrubokręt, studiuje zniszczenia, których dokonałam. Wszystko na darmo – kołacze mi w myślach. To już koniec. Koniec. Koniec. Wracają wczorajsze mdłości, w głowie się kręci. To nie

wstrząs mózgu. To tylko poczucie klęski. Tylko? Koniec.

– Co ty wyprawiasz?!

Mama wkracza do kuchni. Jest wściekła, będzie chciała mnie ukarać. Jakie prawo ma do tego matka, która całe życie więziła własną córkę? To ja powinnam ją ukarać, jestem do tego moralnie upoważniona. To wcale nie koniec. Gra nadal się toczy. Podnoszę nóż ze stołu. Twarz mamy blednie.

– Co ty wyprawiasz? – powtarza, ale w jej tonie tym razem nie ma wściekłości. Jest strach.

– Walczę o swoją wolność – oznajmiam niespodziewanie spokojnie.

Ogarnia ją panika widoczna gołym okiem. Mam władzę. Przez chwilę napawam się tym kompletnie nowym uczuciem. Blondwłosa piękność trzęsie się jak w febrze. Jest nędznym małym robakiem – myślę ze wstrętem. W wyciągniętej prawej ręce trzymam nóż, lewą kładę na kółku wózka. Niewiele dzieli mnie od wolności. Tylko ta kobieta. Wystarczy kilka ciosów, może jeden. To łatwiejsze niż krojenie nożem metalowego zamka.

# Ola

Krzychu wrócił od swojej pielęgniarki. Nie wiem, co poza tym z nią robił, ale zostawił jej trzy egzemplarze zapisu wydarzeń, wszystkie w zapieczętowanych kopertach. Gdyby się z nią nie skontaktował do północy, pielęgniareczka ma z jednym biec na policję, z drugim do prokuratury. Ostatni ma zachować do kontaktów z prasą, gdyby śledztwo utkwiło w martwym punkcie. Zapytałam, ile dziewczyna wie, a Krzychu jedynie wzruszył ramionami. Nie naciskam, nie chce mi się.

Za chwilę przyjdzie Tadeusz. Bardziej niż rozmowa z policjantem, który może zrobić nam krzywdę, niepokoi mnie milczenie Doroty. Wprawdzie może istnieć milion wytłumaczeń, ale nabieram pewności, że stało się coś złego. Jeszcze raz sprawdzam pocztę, po czym zmieniam opatrunek. Noga goi się dobrze, ale przypuszczam, że zostanie blizna. Nie obchodzi mnie to. Gówno prawda. Chciałabym być piękna, chociaż nie wiem po co.

Tadeusz ma szarą, zmęczoną twarz. Wcale nie przypomina pełnego uroku mężczyzny, którego poznałam niedawno. Tyle się wydarzyło, mam wrażenie, że od tamtego czasu minęły wieki. Porwanie, postrzał, ucieczka. Jasne, to też. Bardziej jednak chodzi o nieodwracalne zmiany w mojej świadomości. Przed wyprawą do Warszawy byłam naiwną dziewczynką. Matka alkoholiczka i prostytutka, oddanie do bidula, gwałt, a ja i tak zachowałam idealistyczną tęsknotę za perfekcyjnymi rodzicami, pragnęłam relacji stworzonych w wyobraźni. Teraz matka ani ojciec nie są mi potrzebni do niczego. To nie cynizm, tylko życiowa mądrość. Jestem wreszcie dorosłą kobietą, bez rodziców, ale z przyjaciółmi, o których będę walczyć. Kobieta potrafiącą udźwignąć odpowiedzialność. Boże, jakie to patetyczne. Próbuję się ganić, ale podoba mi się tok mojego rozumowania. Koncentruję się na konwersacji.

– Jak ona się czuje? – pyta Krzychu.

– Jest otumaniona lekami, nie ma z nią kontaktu.

Głos Tadeusza wydaje się wypruty z emocji, ale w jego oczach dostrzegam rozpacz. A może tylko ją sobie wyobrażam? Może to dalszy ciąg

popisu aktorskiego?

– To przykre – mówię chłodno. – Czy Dorota do ciebie pisała? – zmieniam temat.

Przez chwilę patrzy, jakby nie rozumiał, o co pytam, potem coś zaskakuje.

– Nie. Trochę to dziwne, bo powiadomiłem ją o wszystkim.

Przygryzam wargi.

– Czy nazwisko Amelia Romanowska coś ci mówi? – pytam.

– Nie – odpowiada bez chwili wahania. Za szybko, za pewnie. Kłamie. Nie jestem pewna. Niczego nie jestem pewna. – Kto to?

– Dziennikarka. Osoba, która się za nią podawała, była u Beaty po morderstwie.

– Dziennikarka?

Nie potrafię ocenić jego szczerości. Teraz najistotniejsze jest bezpieczeństwo.

– Krzychu zostawił u kilku znajomych zapis tego, co się stało. – Lepiej z jednej pielęgniarki zrobić parę osób. Tadeusz jeszcze gotów wysledzić tę biedną dziewczynę. – Pamiętaj.

Wzrusza ramionami.

– O co chodzi? – pyta szorstko.

Zbyt szorstko, zważywszy na to, że zwraca się do cudem ocalonej kobiety.

– Poczekaj – odpowiadam podobnym tonem.

Nie przygotowałam tego portfela, chyba podświadomie chciałam uzyskać lepszy efekt dramaturgiczny. Między kuchnią a pokojem czuję się jak aktorka w roli głównej.

– To zabrałam, zanim opuściłam domek siostry twojej żony – mówię, kładąc portfel na stole.

Tadeusz patrzy na portfel, po czym przenosi na mnie pytający wzrok.

– Przejrzyj – nakazuję. Nie rusza się. – Wydałam kilka stów, ale nie wkładałam tam niczego.

W tym momencie dociera do mnie, że zachowujemy się jak cholerni amatorzy. Nie używając rękawiczek, mogliśmy zniszczyć dowody, a teraz daję Tadeuszowi wiele możliwości, żeby się ich pozbyć. Za późno, żeby się nad tym zastanawiać. Policjant wyciąga banknoty jeden po drugim, odkłada na stół, jakby je liczył, później skupia się na drobnych, wreszcie przechodzi do wizytówek. Studiuję każdą po kolei, wydaje mi się, że naigrywa się ze mnie. Dochodzi do Amelii Romanowskiej i jego twarz wreszcie się zmienia.

– O kurwa – wyrywa mu się.

Wymieniamy z Krzychem spojrzenia. Nie spodziewaliśmy się takiej reakcji. Tadeusz się podnosi i kieruje do drzwi wejściowych. Krzychu zastępuje mu drogę.

– Dokąd... – zaczyna.

– Później. – Tadeusz z dziecinną łatwością odsuwa Krzycha. – Niczego nie rozumiecie, dzieci – dodaje, otwierając drzwi.

Krzychu wybiega za nim. Ja nie mam szans. Bez kul już nie ruszam się z mieszkania, a z kulami po schodach idzie mi wolno. Nie dogoniłabym ich tak czy inaczej. Zbliżam się do okna. Krzychu kładzie rękę na ramieniu Tadeusza, ten wskazuje samochód. Wsiadają razem. Serce podchodzi mi do gardła. Gorączkowo szukam komórki, dopiero po dłuższej chwili przypominam sobie, że Maria ją zabrała. Jasna cholera! Stoję sparaliżowana, ze stuporu wyrywa mnie sygnał telefonu stacjonarnego. Dzwonił kilka razy wcześniej. Poza pierwszym połączeniem Tadeusza nie odbierałam. Drżącą ręką podnoszę słuchawkę. Nie odzywam się.

– Halo? – słyszę męski głos. – To ty?

Sytuacja wydaje się kuriozalna, ale wcale mnie nie śmieszy.

– To chyba pomyłka – oznajmiam, niemal nie poznając swojego głosu. – Kto mówi?

Facet po drugiej stronie odkłada słuchawkę. Coś było znajomego w jego

głosie, zarazem coś kompletnie nie pasowało. Skupiam się maksymalnie i wybieram numer komórki Krzycha. Odbiera po drugim sygnale. Oddycham głęboko.

# Dorota

Podjeżdżam. Zatrzymuję się tuż przed nią i wznoszę rękę, gotowa zadać pierwszy cios.

– Oddaj mi nóż.

Mama przestała się trząść, jej głos jest niespodziewanie spokojny. Mama. Moja mama. Zaciskam mocniej palce na rękojeści. Nie cofa się, patrzy mi prosto w oczy.

– Chcesz mnie zabić?

Opuszczam dłoń i zaczynam płakać.

– Oddaj mi nóż – powtarza mama i wyciąga rękę.

Nie mam sił. Nóż upada na podłogę. Widzę jeszcze, jak mama się schyla i go podnosi, po czym wszystko spowija ciemność.

# Beata

Przez chwilę stała nieruchomo, wpatrując się w córkę. Nie mogła w nic wierzyć, nawet w to, że Dorota naprawdę zemdląca. Istniało prawdopodobieństwo, że to przebiegła gra. Nogi jednak robiły się coraz słabsze, kolana drżały. Beata ostrożnie osunęła się na posadzkę, nie spuszczać wzroku z twarzy kaleki. Własnej córki. Niedośzłej matkobójczyni. Policzki dziewczyny bladły, głowa przekrzywiła się na bok. Dorota nie potrafiłaby odegrać utraty przytomności tak perfekcyjnie. Beata zerknęła na nóż, który nadal trzymała w zaciśniętej dłoni. Jeszcze nie czas się z nim rozstawać. Zebrała wszystkie siły, wstała. Zawiozła Dorotę do sypialni, zablokowała wózek przy łóżku. Podniosła rękę. Palce miała zbieleć od ściskania rękojeści. Odrzuciła nóż. Potoczył się po podłodze, ale pozostał w pokoju. Podeszła, wykopała go na przedpokój. Będzie musiała usunąć z mieszkania wszelkie ostre przedmioty. Wzięła kilka głębokich wdechów i przeniosła córkę na łóżko.

Usiadła na krześle obok. Co się przed chwilą stało? O mało nie umarła. Poprawka, o mało nie została zabita. Śmiertelny cios został niemal zadany przez beznogą dziewczynę, którą Beata nazywała swoim dzieckiem. Brzydziła się nią. Popełniła kilka błędów, ale nie posunęła się tak daleko jak ta leżąca na łóżku kaleka. Obrzydzenie obrzydzeniem, jednak trzeba się mieć na baczności, potrafić się obronić. I pomyśleć, że całe jej życie kręciło się wokół Doroty. Nie tylko zrezygnowała z wolności, lecz także kochała to podłe stworzenie. Kochała! Nie można przestać kochać nawet po czymś takim. Trzeba jednak ustalić cały szereg zasad. Przede wszystkim nie pozwolić sobą więcej manipulować, wkręcać w poczucie winy.

Wstała, wyciągnęła z torebki komórkę, przeszła do kuchni. Z kimś musiała podzielić się tym, co się stało. Popławski odebrał od razu. Przywitał ją tak ciepło, że prawie się rozplakała.

– Panie Henryku. – Nie chciała nazywać go mecenasem. Nie po to zadzwoniła, żeby przestrzegać reguł relacji: klientka–opłacany adwokat. –



Ona chciała mnie zabić.

Cisza, jakby próbował przyswoić jej słowa.

– Kto? – Zapytał w końcu. – Pani matka?

– Nie! – Prawie krzyknęła. O czym on mówił? Czy sądził, że chciała przyznać się do morderstwa, usprawiedliwić je samoobroną? – Moja córka.

– Pani Beato. – Wrócił do poprzedniego łagodnego tonu. – Proszę mi opowiedzieć.

Zrelacjonowała wypadki i dostała to, po co zadzwoniła. Współczucie. Pocieszenie. Zrozumienie.

– Dziękuję – szepnęła.

– Czy nie sądzi pani, że biorąc pod uwagę okoliczności, należałoby ujawnić już istnienie pani córki?

– Przecież pan mówił...

– Tak, wiem. Nie należy mieszać dwóch spraw. Na dodatek zapewne córka nadal ma... – zawahał się, szukając słowa – ślady. To dla sądu nie będą okoliczności łagodzące. Mimo to...

– Mimo to? – ponagliła.

– *Żyjecie na krawędzi*. To staje się zbyt niebezpieczne.

– Panie mecenasie. – Już nie miała ochoty nazywać go panem Henrykiem. – Panuję nad tym.

– Czy potrzeba pani pomocy? Może przyjadę, porozmawiam z nią.

– Nie – odrzekła chłodno. – Jeszcze nie czas.

Pożegnała się, odłożyła telefon. Na razie mogła liczyć jedynie na siebie. Wróciła na krzesło przy łóżku córki. Cokolwiek się stało, Dorota nie przestała być jej córką. Należało dbać o bezpieczeństwo i panować nad sobą. Tylko tyle. *Żyjecie na krawędzi*. Znów zobaczyła własne dziecko ze wzniesioną ręką. Z nożem. *Panuję nad tym*. Oby to była prawda.

# Dorota

Budzę się lub odzyskuję przytomność. Leżę w łóżku, mama siedzi na krześle obok. Jest bardzo blada, jej oczy są skupione na mojej twarzy. Wydaje mi się jeszcze piękniejsza niż zwykle. Serce przepęlnia miłość.

– Mamusiu – szepczę, nakrywając dłonią jej rękę.

Cofa się, wstrząsa, jakby usiadł na niej karaluch. Nigdy nie okazywała mi takiego wstrętu. Czuję, że ma rację. Coś się stało. Zrobiłam coś potwornego. Nie pamiętam. Nic nie pamiętam.

– Mamusiu – powtarzam bezradnie.

Chciałabym błagać o przebaczenie, ale wiem, że mi nie przebaczy. Potworny ciężar w głowie i na piersiach. Co się stało? Co ja zrobiłam? Powinnam sobie przypomnieć, może wtedy znajdę słowa, którymi ją przebłagam. Mama coś mówi, nie potrafię jednak połączyć wyrazów, wyłapać sensu. Jej głos jest opanowany, lecz tak smutny, że serce bije coraz boleśniej. Boże, co ja zrobiłam? Zdaję sobie sprawę, że powiedziałam to na głos. Reakcji mamy już nie rejestruję, bo ponownie osuwam się w ciemność.

Kiedy tym razem otwieram oczy, pamięć wraca. Mama nadal siedzi na krześle, blada i piękna. Poruszam ustami, niezdolna wykrztusić słowa. Na co słowa? Nie zmienią przeszłości, nie powstrzymają mojej ręki zaciskającej się na nożu, wznoszącej do ciosu. O Boże. O Boże. Mama mówi, tym razem rozumiem wszystko.

– Dorotko, nie potrafię przestać cię kochać. Na zawsze pozostaniesz częścią mnie, pomimo tego, co się stało. Pomimo tego, co zrobiłaś. Będę się tobą opiekować, dopóki żyję. Nie mogę na razie cię dotykać. Wiem, że to teoria. Będę cię karmić, wozić do łazienki, myć. Jeśli zajdzie potrzeba, zmienię ci pieluchę. Przez dotyk rozumiem co innego, nie obowiązki opiekunki. Może to się zmieni... kiedyś.

– Przebacz. – Udaje mi się wycharczeć.

Kręci głową.

– To nie jest kwestia przebaczenia. Zawiodłaś moje zaufanie. Pierwszy raz, korespondując z bandziorem. Nawet kiedy to odkryłam, winiłam siebie. Uznałam, że pozostawiałam ci niewiele swobody. Wprawdzie innego wyjścia nie było, ale widocznie nie potrafiłam dostatecznie wyjaśnić powodów. Twój atak jednak dowodzi, że jesteś kimś zupełnie innym niż osoba, za którą cię uważałam. Muszę to zrozumieć, oswoić się z tym.

Coś się we mnie zmienia. Ciężar nie ustępuje, ale podnosi się bunt. Teraz pamiętam już nie tylko siebie z palcami zaciśniętymi na rękojeści, gotową do ciosu, lecz także wypadki, które do tego doprowadziły. Pobiłaś mnie – chcę powiedzieć, ale nie potrafię przerwać potoku jej wymowy. Mówi gładko, jak aktorka odgrywająca główną rolę. Nawet zająknięcia wydają się wystudiowane. Gwiazda. Przygotowała się do występu, kiedy leżałam nieprzytomna. Nabiera oddechu, tym razem milknie na dłużej. Wykorzystuje szansę.

– Dobrze ci idzie. Wyuczyłaś się tego na pamięć.

Przez chwilę mam wrażenie, że mnie uderzy. Kulę się, zasłaniam głowę.

– Nie prowokuj mnie. Już nigdy nie dam się sprowokować.

Zalewa mnie poczucie winy.

– Mamusiu – jęczę, ale ona wstaje, wychodzi.

Ogarniam wzrokiem pomieszczenie. Wózek stoi pod przeciwległą ścianą. Nie mam szans go dosięgnąć. Myśli się płaczą. Jestem zbrodniarką, która powinna odbywać karę, czy uciśnioną ofiarą? Trzęsę się, raz pogardzając sobą, to znowu litując się nad biedną kaleką.

# Ola

– Przed chwilą ktoś dzwonił. Odebrałam.

– Kto?

– Mężczyzna. Dokąd jedziecie?

Boję się, że Krzychowi coś się stanie. Boję się, że Dorocie już coś się stało. Ja wyszłam cało. Na razie.

– Do domu sprawcy. Tadeusz mówi, że wie.

– Wierzysz mu?! – krzyczę.

– Oleńko, to ma sens. Powiedz... rozpoznałaś głos tego mężczyzny?

Próbuję uspokoić rozdygotane nerwy. Krzychowi niepotrzebna teraz moja histeria.

– Nie – mówię z wahaniem. – Nie wiem. Coś w nim było znajomego.

– Jeśli skojarzysz, zadzwoń.

Rozłącza się. Czy rzeczywiście znam głos tego człowieka? Dlaczego coś w nim nie pasowało? Odrzucam najprostsze wytłumaczenie, że telefon dokonuje zniekształceń. Gdzieś, tuż pod powierzchnią świadomości leży odpowiedź i cholernie irytujące jest, że nie potrafię jej osiągnąć. Idę do komputera. Nie ma odpowiedzi od Doroty. Niespodziewanie zaczyna piec mnie rana. Ostrożnie odwijam opatrunek. Nie widzę nic niepokojącego. Może jednak powinnam znów umówić się na wizytę do doktor Zawadzkiej? Nagle wiem, do kogo należał ten głos. Wiem też, co mi nie pasowało. Kiedy słyszałam go w poczekalni, był łagodny, lecz silny i pewny. Teraz, przepełniony rozpaczą, wydawał się należeć do człowieka, który potrzebuje pomocy. Wybieram numer Krzycha.

– Wiem, kto dzwonił. Brat recepcjonistki.

– Tak, wszystko się zgadza. Już jesteśmy na miejscu.

– Co się zgadza?

– Ola, później. Wrócę niedługo.

Znów przerywa połączenie.

Próbuję okiełznać strach, zrozumieć cokolwiek. Krzychu nie został złapany i wepchnięty do samochodu Tadeusza, przeciwnie, dobrowolnie wybiegł za nim. To pułapka zastawiona przez policjanta-przestępcę. Na Krzycha. Na nas. Sama nie mam żadnych szans. Miałam kontrolować niepokój, a tylko się nakręcam.

Załóżmy, że się myliłam i Maria nie zabiła Katarzyny. Tadeusz odkrył, kto jest mordercą. Powiedziałam Krzychowi o telefonie, a on stwierdził, że wszystko się zgadza. Co się zgadza? Brat recepcjonistki zabił? W jego głosie słyszałam rozpacz i tęsknotę. To mogłoby oznaczać, że był tajemniczym kochankiem, ale nie wskazuje na niego jako na mordercę. Chyba że świruje. Potrząsam głową. Czy świr zabija i za moment o tym zapomina? Nie wiem, brak mi doświadczenia, jedynym świrem, jakiego znam, jest Maria. Wraca wspomnienie zamknięcia, ale szybko udaje mi się wyrzucić je z głowy. Świr zabił i zapomniał, niech będzie. Nie mógł jednak podawać się za Amelię Romanowską. Nikt nie uwierzyłby, że jest kobietą.

# Dorota

Słyszę, że mama krząta się po mieszkaniu, sypialnię starannie omija. Uspokoiliam się już, emocje opadły i jestem zdolna spojrzeć na sytuację z dystansu. Nie ma wątpliwości, że trzymałam ten nóż, była chwila, kiedy zamierałam wbić go w mamę. Nie zrobiłam tego. Wiem z książek i filmów, że ludzie fantazjują w różny sposób, pozostawiając zbrodnie w umyśle. To samo było ze mną. Nigdy nie zabiłabym mamy. Nie zmienia to faktu, że samo uniesienie noża było karygodne. Teraz mama mnie ukarze brakiem czułości, obecności czy czego tam jeszcze. Po swojemu. Wrócimy do punktu wyjścia, do sytuacji sprzed włamania. Mam ochotę znów się rozryczeć, ale opanowuję to nadzwyczaj szybko. Pytanie, jak dużo mama wie, czy doszła do moich maili. Nie sądzę. Nie dałaby rady tego przemilczeć. Nawet jeśli mnie karze. Szczególnie gdy mnie karze. „Jeśli” należy skreślić.

Mama przynosi talerz z kanapkami.

– Powinnaś coś zjeść – mówi chłodno.

Uświadamiam sobie, że pomimo wszystkiego, co się stało, jestem głodna. Biorę kawałek chleba.

– Dziękuję.

Twarz mamy pozostaje surowa.

– Powinnyśmy określić kilka zasad.

Przełykam kęs, nie odzywam się. Cisza się przedłuża. Specjalnie, myślę. Jestem z siebie zadowolona. Zachowuję dystans. To dobra strategia.

– Będę się tobą zajmować. – To już mówiła. Mam nadzieję, że na tym nie skończy. Sięgam po drugą kanapkę. – Dostaniesz jeść, zostaniesz umyta i przewinięta.

Krztuszę się.

– Przewinięta? – powtarzam.

– Kiedy tu będę, oczywiście zawiozę cię do łazienki. Czasem jednak przerwy będą na tyle długie, że nie wytrzymasz. Pojadę do domu na noc, przyjdę po pracy. Nie powinnaś wstrzymywać się aż tyle. Nawet gdyby twój pęcherz był do tego zdolny, to raczej niezdrowo.

– Ale przecież – przerywam – mogę się załatwić sama.

– Nie. – Nie wiem, czy wyczuwam w jej tonie satysfakcję, czy tylko sobie wyobrażam. – Wózek będzie stał po drugiej stronie. Nie mogę ryzykować. Dzisiaj o mało nie umarłam.

Zachować dystans, przypominam sobie. Koncentruję się na równomiernym oddechu, próbuję rozluźnić mięśnie. Nie pomaga.

– Mamusiu – jęczę błagalnie. – Przysięgam... przysięgam.

– Przestań – przerywa mi ostro. – Niewiele dla mnie znaczą twoje przysięgi. Kiedyś wierzyłam ci bezgranicznie.

Nie mogę zachować dystansu, nie teraz, gdy grozi mi ostateczna degradacja. Z ust wychodzą brzydkie jęki, bezsensowne błagania, które tylko mnie pogrążają. Wiem to i nie mogę przestać.

– Mamuś, mamuś, przepraszam. Już nigdy. Błagam.

Tak w kółko, aż zdaję sobie sprawę, że nie ma jej w pobliżu. Wyszła, bo się brzydzi. Sama się sobą brzydzę, ale prawdziwy smak obrzydzenia nadejdzie, gdy będę leżeć w brudnych pampersach.

– Będę niedługo wychodziła. – Mama staje nade mną, sroga, zacięta. – Jeśli więc chcesz, żebym cię wysadziła, musisz natychmiast się uspokoić. Inaczej zostawię cię tak, jak jesteś.

Zagryzam wargi, ponownie czuję lepki smak krwi. Przystaję jęczeć, pociągam tylko nosem. Mama przysuwa wózek, wiezie mnie do łazienki, pozwala wykonać wszystkie czynności samodzielnie, ale nie spuszcza ze mnie oka.

– Pośpiesz się – mówi w pewnym momencie.

Śpieszę się. Może, kiedy mama wyjdzie, uda mi się pomyśleć, znaleźć rozwiązanie.

Zostałam przebrana w czystą piżamę, ułożona w łóżku. Mam na sobie pampersa. Wózek stoi daleko poza moim zasięgiem.

– Do jutra.

Nadal mówi bez krztyny czułości, zimna i ostra jak sopel lodu.

– Do jutra, mamusiu – odpowiadam.

Nie chcę jej rozzłościć na odchodne, chociaż nie wiem, co gorszego mogłoby mi się przytrafić. Nie boję się bicia. Już nie.

Mama zamyka drzwi, przekręca klucz z drugiej strony. Chcę wyć i rzucać się jak przywiązany pies, ale mój łańcuch jest zbyt krótki. Nagłe olśnienie. Może jednak mam kartę przetargową.

– Mamo! – wydieram się.

Drzwi są dźwiękoszczelne, nie słyszy mnie. Nikt mnie nie słyszy. Jutro. Użyję mojego asa jutro.



# Ola

Wreszcie przychodzą. Wypadam do przedpokoju, rzucam się w ramiona Krzycha. Nie potrzebuję rodziców, ale jego nie mogę stracić.

– Już po wszystkim.

Odsuwam się, podnoszę głowę, patrzę wprost w oczy Tadeusza.

– Po wszystkim?

Nie chciałam, żeby zabrzmiało to ironicznie, ale równie dobrze mogłabym powiedzieć: „Szanowny pan raczy żartować”.

– Przynajmniej wiadomo, kto zabił.

Przenoszę pytający wzrok na Krzycha, który potakuje. Dopiero teraz zauważam, że oczy mu błyszczą, a z ruchów emanuje źle tłumione podniecenie. Tadeusz lepiej się maskuje, ale ten błysk, ta nienaturalna energia są podobne. Zwycięstwo. Nagle wydaje mi się to takie prymitywne. Samczo prymitywne.

– Kto zabił? – pytam, ledwie hamując wściekłość.

– Barbara.

– Kto?

Jednak nie uroczy pan Robert. Wściekłość trochę ustępuje miejsca zdziwieniu.

– Recepcjonistka – precyzuje Krzychu. Już nawet nie próbuje panować nad entuzjazmem. – Barbara Warecka. Katarzyna Wielosławska spotykała się z jej bratem.

– Nawet mnie Kasia nie wyjawiała, że spotyka się właśnie z nim – ciągnie Tadeusz. On też podnieca się coraz bardziej. – Powiedział, że jest żonaty i próbuje się rozwieść. I jeszcze, że żona go zdradza, ale przysięga, że jeśli zbliży się do jakiegokolwiek kobiety, uczyni z ich wspólnego życia piekło. Należy więc zachować wszelkie środki ostrożności.

– Powiedział, że jest żonaty – powtarzam. – A nie jest?

– Nie.

– Dlaczego więc tak jej mówił?

– Bo w to wierzył.

– Jest chory – dodaje Krzychu, jakby obwieszczał mi tajemnicę stulecia, wytrych do wszelkich zagadek.

– Tak, jest chory – potwierdza Tadeusz. – Jego siostra się nim opiekuje... opiekowała. Mieszkają... mieszkali razem.

Opuszczają mnie siły. Nie chcę siadać na podłodze, więc kuśtykam do kuchni i opadam ciężko na krzesło. Przydałaby mi się kawa, ale żaden się nie domyśli. Oni jadą na adrenalinie, upojeni sukcesem. Dlaczego ja nie mogę nazwać tego sukcesem?

– To Barbara poleciła mi ten gabinet, kiedy chciałem iść do ortopedy – zaczyna Tadeusz.

– Znałeś ją wcześniej?

Czuję się jedynie trochę zdziwiona.

– Pracowała ze mną w policji.

Głośno wciągam powietrze. Za chwilę zaskakują jakieś trybiki i kawałki puzzli zaczynają wskakiwać na swoje miejsce. Znowu mnie to interesuje.

– Była policjantką?

– Nie. Była sekretarką na komendzie. Poznałem ją lepiej, kiedy jej brat miał atak.

– Aha. – Zalega cisza, a mnie wszystko wydaje się lepsze niż słuchanie kołatania w głowie. – To wariat. To pomyślałam, kiedy was nie było.

– Wiedziałem o tym – wtrąca nagle Krzychu.

Przenoszę na niego ostre spojrzenie.

– Wiedziałeś?

– Wypytałem koleżankę Anety.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– To było... Spotkałeś tego faceta i...

Zacina się. Nie interesuje mnie, jak chciał dokończyć. Jestem wściekła.

– Oszukałeś mnie – syczę.

Mam ochotę zalać się łzami i wybiec z kuchni.

– Oła, to był moment. Zobaczyłem w nim coś takiego – rzuca spojrzenie na Tadeusza i kończy ciszej: – coś dziwnego. Straszego. Dlatego zadzwoniłem do Anety. Zresztą chciałem powiedzieć, ale nie słuchałaś. Pomyślałem, że musisz trochę dojść do siebie.

Nie do końca przekonuje mnie tłumaczenie Krzycha, ale przełykam łyżę. Nie będę zachowywać się jak rozkapryszone dziecko

– Powinieneś był mi powiedzieć.

Krzychu nie odpowiada. Patrzy w swoje dłonie. Przynajmniej już tak idiotycznie się nie cieszy.

– Co z nim było? Z Robertem Wareckim?

Pytanie kieruję do Tadeusza. Wolę nie zwracać się do Krzycha, wtedy łatwiej opanować emocje.

– Ja i Baśka... kiedyś się spóźniła. Byłem pierwszą osobą, na którą wpadła... taka roztrzęsiona. Zapytałem, o co chodzi i... początkowo nie chciała mówić, ale potem... może dlatego, że nie mogła tego wytrzymać, a ja się napatoczyłem, a może... osoby z podobnymi problemami się wyczuwają... – Usiłuje nadać głosowi ironiczne brzmienie. – Powiedziała, że jej brata w nocy zabrali do czubków. – Nabiera oddechu, jakby był bardzo zmęczony. – Wykorzystałem znajomości z lekarzami z Tworek. Jakby nie było, Marysia była tam już wiele razy. Znalazło się miejsce. Udało się go tam sprowadzić z Sobieskiego. Coś się zmieniło. Między nami – precyzje. – Zaczęliśmy chodzić na piwo. Czasem. Ja gadałem o Marysi, ona o bracie. Podobna choroba. Oboje mieli ostre urojenia. Wydawało mi się, że narodziło się między nami coś w rodzaju przyjaźni. Wspólne nieszczęścia zbliżają.

Jak bardzo zbliżają? Czy zaliczony został jednorazowy numer w łóżku? Kilka numerków? Nawet idealny mąż miewa potrzeby. Ten cholerny świat

jest porąbany. Niczego nie można być pewnym.

– Opowiedziała o początkach. Kiedy Robert miał osiem lat, jakaś grupa, pewnie wyrostków, trzymała go przez sześć dni w piwnicy. Po tych sześciu dniach milicja znalazła go na Starówce, błąkał się bez celu. Miał na nadgarstkach ślady po sznurze, był wychudzony.

– Wypuścili go?

– Pewnie tak. Nic nie pamiętał, mówił „oni”, powtarzał „piwnica”, ale nie potrafił powiedzieć, jak się nazywa. Uznano go za czubka. Wtedy pierwszy raz trafił do szpitala psychiatrycznego. Pomogli mu. Na jakiś czas

– Koleżanka Anety pamiętała go bardzo dobrze. – Tym razem odzywa się Krzychu. Doszedł do siebie, znów oczy błyszczą mu triumfalnie. – Miło się z nim rozmawiało, kiedy nieco oprzytomniał. Wiele pacjentek się w nim podkochiwało. Żeński personel też, szczególnie starsze lekarki. Nie od razu. Kiedy go przywieziono, stan był bardzo ciężki. Urojenia paranoidalne – potwierdza wcześniejsze słowa Tadeusza.

– Osobowość schizoidalna, chociaż w lepszych okresach prawie tego nie widać – dodaje policjant.

– Co to takiego?

– Unikanie kontaktów, chłód uczuciowy, takie tam różne. Kręcę głową. Ten chłód uczuciowy z pewnością nie opisuje mężczyzny, którego pamiętam.

– Koleżanka twojej Anety też się w nim podkochiwała?

Krzychu posyła mi zirytowane spojrzenie.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

Patrzę na Tadeusza, a on znów zaczyna mówić.

– Chronologia nie miała znaczenia, wszystko się mieszało. Piwnica, sznury, żona, którą ktoś porwał, jakieś ucieczki. Oni. To było stałe hasło. W lepszych okresach odmawiał rozmowy na ten temat. Mówił „miałem urojenia” i to wszystko.

– Zwariował od szoku? – Przypominam sobie, że był porwany i przetrzymywany jako dziecko.

– Na pewno szok zrobił swoje, ale w ich rodzinie były już przypadki chorób psychicznych. Matka ojca umarła w zamkniętym zakładzie.

To było dawno temu, kiedy wariaci byli traktowani jak niebezpieczne zwierzęta. Przed oczyma staje mi klatka, w niej rzucająca się kobieta z potarganymi włosami.

– Koleżanka Anety miała dyżur, kiedy go przywieźli. – Krzychu znów się wtrąca. – Krzychał, że ONI porwali jego żonę.

– Nigdy nie miał ślubu, ani kościelnego, ani cywilnego. Jakiś czas przed przyjściem do szpitala rozstał się z partnerką – precyzuje Tadeusz. – Miała się dobrze i nawet go kiedyś odwiedziła. Raz.

– Kto kogo rzucił?

– On ją. Powiedział, że się żeni. Bardzo to przeżyła.

– Ale się nie ożenił?

– Nie.

– Co o tym mówił, kiedy mu się polepszyło?

– Nic. „Miałem urojenia” to był jego stały tekst. Jest malarzem. Żadną sławą, ale niektóre jego prace sprzedają się całkiem nieźle.

Wariat artysta. To często idzie w parze, czasem nawet podnosi cenę. Jakoś nie mam ochoty oglądać tych bohomazów.

– U nas w salonie też wisi jeden jego obraz. Pamiętasz?

Nie pamiętam i nie chcę pamiętać.

– Baśka jest od niego starsza o pięć lat. – Tadeusz wraca do opowieści. – Zawsze mieszkali razem. Ich rodzice zginęli w wypadku, gdy Robert miał piętnaście lat.

– Nie wyszła za mąż?

– Nie. Poświęciła się bratu. Pracowała, żeby zarabiać, ale nie spotykała się z nikim, chociaż sprawiała wrażenie osoby niezwykle kontaktowej. Ja byłem wyjątkiem.

– On nie pracuje? Tylko maluje?

– Zajmuje się też grafiką komputerową i wpadały mu za to nawet niezłe kwoty. Baśka rozmawiała z agencjami. Wmawiała mu, że im mniej kontaktu ze światem, tym lepiej.

– Co?

– Ze względu na żonę. Nie wiem, czy ta żona najpierw pojawiła się w jego, czy w jej umyśle. Tak czy inaczej karmiła go tą fantazją. Nie tylko tą.

– Karmiła?

Powtarzanie pojedynczych słów idzie mi całkiem niezłe.

– W jej biurku znaleźliśmy leki halucynogenne. Przyznała się do kupowania ich na czarnym rynku

– Jak to?

– Robiła to regularnie, podejrzewam, że bardzo długo. Uzależniła się od niego, opieki nad nim czy cholera wie, o co chodzi. Psychiatra może by stwierdził.

– Bardziej poświęcona od niego – wyrywa mi się.

Tadeusz wzrusza ramionami i ciągnie:

– Nie chciała dopuścić do wyzdrowienia. Podawała mu leki, wprowadzała w trans i opowiadała różne historie. Najbardziej się bała, gdy spotykał jakąś kobietę. Ze wszystkimi jakoś sobie radziła, ale pojawiła się Kasia. Nawet się nie pojawiła, to Barbara zaprowadziła go kiedyś do gabinetu i później nie mogła przeboleć. Rzadko bywał w domu. Nie mówił o kochance, jakby rozumiał, że to niebezpieczne. Rozumiał, ale zapewne w inny sposób niż my teraz. Polepszało mu się. Baśka ich wysłodziła. Znajdowała preteksty, żeby go zatrzymać na noc. Wykorzystywała okazję, podawała środki, opowiadała niestworzone historie. Zdrowy człowiek by tego nie wytrzymał.

– Może był zdrowy? – wysuwam hipotezę. – Może wcale nie było tak, jak ona mówi? Może tamto porwanie w dzieciństwie też w niego wmówiła.

Tadeusz kręci głową.

– Raczej nie. Są dokumenty. Być może szanse na to, żeby żył normalnie,

były spore, ale zadbała, żeby to się nigdy nie stało. W każdym razie zawsze sprawdzała jego maile i SMS-y. Wiedziała, że on i Kasia wyjeżdżają, pojechała za nimi. Kupiła perukę, okulary. Nie zauważyli jej. Być może to praca w policji nauczyła ją umiejętności kamuflażu. Wykorzystała moment, kiedy Kasia poszła do córki. Załatwiła z nią sprawę.

To brzmi strasznie, ale jestem pewna, że Tadeusz cytuje.

– I powiedziała ci wszystko? Tak po prostu?

– Nie od razu. Udało mi się załatwić nakaz rewizji. Dobrze znam prokuratora. Chłopcy szukali, a ją z nią gadałem. Gadaliśmy – poprawia się i rzuca przelotne spojrzenie na Krzycha. – Kiedy zobaczyłem te wizytówki, wszystko wskoczyło na swoje miejsce.

– Jak?

Teraz on wygląda, jakby wyparowało z niego podniecenie.

– Moja żona również miewa problemy z kręgosłupem – mówi z trudem. – Kiedyś po wizycie u Kaśki wróciła do domu i opowiadała o dziennikarce, która zbiera materiał do artykułu i fotografuje salony. Pacjentka chwaliła się siostrzenicą, rozdawała jej wizytówki wszystkim w poczekalni. Marysia się zapaliła, ale poprosiłem o niezapraszanie tej całej Amelii do domu. To znaczy wtedy nie wiedziałem, że to Amelia ani nie znałem nazwiska. Tylko nazwę tej gazetki. Marysia próbowała dyskutować, mówiła, jak entuzjastycznie podchodziła do tematu Baśka.

– W każdym razie – wtrąca Krzychu – miały wizytówki. – Rejestratorka przyznała się do wszystkiego. Również do powtórnej wizyty w domu twojej szefowej i do porządków tutaj. Wyniesienie pościeli, czyszczenie komputera.

– Nocna wizyta?

Przypominam sobie szaleńczy wyścig po schodach.

– Nie. – Znow Tadeusz zabiera głos. – To był Robert. Czekał na Kasię kilkanaście godzin, co chwila próbując telefonować, aż zadzwoniła jego siostra. Opowiedziała, że Kasia zwierzyła się jej, że go rzuca, prosiła o przekazanie wiadomości. Nie potrafił uwierzyć, że zamiast jemu powiedziała Baśce, że nie miała dość odwagi na konfrontację. Wyjechała z nim, ale

uciekła. Postanowił sprawdzić tu.

Coś mi nie pasuje.

– A dlaczego wycofał się, kiedy zaczęłam otwierać drzwi?

– Pewnie dostrzegł, że to nie ona. Nadal mi nie pasuje.

– A... Barbara? Miała rewolwer? Sekretarki z policji mają broń? Były sekretarki?

– Ukradła ten pistolet, gdy jeszcze tam pracowała. Było śledztwo, ale dobrze schowała. Nikt jej zresztą nie podejrzewał.

– I znaleźliście go teraz u niej?

Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek był tak głupi, żeby trzymać narzędzie zbrodni w domu.

Policjant skromnie odwraca wzrok.

– Tadeusz przyszedł do niej z gotową historią – wyjaśnia Krzychu. – Powiedział, że została rozpoznana przez matkę Doroty jako osoba, która podawała się za dziennikarkę, Amelię Romanowską. Przypomniał sprawę kradzieży pistoletu z posterunku, powiązał ją z naszą zbrodnią, powiedział, że kula pochodziła z tamtej broni. Dodał, że wie o wakacjach jej brata i Katarzyny. Załamała się, wyjawiała wszystko, łącznie z miejscem ukrycia broni.

– Chłopcy już ją znaleźli – dodaje Tadeusz. – Zakopana w Lesie Kabackim.

Prawie nie słucham. Myślę o tym bracie. Jak sobie poradzi? Został uwolniony, ale co to dla niego oznacza?

– I co teraz?

– Została aresztowana za kradzież broni i za szpikowanie brata środkami halucynogennymi. Oskarżenie o morderstwo może nastąpi później.

Przez chwilę patrzymy sobie w oczy. Lojalność wobec kalekiej dziewczyny hamuje wymiar sprawiedliwości. Źle pojęta lojalność.

– Muszę najpierw z nią porozmawiać.



Tadeusz nie pyta z kim, ledwie dostrzegalnie kiwa głową. Podaje mi klucze.

– Co to jest?

– Do mieszkania, gdzie Beata przewiozła córkę. Dorobiłem podczas wizyty w Trójmieście.

Sami dorabialiśmy klucze, jednak to wydaje mi się mało prawdopodobne. Nawet policjant ma ograniczone możliwości.

– W jaki sposób? Wyciągnąłeś z jej torebki, wyszedłeś na kilkanaście minut, wróciłeś? Musiałaby być głupia, żeby się nie zorientować.

Tadeusz wzrusza ramionami.

– Byłem przygotowany. Zrobiłem odcisk w wosku, kiedy poszła do toalety. Kumpel z Gdańska – pracowaliśmy kiedyś razem – ma własną drukarkę 3D. To trochę mało legalne, ale w tej sprawie już i tak działamy nie zawsze w zgodzie z prawem.

Czytałam o czymś takim w jakimś kryminale. Kurde, kto by pomyślał, że zetknę się z taką techniką we własnym życiu, które jeszcze tak niedawno było nudne i przewidywalne? Lubię przewidywalność, nuda też nie jest zła.

– Skąd wiesz, że do tego mieszkania?

– Jeden komplet był do domu Beaty w Sopocie. Sprawdziłem. Drugi do tego mieszkania. – Stuka w stół. – Znałem go. I ten. To musi być właściwy.

Musi albo nie. Z drugiej strony, jakimi jeszcze kluczami może dysponować szefowa? Do biblioteki zawsze zostają u portiera.

– Dziękuję.

– Nie pojedę z wami. Mogę być potrzebny żonie. Uważajcie na siebie.

Kiedy drzwi się za nim zamykają, Krzychu zwraca się do mnie.

– Wiesz, co mi nie grało w gabinecie? – Znów w jego głosie wibruje to podniecenie zwycięzcy. Chyba jestem niesprawiedliwa, złościąc się z tego powodu. Chciałam wyjaśnienia sprawy. Sama powinnam się cieszyć. – Recepcjonistka. Najpierw opowiada o Wielosławskiej, że taka strojnisia i lafirynda, używając nieco innych słów, ale na jedno wychodzi, potem

wycofuje się z tego, a później jeszcze porusza wątek Zawadzkiej i jej męża. Jakby zabezpieczała się na wypadek ewentualnego śledztwa. Zbyt późno to zrozumiałem.

Zbyt późno podzieliłeś się tym ze mną – chcę odpowiedzieć, ale wzruszam tylko ramionami.

# Dorota

– Dorota.

Podnoszę powieki, od razu przytomna. Sprawdzam czas. Ósma szesnaście, czternaście sekund. Poprzednio była siódma dwadzieścia trzy, jedenaście sekund. Wiele nie pospałam.

– Dzień dobry, mammo.

– Dzień dobry.

Mówi jak do przypadkowo spotkanej dalekiej znajomej. Gorzej, bez uśmiechu, bez błysku w oczach. Jestem pewna, że będąc wśród obcych, roztacza czar. Wolałabym chyba, żeby wybuchła i okładała mnie pięściami. Te zdawkowe grzeczności bolą jeszcze bardziej.

Bez słowa przewozi mnie do łazienki.

– Muszę iść do pracy – oznajmia, stawiając przede mną talerz kanapek. Rzucam okiem na wózek stojący pod przeciwległą ścianą. Pora na moją kartę przetargową.

– Mammo, to Ola się do nas włamała. Ola i jej kolega. – Nie rozumie. Nie kojarzy. – Ola, z którą pracujesz – wyjaśniam.

Zrobiłam to. Zdradziłam. Mam nadzieję, że było warto.

Mama przysuwa krzesło do łóżka, siada. Wyjąwszy zsiniałe usta, wygląda na opanowaną.

– O czym ty mówisz?

Nie wszystko od razu. Najpierw negocjacje.

– Chcesz zobaczyć pocztę?

Próbuję przyjąć ton, jakim ona od wczoraj zwraca się do mnie. Chłodny, rzeczowy.

– Pokaż.

Hola, hola.

– Jeśli ci pokażę, czy będę mogła korzystać z wózka?

Mierzy mnie spojrzeniem. Nie spuszcza oczu.

– Tak – odpowiada w końcu.

– Nie zablokujesz go?

– Nie.

– A komputer?

Jej oczy się zwężają.

– Oddasz mi komputer?

Uśmiecha się, prawie tak słodko jak kiedyś.

– Tak.

– Komputer z internetem?

Muszę realistycznie oceniać jej obietnice. Jeśli od razu się zgodzi, będę wiedziała, że wszystkie przyrzeczenia są gównem. Milczy jakiś czas.

– Nie teraz. Kiedy załatwię wszystko, o czym rozmawialiśmy przedtem.

– Adwokat?

Muszę się upewnić.

– Tak.

– On naprawdę istnieje?

– Nie okłamywałabym cię.

Chyba nie. Nie pamiętam, żeby kłamała.

– Nie zrezygnujesz z niego? Nie zostawisz mnie tutaj?

Mój głos się załamuje. To miały być negocjacje dwóch dorosłych kobiet, a tymczasem zaczynam brzmieć jak małe dziecko. Żałośnie. W mamie jednak coś pęka. Przyciska moją rękę do twarzy.

– Przepraszam, kochanie, przepraszam. – Płacze. – Nie zostawię cię.

Adwokat nam pomoże.

Chciałam żądać przysięgi, ale rezygnuję. Nie teraz.

– Kocham cię.

To jedyne, co potrafię powiedzieć. Mama całuje moje nadgarstki.

– Pokaż mi te maile. – Wracam do rzeczywistości. Czułości i wyznania nie będą trwały w nieskończoność. Podnosi się, przynosi komputer. Otumaniona wchodzi na pocztę. Są nowe maile, których nie dam rady sprawdzić.

– Proszę.

Oddaję mamie laptopa. Stawia go sobie na kolanach.

– Jakie miałaś hasło?

Mówię. Koniec z tajemnicami.

– Omotała cię. Intrygantka.

Aleksandra2201. Dwudziesty drugi stycznia to wcale nie data otwarcia drzwi. To data śmierci babci. Z Aleksandrą nigdy nie będę miała już nic wspólnego.

Mama przebiega wzrokiem wiadomości. Mięśnie w jej twarzy drgają.

– Nie zdążę teraz ze wszystkim. – Wyłącza komputer. – Wezmę go ze sobą.

Pochyla się nade mną. W jej oczach dostrzegam błysk nienawiści. Nie jestem idiotką, wiem, że nie do mnie się odnosi.

– Nie zrobisz jej niczego?

– Jej? Co mogłabym jej zrobić?

Rzeczywiście. Chociaż jest szefową Oli, nie wyrzuci jej z pracy, nie zatruje życia. To Ola trzyma mamę w szachu.

Wyciągam ramiona, lecz mama ignoruje mój gest. Idzie w kierunku drzwi.

– Miałaś przystawić mi wózek – przypominam.

Odwraca się. Przez chwilę sądzę, że odmówi, ale robi, o co proszę.

– Nie łamię danego słowa. Przysięgnij, że nie będziesz próbować sztuczek.

Trzyma dłonie na poręczach, gotowa odstawić wózek.

– Przysięgam.

Wybuch krótkim śmiechem i wychodzi.

Momentalnie przesiadam się na wózek. Jeżdżę po całym mieszkaniu. Mogę się przemieszczać, odzyskałam niezależność. Żadnej satysfakcji. Chrzanię to, że zdradziłam cudze tajemnice, jestem niełojalna i kłamliwa. Ola trzyma mamę w szachu. To niebezpieczne wcale nie dla mamy. O co mi chodzi? Uważam, że mama mogłaby próbować uciszyć tę dziewczynę w radykalny sposób? Coraz szybciej przemieszczam się z pokoju do łazienki, z łazienki do kuchni i z powrotem. Jazda, dla mnie szalenie szybka, nic nie daje, niczego nie uśmierza. Na chwilę staję w kuchni, otwieram szuflady. Wszystkie noże zostały usunięte. Śmieję się. Zdaję sobie sprawę, że brzmię jak mama, kiedy złożyłam ostatnie przyrzeczenie. Jesteśmy podobne. Tylko przypadek sprawił, że odgrywamy inne role w tym spektaklu.

# Beata

A więc to tak. Czy pozostało coś, czego można się chwycić? Znów wszystko się waliło. Kolejny raz. Zaczęło się od pierwszej miłości. Chłopak, któremu ofiarowała siebie, uciekł. Gównu ją obchodziło, że nie wiedział o ciąży. Gdyby miał taką wiedzę, spieprzałby jeszcze szybciej i jeszcze dalej. Gdyby na dodatek odkrył, jaką córkę spłodził, przeniósłby się najprawdopodobniej na Marsa albo nawet na inną galaktykę, żeby mieć pewność, że nikt nie zażąda alimentów. Każdy następny okazywał się podobnym draniem, skończywszy na ostatnim skurwysynu. Czego jednak oczekiwać od obcych mężczyzn, skoro własna matka wrobiła ją w takie życie? Z kolei córka, wokół której wszystko się kręciło, knuła, oszukiwała i chciała ją zamordować. Całkiem niedawno Beata uwierzyła w przyjaźń. No i co? Przyjaciółka, niech to jasny gwint! Promyczek w ciemności, światełko w tunelu, pocieszenie w popierdolonym życiu. O Tadeuszu nawet nie warto myśleć. Oszukał naiwną idiotkę i tyle. Może nawet mecenas ma udział w rozszarpywaniu jej na kawałki. W uczcie hien. Brał pieniądze, więc powinien stać po jej stronie, jednak pewności nie było. Nie ufać nikomu. Wcześniej miewała chwile, gdy to sobie mówiła. Jak się okazało, nieskutecznie. Teoria, która nigdy nie przełożyła się na praktykę. Najwyższy czas wziąć sprawy w swoje ręce. Pokierować własnym życiem. Nie zdawać się na innych. Załatwić po swojemu.

Uśmiechnęła się, wracając do podstawowego pytania. Czy pozostało coś, czego można się uchwycić? Oczywiście. Ona sama. Nietzsche miał rację. Co nas nie zabije, to nas wzmocni. Była silna. Jeśli ktoś miał ginąć, będą to inni.

Oderwała wzrok od ekranu laptopa, spojrzała na pracownicę, która wydawała się pogrążona w pracy.

- Co robisz, Aniu? – spytała słodko. Dziewczyna podniosła na nią wzrok.
- Włączam do katalogu książki z ostatnich darów czytelników.

Szara, pracowita myszka. Takie sprawiała wrażenie. Cholera wie, co kryje się pod maską.

# Ola

Dorota się nie odezwała. Jesteśmy w połowie drogi do Trójmiasta. Nie chcę gadać o bzdetach, decyduję, że pora uzgodnić plan.

– Podwieziesz mnie, a potem pojedziesz do biblioteki. Użyjesz całego swojego czaru, żeby zatrzymać Beatę. Zaproś ją gdzieś po pracy czy coś takiego.

Kąćki jego ust wykrzywiają się ironicznie. Mam wrażenie, że sprawiłam mu przykrość i w pokrętny sposób mnie to cieszy.

– Taka jesteś pewna mojego czaru?

– Beata lubi mężczyzn. – Śmieję się. – Kiedy się z tobą rozstanie, zadzwoń.

– Przecież nie masz komórki – przypomina.

Moja komórka została w domu nad jeziorem i nikomu nie przyszło do głowy, że powinnam ją odzyskać.

– Dasz mi swoją, a ty zadzwonisz z budki – decyduję.

Patrzy na mnie jak na wariatkę.

– Czasy budek telefonicznych się skończyły. Musimy ci coś kupić.

– To zajmie cholernie długo! – protestuję.

– Wcale nie. Kupimy coś od ręki, bez abonamentu.

Niechętnie przyznaję mu rację. Lepiej, żebym miała telefon.

Rzeczywiście w centrum handlowym w Gdańsku udaje nam się kupić telefon, szybko i sprawnie. Jest wi-fi. Nie spodziewam się wiele, ale wchodzę na pocztę. Przez chwilę w niedowierzaniu wpatruję się w wiadomość od Doroty.

*Dziękuję, że zajęliście się odnalezieniem morderczyni. To wystarczy. Poszła do więzienia, a zarzuty i tak są poważne. Musimy na razie wyłączyć z*



*nich śmierć babci. Nie mogę rozstać się z mamą, a najbardziej prawdopodobna hipoteza jest taka, że ona też zostałaby aresztowana. Wy również. Nie opłaca się.*

*Nie rób niczego więcej. Nie kontaktuj się ze mną. Wybrałam już, wobec kogo mam być lojalna. Mamę kocham najbardziej. Zostawcie nas w spokoju.*

*Dorota*

Czytam kilka razy, w końcu pokazuję Krzychowi.

– I co teraz?

Odkłada telefon na półkę przy oknie.

– Nie wiem.

Jestem oszołomiona, zdezorientowana.

– Myślę, że po wszystkim, co przeszłaś z jej powodu, jest ci winna przynajmniej rozmowę.

Nagle robię się wściekła.

– Tak. Nie ma prawa mnie tak traktować.

Zatrzymujemy się przed obscurnym blokiem. Beata wynajęła dla córki najtańsze możliwe lokum. Krzychu kładzie dłoń na mojej.

– Chcesz, żebym z tobą wszedł?

To byłby najgłupszy z możliwych pomysłów.

– Nie. Zadzwoń, kiedy się z nią rozstaniesz.

Bez słowa kiwa głową.

– Odprowadzę cię pod drzwi.

Świdruję go wzrokiem.

– Po co?

– Jeśli klucz nie będzie pasował, dam sobie radę z zamkiem.

Głośno przełykam ślinę.

– Dobrze.

W windzie śmierdzi. Nie mogę uspokoić oddechu ani oczyścić głowy. Unikam wzroku Krzycha, ale wiem, że mi się przygląda. Patrzy też, kiedy wkładam klucz do zamka. Pasuje. Wchodzę i cicho zamykam za sobą drzwi.

# Dorota

Wywalam zawartość z szuflad. Uważam, żeby nie lądowała na podłodze, kładę wszystko na stole. Mam zamiar posprzątać, nie chcę tłumaczyć się przed mamą z bałaganu. Szukam czegokolwiek ostrego: przeoczonego noża, zapomnianych nożyczek, żyłki. Nie po to, żeby zrobić z któregoś z tych przedmiotów użytek. Wolałabym, żeby mama czegoś nie dopilnowała, ale każdy szczegół wydaje mi się dopracowany. Popępiała błędy w przeszłości. Nie sprawdzała mojego komputera. Poprawiła się. Jest bezpieczna. Nawet jeśli trup babci zostanie odkryty, nikt nie powiąże mamy z jej śmiercią. DNA babci w kuchni? Cóż w tym dziwnego? Często odwiedzała córkę. Nikt nie pomyśli o mnie. Nikt nie udowodni jej winy. Nikt oprócz osób, które ze mną korespondowały. Jak poradzi sobie z tym nowa mama – pedantka i perfekcjonistka? Nie musi robić nic szczególnego: sama zadbałam o to, żeby ani Ola, ani Tadeusz nie ujawniali mojego istnienia. Nie zrobią tego z lojalności. Może zaniepokoi kogoś brak wiadomości? A kogo obchodzi jakaś beznoga kaleka? A gdyby nawet, podałam mamie hasło. Może pisać w moim imieniu, cokolwiek przyjdzie jej do głowy. Nie tylko do Oli, również do Tadeusza. Zapomniałam o nim, kiedy decydowałam się na zdradę. Określenie świetnie oddaje to, co zrobiłam, tym bardziej że zdradziłam również siebie. Głównie siebie. Dopóki nie oddałam dostępu do mojej poczty, miałam szansę. Co to za myśli? Mama jest moją szansą. Wierzę w adwokata. Wierzę jej. Miele w myślach to „wierzę”, obracam na wszystkie strony, wypowiadam na głos z różną intonacją. To tylko pusty dźwięk.

Słyszę, że klucz przekręca się w zamku. Nie uprzątnęłam bałaganu. Nie przypuszczałam, że mama przyjdzie tak wcześnie. Czternasta szesnaście, siedemnaście sekund. Dziwne. Nie jadę do drzwi, żeby przywitać ją w progu. Patrzę na wywaloną zawartość szuflad. Nie wiem, jak to wytłumaczę. Jej kroki są jakieś inne, chociaż nie potrafię określić, na czym polega różnica. Zagląda do sypialni, wychodzi. Wstrzymuję oddech, zamykam oczy. Coś muszę wymyślić.

Nie odzywa się. To z pewnością irytujące, że siedzę odwrócona do niej plecami. Chcę zasłonić sobą bałagan na stole, a wnerwiam ją jeszcze bardziej.

– Dzień dobry, mamusiu – mówię i powoli odwracam wózek.

# Ola

Nie krzyknęłam od progu, że to ja. Nie wiem, co tu zastanę. Jaką mam gwarancję, że naprawdę mieszka tu Dorota? Napisała mi maila – i co z tego? Wszystko można mi wcisnąć. Pozostaję łatwowierną idiotką, chociaż czegoś mogłabym się już nauczyć. Chyba Krzychu i Tadeusz mają trochę więcej zdrowego rozsądku. Mogą odgrywać swoje role. Szczególnie Tadeusz. Klucz pasuje. Może mąż Marii ściągnął mnie w pułapkę. Cisza w mieszkaniu przeraża. W sypialni nie ma nikogo. Łóżko było używane, pościel jest zmięta. Duszno tu. Idę do drugiego pomieszczenia. To kuchnia. Staję w progu. Dziewczyna na wózku siedzi odwrócona tyłem. Mam nadzieję, że to Dorota. Widziałam ją tylko raz, nie zapamiętałam nic oprócz kalectwa. Twarz już się prawie rozmazała. Osobą kilka metrów ode mnie w gruncie rzeczy może być każdy. Nie wycofam się teraz.

– Dzień dobry, mamusiu.

To jej głos, chociaż nawet tego nie jestem pewna. Powinnam odpowiedzieć. Wózek powoli się odwraca. Wstrzymuję oddech. Dziewczyna ma posiniaczoną, spuchniętą twarz. Prawie nie widać oczu. Wtedy zwracały uwagę – duże, szare, zmieniające wyraz, najpierw przerażone, potem pełne ekscytacji. Podbiegam do wózka, przyklękam.

– Co ci się stało? Kto ci to zrobił?

Pytanie zupełnie bez sensu. Przecież wiem. Moja mama w odpowiednich okolicznościach zrobiłaby to samo. Dorota chwyta moją rękę i ściska tak mocno, że syczę z bólu. Nie zauważa, nie poluźnia uścisku.

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam – powtarza.

Płacze.

– To nic. Już dobrze.

Wygląda jak uosobienie rozpacz. Brzydkiej, wciskającej w ziemię. Boli, jakby to moją twarz ktoś obił. Niedawno byłam wściekła, teraz chcę uspokoić

tę dziewczynę, zanim sama pogrązę się w hysterii. Jej palce rozluźniają się, przestaje szlochać, źrenice uciekają gdzieś do góry, przez chwilę widzę same białka, po czym oczy się zamykają, a głowa opada bezwładnie na bok.

– Dorota! – krzyczę.

Nie reaguje. Panikuję. Wydaje mi się, że przestała oddychać. Ujmuję jej nadgarstek; puls jest słaby, ale wyczuwalny. Słyszę teraz, jak wydycha powietrze. Jeśli akcja oddechowa ustała, to tylko na chwilę. Próbuję sobie przypomnieć, jak postępuje się z nieprzytomnymi, jednak w głowie mam pustkę.

Nasączam chusteczkę wodą, zwilżam skronie i usta Doroty, przytrzymuję jej głowę. Mimo że pomoc jest nieprofesjonalna, dziewczyna odzyskuje przytomność. Patrzy na mnie nabiegłymi krwią, zapuchniętymi oczyma.

– Ola.

Nie płacze, jest spokojna.

– Zemdlalaś. Przestraszyłam się.

– Przepraszam.

Znowu. Kręcę głową.

– To nic. Rzeczywiście trochę się wściekłam o tego dzisiejszego maila, ale już mi przeszło.

Nie powiem, że nie zasłużyłam na milczenie, a potem na wiadomość na odwal się. Jeszcze nie teraz.

– Co?

Posiniaczona, spuchnięta twarz się wykrzywia. Niepotrzebnie mówiłam, że się wściekłam.

– Już dobrze – uspokajam ją. – Rozumiem.

Trochę to bez sensu, ale nic innego nie przychodzi mi na myśl.

– Nie rozumiesz.

Nie podnosi głosu, nie zalewa się łzami.

– Może rzeczywiście nie do końca, ale teraz nie tłumacz. Nie męcz się.

– Jaki mail?

Zaskakuje mi jakaś klapka.

– To nie ty pisałaś.

Dziwne, że nie wpadłam na to wcześniej.

– Co było w tym mailu?

Trochę się boję, że znów wpadnie w histerię i pociągnie mnie za sobą, ale ryzykuję. Ma prawo wiedzieć. Może wreszcie podejmie odpowiednią decyzję. Przytaczam treść maila z pamięci, ale chyba cytuję niemal dosłownie.

# Tadeusz

– Straszne dziś korki na mieście, ale udało mi się je ominąć. Pamiętasz, jak jeździliśmy na działkę do Łysiaków? Zawsze w sobotę albo w niedzielę rano korki. Wynałazłem ten objazd. Pamiętasz, kiedy pojechaliśmy tamtędy pierwszy raz?

Nie dała znaku, że słucha. Nadal wpatrywała się w jeden punkt na suficie.

– Powiedziałaś wtedy, że niezły ze mnie kombinator. Wziąłem to za komplement. To był komplement?

Nadal nic. Była pod wpływem tak silnych środków, że przypuszczalnie nawet go nie słyszała. Lekarz obiecał, że od jutra będą zmniejszać dawki. Wyczuł wibrowanie komórki w kieszeni.

– Przepraszam, kochanie – powiedział i wyciągnął telefon. Wyszedł na korytarz.

– Przyszedł ten czubek.

Rodecki, jego partner, rzadko przebierał w słowach i niemal zawsze wykazywał się lakonicznością.

– Warecki?

– No.

– Pogadaj z nim.

– Gadałem.

– No i?

W odpowiedzi Rodecki wygłosił wyjątkowo długą kwestię.

– Może nic. Niemniej lepiej, żebyś przyjechał. To twoja sprawa, nie?

Tadeusz zerknął na Marysię przez otwarte drzwi. Nadal leżała w tej samej pozycji.



– Jestem u żony. Dojazd zajmie mi z pół godziny.

– Luz.

Ponownie zbliżył się do jej łóżka.

– Dzwonili z komendy. Pamiętasz Roberta Wareckiego? Brat Baśki. Jest w coś zamieszany. Muszę jechać. Wrócę niedługo.

Ścisnął jej palce. Wydawało mu się, że odwzajemniła uścisk.

# Dorota

Mama rozegrała to po swojemu, ale się przeliczyła, nie jest specjalnie dobra w te klocki. Co ciekawsze, ja również nadałam jej cechy niemal nadludzkie, a ona jest tylko kobieciną, która kombinuje, żeby nie odkryto sekretu, za który najprawdopodobniej poszłaby siedzieć.

– Opowiedz, gdzie byłaś.

Ola patrzy z konsternacją.

– Kiedy zniknęłaś – uściślam.

Prawda jest porażająca.

– Przepraszam.

To jedyne, co potrafię powiedzieć. Ola zdaje się nie słyszeć. Mówi dalej. Jest morderca. Morderczyni.

– Nie powinniśmy na tym kończyć. – Jej głos twardnieje.

Zagadka wyjaśniona. Na świecie jest tyle krzywdy i cierpienia. Mało odkrywczą myśl, ale po raz pierwszy przychodzi mi do głowy, że może wcale nie ja jestem najbardziej godna współczucia.

– Nie powinniśmy na tym kończyć – powtarza.

Gdybym zemdląca ponownie, przestałaby się gapić, jakby ode mnie zależało, czy ziemia nadal będzie się kręcić. Jak na złość wcale nie jest mi słabo.

– Czyli niby co?

– Poczekam tu na twoją mamę, zadzwonimy do Tadeusza i zgłosimy wszystko na policję.

– To takie proste.

Staram się zaśmiać lekceważąco. Zapędziliśmy mamę w kozi róg. Jest bez szans. Nawet gdyby uciszyła Olę, są inni.

– Nie jest proste dla nikogo z nas.

Ola być może też poszłaby do więzienia, Krzychu z pewnością.

– Obiecałaś – próbuję z innej beczki.

– Tak. Jeśli się nie zgodzisz, nie ruszymy tego.

Jeśli się nie zgodzę, ciało babci może nigdy się nie znaleźć. Jeśli się zgodzę, istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że mama pójdzie do więzienia. Jeśli się nie zgodzę, zapewne na zawsze zostaną odcięta od świata. Jeśli się zgodzę, mama mnie znienawidzi; jedyna więź, która liczyła się w moim życiu, zostanie przerwana.

– Nie mogę.

Rozlega się melodyjka jakiejś popularnej piosenki, a ja idiotycznie staram sobie przypomnieć tytuł i wykonawcę. Ola przez chwilę wygląda na skonsternowaną, po czym wyciąga z torebki telefon. Odbiera. Nie słucham, co mówi, nie patrzę na nią. Myślę o mamie. Wcale nie. Próbuję, ale nie potrafię zagłuszyć wołania rozpacz, nie swojej. Przestało chodzić o mnie. Babcia krzyczy z bezimiennego grobu. Nie straszy, nie ma w niej złości, pychy czy pogardy, nie zostało nic z kobiety wyzywającej mnie od potworków i bijącej linijką po palcach. Chcę wrócić do tamtych lat, nie jestem w stanie. Babcia jest bezbronna, zdana na moją łaskę.

Nagle zdaję sobie sprawę, że Ola czegoś ode mnie oczekuje. Zadała jakieś pytanie i stoi z komórką w ręku, jakby zależało jej, żeby szybko wrócić do konwersacji telefonicznej.

– Co?

Babcia zawsze mówiła, że nie mówi się „co”, tylko „słucham”.

– Gdzie leżała twoja babcia?

– Babcia? – powtarzam.

– Gdy zostało popełnione morderstwo – precyzuje.

Po co to wszystko? To zły obraz, wielokrotnie próbowałam go wyrzucić. Pamięć wpycha mnie w tamten czas, do naszej kuchni. Styłowy stół, cztery drewniane krzesła. Komplet, z którego babcia była dumna, a mama zarzekała

się, że któregoś dnia go wymieni. Elektryczna kuchenka, eleganckie szafki, wypolerowane blaty. Na podłodze kobieta z przestrzeloną twarzą. Krew obryzgała wszystko dookoła.

– Na podłodze w kuchni.

Ile razy już to mówiłam? Pisałam, więc może się nie liczy.

– W którym miejscu dokładnie?

Jestem świadkiem i składam zeznania. Czy nie jest tak, że mam prawo zachować milczenie, ale wszystko, co powiem, może być wykorzystane przeciwko mnie? To nie ja jestem oskarżona, a zdania wypowiedane do włamywaczki nie mają mocy prawnej. Zamykam oczy, koncentruję się na tamtym obrazie.

– Niedaleko stołu, od strony kuchenki, czyli po tej dalszej od drzwi. Bliżej okna, po prawej stronie, patrząc od wejścia.

Nie wiem, czy to wystarczająco precyzyjne, ale czuję się wyczerpana. Ola kiwa głową i zbliża telefon do ucha. Znów zaczyna coś mówić, nie oczekuje ode mnie niczego więcej. Nie w tej chwili. Będzie mnie męczyć, gdy już odłoży komórkę.

Kuchnia, w której zostało popełnione morderstwo. Lodowate palce w mojej dłoni. Trup, który niczego nie może już kształtować. Podejmuje decyzję. Tak, babciu. Między nami pozostaną złe wspomnienia, ale wiem, co robić. Ola wreszcie kończy.

– Posłuchaj – mówimy jednocześnie.

# Tadeusz

Odłożył telefon. Dla porządku wysłuchał jeszcze nagrania przesłuchań, które odbył z Robertem Wareckim, a następnie z jego siostrą. Każde słowo i tak miał zapisane w pamięci, a na dodatek nie był pewien, czy będzie mógł je wykorzystać.

– *To ja zabiłem Kasię. Powinniście wypuścić moją siostrę. Ona nie ma z tym nic wspólnego.*

– *W jaki sposób pan zabił?*

– *Zastrzeliłem. Wziąłem pistolet z szuflady.*

– *Skąd pan wiedział, że tam jest?*

– *Kiedyś sprawdziłem, co jest zamknięte na klucz. Ten klucz... był u niej w szafie pod... bielizną. Wydawało jej się, że tego nie wiem. Na wszelki wypadek dorobiłem sobie własny.*

– *Siostra nie zauważyła, że ma pan klucz?*

– *Nie. Trzymałem go w kosmetyczce. Raczej tam nie zaglądała.*

– *Często brał pan pistolet?*

– *Nie, czasem trzymałem go w ręku, gdy Basi nie było. Wziąłem ze sobą na ten wyjazd pierwszy raz. Tak po prostu. Wcale nie miałem zamiaru go używać. Myślałem... sądziłem, że ma kochanków. Jechaliśmy na trzytygodniowy urlop. Na kilka dni wynajęliśmy pokój w Sopocie. Od razu wyszła. Nie chciała powiedzieć dokąd. Byłem nieprzytomny z zazdrości, ale nie dałem tego po sobie poznać. Śledziłem ją. Weszła do willi.*

– *Adres?*

– *Wakacyjna pięćdziesiąt trzy. Poszedłem za nią. Była sama w kuchni. Robiła kawę. Czuli się jak u siebie. Zacząłem ją oskarżać, nawet nie pamiętam o co. Chyba że jest u gacha. Roześmiała się. Strzeliłem.*

– *Co było później?*

– Wróciłem do Warszawy. Opowiedziałem wszystko Basi. Chciałem, żeby poszła ze mną na policję. Powiedziała, że najpierw musi sprawdzić, czy to nie tylko moja wyobraźnia. Nie miałem siły walczyć. Później... powiedziała, że tam była... że znowu mi się przywidziało... Że Kasia po prostu z kimś zwiła. Teraz wiem, że mnie chroniła, ale wtedy uwierzyłem. Wie pan przecież, że mam problemy... psychiczne. Próbowałem się skontaktować z Kasią i nic. Poszedłem do niej w nocy, ale w jej mieszkaniu był ktoś inny. Później to aresztowanie. Nadal mnie chroniła. Miałem wystarczająco dużo czasu, żeby to zrozumieć. Wiem, jak było.

– Proszę opisać miejsce popełnienia morderstwa i podać, gdzie znajdowała się ofiara.

Tadeusz zastopował. Jak przeszło mu przez gardło „ofiara”? To przecież kobieta, która była jego przyjaciółką. Zawsze tak będzie ją pamiętał, chociaż teraz poznał inną jej twarz. Ponownie przycisnął „play” i skoncentrował się na wersjach Roberta Wareckiego i jego siostry.

# Ola

Znów wszystko się przestawiło. Muszę powiedzieć Dorocie. Nabieram oddechu, ale jest szybsza.

– Chcę, żeby morderczyni mojej babci została ukarana. Niech zajmą się tym policja i sąd.

Czy nie przyszedłem tu, żeby to usłyszeć?

– To dobrze. Tylko...

Urywam. Słowa mnie opuściły, w głowie pustka.

– Tylko co?

Koncentruję się maksymalnie

– Tylko to nie jest morderczyni.

Dorota wzdycha, jest zniecierpliwiona.

– O co chodzi? – domaga się wyjaśnień.

– Przed chwilą dzwonił Tadeusz. Dostał mój nowy numer od Krzycha – mówię, jakby to mogło w jakimkolwiek stopniu zainteresować pobitą dziewczynę.

– I...?

Odwracam wzrok, mam ochotę zatkać uszy, uciec stąd. Dziwna reakcja. Przecież to nie moja wina, że prawda okazała się nieco inna.

– To nie morderczyni, to morderca.

Zniecierpliwienie Doroty jest wyczuwalne niemal fizycznie.

– Robert Warecki.

– Brat?

Uspokajam się.

– Tak. Aresztowali Barbarę, a on uznał, że za to. Poszedł na komendę i przyznał się do morderstwa. Mieli już w papierach, że to czubek, ale o morderstwie nie było mowy. Ktoś zadzwonił do Tadeusza, bo sprawa Barbary jest już oficjalnie jego. Przesłuchał go. Historyjka trzymała się kupy.

Chyba jednak nie do końca się uspokoiłam, dlatego używam zdrobnień, które wcale tu nie pasują.

– Jej wersja też trzymała się kupy, ale każde obstawało przy swojej – ciągnę. – Tylko że to on podał wersję zgodną z twoją.

– Mówiłaś, że ją kochał – mówi smutno Dorota.

– Był zazdrosny – tłumaczę cierpliwie. – Chory z zazdrości. Jego siostra miała bzika na jego punkcie, chociaż to niby on się leczył w wariatkowie. W każdym razie kiedy poznał twoją babcię, wpadła w panikę. Wmawiała mu różne brednie, jeśli tylko nocował w domu. Łatwo jej było, bo szpikowała go środkami halucynogennymi. Tuż przed morderstwem opowiadała głównie o niezliczonych zdradach Katarzyny. Cały czas twierdzi, że to dla jego dobra, że się bała o niego.

Powtarzam się, Dorota wygląda, jakby nawet teraz nie wszystko do niej docierało.

– Bzdura – przerywa. – Chciała po prostu, żeby pozostał uzależniony od niej. I tylko od niej.

Ponownie dzwoni telefon. Tadeusz opowiada mi brakującą część historii. Dorota ma prawo wiedzieć. Streszczam się.

– Barbara się nie zorientowała, że brat wie o pistolecie. Nie zauważyła, że broń zniknęła. Kiedy Robert z nią wrócił, widziała, że była używana, ale nie miała pojęcia, co o tym sądzić. Podała mu silne środki i zatrudniła pielęgniarkę, której wcześniej już kilka razy zaufała. Odwiedziła mieszkanie Katarzyny. Pousuwała wszelkie maile, które mogłyby go obciążyć. Pościel wyrzuciła. Pojechała do Trójmiasta – urywam na moment, szukając słowa – posprzątać. Zabrała bagaże z kwatery, wybrała się do was. Żadnych śladów, nic, więc doszła do wniosku, że bratu się przywidziało i taką mu sprzedała wersję. Wersję wzmocnioną lekami. Halucynacje, mówiła. Urojenia. Pogorszenie. Na wszelki wypadek wyrzuciła pistolet i pozbyła się rzeczy



Katarzyny.

– Uwierzył? Przecież...

Dorota chce zgłosić wątpliwość, ale wchodzi jej w słowo.

– Uwierzył. – Sama mam mnóstwo pytań, ale teraz nie czas na roztrząsanie. – Był oszołomiony lekami, a ona przekonująca. Barbara powiedziała, że twoja babcia zrobiła go w trąbę i wyjechała z innym kochankiem. Nie potrafił się z tym pogodzić. Tęsknił. Przyszedł, ale ja otworzyłam i zaczął zwiewać. Nie wiedział, co jest grane. Dzwonił, a komórka... no wiesz.

Zagalopowałam się. Patrzę niespokojnie na Dorotę, ale ona tylko wzrusza ramionami.

– Stacjonarnego też nikt nie odbierał. Do czasu. Kiedy Tadeusz przyszedł do Barbary, przyznała się do wszystkiego, włącznie z morderstwem. Poszła do aresztu, a jej brat grzebał w głowie, oddzielał halucynacje od rzeczywistości. Jego siostra próbowała utrzymać swoją wersję, ale się nie dało.

Milknę. W gruncie rzeczy to naprawdę ona jest odpowiedzialna za tę tragedię. To ona wykradła pistolet, ona karmiła brata lekami, ona sprzedawała mu nieprawdziwe historie.

– Nie my rozstrzygniemy o winie.

Dorota jakby czytała w moich myślach. Prawie się uśmiecham. Przez moment chciałam powiedzieć, że się nią zaopiekuję, ale to byłoby głupie. Po pierwsze, nie jestem pewna, komu jest bardziej potrzebna opieka. Po drugie, mogę sama iść do więzienia, kiedy cała sprawa wyjdzie na jaw. Kto wie, może nawet podzielę celę z jej matką? Po trzecie, nie przypuszczam, żeby życzyła sobie mojej troski.

Znów rozlega się melodia *Mama Mia*. Będę musiała zmienić, jako sygnał telefonu to irytujące.

– Beata już poszła – mówi Krzychu.

– Dzięki.

Chowam telefon. Palce mam zdrętwiałe. Nie spodobało mi się, jak

Krzychu wymówił imię matki Doroty. Idiotyczna zazdrość w takim momencie. Chyba nigdy nie dorosnę.

– Twoja mama już jedzie.

Dorota tylko kiwa głową. Jej poobijana twarz robi się jeszcze bardziej sina.

– Porozmawiamy z nią? Chcesz, żebym została?

Znów kiwnięcie.

– Jesteś pewna?

– Tak.

Patrzę w zdumieniu, jak jej wargi rozchylają się w uśmiechu.

– Jak niczego dotąd – dodaje.

Wyciąga krótką rękę, zaciska palce na mojej dłoni. Są lodowate, ale czuję się pewniej. Dotarłam aż tutaj, więc wytrzymam również finał.

# Dorota

Jestem pewna. Nawet nie bardzo się boję, a w każdym razie mniej niż Ola. Tak sobie mówię, ale nie przestaje dudnić mi w głowie. Zaciskam palce na jej dłoni, uśmiecham się. Ola zdaje się odprężyć.

Wreszcie chrzęst klucza. Krok mamy jest lekki, taneczny, radosny. Ten młody chłopak ją oczarował, a ona jego pewnie też. Oli było przykro właśnie z tego powodu.

Mama staje w progu. Uśmiech zamiera na jej wargach, cała krew odpływa z twarzy.

– Jak...

Ledwie ją słyszę. Ola podnosi się, nie puszcza mojej ręki.

– Musimy porozmawiać

Przemogła strach i wątpliwości, wzięła to na siebie. Mama ją ignoruje. Jej oczy są utkwione w mojej twarzy. Oczy zwierzęcia zapędzonego w pułapkę.

– Mamo... – zaczynam.

Ola silniej ściska moją rękę. Uświadamiam sobie, że chciałam błagać o przebaczenie.

– Mamo. – Mój głos twardnieje. – Powiemy wszystko policji. Znamy już mordercę.

Osuwa się na podłogę. Nie mdleje, nie słabnie, po prostu siada.

– Tak.

Nagle się uśmiecha. Policzki nadal są blade, ale oczy straciły ten straszliwy wyraz.

– Tak – powtarza.

Wyraźnie słyszę ulgę. Chyba rozumiem. To inni podjęli decyzję, ale dzięki niej wreszcie oddycha normalnie.

– Ja też wiem, kto jest mordercą – zwraca się do Oli. – Czytałam twoje maile.

W tonie pozostało trochę wrogości.

– Sprawa przedstawia się trochę inaczej – odpowiada Ola sucho.

Rywalki – myślę głupio i jeszcze raz słucham tej samej historii.

– Zostaw nas same – mówi cicho mama.

Ola kręci głową. W tej chwili nic tu po niej.

– Zrób to – mówię rozkazująco.

Fajny ton. Nigdy dotąd go nie używałam. Nie szkodzi, dobrze go znam. Tak zwraca się do mnie mama, kiedy chce, żebym się podporządkowała. Czasem nie pomaga, wtedy stosuje przymus fizyczny. Nauczyłam się używać rozkazu w głosie, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. W odpowiednich warunkach mogłabym bić czy więzić.

– Wrócę za dwadzieścia minut.

Kiwam głową, nawet na nią nie patrząc.

– Dorota – mówi mama, kiedy frontowe drzwi się zamykają.

W głowie mi się kręci, łzy rozmazują obraz, może dlatego mama wygląda jak anioł.

– Jesteś aniołem.

Akcentuję pierwsze słowo, zdanie brzmi jak drwina. Niezamierzona.

– Dorota.

Krztusi się. Czy nie o to mi chodziło? Jestem górą. Mogę okazać miłosierdzie. Kładę rękę na jej włosach.

– Już dobrze, mamó. – Nagle wstrząsa mną fala wstydu. – Przepraszam. – Ona nie rozumie, nie wiem, czy zdołam wyjaśnić. – Cieszę się, że nie zamieniono nas miejscami.

Uśmiecha się, jakby ze wstydem.

– Posłuchaj. Mamy całkiem sporo pieniędzy. Nie pójdziesz do żadnego

domu opieki. Załatwimy ci dobrą pielęgniarkę i opiekę lekarską. Dowiadywałam się o koszty. Będzie dobrze. Na protezy też star...

– Babcia mówiła... – wchodzę jej w słowo, ale ucisza mnie niecierpliwym ruchem dłoni.

– Wiem, co mówiła. Nie powinniśmy wierzyć w ani jedno jej słowo. – Robi krótką przerwę na nabranie oddechu i ciągnie pozbawionym emocji, płaskim tonem. – Teraz zadzwonię do adwokata. Kiedy mnie zabierze policja, on załatwi wszystkie twoje sprawy. Wie, co robić.

Nie ściemniała z tym adwokatem. Nie słucham, kiedy rozmawia, lecz przyglądam się jej twarzy. Wygląda na opanowaną.

– Nie wiem, czy to w jakikolwiek sposób mnie usprawiedliwia – mówi, chowając telefon – ale naprawdę wierzyłam babci.

Nie mam pojęcia, czy świat, sąd lub Bóg ją usprawiedliwią. Uśmiecham się.

– Byłaś dzieckiem.

– Już nie jestem. Poszłam... dalej.

– Jeśli chodzi o mnie, nie musisz się usprawiedliwiać.

Mam wrażenie, że moje słowa do niej nie docierają. Wydaje się zatopiona w myślach.

– Mam nadzieję, że babcia kłamała, mówiąc o protezach.

– Może się myliła? – podsuwam.

To usłyszała. Patrzy na mnie, marszcząc brwi i boję się, że się rozpłacze. Ona jednak wybucha śmiechem, nie histerycznym, nie gorzkim, nie chichotem skazańca przed plutonem egzekucyjnym. To śmiech, który zaraża, więc ja też zaczynam się śmiać. Niespodziewana radość życia wypełnia mnie po brzegi. Mama siada na podłodze, przytula głowę do wózka.

– Kocham cię – mówię.

– Wiem. Ja też cię kocham.

# Beata

To było jakby ponowne narodzenie. Nie czuła się tak lekko od czasów liceum, zanim jeszcze zaszła w ciążę. Wtedy życie oferowało nieograniczone możliwości, teraz groziło wieloletnim więzieniem i powszechnym ostracyzmem. Mimo to wydawało jej się tak jak i wówczas, że świat należy do niej. Nawet lepiej: świat należał do niej i jej dziecka. Wreszcie były wolne. Obie.

Dzwonek. Ścisnęła rękę Doroty, pocałowała ją w czoło.

– Adwokat – wyjaśniła.

Dziewczyna poważnie skinęła głową. Beata zdawała sobie sprawę, że córka wcześniej nie do końca wierzyła w istnienie prawnika. Trochę racji w tym było. Pan mecenas, owszem, został opłacony i poinformowany, ale mimo wszystko był na niby, trzymany w odwodzie. Na bliżej nieokreślone później.

– Dzień dobry, panie Henryku – powiedziała, otwierając drzwi.

Przywitał się, obrzucając ją szybkim spojrzeniem.

– Dobrze pani wygląda.

Uwaga może nie do końca profesjonalna, ale Beata uznała ją za całkiem na miejscu. Uśmiechnęła się szeroko, szczerze.

– Dziękuję. Dobrze się czuję.

Pokiwał głową. Rozumiał. Dobry adwokat musi mieć spore pokłady empatii. Wprowadziła go do pokoju. Dorota za to wyglądała koszmarnie z siniakami i spuchniętą twarzą.

– To moja córka, Dorota – przedstawiła Beata. – Dorotko, to pan mecenas Popławski, który będzie nas reprezentował.

Z galanterią ujął dłoń dziewczyny na wózk, ucałował. Z Beatą witał się zawsze uściskiem ręki. Przesadzał teraz? Chyba nie, nie widziała w jego

gestach fałszu, spojrzenie miał szczere, uwagę skupioną na Dorocie. Przysłuchiwała się ich konwersacji, nie zwracając uwagi na słowa, koncentrując się na tonie, przyjaznym, spokojnym. U obojga rozmówców. Wiadomo, że prawnicy mają gadane, ale odkrywała z przyjemnością, że jej córka również ma duże zdolności komunikacyjne.

Wolne – powtórzyła w myślach. Obie. Już nigdy nie będzie kłamać. Nigdy nie będzie wymyślać usprawiedliwień na własny użytek i udawać, że w nie wierzy. Ponownie usiadła na podłodze przy wózku. Nigdy nie posunie się do okrucieństwa. Podniosła głowę i znów popatrzyła na obitą twarz Doroty. Żołądek się skurczył. To ona zrobiła. Nie odwróciła wzroku. Musi zapamiętać na zawsze, ale da radę z tym żyć. Może.

# Dorota

Siedzimy wszyscy w moim małym pokoju, czekając na policję. Adwokat mamy robi dobre wrażenie. Wysoki, dobrze zbudowany. Z pewnością stać go, żeby regularnie ćwiczyć na siłowni. Bardziej niż mięśnie interesują mnie jego kompetencje. W tym szarym garniturze, z siwymi włosami i byстрым spojrzeniem wygląda profesjonalnie. Oceniam go na jakieś pięćdziesiąt lat. To chyba dobry wiek dla prawnika. Zadał kilka pytań, robi notatki, od czasu do czasu uśmiechając się do mnie. Najprawdopodobniej to związane z ustalonym honorarium. Nieważne. Życzliwość, nawet opłacona, jest mi potrzebna.

Mama nadal siedzi na podłodze, przytulając głowę do wózka. Kocham ją inaczej niż przedtem. Dojrzałe i odpowiedzialnie. Chcę wierzyć, że ona mnie też, chociaż człowiek nie zmienia się chyba z minuty na minutę. Przesuwam palcami po jej twarzy. Policzki są suche. Dobrze, niepotrzebny nam płacz.

Naprzeciwko Ola i Krzychu. Są wzruszający; na pierwszy rzut oka widać, że zakochani. Życzę im z całego serca, żeby dali szansę miłości. Nie wiem, czy kiedykolwiek o nią zawalczą.

Niewiele wiem. Nie mam pojęcia, czy mama pójdzie do więzienia. Wydaje mi się to całkiem prawdopodobne mimo zaangażowania adwokata. Sądzę jednak, że panu mecenasowi uda się przynajmniej skrócić wyrok do minimum.

Ola i Krzychu również mogą zostać aresztowani. Krzychu jest twardy, zniesie to. Poza tym naprawdę ma wiele za uszami i kara mu się należy. Ola wycierpiała wystarczająco. Sąd powinien wziąć pod uwagę, że włamanie do naszego domu było jej pierwszym przestępstwem.

Tadeusz zapewne wymiga się od odpowiedzialności. Nikomu nie zależy, żeby go obciążać, a bez zeznań poszkodowanych nie ma dowodów winy. Ciało babci się znajdzie. Będzie miała prawdziwy grób na prawdziwym cmentarzu. Będę mogła tam pojechać, pomodlić się za jej duszę. Wierzę w duszę, pomimo, a może właśnie dlatego, że babcia i mama wmawiały mi, że



jej nie ma.

A morderca? Wstrząsam się. Nieszczęśliwy, chory człowiek. Moralna odpowiedzialność spada na jego siostrę, ale jej również mi żal. To nie moja sprawa. Wymiar sprawiedliwości zdecyduje. Uwolnię się od odpowiedzialności przynajmniej w tym względzie.

Co stanie się ze mną? Rozdzielą mnie z mamą? Czy wtedy ktoś, oprócz płatnej opiekunki, mnie odwiedzi? Ola by do mnie przychodziła, ale nie wiadomo, czy to nie ja będę umawiać się na widzenia.

A moje... nogi? Czy babcia kłamała albo się myliła? Czy uda się dopasować mi protezy i nauczę się chodzić?

Będę żyła. Cokolwiek przyniesie przyszłość.

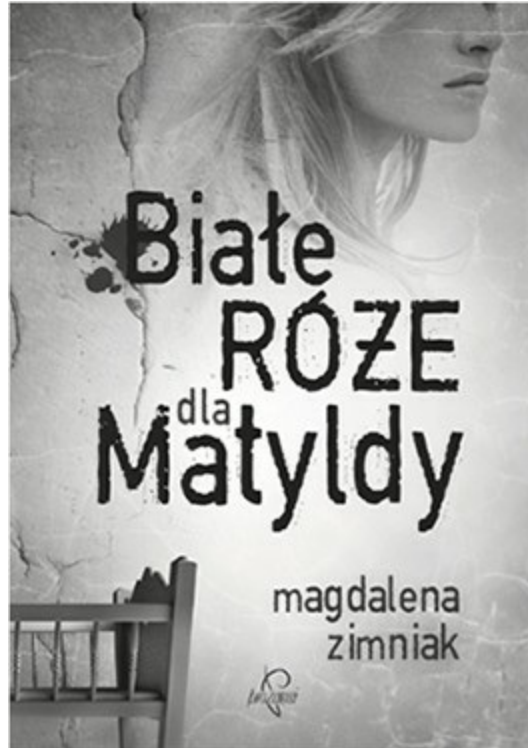
Dzwonek do drzwi. Żołądek się kurczy. Policja. Mama się podnosi. Wiem, że chciałaby to ukryć, ale widzę strach w jej oczach.

Dziękuję Sylwii Drożdzyk-Reszce – niezastąpionej redaktorce, i przyjaciółkom pisarkom: Ani Fryczkowskiej i Marioli Zaczyńskiej za cenne uwagi do powieści.

Mojej rodzinie dziękuję, że mnie wspiera, chociaż bywam trudna.

Marcinowi Gutkowi podziękowałam w dedykacji, ale nie potrafię go pominąć również tutaj.

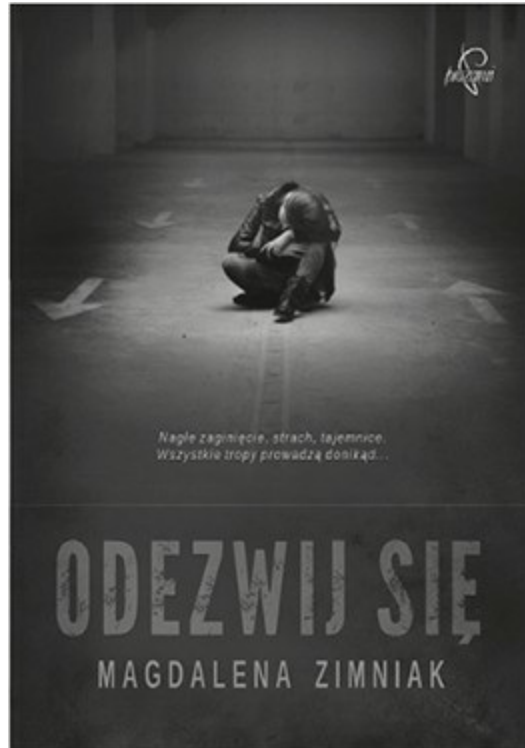
Wszystkim żoźom z Grupy Siedleckiej dziękuję za to, że są.



## **Białe róże dla Matyldy Magdalena Zimniak**

Po nagłej śmierci rodziców Beata próbuje odzyskać spokój. Nie jest to łatwe, ponieważ krótko po pogrzebie pojawiają się śledczy, podając w wątpliwość tezę o wypadku.

Każdego kolejnego dnia w głowie Beaty wykluwa się więcej pytań, a znalezione przez nią pamiątki ciotki Matyldy rzucają nowe światło na przeszłość całej rodziny. Odkrywane tajemnice zachwieją życiem kobiety. Żadna wartość nie pozostanie pewnikiem.



## Odezwi się

## **Magdalena Zimniak**

Zaginięcie dwójki dzieci spada na z pozoru idealne małżeństwo Mielczarków jak grom z jasnego nieba. Ucieczka? Rodzice są pewni, że porwanie. Policja natomiast sugeruje, że Ada, od lat zmagająca się z nerwicą natręctw, mogła zrealizować „fantazje” i skrzywdzić brata.

Autorka serwuje czytelnikom potężny ładunek emocjonalny i zaskakujące zwroty akcji. Trudno oderwać się od tej historii. A potem trudno o niej zapomnieć.



*Powieści obyczajowe oraz polska proza współczesna*

**Wydawnictwo Prozami [www.prozami.pl](http://www.prozami.pl)**